

Craig

Russell



MRO CZNA SERIA

DŁUGI POCAŁUNEK
Z GLASGOW

CYKL SZKOCKI

w
ab
two

CRAIG
RUSSELL

DŁUGI POCAŁUNEK Z GLASGOW

przełożył
Jacek Majewski

Tytuł oryginału **The Long Glasgow Kiss**

Przekład **Jacek Majewski**

Redakcja **Marta Kubinowska**

Korekta **Monika Buraczyńska**

Projekt okładki **Krzysztof Kielbasiński**

Skład i łamanie **TYPO**

Skład wersji elektronicznej **Michał Olewnik** / [Wydawnictwo
W.A.B.](#)

i **Michał Nakoneczny** / [Virtualo Sp. z o.o.](#)

Copyright © by Craig Russell

All rights reserved

Copyright © for the Polish edition by Grupa Wydawnicza

Foksal, MMXIII

Copyright © for the Polish translation by Jacek Majewski

ISBN 978-83-7881-050-6



Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.

00-372 Warszawa, ul. Foksal 17

tel. 22 828 98 08, 22 894 60 54

biuro@gwfoksal.pl

Wydanie I

Warszawa

Dla Marion

I

Niektóre pojęcia są obce umysłowości glasgowczyków, ot chociażby surówka czy stomatologia, a także przebaczenie.

Do owego wieczoru, kiedy zmarł Bilon MacFarlane, nie miałem wyobrażenia, jak pamiętliwe potrafi być Glasgow. Moja edukacja w tej dziedzinie miała się dopiero rozpocząć.

Przez Glasgow przetaczała się fala upałów i wszyscy lepił się od potu, a ja szczególnie, jako że właśnie owego wieczoru, gdy został zamordowany Bilon MacFarlane, miałem randkę z jego wystrzałową córką Lorną. Zaparkowałem swojego austina atlantica na wzgórzach Glennifer Braes, skąd rozciągał się widok na ciemne i ponure tej parnej nocy Glasgow. Szczerze mówiąc, niewiele uwagi poświęciliśmy na podziwianie panoramy. Z perspektywy czasu na ironię wydaje się zakrawać fakt, że dwoje członków rodziny MacFarlane w tym samym mniej więcej czasie znalazło się w zasięgu działania tępego narzędzia.

Lorna wykraczała dość znacząco ponad glasgowską normę: była ładna, miała rudoblond włosy i szalową figurę. Jak większość szumowin, którym udało się w końcu jakoś dorobić, jej ojciec, glasgowski bukmacher, dbał o pozory szacowności i posłał Lornę do ekskluzywnej szkoły z internatem w Edynburgu. Zrobił to prawdopodobnie po to, żeby jego córka wyrosła na ukladną pannę, ja zaś przekonałem się na tylnym siedzeniu atlantica, że owszem, jeśli chodzi o francuski – pomijając wszystkie inne języki, jakich uczono w tej szkole – Lorna była urodzoną lingwistką.

Gdybym miał opisać swój ówczesny związek z Lorną, najlepiej pasowałoby do niego określenie „plytki”. Muszę przy tym nadmienić, że przymiotnikiem tym można by opisać niemal wszystkie moje dotychczasowe związki z kobietami. Moja

zażyłość z Lorną była jednak wyjątkowo mało zobowiązująca. Ona zabijała czas w oczekiwaniu na chwilę, gdy w jej sidła wpadnie odpowiedni kandydat na męża, a ja... cóż, ja robiłem po prostu to co zawsze. Gdyby owej nocy wypadki potoczyły się inaczej, to sądzę, że i tak stopniowo oddalilibyśmy się od siebie bez żalu i wzajemnych pretensji. Jednak wtedy, na wzgórzach Glennifer Braes, nie mieliśmy jeszcze pojęcia, co nas czeka.

Moja ignorancja była szczególnie błoga. Nie zdawałem sobie zupełnie sprawy, że zanosilo się na jakieś krwawe porachunki, ani nie zetknąłem się z określeniem „baro” czy „biczapen”. A gdyby ktoś w ów parny, zbyt upalny letni wieczór wymienił nazwisko Johna Largo, to pewnie uznałbym, że mowa o jakiejś postaci z westernu. I w pewnym sensie byłaby to prawda: zachód najdzikszy był właśnie w Glasgow.

John Largo nie był jednak żadnym kowbojem. Był kimś w rodzaju szarej eminencji. Cieniem. Bardzo niebezpiecznym cieniem, którego macki sięgały daleko.

Kiedy zakończyliśmy nasze tango na tylnym siedzeniu atlantica, odwoziłem Lornę do domu w Pollokshields. Glasgow cechowało się własną geografią społeczną, niezrozumiałą dla kogoś z zewnątrz, ale mającą istotne znaczenie dla stanowiących tu mniejszość klas średnich. Było zresztą typem miasta zasadniczo bezklasowego, w którym liczyło się w gruncie rzeczy tylko to, ile kto miał pieniędzy. Wszechobecny glasgowski akcent przekraczał natomiast wszelkie społeczne bariery, i tu jedyną miarą statusu była ocena, na ile czyjaś wymowa była zrozumiała, a ściślej rzecz biorąc – na ile daleka od niezrozumiałości. Jeśli już doszukiwać się kryteriów podziału, to pozycję społeczną wyznaczało zazwyczaj albo miejsce zamieszkania, albo bardziej subtelne wskaźniki o charakterze socjalnym, takie jak odległość od najbliższej splukiwanej toalety lub to, czy nasza babcia mieszka jeszcze w slumsie.

Działalność bukmacherska Bilona rozwijała się na przestrzeni lat dobrze – pod tym względem szło mu chyba lepiej niż większości glasgowskich bukmacherów. Nie zrobił jednak aż

takiej kasy ani nie wyrobił sobie na tyle szacownej pozycji, aby przeskoczyć z południowego zarzecza na drugą stronę rzeki Clyde i awansować w społecznej hierarchii. Rezydencja MacFarlane'ów położona była więc w Pollokshields, na południe od Clyde. Była to duża, solidna i pozbawiona polotu szkocka willa w stylu wiktoriańskim, stojąca przy ulicy pełnej niemal identycznych, solidnych i także pozbawionych polotu szkockich willi w stylu wiktoriańskim – zgodnie z prezbiteriańskim imperatywem, aby ukrywać dobrobyt pod maską anonimowości. Aby czymś się jednak od siebie nawzajem odróżniać, prawie wszystkie domy przy tej ulicy opatrzone były nie numerami, lecz nazwami. Kiedy dojechalśmy do Ardmore, zastaliśmy tam rząd blokujących podjazd czarnych policyjnych wólseleyów.

Taki widok to dla mnie na ogół sygnał, aby jak najszybciej oddalić się w przeciwnym kierunku, ale Lorna wpadła w panikę, więc zaparkowałem na ulicy i podszedłem z nią do budynku. Od razu stało się jasne, że czeka nas tam coś bardzo nieprzyjemnego. I faktycznie: to dwumetrowe coś, odziane w tweed i brunatne broksy, okazało się detektywem nadinspektorem Williem McNabem.

– Co się dzieje? – spytałem, lecz McNab mnie całkowicie zignorował.

– Panna MacFarlane? – odezwał się do Lorny z troską w głosie i byłem pod wrażeniem, jak przekonująco odegrał rolę współczującego bliźniego. – Czy mogłaby pani pójść ze mną? – Poprowadził ją do przedpokoju, najpierw rzucając mi przez ramię spojrzenie, jednoznacznie mówiące: „A ty, kurwa, ani kroku dalej”.

Uśmiechnąłem się. Miło być zauważonym...

Chcąc nie chcąc, zostałem przed progiem w towarzystwie gliniarza, postawionego na straży przy drzwiach frontowych. Był to chłop na schwał – góral, tak jak dziewięćdziesiąt procent mundurowych w glasgowskiej policji. Górali rekrutowano ze względu na ich wzrost, a nie zasoby intelektualne, i łatwo ich było omamić błyszczącymi paciorkami albo jakimiś

urządzeniami elektrycznymi. Tylko kilka minut zabrało mi wyciągnięcie od niego podstawowych informacji. Okazało się, że Bilon MacFarlane, odnoszący w Glasgow największe sukcesy bukmacher i ojciec Lorny w jednej osobie, leży bezwładnie na podłodze swojego gabinetu, rujnując wyściełający ją miękki dywan typu Wilton sporą ilością czerwonej cieczy.

– Słucham, sze właśnie wrócił z wyścików – zwierzył mi się melodyjnym hebrydyjskim narzeczem mój świeżo zapoznany koleś glina. – Wie pan, on był bukmacherem. Ktoś mu przyłószył fikurą jeko ulubioneko charta... co się wabił Billy Boy.

Zafrasowałem się, marszcząc brwi: – Ależ fuks. I kto by pomyślał?

Kiedy McNab ponownie pojawił się w korytarzu, nadal stałem na zewnątrz. Spojrzałem w jego kierunku i zauważyłem przez otwarte drzwi salonu, że Lorna siedzi zrozpaczona na kanapie obok pocieszającej ją macochy. Odruchowo zrobiłem krok do przodu, ale moja klatka piersiowa napotkała zdecydowany opór wielkiego łapska McNaba.

– A ty jakie niby miałeś powiązania z Jimmym MacFarlane'em, Lennox?

Postanowiłem kontynuować nasz sposób porozumiewania się za pośrednictwem groźnych min, rzucając mu najwymowniejsze spojrzenie typu „łapy, kurwa, przy sobie”, na jakie było mnie aktualnie stać. Okazało się równie skuteczne, jak gadanie do niego po nepalsku. Powstrzymująca mnie dłoń ani drgnęła.

– Z Bilonem? Żadne – odparłem. – Jestem... przyjacielem jego córki, to wszystko.

– Na ile bliskim przyjacielem?

– No cóż, powiedzmy, że ostatnio dość często się widzimy.

– I to jedyne, co cię łączy z Jamesem MacFarlane'em? – zapytał McNab. – Na pewno?

– Spotkałem go kilka razy. Zasadniczo dlatego, że widuję się z Lorną – powiedziałem, nie wspominając o tym, że Bilon obiecał mi dwa bilety na zbliżającą się głośną walkę

miejscowego Bobby'ego Kirkcaldy'ego z Niemcem Janem Schmidtke. Prawdę mówiąc, pierwsze, o czym pomyślałem, gdy dowiedziałem się o zgonie Bilona, to czy zdążył mi te bilety załatwić, zanim dał sobie rozwalić łeb. Uznałem jednak, że afiszowanie się z tego rodzaju refleksjami ujawniłoby jeden z mniej atrakcyjnych aspektów mojej osobowości. Choć może moja kolejna myśl była jeszcze mniej chwalebna: zaintrygowało mnie bowiem pytanie, jak długo będę musiał czekać, aż Lorna po śmierci ojca odzyska ochotę na kolejną rundę zapasów na tylnym siedzeniu atlantica.

– Żadnych innych interesów? – nie odpuszczał McNab. – Nie wykonywałeś dla niego żadnych zleceń? Jakiegoś węszenia?

Potrząsnąłem głową przecząco i nagle jakoś straciłem humor. Spojrzałem na dłoń opartą o mój tors. Solidna rozwinięta pięcha. Grubaśne paluchy z łuszczącą się na knykciach skórą. Wyglądające spod tweedu świeżo wyprasowane, białe mankiety koszuli.

– Zobaczymy... I niech ci nie przyjdzie do głowy wściubić w to swego nosa, Lennox – powiedział. – To sprawa dla policji.

– Wcale nie mam zamiaru się w to mieszać – odparłem, marszcząc brwi. Zaskoczyło mnie nieco, że McNab w ogóle uważa za konieczne, aby mnie zniechęcać. – A jaki był motyw?

– No cóż... – McNab wolną ręką potarł podbródek, udając głęboki namysł. – MacFarlane był jednym z najbogatszych glasgowskich bukmacherów i hodowców chartów. Właśnie wrócił z wyścigów z torbą pełną gotówki, której nie potrafimy zlokalizować... niech no pomyślę... Mam! Zbrodnia w afekcie.

– Powinien pan trzymać się tego, co panu wychodzi, nadinspektorze, a ironię zostawić mnie.

– A ty zostaw lepiej robotę policyjną mnie. To jest zwykły rabunek. Rozwikłamy to bez niczyjej pomocy, Lennox. Dwa dni i będziemy mieli tego skurwiela pod kluczem.

– Aaa... – uśmiechnąłem się i pokiwałem głową z uznaniem. – Oto szlachetne działanie stojącego na straży sprawiedliwości szkockiego systemu prawnego, według którego każdego obywatela uważa się za niewinnego, dopóki nie udowodni mu

się, że jest katolikiem.

Domyślałem się, jak to będzie przebiegać. Włamywacze rzadko uciekali się do przemocy. Oczami wyobraźni widziałem kolejkę tych samych, co zwykle, podejrzanych, dostających w dupę na komendzie. Na filmach policjanci z dochodzeniówki zawsze zapewniali przesłuchiwanym, że to „tylko formalność”. Ciekaw byłem, czy właśnie tym zwrotem posługiwała się glasgowska policja: „Nie będziemy panu już więcej zabierać czasu... to zwykła formalność. Jeszcze tylko kilka kopów w żebra, pozbiera pan zęby z podłogi, i to by było na tyle...”.

– Mogę ci zadać pytanie, Lennox? – przerwał moją zadumę McNab.

– Zadawanie pytań to przecież pana fach, nadinspektorze – powiedziałem, zachowując dla siebie spostrzeżenie, że zazwyczaj rękoczynami przypominano pytanemu frajerowi, aby za długo nie zwlekał z odpowiedzią. – Śmiało.

– Dlaczego nie spieprzasz do Kanady?

– Czy to pytanie, czy nowy slogan reklamowy kanadyjskiego biura imigracyjnego? Przyznam, że hasło chwytliwe.

– Niezły z ciebie dowcipniś, co, Lennox? – Spojrzał w głąb ogrodu, jakby nie do końca skupiony na naszej rozmowie. Po czym nagle popatrzył mi prosto w oczy i przysunął się bliżej. Mając tuż przed sobą jego twarz oraz dłoń na klatce piersiowej, nie miałem już żadnych wątpliwości, na czym jest skupiony. – Pamiętasz naszą ostatnią pogawędkę przy placu St. Andrew's? – McNab miał na myśli komendę główną glasgowskiej policji.

– Jakże mógłbym zapomnieć? Pan, ja i ten czarujący młodzieniec z Hebryd z owiniętą wokół pięści mokrą szmatą.

– Jak nie przestaniesz dowcipkować, to mogę załatwić powtórkę z rozrywki... Gęba na kłódkę, Lennox. I odpowiedz na moje pytanie: dlaczego nie spieprzasz z powrotem do Kanady?

– Podoba mi się tu – odparłem, ignorując oczywisty dylemat natury logicznej: jak odpowiedzieć na jego pytanie z gębą na kłódkę. – Glasgowskie powietrze mi służy. Gdybym wyjechał, pewnie ozdrowiałbym po przewlekłym zapaleniu opłucnej, a tak długo nad nim pracowałem – westchnąłem, wzruszając

ramionami. – Nie wiem, może któregoś dnia tam wrócę. Jak będę na to gotowy.

– Na twoim miejscu poważnie bym się nad tym zastanowił. – Oderwał dłoń od mojej klatki piersiowej. Tkwiła tam tak długo, że przez marynarkę i koszulkę nadal czułem jej ciepły ciężar. Komunikat był całkiem jasny. Nadinspektor Willie McNab mógł w dowolnej chwili i na tak długo, jak chciał, położyć swoją łapę na każdym śmiertelniku w Glasgow. – Znam wielu ludzi, którzy cię nie lubią, Lennox. Owi ludzie nadal uważają, że wiesz o sprawie McGahernów więcej, niż się do tego przyznajesz.

– Mylą się. – Szybko przywołałem fałszywy uśmiech, mający pokryć niepokój, jaki wywołało we mnie odgrzebywanie przez McNaba martwej przeszłości. Bardzo martwej przeszłości. – Wciąż panu powtarzam, panie nadinspektorze, że nie jestem aż tak ważną figurą, na jaką wyglądam. Czy mogę teraz pójść i porozmawiać z Lorną?

– Pamiętaj tylko, żeby nie wtykać nosa w sprawę MacFarlane’a, Lennox. – Zapaliwszy playersa, McNab zaciągnął się głęboko i wypuścił smugę dymu w parne nocne niebo Pollokshields. – Bo inaczej osobiście załatwię ci zmianę scenarii. Czy wyrażam się jasno?

– Całkowicie... Jedno mogę z czystym sumieniem powiedzieć o pana zawołowanych groźbach, nadinspektorze: są przejrzyste jak kryształ.

Maggie MacFarlane nalała mi szkockiej, podczas gdy ja ruszyłem pocieszać jej pasierbicę. Matka Lorny zmarła dziesięć lat temu i Jimmy „Bilon” MacFarlane ożenił się powtórnie. Maggie, jego druga żona, była starsza od Lorny nie więcej niż o dziesięć lat.

Są mężczyźni, którzy osiągnąwszy określony wiek, a także odpowiednio zasobne konto bankowe, rezygnują z rodzinnej limuzyny na rzecz szpanerskiego, wysmukłego samochodu sportowego i ekscytującej jazdy, która daje im choć przez chwilę poczucie, że znowu są młodzi, nawet jeśli nie do końca

potrafią zapanować nad mocą silnika. Podobnie bywa z drugimi żonami. Maggie MacFarlane z całą pewnością należała do tej właśnie kategorii – poznałem ją, gdy pierwszy raz przyjechałem zabrać Lornę na randkę, i podczas tamtego spotkania dała mi niedwuznacznie do zrozumienia, że gdybym i ją chciał kiedyś wziąć na szybką przejażdżkę, nie miałyby nic przeciwko temu.

– Jak sobie dajesz radę? – spytałem Maggie. Prawdę mówiąc, na moje oko dawała sobie radę całkiem dobrze. Aż za dobrze.

– Po prostu nie mogę w to uwierzyć – powiedziała, podając mi szkocką i nalewając sobie. – Biedny Jimmy. Kto mógł zrobić coś tak okropnego?

Wziąłem od niej szklaneczkę, objąłem ramieniem Lornę i namówiłem ją, żeby trochę się napiła. Wyczerpana płaczem siedziała, blada i oniemiała. Upiła nieco alkoholu, krztusząc się i zaciskając mocno powieki. Szkocka chyba zadziałała, bo Lorna jakby nabrała animuszu i spojrzała wilkiem na Maggie.

– Paru by się pewnie znalazło – wymamrotała zjadliwie pod nosem. Ech, harmonia rodzinna. Byłem zmartwiony przez wzgląd na Lornę, ale z drugiej strony chciałem się zerwać, bo zerkając na zegarek, stwierdziłem, że wszystkie bary już pozamykano, a jeśli nadal będę zwlekał, to za chwilę nie załapię się nawet do pubu Pod Końskim Łbem, gdzie o tej porze wpuszczają tylko na umówiony sposób pukania.

Postanowiłem rozładować napiętą atmosferę. – Czy to ty znalazłaś cia... To znaczy, czy to ty znalazłaś pana McFarlane'a? – spytałem Maggie, która usiadła na kanapie naprzeciwko nas, zakładając nogę na nogę. Rozległ się syk jedwabiu pieszczotliwie otulającego jej ciało. Była to oczywiście wybitnie nieodpowiednia chwila na przyglądanie się jej nogom i uczyniłem wielki wysiłek, aby się przed tym powstrzymać. Jak zwykle poniosłem porażkę. Włożyła między intensywnie pąsowe wargi papierosa i zapaliła go. Była to jakaś luksusowa zagraniczna marka z filtrem, na którym widniały dwa złote paski.

– Byłam u przyjaciółki w Bearsden – powiedziała, wpatrując się we mnie błękitnymi oczami. – Wróciłam mniej więcej

godzinę temu. Od razu zorientowałam się, że coś jest nie tak, bo drzwi frontowe były otwarte na oścież. Potem, kiedy weszłam do gabinetu Jimmy'ego... – Spuściła wzrok i wypila duży łyk szkockiej.

– A co powiedziała policja?

– Niewiele. Tylko tyle, że ich zdaniem to rabunek. Ktoś musiał wiedzieć, że Jimmy będzie wracał z wyścigów na stadionie Shawfield z wieczornym utargiem.

– Czy wymieniali jakieś nazwiska?

Maggie miała właśnie odpowiedzieć, gdy do pokoju wszedł bez pukania McNab. Pukanie to drobiazg, który pozostawiał innym.

– Panno MacFarlane, czy mógłbym pani zadać kilka pytań? – Spojrzał na mnie wymownie i dodał: – Najwygodniej byłoby w kuchni.

Maggie odczekała, aż Lorna i McNab wyjdą, po czym odpowiedziała: – Nie, nie wymieniali żadnych nazwisk. Ale pewnie coś wymyślą.

Zaśmiałem się pod nosem. – Policja nie bawi się w wymyślanie, wszak ma to tę denerwującą cechę, że podważa z góry powzięte przekonania.

Kiedy Lorna wróciła z rozmowy z McNabem, była we łzach. Jego towarzystwo często i mnie prawie do nich doprowadzało. Poczucie obowiązku sprawiło, że znowu zacząłem ją pocieszać. Dotrzymując towarzystwa córce i macosze, nawet raz nie zapytałem o to, czy Bilon przed swoim przedwczesnym zgonem nie wspominał przypadkiem o biletach na mecz bokserski. Nikt nie mógłby mi zarzucić, że nie jestem dżentelmenem.

Z tego, co byłem w stanie się zorientować, McNab miał prawdopodobnie rację: Bilonowi rozwalono czerep z powodu całodziennego utargu, który przyniósł wieczorem do domu. Z pewnością była to okrągła sumka, ale czy aż tak, aby ryzykować za nią stryček? Bo jeśli sam McNab zajmował się tą sprawą, to z całą pewnością ktoś zawiśnie. Złapałem się wręcz

na tym, że jestem wdzięczny za swoje żelazne alibi.

Pokręciłem się tam jeszcze do drugiej w nocy. Policja zmyła się już wcześniej, więc obiecałem, że zadzwonię rano i też wyszedłem.

II

Gdy wracałem do domu opustoszałymi ulicami, nasunęła mi się refleksja, że prawdopodobnie istnieją gdzieś cmentarze, na których jest więcej życia niż w Glasgow o drugiej w nocy. Pewnie dlatego zwróciło moją uwagę światło reflektorów odbijające się we wstecznym lusterku. Nie byłem pewien, czy pojawiło się już w Pollokshields, w każdym razie towarzyszyło mi wystarczająco długo, aby wzbudzić moją podejrzliwość. Przejeżdżając obok swojego mieszkania, nie zatrzymałem się, tylko pojechałem dalej ulicą Great Western i skręciłem w ulicę Byres, a potem jeszcze raz na chybił trafił w prawo, w jakąś cichą przecnicę, przy której stały czynszówki i bliźniaki z piaskowca. Budynki były tak okopcone sadzą, że wyglądały na ciemniejsze niż rozpościerające się nad nimi nocne niebo. Samochód, którego światła widziałem w lusterku, przez cały czas utrzymywał największy możliwy dystans, dbając jednak o to, aby mnie nie zgubić na mojej przypadkowo wybranej trasie. Zatrzymałem się przed jakąś czynszówką, wysiadłem z atlantica, zamknąłem drzwi i zdecydowanym krokiem wszedłem w pasaż wiodący na tył budynku.

Samochód przejechał obok. Był to austin. Jeden z większych modeli. Czarny albo ciemnoszary. Taki, jakich używają patroli policji. Zauważyłem w środku kierowcę i pasażera, ale nie byłem w stanie rozeznaczyć nic więcej ponad to, że jedna z postaci miała bary, których mógłby pozazdrościć Atlas. Bilon MacFarlane był bez wątpienia dość grubą rybą, nie rozumiałem jednak, dlaczego śledztwo w jego sprawie cieszy się aż takim zainteresowaniem. I dlaczego, biorąc pod uwagę moje marginalne powiązania z denatem, policja z takim uporem depta mi po piętach. Samochód zniknął za rogiem i po chwili zawrócił na trzy, co skonstatowałem, wsłuchując się w zgrzyt

synchronizatora. Wyszedłem z cienia, wróciłem do atlantica i z założonymi rękoma oparłem się o błotnik, czekając cierpliwie, aż nieoznaczony wóz policyjny wynurzy się zza rogu. Czasem potrafię przechytrzyć sprawę.

Austin pojawił się ponownie i zatrzymał obok mnie. To był model sheerline, zbyt ekskluzywny jak na wóz policyjny. Z fotela obok kierowcy wysunęło się coś wielkiego i ciemnego, rzucając w świetle latarni niewiarygodnie wielki cień.

– Witam ponownie, panie Lennox... – powiedział z uśmiechem Pedikiurek McBride swoim dudniącym barytonem. Wyprostowałem się i oderwałem od błotnika samochodu. A to ciekawostka.

– Pedikiurek? Co ty tu robisz? Myślałem, że to policja. Czemu za mną jedziesz?

– Będzie pan musiał spytać o to pana Sneddon – odparł z powagą. – Jestem pewien, że pana wyeksplikuje. – Pedikiurek starannie wymówił każdą sylabę: wy-eks-plicu-je.

– Widzę, że nadal czytujesz „Reader’s Digest” – pochwaliłem go.

– Poszerzam zasób słownictwa... – rozpromienił się Pedikiurek. Wyobraziłem sobie, o ile ciekawsze byłoby przy jego poszerzonym słownictwie doświadczenie tracenia kolejnych palców u stóp za sprawą trzymanyh przez niego nożyc do prętów. W stosowaniu tego właśnie narzędzia tortur specjalizował się bowiem Pedikiurek i stąd pochodziła jego ksywa. Albo pseu-do-nim, jak pewnie sam by powiedział.

– Wyraziste słownictwo to prawdziwy skarb – uśmiechnąłem się.

– Tu się pan, kurwa, nie myli, panie Lennox – odparł z uśmiechem Pedikiurek.

– Pan Sneddon chce się ze mną widzieć już teraz? – spytałem, otwierając drzwi do samochodu. – W takim razie pojedę za tobą.

Pedikiurek przestał się uśmiechać. Otworzył na oścież tylne drzwi sheerline’a. – Zadbamy, aby wrócił pan później do swego auta. Jeśli nie ma pan o-biek-cji.

– Świetnie – odparłem, jakby wyświadczał mi przysługę. Przemknęła mi jednak przez głowę myśl, że po powrocie mogę nie być w stanie doliczyć się wszystkich dwudziestu palców u rąk i stóp.

Pedikiurek McBride był może sadystycznym, psychopatycznym osiłkiem, ale sprawiał przynajmniej wrażenie przyjaźnie nastawionej bestii. Nie można było tego samego powiedzieć o kierowcy austina – chudym, wrednie wyglądającym zakapiorze z kiepską cerą i nadmiernie naoliwionymi włosami, przyciętymi w kaczycę kuper. Już go wcześniej widywałem, jak czał się złowieszco wokół Williego Snedдона. Trzeba było wprawdzie przyznać, że owo złowieszcze czajenie wychodziło mu nadzwyczaj dobrze, rekompensując w pełni jego braki konwersacyjne.

Wyjechaliśmy poza miasto, na zachód, i minawszy Clydebank, wjechaliśmy na drogę do Dumbarton. W zasięgu wzroku nie było żadnych innych samochodów. Brzydkie kamienice zaczęły stopniowo ustępować otwartym przestrzeniom i poczułem się nieswojo. Już sama darmowa podwózka zaoferowana przez Pedikiurka McBride’a powinna skłonić każdego do większej czujności, a dodatkowa wiedza o tym, kto zażyczył sobie audiencji, wystarczała, aby dolne części układu pokarmowego zaczęły przypominać o swoim istnieniu. Pedikiurek był jednym z siepaczy Williego Snedдона. A Willie Sneddon był Królem południowego zarzecza, jednym z tak zwanych Trzech Królów, kontrolujących całą wartość kontrolowania działalność przestępczą Glasgow. Spotkanie ze Sneddonem zawsze wróżyło kłopoty, i to najgorsze z możliwych.

Kiedy zjechaliśmy z głównej drogi w wąski wiejski trakt, pomyślałem, że rzeczywiście mogę się znaleźć w poważnych tarapatach. Zerkałem nawet na klamkę, kalkulując, czy przy tej prędkości opłacałoby mi się ryzykować skręcenie karku podczas próby wyskoczenia z samochodu. Gdyby jednak złapali mnie

Pedi i jego milczący kumpel, ryzyko to mogłoby zamienić się w fakt dokonany. Willie Sneddon należał do kategorii gospodarzy, którzy bardzo źle reagują na odmowę przyjęcia ich zaproszenia. Jeśli więc zacząłbym wiać, to chcąc ująć cało z zębami, palcami, a może nawet życiem, musiałbym wiać tak długo, dopóki nie znalazłbym się z powrotem w Kanadzie. Samochód podskoczył na jakimś wyboju. Uspokoilem się. Było raczej bez sensu, aby Sneddon planował dla mnie coś nieprzyjemnego – coś jeszcze poza swoim towarzystwem, które i tak samo w sobie wyczerpie mój limit nieprzyjemności na ten miesiąc. Nie zrobiłem niczego, czym mógłbym się narazić Sneddonowi czy któremukolwiek z pozostałych dwóch Królów. Prawdę mówiąc, przez ostatni rok w ogóle bardzo starałem się unikać wykonywania dla nich jakichkolwiek zleceń.

Postanowiłem nie robić żadnych pochopnych ruchów i poczekać, co się będzie działo.

Trakt doprowadził nas do gospodarstwa wiejskiego. Duży dom w stylu wiktoriańskim, zbudowany z granitu, wskazywał na właściciela, który sam raczej rzadko wychodził w pole. Obok stała wielka kamienna obora, która, jak się domyślałem, nie była używana zgodnie z pierwotnym przeznaczeniem, chyba że zamieszkiwała ją rasa bydła równie szlachetnie urodzonego. W jedynych dwóch okienkach na wielkiej ścianie budynku widać było ciężkie aksamitne zasłony, jarzące się w ciemności jak czerwone węgielki, a spod masywnych drewnianych drzwi sączył się żółtawy blask.

Pedikiurek i nasz wesołkowaty kierowca poprowadzili mnie z samochodu do obory. Słychać było dobiegające z wnętrza budynku głosy. Dużo głosów. Śmiech, okrzyki i doping. Pedi nacisnęła przycisk dzwonka i po chwili ktoś po drugiej stronie drzwi wyjrzał przez judasza, żeby sprawdzić, kto zacz.

– Nigdy jeszcze nie byłem w zakonspirowanym barze mlecznym – zwierzyłem się pogodnie naszemu niezbyt pogodnemu kierowcy. – Czy Sneddon pędzi tu nielegalną maślankę?

W odpowiedzi przycaił się przy mnie złowieszczo. Pedi

jeszcze raz zadzwonił do drzwi.

– Może trzeba sprawdzić drugie wejście – powiedziałem z uśmiechem, podrabiając akcent nowojorskich gangsterów. Ale to tylko wprowadziło w pomieszanie Pedikiurka i pogłębiło złowieszcze przyczajenie jego kumpla.

Spodziewałem się niemal, że otworzy nam jałówka w smokingu. I niewiele się pomyliłem, bowiem w drzwiach stanął jakiś osiłek o byczym karku. Przekroczenie progu przypominało zanurzenie się w basenie: otoczył nas wilgotny zaduch dymu papierosowego, oparów whisky i potu. A także mdławy zapach krwi. Wraz z nasyconą tą intensywną mieszaniną zapachów falą gorąca dotarła też do nas fala hałasu: pełne gniewnej ekscytacji okrzyki mężczyzn, przeplatane z rzadka wyższymi, przenikliwymi głosami kobiet. W środku raczej nie było tłumów, natomiast większość tłoczyła się ramię przy ramieniu wokół podestu, na którym dwóch mocno umięśnionych mężczyzn bez pardonu okładało się nawzajem pięściami. Obaj byli obnażeni do pasa, ale zamiast strojów bokserskich mieli na sobie zwykłe spodnie i buty. I nie nosili żadnych rękawic.

No, nieźle, pomyślałem. Boks na gołe pięści. Organizowany bez licencji, nieuregulowany żadnymi przepisami, nielegalny. I niejednokrotnie tragiczny w skutkach. Nigdy tak naprawdę nie potrafiłem zrozumieć, po co ktoś miałby na zachodzie Szkocji płacić za oglądanie walk na gołe pięści. Szczególnie w Glasgow wydawało się to czymś nadmiarowym, jak umawianie się z dziewczyną na randkę w trakcie orgii.

Pedikiurek położył mi dłoń na ramieniu i niemal ugiąłem się pod tym nagłym ciężarem. – Pan Sneddon polecił, żebyśmy dali panu drinka. Ma pan poczekać, aż szef będzie gotowy. – Za udrapowanym krepą stołem na koziołkach, pełniącym funkcję baru, stała mniej więcej dwudziestoletnia dziewczyna, zbyt mocno umalowana i zbyt skąpo ubrana. Jak można się było spodziewać, nie miała whisky Canadian Club, a szkocka, którą dostałem, podziałała na moje podniebienie podobnie, jak podziałałby rozpuszczalnik na farbę. Zwróciłem wzrok

w kierunku toczącej się walki i przyjrzałem się widowni. Większość mężczyzn miała na sobie smokingi, a kobiety były młode, wystrzałowo ubrane i nie stanowiły bynajmniej materiału na żony. Niedobrze robiło mi się od widoku tych zaróżowionych, wypucowanych facetów z nalanymi twarzami – księgowych, prawników i innych glasgowczyków z niższej klasy średniej, szlajających się po spelunach. To był taki ich mały grupowy rekonesans w krainę występku. Przypuszczam, że na osobiste zaproszenie Snedдона był tu niejeden biurokrata z rady miasta, a nawet co poniektórzy wyżej postawieni gliniarze. Smród korupcji wyczuwało się równie wyraźnie, jak odór potu i alkoholu.

Moją uwagę przyciągnęła dobiegająca od strony podium kolejna fala dopingu. Sam czasem lubiłem popatrzeć na walkę bokserską, ale to, co się tutaj odbywało, nie było żadnym sportem. Wymagało tylko umiejętności rozbijania knycki przeciwnika za pomocą swojej głowy i twarzy. Twarz każdego z walczących stanowiła lustrzane odbicie twarzy przeciwnika: biała, napuchnięta skóra, umazana śliną, potem i wyraźnymi smugami krwi, szparki podbitych oczu i zlepione potem, przyklejone do czaszki włosy. Obie maski były równie pozbawione wyrazu. Nie było na nich widać strachu, gniewu ani nienawiści, tylko wypraną z emocji koncentrację dwóch mężczyzn zaangażowanych w ciężką fizyczną pracę wyrządzania krzywdy drugiej ludzkiej istocie. Odgłos każdego ciosu przypominał mokre plaśnięcie albo szpetne, głuche łupnięcie. Żaden z mężczyzn nie próbował uniknąć ciosów przeciwnika – chodziło w tym wszystkim właśnie o to, żeby okładać się nawzajem pięściami, aż ktoś padnie na ziemię i już się nie podniesie. Obaj walczący sprawiali wrażenie wyczerpanych. W walkach na gołe pięści nie ma podziału na rundy ani przerw na odpoczynek i odzyskanie sił. Jeśli ktoś został powalony na ziemię, miał trzydzieści sekund na to, aby podnieść się i stanąć na nogach przed „krechą”, linią narysowaną na ziemi pośrodku terenu walki.

Walka na gołe pięści ma w sobie coś takiego, że chcąc nie

chcąc, nie sposób oderwać od niej wzroku. Ja też złapałem się na tym, że z uwagą obserwuję toczący się na podwyższeniu brutalny pojedynek. Walczący zdawali się zupełnie nie zważać na to, co dzieje się wokół nich. A także przypuszczalnie na to, co było i co będzie. Pamiętałem ten stan z czasów wojny. Na polu bitewnym nie ma się żadnej przeszłości ani przyszłości, żadnych powiązań ze światem zewnętrznym. Nie ma się nawet żadnego ludzkiego stosunku do tych, których się zabija. Ten sam stan wyobcowania dostrzegłem u tych dwóch mężczyzn. Jeden z nich był nieco niższy i tęższy od drugiego. Cieknącą z nosa krew miał roztartą wierzchem dłoni na górnej wardze i w poprzek policzka, a jedna ze spurpurowiałych powiek szybko puchła, grożąc całkowitym zasklepieniem oka. Wydawało się, że to tylko kwestia czasu, kiedy roślejszy przeciwnik wykorzysta tę przewagę. Jednak niższy mężczyzna wypuścił nagle niezdarne, ale mocne lewe haka, który z nieprzyjemnym odgłosem wylądował na policzku tego bardziej napakowanego. Nawet z drugiego końca obory, poprzez zasłonę papierosowego dymu, widać było, że ten, który oberwał, na chwilę znalazł się świadomością poza ciałem, a ramiona opadły mu bezwładnie w dół.

Wśród zebranych podniósł się ryk zachwytu i wściekłości, w zależności od tego, na kogo kto postawił, a mniejszy gość wymierzył przeciwnikowi łamiący nos cios. Wyższemu trysnęła krew na usta. Wrzawa przybrała na sile. To był koniec. Mniejszy już czuł w zakrwawionych nozdrzach woń zwycięstwa i przypuścił frontalny atak na wyższego zawodnika, okładając go gołymi pięściami po żebrach i brzuchu. Kolejny lewy sierpowy i większy zwał się na ziemię jak kłoda, zostawiając po sobie w powietrzu tylko lepka smugę krwi i śliny.

Nikt nie gratulował zwycięzcy ani nie litował się nad pokonanym, bo natychmiast rozpoczęło się poważne przedsięwzięcie regulowania rachunków z tytułu postawionych zakładów. Tym razem małe zbiegowisko zrobiło się wokół nielegalnie pracującego dla Snedдона bukmachera i dwóch ochroniarzy. Sneddon byłby szczęśliwy, bo kwaśne miny

przegranych przeważały liczebnie nad rozpromienionymi entuzjazmem uśmiechami wygranych.

Po kilku chwilach wszyscy skierowali się do baru, a ja zaszyłem się w jakimś kącie ze swoją podłą szkocką, aby pokontemplować swoje pełne sukcesów życie. Jakże mało brakowało, aby wszystko potoczyło się fatalnie. Wystarczyłoby kilka odmiennych decyzji życiowych, a mieszkałbym wygodnie jako bogaty człowiek pięć tysięcy kilometrów od Glasgow i umknęłoby mi budujące doświadczenie obserwowania dwóch pokiereszowanych człekokształtnych małp bijących się do nieprzytomności w jakiejś szkockiej oborze.

Pedikiurek pojawił się znowu, tym razem w towarzystwie niewysokiego, mocno zbudowanego i wyglądającego na twardziela mężczyzny, ubranego w świetnie dopasowany, drogi, choć nierazący ekstrawagancją garnitur. Jasne włosy faceta wyglądały na świeżo strzyżone. Rysy twarzy miał przystojne, choć tchnęła z nich jakaś brutalność. Fizjonomię szpeciła mu niestety głęboka bruzda na prawym policzku – blizna po cięciu brzytwą, najwyraźniej pochodząca z okresu, kiedy nie mógł sobie jeszcze pozwolić na założenie szwów równie precyzyjnych, jak te widoczne w kroju jego ubrania.

– Witam, panie Sneddon – powiedziałem.

– Czy wiesz, gdzie się znajdujesz, Lennox?

– W Kryjówce Hernanda¹?

– Taa... bardzo, kurwa, śmieszne – powiedział Sneddon bez cienia uśmiechu. – To mój najnowszy biznesik. Widziałeś walkę?

– Tak. Śliczna.

– Pajki²... – Sneddon pokręcił z niedowierzaniem głową. – Biją się jak wariaci za marne grosze. Robiliby to nawet za

1 *Hernando's Hideaway* – tytuł piosenki z musicalu *The Pajama Game* z 1954 roku. Tematem piosenki jest mroczny, zakonspirowany klub nocny.

2 Ang. *pikey* (również *tinker*, *traveller*) – członek koczowniczej, cechującej się specyficzną kulturą społeczności pochodzenia irlandzkiego, czasem utożsamianej z Romami.

darmo. Popaprańcy.

– A pan przyjmuje zakłady...

Sneddon przytaknął. – To była dobra noc.

– Nie wątpię... – odparłem. Staruszek Benjamin Franklin powiedział kiedyś, że na tym świecie nic nie jest pewne z wyjątkiem śmierci i podatków. Ale tak było, zanim nastał Sneddon – teraz trzeba by to przeformułować na śmierć, podatki i rękę Williego Sneddona w naszych kieszeniach.

– Prowadzę ten lokal od sześciu miesięcy. Trochę trwało, zanim go wyszykowałem. Dostał mi się dom, obora i całe to pieprzone gospodarstwo, bo jakiś arystokrata postawił na koniki więcej, niż miał w gotówce. Dupek. To nawet dość zabawne, że prowadzę tu ten interesik, biorąc pod uwagę, że właśnie dzięki hazardowi mam to miejsce.

– Fakt, panie Sneddon, jest w tym pewna i-ro-nia – powiedział stojący obok Sneddona Pedikiurek.

– Czy ja, kurwa, mówiłem do ciebie? – zjeżył się Sneddon, spoglądając groźnie na górującego nad nim Pedikiurka. Pedi zrobił urażoną minę i Sneddon zwrócił się do mnie, ciągnąc dalej: – W każdym razie tymczasem nie robię wokół tego miejsca zbyt wiele hałasu. Cohen i Murphy chyba jeszcze nic o nim nie wiedzą. Więc ani pary z ust. – Sneddon miał na myśli pozostałych dwóch Królów: Przystojniaka Jonny’ego Cohena i Młota Murphy’ego.

Przez chwilę zadumałem się nad tym, czemu wszyscy uważali, że muszą mi mówić, abym nie puszczał pary z gęby. – Jeśli o nim nie wiedzą, to pewnie wkrótce się dowiedzą – powiedziałem. – Mieszkamy we wsi pozującej na miasto. Nie sposób tu niczego zbyt długo utrzymać w tajemnicy.

– Jak tego, że ktoś rozwalił Bilonowi MacFarlane’owi facjatę... – Sneddon uśmiechnął się pod nosem, a w każdym razie uczynił taką próbę, bo efektem był tylko zimny, bezlitosny grymas.

– Taa... dokładnie. Mój Boże, wieści faktycznie szybko się rozchodzą. MacFarlane przecież jeszcze dobrze nie ostygł. Czy dlatego wysłał pan po mnie Pedikiurka i tego uśmiechniętego

młodzieńca?

Sneddon zerknął przez ramię na tłum za sobą. – Przejdźmy lepiej do głównego budynku. Tam jest trochę spokojniej.

Kilka razy zdarzyło mi się być w domu Sneddona w Bearsden – pseudowielkopańskiej rezydencji z wypielęgnowanym ogrodem. Budynek, do którego weszliśmy teraz, był zupełnie inny. Już w holu widać było, że jest to lokal działający w specyficznym sektorze. Z zewnątrz wyglądał na wiktoriańską ziemiańską rezydencję, natomiast po wejściu okazywał się wiktoriańskim burdelem, pełnym szkarłatnych zasłon z grubego atlasu, szezlongów i rubensowskich cycków, wyglądających z powieszonych na ścianach ram. Główny salon został przekształcony na bar z rozstawionymi tu i ówdzie kanapami. Na jednej z nich siedziała dziewczyna z branży, ze znudzoną miną znosząca niezdarne zaloty próbującego się do niej dobrać pijanego klienta. Mel Tormé nucił coś ze stojącego w rogu gramofonu, a bar obsługiwała dwudziestokilkuletnia dziewczyna, która też była zbyt mocno umalowana i zbyt skąpo ubrana.

– I co myślisz? – spytał Sneddon tonem sugerującym, że ma gdzieś swoją opinię.

– Sympatyczna atmosfera. Wprawia mnie w romantyczny nastrój.

Parsknięcie Sneddona miało chyba znaczyć, że go to nawet rozbawiło. Klepnął Pedikiurka po kłacie i skinął głową w kierunku ubzdryngolonego gościa i dziewczyny. Pedikiurek usłuchał i natychmiast wyprowadził parę z salonu.

– Więc co taki grzeczny chłopiec jak ja robi w takim miejscu? – spytałem. Sneddon polecił dziewczynie za kontuarem, aby naląła nam drinki i zwróciłem uwagę, że wyciągnęła skądś butelkę jęczmiennej whisky single malt. Ten lepszy sort.

– Byłeś dzisiejszej nocy u Bilona w domu. Masz z nim jakieś konszachty? Niuchałeś może za czymś dla niego?

– Jedyne niuchanie, w jakie byłem zaangażowany, dotyczyło

jego córki. Żadnych biznesów – czysta przyjemność.

– Jesteś pewien? – Sneddon zmrużył podejrzliwie oczy, co dało taki efekt, jakby z twarzy zostało mu tylko czoło. W Glasgow było to akurat zaletą. Ateny były kolebką demokracji, Florencja dała światu renesans, natomiast Glasgow do perfekcji doprowadziło sztukę zadawania ciosów z byka. Stąd stosowana wśród narodów świata pieszczotliwa nazwa tego uderzenia: glasgowski pocałunek. – Trochę by mnie to wytrąciło z równowagi, gdybyś nie był ze mną całkiem szczery.

– Niech pan słucha, panie Sneddon: poważnie bym się zastanowił, zanim bym pana okłamał. Przecież wiem, że Pedikiurek nie zawdzięcza swojej ksywy temu, że prowadzi dobrze prosperujący salon kosmetyczny. Jestem przywiązany do swoich palców u stóp i mam nadzieję, że z wzajemnością. Zresztą o to samo pytał mnie dzisiejszej nocy nadinspektor McNab.

– McNab? – Sneddon odstawił szklaneczkę na kontuar. – A co on, kurwa, ma do tego? Myślałem, że to po prostu sknocony rabunek.

– Wygląda na to, że to jakaś poważna sprawa. Bilon był dość znany – powiedziałem, starając się nie dać po sobie poznać, jakie wrażenie wywarły na mnie tempo i precyzja, z jaką Sneddon zdobywał informacje. W tej samej chwili uświadomiłem sobie, że przecież sam należę do jego siatki informatorów. – W każdym razie nieźle się musiałem nagimnastykować, żeby go przekonać, że nic mnie z MacFarlane’em nie łączyło.

– Więc nie miałeś nic wspólnego z Bilonem i jego inwestycjami?

– Już mówiłem, że spotykam się z jego córką, to wszystko. W czym problem?

Sneddon machnął w moim kierunku ręką, jakby odganiał jakąś naprzykrzającą się muchę. – W niczym. Po prostu miałem jakieś swoje interesy z Bilonem.

– Ach, tak?

Sneddon spojrział na mnie wymownie. – Słuchaj, Lennox, jeśli bywasz w domu MacFarlane’a, to może wyświadczyłbyś mi pewną przysługę.

– Jeśli tylko będę mógł... – odparłem, uśmiechem pokrywając złe przeczucia, jakie od razu mnie opadły.

– Informuj mnie na bieżąco, co kombinują gliny. I jeśli nadarzy się okazja, spróbuj odnaleźć notatnik Bilon. Wiesz – coś w rodzaju terminarza, w którym zapisywał szczegóły dotyczące umówionych spotkań. A może to było coś w rodzaju dziennika z różnymi zapiskami.

– A mogę spytać, po co?

– Nie, kurwa, nie możesz. – Po chwili westchnął, jakby ustępował dziecku domagającemu się loda. – No dobra... Ostatniego popołudnia miałem spotkanie z Bilonem. Chodziło o pewne przedsięwzięcie, nad którym wspólnie pracowaliśmy. Mam zamiar wejść w biznes boksinowy... Ale nie coś takiego, jak widziałeś tu obok. Nie chodzi o parę pajków, spuszczających sobie nawzajem łomot, ale o prawdziwy boks. Rozmawiałem z MacFarlane’em o kilku zawodnikach. Sprawy mogłyby się pokomplikować, gdyby dowiedziała się o tym policja.

– A jaki miał być wkład Bilon w ten interes?

– Nieważne. Słuchaj, nie chodziło o nic wielkiego. Po prostu nie zależy mi za bardzo na zainteresowaniu policji. To rzecz jasna dotyczy wszystkich moich poczynań, ale tym bardziej za tym nie tęsknię, jeśli to akurat ten palant McNab osobiście zajmuje się sprawą. Możesz dla mnie zrobić to, o co prosiłem, czy nie?

Udałem głęboki namysł. – Niech pan mnie źle nie zrozumie, panie Sneddon, ale gdybym umawiał się z panem na spotkanie, to chyba nie zapisywałbym czegoś takiego w kalendarzu. W końcu... jak pan sam mówi: mogłoby to stanowić materiał dowodowy. A nie przypuszczam, aby MacFarlane’owi zależało na zostawianiu śladów.

– Bo nie myślisz tak jak ja czy MacFarlane. Sam prowadzę taki kalendarz. Zapisuję w nim każde pieprzone spotkanie, każdą rozmowę z Murphym czy Cohenem. Jak sam

powiedziałeś: materiały dowodowe. Przydadzą się, gdybym kiedyś miał być świadkiem koronnym. Cohen i Murphy robią to samo. Taka polisa ubezpieczeniowa, kumasz? Poza tym wiem, że MacFarlane miał, kurwa, głowę jak sito... W każdym razie jeśli chodzi o tego typu szczegóły. Bo jako bukmacher potrafił bez namysłu powiedzieć, co, gdzie i kiedy biegło i jakie były notowania. Natomiast w ogóle nie miał pamięci do takich rzeczy jak terminy spotkań i musiał je zapisywać.

– Chyba na nic się tu nie przydam. Gliniarze powynosili z jego gabinetu całe kartony różnych materiałów i pewnie już położyli łapę na tym kalendarzu.

– Pomyśl chwilę, Lennox. – Sneddon utkwiał we mnie surowe spojrzenie. – Przecież Bilon nie trzymałby tego kalendarza w żadnym rzucającym się w oczy miejscu, a gliniarze są zbyt głupi, żeby szukać dokładniej. Wiesz co, gdybym był podejrzliwy, to mogłoby mi przyjść do głowy, że tak naprawdę wcale nie chcesz mi pomóc. Mógłbym nawet pomyśleć, że od dłuższego czasu starasz się mnie unikać. Tak samo jak Murphy’ego i Cohena. Co się dzieje, Lennox... przeszedłeś do wyższej ligi, czy co?

– Już wykonałem dla pana kawał roboty, Sneddon... – Odstawiłem szklaneczkę na kontuar. Za chwilę mogły mi być potrzebne wolne ręce. Choćby po to, żeby Pedikiurek mógł mi je skrócić o palce. – Jeśli dobrze pamiętam, to właśnie do mnie pan zadzwonił, kiedy w zeszłym roku odwieźli pana na komendę przy placu St. Andrew’s. Nie wydaje mi się, abyście wraz z Murphym i Cohenem mieli na co narzekać. Poza tym nie jesteście moimi jedynymi klientami.

Sneddon rzucił mi szydercze spojrzenie. – Dobra, dobra, Lennox, już łapię – twardej z ciebie. Znajdź terminarz Bilona albo jakikolwiek inny notes, w którym zapisywał terminy spotkań, i dostarcz mi go, a zapłacę ci trzysta funtów. Niezależnie od tego, czy znajdę w nim swoje nazwisko, czy nie.

– Rozejrzę się tam, jeśli tylko nadarzy się sposobność. – Powiedziałem wcześniej Sneddonowi, że poważnie bym się zastanowił, zanim bym go okłamał, ale gdy przyszło co do

czego, poszło mi to jak z płatka. Ani mi było w głowie myszkować dla Snedдона po domu MacFarlane'a. Z drugiej strony, trzysta funtów piechotą nie chodzi, więc wolałem nie stawiać kropki nad i. – Czy chciał się pan ze mną spotkać tylko w tej sprawie?

– Jest coś jeszcze.

Przyklejony uśmiech nie schodził mi z twarzy. Ale Sneddon mnie przejrzał.

– Jeśli oczywiście nie jesteś ponad to, żeby przyjąć ode mnie jeszcze jakieś zlecenie – powiedział złośliwie.

– Jasne, że nie.

– W każdym razie nie musisz martwić się o to, że zabrudzisz sobie rączki. To legalna robota.

– A konkretnie?

– Jak już wspominałem, zaczynam wchodzić w biznes bokserki. Razem z mośkiem Jonnym zainwestowaliśmy w pewnego zawodnika.

– Z Przystojniakiem Jonnym Cohenem?

– Tak, z Cohenem. Masz z tym jakiś problem?

– Ja? Żadnego. Ma pan bardzo ekumeniczne podejście.

– Nie mam uprzedzeń. Mogę robić interesy z każdym. Absolutnie każdym. – Zamilkł na chwilę. – Oczywiście poza fenianami³. W każdym razie ten młody zawodnik, którego finansujemy... zaczyna już odnosić sukcesy. Ma zabójczy prawy hak. Tylko że ostatnio ktoś próbuje napsuć mu krwi.

– W jakim sensie?

– A, takie, kurwa, różne głupoty. Ktoś mu podrzucił martwego ptaka do skrzynki na listy, potem oblał farbą samochód – tego rodzaju gówniane numery.

– Wygląda na to, że komuś nadepnął na odcisk. Zgłaszał to na policji?

Sneddon obrzucił mnie kpiącym spojrzeniem. – Taa... biorąc pod uwagę, w jakiej świetnej jestem z nimi komitywie, od razu mu to poradziłem. Myśl trochę, Lennox. Jeśli gliny zaczną węszyć, to prędzej czy później zapukają do moich drzwi albo do

³ Fenianie – pogardliwe określenie irlandzkich katolików.

Jonny'ego Cohena. A my wolimy się nie afiszować z tą inwestycją. To Cohen zasugerował, żebyśmy cię zaangażowali do zbadania tej sprawy. Tylko sam rozumiesz: dyskretnie.

– Dyskrecja – odparłem sentencjonalnie – to moja specjalność. No więc kogo wkurzył na tyle, żeby narazić się na wendetę?

– Nikogo. W każdym razie nikt taki nie przychodzi mu do głowy. To znaczy, na ringu, owszem, niejednemu zdrowo przyłożył, ale nie wydaje mi się, żeby to miało jakiś związek. Przypuszczam, że ktoś po prostu obstawił jego przegraną w walce ze Szkopem i teraz próbuje napędzić mu nieco stracha. Wiesz, coś takiego jak podrzucenie chartowi na dzień przed gonitwą rybiej kolacji.

– Chwila, chwila... powiedział pan coś o walce ze Szkopem. Czy ten Szkop to przypadkiem nie Jan Schmidtke? A ten pana bokser to nie Bobby Kirkcaldy?

– To nie jest mój bokser. Mam w nim tylko swój udział, że tak powiem. A bo co?

Gwizdnąłem przeciągle. – To mądra inwestycja, panie Sneddon. Kirkcaldy to łakomy kąsek. I ma pan rację, zaczyna mu się nieźle powodzić.

– Och... – powiedział Sneddon z jedynym uśmiechem, do jakiego był zdolny: szyderczym. – Tak się, kurwa, cieszę, że moje decyzje biznesowe zyskują twoją aprobatę, Lennox. Cohen i ja nie mogliśmy ostatnio spać po nocach, bo martwiliśmy się, że wzięliśmy się do czegoś, nie uzyskawszy wcześniej twojej zgody.

Musiałem przyznać, że jeśli chodzi o talent do sarkastycznych uwag, Sneddon zdecydowanie przewyższał McNaba. Mnie i tak nie dorastał jednak pod tym względem do pięt.

– Chcę tylko powiedzieć, że Kirkcaldy to gorący towar – powiedziałem. – Gra toczy się o wysoką stawkę, i to dosłownie. Ma pan jakieś pomysły, kto może próbować go nastraszyć?

Sneddon wzruszył ramionami. – To właśnie twoje zadanie, żeby się tego dowiedzieć... Tylko zrób to tak, żeby ci goście się nie zorientowali, że ich rozpracowałeś. Bierzesz tę robotę?

– Stawki te, co zwykle?

Sneddon sięgnął do kieszeni swojej uszytej na miarę marynarki, wyciągnął portfel i wręczył mi czterdzieści funtów w pięcioletnich banknotach. To więcej, niż większość ludzi zarabiała w miesiąc, ale nie wyglądało na to, żeby portfel Snedдона jakoś znacząco zmniejszył swoją objętość. – Dostaniesz jeszcze setkę, kiedy poinformujesz mnie, kto stoi za tymi wygłupami.

– Gra. – Odebrałem pieniądze z uśmiechem, który stanowił stały element mojej polityki relacji z klientem. Zresztą uśmiechanie się, kiedy ludzie dawali mi pieniądze, przychodziło mi nader łatwo, można by rzec, leżało w mojej naturze. To była czysta robota. Legalna, jak powiedział Sneddon. Moim zadaniem było jedynie dostarczenie nazwiska, choć starałem się nie myśleć za dużo o tym, co stanie się z osobą, która to nazwisko nosiła.

– Powiedział pan, że rozmawiał z Bilonem MacFarlane’em o kilku bokserach. Czy chodziło między innymi właśnie o Kirkcaldy’ego?

– Ależ nie. Nie, to zupełnie nie ten poziom. Po prostu kilku niezłe zapowiadających się gości, to wszystko. Bilon nie wiedział nawet, że interesuję się Kirkcaldym. Trzeba, kurwa, uważać na to, w co się wtajemnicza buków. Tu masz adres Kirkcaldy’ego. – Sneddon podał mi złożony wpół karteluszek. – Coś jeszcze będzie ci potrzebne?

Udałem głęboki namysł, choć gdy tylko usłyszałem wzmiankę o Kirkcaldym, postanowiłem wykorzystać okazję. – Może dobrze by było, gdyby mi pan załatwił bilet na tę wielką walkę. Mógłbym wtedy rozejrzeć się za jakimiś podejrzanymi typami.

– Mam, kurwa, szczerą nadzieję, że rozgryziesz tę sprawę wcześniej. Ale owszem, to się da zrobić. Coś jeszcze?

– Gdyby coś wynikło, dam panu znać – powiedziałem, klnąc w duchu, że nie pomyślałem o tym, aby pod jakimś pretekstem wydebić od niego dwa bilety.

– Dobra. Teraz możesz już spieprzać – rzekł Sneddon. Ciekaw byłem, czy nowo koronowana królowa stosuje taki sam

ceremoniał dworski. – I nie zapomnij powęszyć za terminarzem Bilona. Każę Śpiewakowi odwieźć cię z powrotem do twojego samochodu. Poznałeś już Śpiewaka, prawda? – Sneddon kiwnął na Teddy Boysa, który przywiózł mnie i Pedikiurka na farmę.

– Jasne... jadąc tu, gadaliśmy jak najęci. – Pochyliłem się i dodałem konspiracyjnym szeptem. – Prawdę mówiąc, wręcz trudno mi było dojść do słowa.

Sneddon poczęstował mnie swoim kolejnym szyderczym uśmiechem. Wyglądało na to, że Śpiewakowi zdecydowanie nie spodobał się mój dowcip, i może popadałem już w paranoję, ale odniosłem wrażenie, że czai się w pobliżu jeszcze bardziej złowieszczo.

– Taa... – odparł Sneddon. – Rozmówca ze Śpiewaka faktycznie nietęgi. I jeśli już o tym mowa, to śpiewak z niego też marny, prawda, Śpiewak?

Śpiewak przestał się czaić akurat na tyle, żeby przytaknąć ruchem głowy.

– Można by rzec, że jest człowiekiem czynu, a nie słów. – Sneddon przerwał na chwilę, aby wyjąć papierosa ze złotej papierośnicy, tak ciężkiej, że groziła zwichnięciem nadgarstka. Mnie nie poczęstował. – Tata Śpiewaka był niezłym skurwysynem. Prał Śpiewaka na kwaśne jabłko, kiedy ten był dzieciakiem, i jego mamy też nie oszczędzał. Wiesz, w sensie, że dostawało jej się ponad normę. A Śpiewak miał pewien talent. Odziedziczył po mamie świetny głos. Tak przynajmniej ludziska gadają. Sam go nigdy nie słyszałem. W każdym razie na różnych weselach i innych tego typu imprezach zawsze proszono Śpiewaka i jego mamę, żeby wstali i coś razem zaśpiewali. Nie żeby trzeba było szczyła długo prosić, prawda, Śpiewak? Śpiewał na okrągło. To była jego jedyna przyjemność...

Spojrzałem na Śpiewaka, który zwrócił w moim kierunku pozbawioną wyrazu twarz. Najwyraźniej przyzwyczaił się już do tego, że Sneddon bez żadnych zahamowań publicznie omawia najintymniejsze szczegóły jego życia. A może mu to wszystko po prostu wisiało.

– To jednak strasznie wkurzało jego tatę. Kiedy wracał do domu pijany, nikomu nie wolno było nawet miauknąć. Jedna nuta z ust Śpiewaka, a dostawał od taty wciry. Któregoś dnia staruszek Śpiewaka wraca do domu z fatalnie podbitym okiem. Mały Śpiewak jak zwykle niewinnie nuci coś z mamą w kuchni, a tacie strzela nagle do głowy, że powinien na niego czekać na stole gotowy obiad. Odpieprza mu na całego. Dopada Śpiewaka i zaczyna mu spuszczać łomot. Mama próbuje stanąć w obronie małego. Wiesz, co wtedy robi stary Śpiewaka?

Wzruszyłem ramionami. Spojrzałem na Śpiewaka. Przewyższałem go wzrostem o dobre dziesięć centymetrów, ale i tak wyglądał na twardego, zaciętego sukinsyna. Mimo wszystko nie było mi w smak wysłuchiwać, jak Sneddon napawa się jego nieszczęściem.

– Poderznął mamie Śpiewaka gardło – odpowiedział sam sobie Sneddon. O dziwo, wydawał się jakby nieco przejęty. – Wziął scyzoryk – scyzoryk, kumasz? – i na oczach berbecia poderznął jej gardło od ucha do ucha. I od tamtej pory Śpiewak już nigdy nie zaśpiewał ani nie puścił nawet pary z ust.

– Przykro mi – zwróciłem się do Śpiewaka, bo żadne inne słowa nie przychodziły mi akurat do głowy. Spojrzał na mnie bez wyrazu.

– Taa... to był wredny skurwysyn, ten stary Śpiewaka. Powiesili go w więzieniu przy ulicy Duke, a Śpiewak wylądował w sierocińcu. A potem na jakiejś śmiesznej farmie, bo nie mówił i w ogóle. – Sneddon spojrzał wymownie na Śpiewaka. – Ale ty nie jesteś szalony, co, Śpiewak? Tylko zły... zły do szpiku kości. Dowiedziałem się o jego istnieniu, bo zaliczał odsiadkę razem z Tamem, jednym z moich chłopaków. Siedzieli w tej samej celi. Mam mu powiedzieć, w czym się specjalizowałeś, Śpiewak?

Śpiewak, jak można się było spodziewać, milczał. Nie przytaknął, nie wykonał żadnego gestu ani nawet nie mrugnął – nic.

– Śpiewak zrobił jakiś skok i ktoś go zakablował na policji. Tylko że zeznania świadka stanowiły jedyne dostępne dowody.

Wyobraź sobie, że Śpiewak go nie zabił, tylko, kurwa, wyciął mu język. Cały. Taki jakby poetycki zwrot akcji, co nie?

– Taa... – odparłem. Kamienna twarz Śpiewaka nadal ani drgnęła. – Faktycznie. Coś w stylu Audena.

– No więc – kontynuował Sneddon – lubię mieć Śpiewaka przy sobie. Wiesz, że starożytni Grecy często sprowadzali na pogrzeby niemowy? To byli zawodowi żalobnicy. W każdym razie to ja się teraz opiekuję Śpiewakiem. Prawda, Śpiewak?

Śpiewak przytaknął.

– A Śpiewak opiekuje się mną. I pilnuje moich interesów.

Podczas kursu powrotnego do miasta wyraźnie czuło się nieobecność Pedikiurka, tak jakby została po nim podwójna pustka: przestrzeni i ciszy. Wyciągnąłem paczkę playersów navy blue i poczęstowałem Śpiewaka, który jednak potrząsnął przecząco głową, nie odrywając wzroku od drogi. Taki właśnie był. Skupiony. Sam zapomniałem, gdzie dokładnie zostawiłem samochód, ale Śpiewak trafił na miejsce bezbłędnie.

– Dzięki – powiedziałem, wysiadając z samochodu. Śpiewak miał już odjeżdżać, gdy pod wpływem jakiegoś impulsu zapukałem w szybę wozu. Opuścił ją.

– Słuchaj, chciałem tylko powiedzieć... – Co? Co, do cholery, chciałem mu właściwie powiedzieć? – Chciałem tylko powiedzieć, że przykro mi z powodu tych dowcipów, które puszczałem na twój temat... wiesz, o niemówieniu. Nie miałem pojęcia o... no wiesz... cholerny pech... – Zamilkłem. I chyba dobrze, biorąc pod uwagę, że jakoś nie mogłem sklecić żadnego sensownego zdania.

Śpiewak patrzył na mnie przez chwilę z tym właściwym sobie zimnym, pozbawionym emocji wyrazem twarzy, po czym kiwnął głową i odjechał. Stałem, patrząc, jak austin znika za rogiem i zachodząc w głowę, skąd – zwążywszy na te wszystkie podłości, jakie widziałem w swoim życiu i których sam byłem sprawcą – zebrało mi się nagle na przeproszenie jakiegoś pospolitego glasgowskiego bandziora. Może stąd, że to

wszystko spotkało Śpiewaka, kiedy był jeszcze dzieckiem. To jedno naprawdę trudno mi było strawić: że takie rzeczy przydarzają się dzieciom. Na wojnie. A nawet, co gorsza, w ich rodzinnych domach.

Nie po raz pierwszy zadumałem się nad barwnym życiem, jakie sobie zafundowałem tu w Glasgow. I nad tym, jakich fascynujących spotykam tu ludzi.

III

To zabawne: w owym czasie nie myślałem o tygodniu, który nastąpił po pamiętnej nocy morderstwa Bilona jako o „tygodniu po nocy, kiedy zamordowano Bilona”. Miałem do przemyślenia i załatwienia zupełnie inne sprawy. Często dopiero patrząc wstecz, dostrzegamy, na ile istotna była jakaś chwila w naszym życiu. Na bieżąco wszystko toczy się swoim zwykłym trybem, a my telepiemy się do przodu nieświadomi tego, że powinniśmy prowadzić jakieś notatki czy dziennik albo fotografować napotykaną na co dzień drobiazgi, i że później będą nas gnębić myśli typu „gdybym tylko, kurwa, wtedy wiedział, co tak naprawdę się dzieje...”.

Przez cały ten tydzień spotykałem się oczywiście z Lorną codziennie. I oczywiście nie było mowy o żadnym gmeraniu w jej bieliźnie – w końcu jestem dżentelmenem. Zresztą wiedziałem z doświadczenia, że ogień namiętności między najbardziej nawet entuzjastycznie nastawionymi kochankami przygasa w obliczu żałoby. Żałoby, ale nie samej śmierci. Podczas wojny przekonałem się bowiem, że na obie płcie śmierć i przemoc działają jak najmocniejsze afrodyzjaki. Dość powiedzieć, że stałem się najtroskliwszym i najmniej lubieżnym z amantów.

Inna rzecz, że zajmowały mnie teraz ważniejsze sprawy.

Podobno Eskimosi używają setki słów na określenie śniegu. Glasgowczycy mają chyba ze dwa razy więcej terminów opisujących różne odmiany deszczu, który przez okrągły rok nie daje miastu spokoju. W zimie Glasgow jest pod ostrzałem wyiębionych, mokrych pocisków. Latem ze spoconego nieba spływają na miasto tłuste, ciepławe krople. Tego roku lato było jednak zupełnie nietypowe – suche i niebywale upalne. Połowa mieszkańców spędziła je, spoglądając przez większość czasu

w górę, mrużąc oczy i próbując wymówić słowo „błękit”.

Te upały wytręcały mnie nieco z równowagi. Rzadkie w Glasgow promienie słońca tłumiła zazwyczaj zasłona kopciubowy dobowyający się z kominów czynszówek i fabryk. Tego lata zdarzały się jednak dezorientujące chwile, kiedy niebo stawało się nieskazitelnie czyste, a upał i światło przypominały mi o tym, jak wyglądały sezony letnie w rodzinnym Nowym Brunzshwiku. Otaczająca mnie miejska rzeczywistość ciemnymi kłębamii dymu zawsze w końcu burzyła jednak tę ulotną iluzję.

Plusem było to, że mogłem wyciągnąć z szafy lżejsze, lepiej leżące garnitury. Szkoci mają wybitne upodobanie do tweedu – z czego są szeroko znani – i to jak najgrubszego i najbardziej gryzącego. Bez względu na porę roku. Kiedyś pewien szkocki znajomy starał się mnie przekonać, że tweed z wyspy Harris jest mniej gryzący, tłumacząc, że to z powodu tradycyjnego moczenia tkaniny w ludzkim moczu. Ktoś mógłby mi zarzucić, że jestem wybredny, ale preferowałem krawiectwo niemające kontaktu ze szczykami jakichś zagrodników z chowu wsobnego.

Trzy dni zajęło mi zebranie wszelkich dostępnych informacji o zawodniku Sneddona. Bobby Kirkcaldy urodził się w Glasgow, ale wychował w hrabstwie Lanarkshire – najpierw w sierocińcu, a potem pod opieką ciotki. Kiedy był jeszcze dzieckiem, oboje jego rodzice zmarli przedwcześnie na zawał serca. Była to tragedia, ale wcale nie taka tutaj rzadka. Gdyby choroby serca były dyscypliną sportową, wówczas cała uprawiająca ją brytyjska drużyna olimpijska składałaby się ze Szkotów.

To pięci pomogły młodemu Bobby’emu Kirkcaldy’emu wywalczyć sobie pozycję w slumsach Motherwell, które go przygarnęły, a potem całkiem je opuścić. Aby nadać kontekst jego sukcesowi, należałoby wspomnieć, że Motherwell było takim miejscem, które każdego motywowało do zaciętej walki o to, aby się z niego wyrwać. Udało mi się zidentyfikować kilka biznesów, w które zainwestował Kirkcaldy i było jasne, że miał dobrych doradców od tego, jak pomnażać gotówkę, żeby zapewnić sobie spokojne życie, gdy już na dobre powiesi na

kołku rękawice. A może sam był równie zmyślny w inwestowaniu, jak w poczynaniach na ringu. Prawdę mówiąc, wydawało się wręcz, że jak na kogoś zbliżającego się do szczytu swojej kariery bokserkiej zaprzątnięty jest zupełnie odmiennymi sprawami.

Moje biuro mieściło się na trzecim piętrze kamienicy przy ulicy Gordon, naprzeciwko dworca centralnego. Do czwartku udało mi się uporać zasadniczo ze wszystkimi sprawami, które można było pozalać za pośrednictwem telefonu, i po południu miałem zamiar podjechać, aby spotkać się z młodym Kirkcaldym. Postanowiłem przed wyjściem napić się jeszcze kawy i przeczytać gazetę. Lubię być na bieżąco. Nigdy nie wiadomo, kiedy Rab Butler albo Tony Eden poproszą mnie o radę.

Wiadomości były generalnie niewesołe. Wielka Brytania nie była jedynym krajem tracącym status imperium: w Indochinach Francuzi dostawali w tyłek od Vietminhu. W Gorbals miało miejsce starcie między gangami brzytwiarzy. Na przedmieściach jakiś mężczyzna wpadł pod pociąg. Policja nie podała nazwiska ofiary. Jedyna rzecz, jaka nieco poprawiła mi humor, to reklama zapewniająca, że codzienne zażywanie jednej tabletki chlorofilu firmy Amplex gwarantuje świeży oddech i rześkie ciało. Była to najwyraźniej próba zajęcia jakiejś niewykorzystanej niszy rynkowej.

Byłem akurat w trakcie lektury *Ripa Kirby'ego*⁴, kiedy spotkała mnie przyjemna niespodzianka. Bardzo miła blond niespodzianka wzrostu metr sześćdziesiąt. Mimo iż nigdy wcześniej się nie spotkaliśmy, rozpoznałem ją natychmiast. Ubrana była z niespotykaną w Glasgow elegancją. Kremowa jedwabna bluzka, dopasowana bladoniebieska ołówkowa spódnica i opinające długie nogi jedwabne pończochy. Na szyi miała naszyjnik z pereł tak dużych, że aby je wydobyć, poławiacze musieli chyba nurkować po każdą z osobna. Komplet uzupełniały perłowe kolczyki. Na głowie miała mały biały toczek, a na rękach białe rękawiczki. W ręku trzymała

4 Popularny komiks o prywatnym detektywie.

torebkę, która w poprzednim żywocie pływała gdzieś w Nilu albo mokradłach Florydy. Przez to samo ramię przewiesiła pasujący kolorystycznie do spódnicy zakiet.

Wstałem, starając się, aby mój uśmiech nie przeistoczył się w lubieżny grymas. Pewnie wyglądał po prostu głupkowato. Sheila Gainsborough najwyraźniej była jednak przyzwyczajona do takich reakcji mężczyzn.

– Witam, panno Gainsborough – powiedziałem. – Proszę usiąść. Czym mogę służyć?

– Pan mnie zna? – Obnażyła zęby w zdawkowym, nic nieznaczącym uśmiechu, jakim zwykli obdarzać innych znani ludzie.

– Wszyscy panią znają, panno Gainsborough. W każdym razie wszyscy w Glasgow. Muszę powiedzieć, że niewiele znanych osobistości dociera do mojego biura.

– Ach, tak? – Zatroaskała się, zniżając nieskazitelne łuki brwi i marszcząc nieskazitelnie gładkie przed chwilą czoło. – Sądziłam, że... – Wzruszyła ramionami, nie kończąc myśli i rozpogadzając ponownie twarz. Usiadła, i ja również. – Nigdy wcześniej nie byłam u prywatnego detektywa. Nawet żadnego nie widziałam na oczy, pomijając Humphreya Bogarta w kinie.

– Na żywo jesteśmy wyżsi. – Uśmiechnąłem się z własnego dowcipu. Głupkowato. – A więc do czego jest pani potrzebny detektyw?

Odpięła klamerkę kosztującego sześćdziesiąt gwinei krokodyla i podała mi zdjęcie. Było profesjonalnie wykonane, z rodzaju tych, jakie spotyka się w show-biznesie. Kolorowe. Widniejący na nim młodzieniec był mi nieznany, ale od razu poczułem do niego niechęć. Uśmiech na jego twarzy był sztuczny i wyrażał zbyt wielką pewność siebie. Młody człowiek miał na sobie drogą koszulę z rozpiętym kołnierzem, wyłożonym na kołnierz jeszcze droższej popielatej marynarki. Kasztanowate włosy miał starannie przystrzyżone i lekko naoliwione. Był przystojny, ale jakby zbyt wymuskany i bez charakteru. Mimo ciemnych włosów, miał takie same, wyraziste, błękitne oczy jak Sheila Gainsborough.

– To mój brat Sammy. Mój młodszy brat.

– Czy też działa w show-biznesie, panno Gainsborough?

– Nie. W zasadzie nie. Choć czasami śpiewa. Ale chwycił się bardzo wielu innych zajęć. Niestety niektóre z nich były dość... podejrzane. – Westchnęła i nachyliła się w moją stronę, opierając przedramiona o krawędź biurka. Zwróciłem uwagę na jej delikatną, złocistą opaleniznę. Znowu uroczo zmarszczyła czoło. – Możliwe, że to wszystko moja wina. Rozpieszczam go. Daję mu więcej pieniędzy, niż jest w stanie wydać. – Miało się wrażenie, że w jej głosie pobrzmiewa subtelny amerykański akcent. Mówiłem podobnie, no ale w końcu wychowałem się w Kanadzie. O ile się orientowałem, Sheila Gainsborough nie dotarła nigdy na zachód dalej niż do Dunoon. Domyślałem się, że przeszła trening emisji głosu, mający ukryć jej glasgowską wymowę i nadać tejże charakter bardziej atlantycki.

– Czy Sammy wpadł w jakieś tarapaty? – Ja też pochyliłem się do przodu z zatroskanym wyrazem twarzy, korzystając z okazji, aby zajrzeć w jej dekolt.

– Zaginął – odparła.

– Jak dawno temu?

– Tydzień, może dziesięć dni. Byliśmy umówieni w banku, bo zrobił debet na koncie, które mu założyłam, ale nie zjawił się. To było w zeszły czwartek. Poszłam do jego mieszkania, ale go tam nie zastałam. W skrzynce była poczta z poprzednich dwóch dni.

Wyjąłem z szuflady biurka notatnik i coś w nim zapisałem. Ot, takie mydlenie oczu, ale ludzie czują się raźniej, gdy robimy przy nich notatki. Sprawia to bowiem wrażenie, że naprawdę poważnie podchodzimy do problemu, z jakim przychodzą. Kiwanie głową z mądrą miną podczas pisania też pomaga.

– Czy Sammy'emu już się to zdarzało? Takie znikanie bez ostrzeżenia?

– Nie. W każdym razie nie na tak długo. Od czasu do czasu zaliczał jakąś balangę. Jeden, dwa dni... to wszystko. A zawsze kiedy jestem w mieście – wie pan, nie w trasie ani nie w Londynie – spotykamy się w soboty na obiedzie

w herbaciarni Cranston's przy ulicy Sauchiehall. Nigdy nie opuszcza tych spotkań.

Notowałem. Kiwałem głową. Z mądrą miną. – Powiedziała pani, że zrobił debet na koncie. Czy od czasu, gdy zniknął, były dokonywane z konta jeszcze jakieś wypłaty?

– Nie wiem... – Zmieszała się nagle, jakby poczuła się winna wobec niego i wobec mnie, że tego nie sprawdziła. – Czy pan mógłby to sprawdzić?

– Obawiam się, że nie. Wspomniała pani, że mieliście się spotkać w banku, tak?

– Jestem poręczycielką – powiedziała. Na nieskazitelnym czole nadal widniała wyrażająca troskę zmarszczka. Nie bez powodu – pomyślałem. Wyglądało na to, że jej brat nie liczy się z pieniędzmi i lubi żyć na wysokim poziomie. A skoro nie próbował pobrać gotówki z już obciążonego debetem konta, znaczyło to, że aktualnie nie wydaje zbyt dużo ani nie żyje na wysokim poziomie. A może po prostu w ogóle nie żyje.

– W takim razie pani może to sprawdzić – odparłem. – Bank udzieli pani takiej informacji. Mnie nie. Nawet policja potrzebowałaby do tego nakazu sądowego. Czy była pani na policji, panno Gainsborough?

– Czekałam z tym. Cały czas miałam nadzieję, że Sammy się w końcu zjawi. Ponieważ jednak nadal go nie ma, uznałam, że lepiej wynająć prywatnego detektywa.

– Dlaczego akurat mnie? I kto dał pani moje namiary?

– Organizator moich tras koncertowych Jack Beckett, mówi, że pana zna.

Zmarszczyłem brwi. – Nie przypominam sobie...

– A w każdym razie, że o panu słyszał. Powiedział... – Zawahała się, jakby nie była pewna, czy dokończyć myśl. – Powiedział, że jest pan solidny, a poza tym ma pan kontakty – to znaczy, zna pan to środowisko, w którym obraca się Sammy.

– Rozumiem... – odparłem, nadal starając się dojść, skąd mógłbym znać Jacka Becketta i notując w pamięci, aby podziękować mu za doskonałe referencje, jakich mi udzielił.

Zapadła cisza. Na ulicy rozległ się klakson taksówki. Zza okna

dobiegła fala głosów – zostawiłem je uchylone w próżnej nadziei, że uda mi się nieco ochłodzić biuro. Zauważyłem strużkę potu spływającą po gładkiej szyi Sheili Gainsborough.

– A więc w jakim konkretnie środowisku obraca się Sammy? Wspomniała pani, że robił jakieś dość podejrzane interesy. Co pani miała na myśli?

– Już mówiłam. Sammy tak naprawdę nie działa w show-biznesie jako takim, choć czasem faktycznie trafi mu się jakiś występ. Tak między nami, rewelacyjny to on nie jest, ale wystarczająco dobry jak na Glasgow. Śpiewa w nocnych klubach i obraca się w nieciekawych kręgach. Uprawia też hazard. Myślę, że sporo pieniędzy traci właśnie na to.

– W których klubach?

– Nie wiem... w każdym razie nie tych, w których ja zaczynałam. Bywał często w klubie Pacific nad rzeką, ten jeden przychodzi mi na myśl. Chyba tam też śpiewał.

– Aaa, tak... – powiedziałem. O kurwa, pomyślałem. Lokal Przystojniaka Jonny’ego Cohena.

– Zna go pan?

– Znam właściciela. Mogę z nim zamienić kilka słów.

– A czy słyszał pan kiedyś o klubie Czerwony Mak? – spytała.

– Nie przypominam sobie. Dlaczego pani pyta?

– Kiedy byłem w mieszkaniu Sammy’ego, obok telefonu znalazłam karteczkę z napisem „Klub Czerwony Mak”. Tylko tyle. Żadnego numeru telefonu. Szukałam w książce telefonicznej, ale nie znalazłam takiego lokalu ani w Glasgow, ani w Edynburgu.

Zapisałem nazwę klubu w notatniku. Żeby podnieść klientkę na duchu. – Jak brzmi pełne imię i nazwisko Sammy’ego? – spytałem.

– James Samuel Pollock.

– Pollock?

– Tak brzmi moje prawdziwe nazwisko. A w każdym razie brzmiało, bo prawnie je zmieniłam.

– A więc nazywała się pani Sheila Pollock?

– Ishbell Pollock.

– Ishbell?

– Mój agent uważał, że gwiazda piosenki powinna nazywać się bardziej efektownie.

– Naprawdę? – odparłem, tak jakbym nie potrafił pojąć, jak ktoś mógłby nie ulec urokowi nazwiska Ishbell Pollock. Nieźle ją wypromowali. Była glasgowską piosenkarką klubową, jakich tu bez liku. Stanowiła jednak świetny materiał do dalszej obróbki. Do atutów Sheili Gainsborough, wyróżniających ją w tłumie, należał głos, a już z całą pewnością wygląd. Znaleźli ją łowcy głów. Wyszkolili. Przepakowali. Ustawili karierę. Miała może i głos, i aparycję, ale trzeba było dodatkowo jak najszybciej zrezygnować z dotychczasowego imienia i nazwiska oraz zgubić glasgowski akcent.

Zapisałem w notesie pełne dane Sammy’ego. – Kiedy ostatni raz spotkała się pani z Sammym?

– Jedliśmy razem obiad w Cranston’s ponad tydzień temu.

– A co pani może powiedzieć o jego przyjaciółach... dziewczynach... ludziach, z którymi się zadawał? Wspomniała pani, że obraca się w nieciekawych kręgach. Może jakieś nazwiska?

– Ma takiego przyjaciela – Barniera. To Francuz. Sammy kilka razy o nim wspomniał. Wydaje mi się, że byli przyjaciółmi, ale może chodziło po prostu o interesy.

– A imię tego człowieka?

Pokręciła przecząco głową. – Sammy zawsze mówił o nim po prostu „Barnier”. W Glasgow chyba nie ma aż tylu Francuzów.

– Czy ja wiem – odparłem. – Miejscowa kuchnia pewnie przyciąga całe ich tłumy. – Oboje uśmiechnęliśmy się pod nosem. – Ktoś jeszcze?

– Któregoś dnia, kiedy u niego byłam, zadzwoniła jakaś dziewczyna. Odniosłam wrażenie, że są ze sobą blisko. Usłyszałam tylko jej imię: Claire. Ale zadawał się też z takimi dwoma, którzy nic a nic mi się nie podobali. Jakies mętne typy.

– Jak się nazywają?

– Niestety nie wiem. Widziałam ich tylko raz: czekali na Sammy’ego przed klubem. Zachowywali się tak, jakby... czy ja

wiem... jakby nie chcieli się rzucać w oczy. Wyglądali mi na kombinatorów. Mieli pod trzydziestkę. Jeden, blondyn, miał około metr siedemdziesiąt. Drugi, ciemnowłosa, był nieco wyższy. Ten ciemnowłosa miał na czole bliznę w kształcie półksiężyca.

Siedziałem, wpatrując się w nią, pogrążony w głębokiej zadumie. Ona z kolei patrzyła na mnie z nadzieją, sądząc najwyraźniej, że tym, co powiedziała, sprowokowała u mnie jakiś głęboki proces myślowy. Ja tymczasem wyobrażałem sobie po prostu, jak by to było zrypać ją na tym biurku.

– W porządku. Dziękuję – powiedziałem, gdy już zadałem wszystkie pytania, jakie przysły mi do głowy. – Czy byłaby możliwość, abyśmy pojechali do mieszkania pani brata... trochę się tam rozejrzeć?

Spojrzała na zegarek. – Dziś wieczorem muszę złapać nocny pociąg do Londynu. Mam przedtem jeszcze sporo do zrobienia. Moglibyśmy pojechać teraz?

Wstałem z krzesła i uśmiechnąłem się. – Mój samochód stoi za rogiem.

Atlantic stał w pełnym słońcu i zanim otworzyłem Sheili Gainsborough drzwi, opuściłem wszystkie szyby. Złapałem się na tym, że desperacko rozglądam się po ulicy z nadzieją, że ktoś z moich znajomych – ktokolwiek – jest akurat w pobliżu i widzi, jak ta piękna, bogata i sławna kobieta wchodzi do mojego samochodu. Obok, nie zwracając na nas uwagi, przeszło dwóch podrostków, a następnie staruszek w cyklistówce, ubrany pomimo upału w ciężką, grubą, granatową marynarkę i szalik na szyi. Zatrzymał się na chwilę, ale tylko po to, aby splunąć siarczyście na chodnik. Uznałem, że raczej nie była to oznaka wrażenia, jakie na nim zrobiliśmy.

Nawet przy opuszczonych szybach w samochodzie panował niemiłosierny zaduch: uderzająca do głowy mieszanina zapachu rozgrzanego drewna i skórzanej tapicerki, lawendowego aromatu perfum Sheili i nikłej nuty piżma,

unoszącej się wokół jej ciała.

Mieszkanie Sammy'ego Pollocka znajdowało się w zachodniej części centrum miasta, choć nie był to jeszcze West End. Jechaliśmy w milczeniu ulicą Sauchiehall, aż numery domów zaczęły przewyższać tysiąc i w pewnej chwili Sheila poprosiła, bym skręcił w prawo. Między rzędem dwupiętrowych georgiańskich szeregówek pojawił się skrawek parku. Na trawie bawiło się kilkoro dzieci, a wózki stały przy ławkach, na których siedziały beczynnymie matki, obezwładnione letnim upałem i macierzyństwem.

Mieszkanie obejmowało w istocie dwie kondygnacje w jednej z kamiennych szeregówek. Kiedyś budynek musiał mieć odcień złocistego piaskowca, z którego był zbudowany. Nad drzwiami wejściowymi widniał półokrągły witraż o żywych niegdyś barwach, przywodzący na myśl wiedeńską secesję albo styl Charlesa Rennie Mackintosha⁵. Glasgow było jednak miastem, w którym nieustannie wrzała praca. Brudząca praca. Nieprzerwanie buchające w powietrze kłęby dymu i sadzy osmałyły kamienną fasadę domu i zmatowiły szkło. Kojarzyło się to z widokiem ubranego w surdut i bryczesy pastora, którego wysłano na kilka szycht do kopalni.

– Od początku dysponowała pani kluczem? – spytałem Sheilę, gdy otwierała drzwi.

Westchnęła. – Chyba już pan rozgryzł, jaki to jest układ, panie Lennox. To moje mieszkanie. Ja je kupiłam, urządziłam i pozwoliłam Sammy'emu w nim mieszkać. Wypłacam mu też kieszonkowe.

– Ile Sammy ma lat?

– Dwadzieścia trzy.

– Rozumiem – powiedziałem. Dwudziestotrzylatek dostający wszystko od siostry, która sama nie ukończyła jeszcze trzydziestki. Przypomniałem sobie, jak to było, kiedy sam miałem dwadzieścia trzy lata i przemierzałem pola bitewne Europy z nikłą ledwie nadzieją, że dożyję swoich dwudziestych

⁵ Charles Rennie Mackintosh (1868–1928) – glasgowski architekt, projektant i malarz, główny przedstawiciel secesji w Wielkiej Brytanii.

czwartych urodzin. Sammy Pollock był ode mnie młodszy o zaledwie trzynaście lat, ale należał do już zupełnie innego pokolenia. Zamieszkiwaliśmy odmienne światy.

Sheila domyśliła się, co mi chodzi po głowie. – Nie pochwała pan stylu życia Sammy’ego?

– Zazdroszczę mu takiego stylu życia. Szkoda, że w jego wieku miałem inne doświadczenia. Jest pani bardzo hojną siostrą.

– Musi pan coś zrozumieć... – Nie zdejmując dłoni z klamki, spojrzała na mnie poważnie swoimi błękitnymi oczami. – Jestem od Sammy’ego pięć lat starsza. Oboje nasi rodzice nie żyją i jestem... cóż, czuję się za brata odpowiedzialna. Poszczęściło mi się. Osiągnęłam sukces. Dzięki temu mogę pomóc jedynej osobie na tym świecie, na jakiej mi naprawdę zależy. Sammy nie jest złym dzieciakiem. Czasem jest tylko trochę niemądry. Niedojrzały. Martwię się jedynie, że mógł wpaść w jakieś złe towarzystwo. Narobić sobie kłopotów.

– Rozumiem. – Skinąłem głową na zamknięte drzwi. – Wejdziemy?

– Ktoś tu był. – To pierwsza rzecz, jaką powiedziała, gdy weszliśmy do salonu. Faktycznie, w mieszkaniu panował bałagan. Częściowo można go było wytłumaczyć toczącym się tu w najlepsze kawalerskim życiem: przepelnione popielniczki, klejące się butelki po piwie, szklaneczki po whisky złośliwie odciskające swe piętno na orzechowych blatach drogich, stylowych stolików, niedbale rzucona na fotel marynarka, kilka brudnych talerzy i filiżanka po kawie. Dobrze mi znane klimaty. Nieporządek miał tu jednak jeszcze inny wymiar. Wyglądało na to, że jakiś intruz usilnie starał się w pośpiechu coś tu znaleźć.

– Sammy? – zawołała Sheila i ruszyła szybkim krokiem przez salon w kierunku korytarza. Zrobiłem dwa kroki i przytrzymałem ją ruchem ręki. Pod opuszkami palców poczułem jej ciepłą, wilgotną skórę.

– Pozwoli pani, że ja spojrzę – powiedziałem. – Proszę tu zaczekać. – Zaciśnąłem dłoń na noszonej w kieszeni, obciążonej skórą palce ze sprężynowej stali. Kiedy byłem już

w korytarzu, poza zasięgiem wzroku Sheili, wyjąłem ją.

– Panie Pollock? – Nic. – Halo?

Ruszyłem korytarzem. Na etażerze obok wieszaka stał aparat telefoniczny o barwie kości słoniowej, a przy nim kolejna nieopóźniona popielniczka. Zwróciłem uwagę, że niektóre z niedopałków miały filtry, czego nie spotykało się aż tak często. Na filtrach widniały ślady paśowej szminki. Wsunąłem jeden z niedopałków do kieszeni i poszedłem dalej, zaglądając do kolejnych pokoi. Mieszkanie było jasne i luksusowo urządzone, ale każdy pokój został dokładnie przetrząśnięty. Na podłodze walały się papiery i inne drobiazgi. Wszedłem po schodach na drugą kondygnację, gdzie zastałem taki sam widok. Doszedłem do sypialni Pollocka, której podłoga również usłana była najrozmaitszymi przedmiotami. Kątem oka dostrzegłem coś skrzącego się w promieniach słońca. Gdy już upewniłem się, że w mieszkaniu nie ma nikogo poza nami, zawołałem Sheilę na górę.

– Powiedziała pani, że ktoś tu już był przed nami. Rozumiem, że mieszkanie nie było w takim stanie, gdy odwiedziła je pani poprzednim razem?

Potrząsnęła przecząco głową. – Sammy nigdy nie był pedantem, jeśli chodzi o porządek, ale bez przesady... To wygląda na włamanie.

Ruchem głowy wskazałem szafkę nocną, na której widać było kryształową popielnicę i ciężką złotą zapalniczkę. – Żaden włamywacz nie wypuściłby z rąk takiego łupu. To nie było włamanie, tylko przeszukanie. – Schyliłem się i podniosłem z podłogi błyszczący przedmiot, który wcześniej zwrócił moją uwagę – wypolerowane pudierko z osadzonym na stalowych zawiasach, otwartym wieczkiem. Spojrzałem pod nogi i znalazłem zawartość, która musiała z niego wypaść.

– Czy pani brat cierpi na jakieś schorzenie, o którym powinienem wiedzieć? – Włożyłem strzykawkę i igłę z powrotem do metalowego pudełeczka, które następnie pokazałem Sheili. – Jest może cukrzykiem?

Sheila spojrzała na nie i twarz jej spochmurniała. – Nie. Nie

jest na nic chory.

– Ale coś to pani mówi, prawda? – spytałem.

Przez chwilę patrzyła na mnie z poważną miną. – Obracam się wśród wielu muzyków. Taką mam pracę. Muzyków i estradowców... A oni eksperymentują...

– Z narkotykami?

– Tak. Choć nie sądzę... w każdym razie nigdy nie miałam powodu podejrzewać, że Sammy'emu w głowie takie głupoty.

Przez chwilę przypatrywaliśmy się w milczeniu metalowemu pojemnikowi na strzykawkę, tak jakbyśmy w ten sposób mogli zmusić go do wyjawienia swoich tajemnic.

– Oczywiście mógł tu być Sammy we własnej osobie – powiedziałem, choć bez wielkiego przekonania. – Może wrócił po jakieś rzeczy. Żeby się spakować. – Wsunąłem pojemnik do kieszeni.

– Sprawdzę jego szafy na ubrania i szuflady – powiedziała z przygnębieniem. – Może zauważę, czy czegoś brakuje. Czy wziął jakieś ubrania... – Minęła mnie i w dusznym upale znowu uchwyciłem woń lawendy oraz piżma: oprawy i zawartości. Oj, chłopie – pomyślałem – miej się na baczności.

Z dołu dobiegł jakiś odgłos i oboje zastygliśmy. Ktoś otwierał drzwi do mieszkania. Gdy weszliśmy, Sheila przekreśliła za sobą zamek, co znaczyło, że ktokolwiek wchodził teraz do środka, miał klucz. Znowu powstrzymałem gestem Sheilę, która podeszła do drzwi sypialni, najwyraźniej mając zamiar zawołać swojego brata. Położyłem palec na ustach, przemknąłem obok niej i jak najszybciej, w miarę bezszelestnie zszedłem po schodach, znowu wyciągając z kieszeni pałkę. Znalazłem się na dole w tej samej chwili, w której do przedpokoju wkroczył młody człowiek o ciemnych włosach i smagłej cerze.

– Witam – powiedziałem z przyjaznym uśmiechem, dyskretnie chowając za siebie pałkę. Ciemnowłosa młodzieniec spojrział na mnie szeroko otwartymi z zaskoczenia oczami.

– Kim jesteś? Co tu robisz? – Przymrużył oczy, gdy zaskoczenie ustąpiło miejsca podejrzliwości. Mocniej ścisnąłem pałkę, nie przestając się uśmiechać.

– Pamiętasz, jak w filmach ktoś w pewnej chwili mówi: „To ja tu zadaję pytania”? – powiedziałem. – No więc ten ktoś od zadawania pytań to ja. Zacznijmy od tego, dlaczego masz klucz do mieszkania, którego nie jesteś właścicielem ani najemcą, a w którym zdajesz się czuć całkiem swobodnie.

– Jesteś gliniarzem? – spytał.

– Powiedzmy na razie, że badam sprawę zniknięcia Sammy’ego Pollocka.

– Ale gliniarzem nie jesteś... – Jeszcze bardziej przymrużył oczy, nagle tracąc jakby pewność siebie. – Przysłał cię Largo?

– Largo?

Odniosłem wrażenie, że odetchnął z ulgą i jego twarz znowu przybrała zacięty wyraz. Uniósł lekko barki i wsunął rękę do bocznej kieszeni marynarki. A więc zabawy czas nadszedł.

Na piętrze Sheila Gainsborough musiała podkraść się do wylotu schodów, bo w pewnej chwili skrzypnęła podłoga. Mój ciemnowłosy koleżka na bardzo krótki moment odwrócił niepewnie wzrok w tamtym kierunku. Najwyraźniej sądził, że chowam na górze jakichś gotowych do akcji pomocników. Poczuliśmy się nieco dotknięty, że uznał mnie za niezdolnego do działania w pojedynkę.

– Jeśli nie jesteś gliniarzem, to mam cię, kurwa, gdzieś. – Młodzieniec odwrócił się i szybko, choć bez paniki, wycofał do małego, wyłożonego płytkami przedpokoju.

– Nie, nie, kolego... – Wyciągnąłem rękę i złapałem go za bark. – Jeszcze nie skończyliśmy...

Był o kilka centymetrów niższy ode mnie i źle obliczył wymierzony w moim kierunku podstępny cios łokciem. Zamiast w twarz albo gardło, ugodził mnie boleśnie w klatkę piersiową. Cofnęło mnie do tyłu, przez co zyskał czas na otworzenie drzwi wejściowych i próbę ucieczki. Przekraczał właśnie próg, kiedy rzuciłem się w jego kierunku i stopą z całej siły kopnąłem drzwi. Ich krawędź uderzyła go w bark, ale omsknęła się i wyrznęła go w policzek, dociskając mu głowę do framugi. Na chwilę faceta ogłuszyło. Z policzka trysnęła mu krew i poląła się po twarzy i szyi, plamiąc na czerwono koszulę.

– Oj, przepraszam – powiedziałem. – Przytrzasnąłem cię drzwiami?

Rękę chciał znowu wsunąć do kieszeni po to, co tam trzymał, ale ruchy miał spowolnione i nieskoordynowane. Walnąłem go dwa razy pałką, dość mocno. Przy pierwszym uderzeniu coś strzeliło mu w nadgarstku, a drugie wyładowało na jego karku. Tracąc przytomność, osunął się na próg. Złapałem faceta za kołnierz koszuli i powlokłem w głąb mieszkania.

Odwracając się, zobaczyłem Sheilę stojącą w połowie schodów z rozwartymi szeroko oczami i dłonią zasłaniającą usta.

– Musiał pan to robić? – powiedziała po chwili, zszokowana.

– Zaatakował mnie – odparłem. – I ma w kieszeni jakąś broń, z której chciał skorzystać. – Pochyliłem się i wyciągnąłem młodzieńcowi z fraków nóż sprężynowy. Zademonstrowałem znaleźnikowi Sheili. – Widzi pani... to była samoobrona.

– Ta samoobrona sprawia panu chyba przyjemność, panie Lennox.

Wzruszyłem ramionami i postawiłem bezwładnego delikwenta na nogi. Był jeszcze trochę zamroczony, ale spojrzał na mnie z nienawiścią. Nie spodobało mi się to, więc wymierzyłem mu policzek. Dwa razy, mocno, po niezranionej części twarzy. Trzeba było pokazać, kto tu rządzi.

– Na Boga, Lennox, starczy tego... – Sheila zrobiła krok do przodu, posyłając mi surowe spojrzenie. Miała rację. Przeholowałem. Poczulem gorący ucisk w klatce piersiowej: to samo drżące gdzieś wewnątrz pragnienie, aby wyrządzić komuś krzywdę, z którego istnienia zdałem sobie sprawę podczas wojny. Widziałem, że Sheila nie pała sympatią do osoby, którą ma przed sobą. Przynajmniej co do tego byliśmy zgodni: ja też nie darzyłem siebie zbyt wielką sympatią.

Poprowadziłem naszego nieproszonego gościa z powrotem do mieszkania i pchnąłem go na fotel. Sheila poszła za nami i stanęła oparta o ścianę. Zapaliła papierosa i zaciągnęła się łapczywie. Generalnie była jednak spokojna i opanowana. Byłem pod wrażeniem. Zmierzyłem wzrokiem mężczyznę w fotelu: dwadzieścia kilka lat, dwurzędowa granatowa

marynarka w prążki – nietania, ale i niedroga, to samo z koszulą i krawatem. Zwróciłem uwagę, że brązowe skórzane buty też miał nie najnowsze. Miałem ochotę przyłożyć mu raz jeszcze choćby tylko za to: do granatowego prążkowanego garnituru buty wyłącznie czarne lub w odcieniu burgunda, nigdy brązowe.

– Jak się nazywasz?

– Odpieprz się – odparł z ponurą miną, trzymając się za zraniony nadgarstek.

– Kobieta tu jest – powiedziałem, chwytając go za prążkowane szmaty – więc się miarkuj, bo mogę cię jeszcze bardziej dopieścić.

Spojrzał na Sheilę i po chwili wymamrotał jakieś przeprosiny.

– No więc jak się nazywasz?

– Costello.

– Dowcipniś. Pewnie Bud Abbott⁶ stoi na czatach na zewnątrz, co? – Wykręciłem trzymaną w garści połę marynarki.

– Mówię prawdę. Nazywam się Paul Costello.

Puściłem go i wyprostowałem się. – Jesteś chłopakiem Jimmy’ego Costello?

– Tak, to ja. – Nagle jakby nabrał pewności siebie. – Słyszałeś o moim tacie? To pewnie wiesz, że nie spodoba mu się za bardzo, jak się dowie, co mi zrobiłeś... – Wymownym gestem podniósł do góry zranioną rękę i odwrócił w moją stronę zakrwawiony policzek.

– Skąd masz klucz do tego mieszkania? – rzuciłem pytanie.

– Pilnuj własnego nosa. Zadzwońię do taty, on się już z tobą odpowiednio rozprawi.

Kiwnąłem głową. – Panno Gainsborough, czy mogłaby pani zaczekać na mnie w samochodzie? – Podałem jej kluczyki do swojego auta, ale nie wzięła ich.

– Co pan chce zrobić? – spytała głosem pełnym dezaprobaty i podejrzliwości.

– Niech się pani nie martwi – wtrącił się Costello. – Nic nie

⁶ Bud Abbott (1895–1974) i Lou Costello (1906–1959) – para popularnych w latach 40. i 50. amerykańskich komików filmowych.

zrobi. Nie wiedział, z kim ma do czynienia. Teraz już wie, i będzie próbował jakoś się z tego wykręcić. Ale trochę za późno.
– Spojrzał na mnie szyderczo.

– Jak widać, mamy tu z panem Costello do wyjaśnienia drobne nieporozumienie. Muszę z nim porozmawiać w cztery oczy. – Potrząsnąłem kluczykami od samochodu jak dzwonkiem. – Jeśli pani pozwoli.

Wzięła ode mnie kluczyki z pochmurną miną i wyszła, trzaskając za sobą drzwiami. Paul Costello spojrział na mnie groźnie spode łba.

– Robisz teraz w gacie ze strachu, co? Doskonale wiesz, kim jest mój stary. Zanim zaczniesz się rozbijać, lepiej sprawdź, z kim pogrywasz. – Skrzywił się, tuląc drugą ręką kontuzjowany nadgarstek. – Chyba mi coś, kurwa, złamałeś.

– Pozwól, że na to spojrzę. – Pochyliłem się nad Costello, a on spojrział na mnie podejrzliwie. – Serio. Daj mi obejrzeć rękę.

Wyciągnął rękę w moim kierunku, a ja delikatnie pomacałem mu nadgarstek. Krzyknął z bólu.

– Nie jest tak źle – powiedziałem. – Popękało ci kilka kostek, to wszystko.

– To wszystko?! Poczekaj, aż mój staruszek się o tym dowie.

– Masz rację – odparłem, nadal badając jego nadgarstek. – Zawsze lepiej wiedzieć, z kim się zadziera, zanim człowiek zdecyduje się na atak. Weźmy na przykład mnie...

Costello skrzywił się znowu, gdy wymacałem jakiś wrażliwy punkt na jego nadgarstku, który zaczął już puchnąć. Może jednak było to coś poważniejszego niż tylko pęknięcie.

– Jak mówię, weźmy mnie... faktycznie wiem, kim jest twój ojciec. – Zagłębiłem kciuk w spuchnięty nadgarstek. Costello wrzasnął przeraźliwie. – I mam to gdzieś. Myślisz, że mam jakiegokolwiek powody bać się twojego dupiastego irlandzkiego starego?

Próbował wyrwać rękę, ale uraczyłem go kolejną brutalną pieśczołą. Kolejny wrzask.

– Otóż ja pracuję dla Trzech Królów. Słyszałeś o Trzech Królach?

Costello przytaknął, wpatrując się oszalałym wzrokiem w nadgarstek, którego nie potrafił wyswobodzić z mojego uścisku.

– No więc pracuję od czasu do czasu dla każdego z nich. Rzeczywiście, znam twojego ojca, ale on jest tylko płotką. Zerem. Gdyby Młot Murphy tylko zechciał, zgniółby go jak pluskwę. Więc leć do tatusia na skargę, a ja pójde z tym samym do Młota Murphy’ego. Rozumiemy się? – Podkreśliłem wagę swojego pytania kolejnym mocnym uściskiem. Twarz wykręcił mu grymas bólu i gdy rozluźniłem chwyt, przytaknął rozpaczliwie.

– No dobra – ciągnąłem dalej. – Skoro wreszcie doszliśmy do porozumienia, to chyba możemy pogawędzić na spokojnie. Powiedz mi... skąd masz klucz do tego mieszkania?

– Sammy mi go dał.

– Dlaczego?

– Jesteśmy przyjaciółmi.

– Co znaczy „przyjaciółmi”? Kolegujecie się czy bzykacie?

– Co, kur...

Nie dałem mu dokończyć przekleństwa, ściskając lekko nadgarstek.

– Nie jestem żadnym pieprzonym pedziem – zaprotestował, kiedy znowu złapał oddech. – Po prostu się z Sammym przyjaźnimy.

– Może nie uwierzysz – powiedziałem samokrytycznie – ale sam mam sporo przyjaciół i jakoś nikt z nich nie dysponuje kluczem do mojego mieszkania. Niech pan wymyśli coś lepszego, panie Costello Juniorze.

– Taka jest prawda. Sammy pozwala mi się tu raz na jakiś czas zamelinować na noc. Też pracuję w klubie.

– W jakim klubie? W Czerwonym Maku?

– Czerwonym Maku? Nic o takim nie słyszałem. Pracuję w Rivierze... lokalu mojego taty. Sammy tam co jakiś czas śpiewa.

– W Rivierze? – parsknąłem. – Ale szpan. A w którym konkretnie punkcie Wybrzeża Liguryjskiego znajduje się klub

twojego ojca?

Costello spojrział na mnie, jakbym przemówił po chińsku. W Glasgow lepiej było nie liczyć u rozmówcy na zbyt wyrafinowane skojarzenia kulturowe. – A gdzie jest ten klub Riviera?

– W Partick. Nad rzeką – odparł.

Tym razem moje parsknięcie przerodziło się w drwiący rechot.

Costello naburmuszył się. – To lokal z klasą.

– Nie wątpię. Z pewnością wszystkie VIP-y w pierwszej kolejności walą właśnie tam. Przypuszczam, że często tam widzicie księżniczkę Małgorzatę.

– Pieprz się.

– No, no, Juniorku. Nie zaperzaj się, bo znowu złapię cię za rączkę. A co do trzymania się za rączki, to skąd taka komitywa między tobą a Sammym Pollockiem? Nigdy bym nie przypuszczał, że coś może was łączyć.

– Mamy różne pomysły. Na biznes. Już mu się przejadło bycie bratem Sheili Gainsborough, a ja też mam dość, że ludzie widzą we mnie tylko syna Jimmy'ego Costello i nikogo więcej.

– Przestań, bo zaraz się rozplacę. Kiedy ostatnio widziałeś się z Sammym?

– Ze dwa tygodnie temu. Nie było mnie w mieście.

– A gdzie byłeś?

– A co panu do tego?

Uśmiechnąłem się i nacisnąłem. On skrzywił się i spojrział na mnie wilkiem.

– W Londynie... – wycedził przez zęby. – Spędziłem dwa tygodnie w Londynie.

– Więc nie wiedziałeś, że Sammy zaginął? – Puściłem jego rękę i zapaliłem papierosa.

– Pan to, kurwa, lubi, co? – Uśmiechnął się złośliwie mimo bólu. – Robienie ludziom krzywdy. Pan to naprawdę lubi, co?

– Oj, nie uogólniaj, proszę... – Zrobiłem urażoną minę, po czym uśmiechnąłem się przymilnie. – To nie tak, że lubię ludziom robić krzywdę. Lubię robić krzywdę tobie. Niech to

będzie taka nasza mała tajemnica. No więc... – Przestałem się uśmiechać i nachyliłem się nad nim. – Wiedziałeś, że Sammy zaginął?

– Zaginął? Jak, kurwa, zaginął? Wiem, że ostatnio go tu nie było. Ale to nie znaczy, że zaginął. Próbowalem się kilka razy do niego dodzwonić z Londynu. Myślałem, że po prostu nie mam szczęścia i nie zastałem go w domu. Właśnie dlatego tu dziś przyszedłem.

– Jaki biznes? – Dmuchałem mu dymem w twarz.

– Co?

– O rozkręceniu jakiego biznesu myślicie z Sammym?

– No... czy ja wiem... takiego impresariatu artystycznego. Chcieliśmy nawiązać współpracę z niektórymi muzykami, występującymi w pubach i klubach. Wielu z nich znamy, więc pomyśleliśmy, że zaoferujemy im obsługę impresaryjną.

– Jesteście pewni, że konkurujecie z Danielem Delfontem⁷, a nie z ICI⁸?

– Że co? – Costello skrzywił się z irytacją.

– Zastanawiałem się, czy przypadkiem nie planujecie wejść w biznes farmaceutyczny. – Wyjąłem z kieszeni metalowe pudełko na strzykawkę, otworzyłem je i pokazałem Costello.

– Coś ma mi to mówić?

– Tak się tylko zastanawiałem, czy przypadkiem nie planujecie z Sammym zapewnić swoim koleśiom z branży muzycznej czegoś więcej niż tylko porad zawodowych.

– Nie łapię, o co panu chodzi... – Jeśli Costello kłamał, to robił to bardzo przekonująco. Trudno jednak było to ocenić, bo na jego twarzy widniał głównie grymas bólu. Domyślałem się, że rana na policzku zaczyna go pomału absorbować nie mniej niż uszkodzony nadgarstek.

– Kto to jest Largo?

– Co?

– Najpierw myślałeś, że jestem gliniarzem, a potem że

⁷ Daniel Delfont (właśc. Borys Winogradski, 1909–1994) – znany brytyjski impresario teatralny rosyjskiego pochodzenia.

⁸ Imperial Chemical Industries – brytyjska korporacja, czołowy światowy producent chemikaliów.

przysłał mnie Largo.

– Largo? To nic ważnego. Znaczący, nikt ważny. To facet, któremu jestem winien pieniądze. Myślałem, że pana wysłał, żeby sprawdzić, czy się tu pojawię.

– Czy Sammy zna tego Largo? Też mu jest winny pieniądze?

– Nie... – Costello nie unikał mojego wzroku. Wyglądało na to, że mówi prawdę, choć z takim oślizgłym osobnikiem nigdy nic nie wiadomo.

– Nie odpowiedziałeś na moje pytanie. Kim jest Largo? Nigdy o kimś takim nie słyszałem.

– A, takim tam gościem.

– Takim tam gościem, który najwyraźniej wysyła innych, żeby egzekwowali długi.

– Niech pan słucha, Largo nie ma nic wspólnego z Sammym. W ogóle się nie znają. – Skrzywił się i drugą ręką przysunął puchnący nadgarstek do klatki piersiowej.

– Daj mi klucz – powiedziałem, chowając do kieszeni pudełko ze strzykawką.

– Co?

– Daj mi klucz. Sammy Pollock nie jest właścicielem tego mieszkania, a ty tym bardziej. Więc grzecznie go oddaj.

Kiedy wręczył mi klucz zdrową ręką, podniosłem go na nogi i wyprowadziłem z mieszkania. Na zewnątrz uderzyła w nas fala gorąca.

– Jeszcze pan popamięta – rzucił spode łba Costello, tuląc pęknięty nadgarstek. Zrobiłem krok w jego kierunku i dał drapaką.

Sheila Gainsborough stała przy samochodzie. Jej złote włosy lśniły w promieniach słońca.

– No i co, udało się panu wydusić z niego prawdę?

– Niech pani posłucha, panno Gainsborough, chyba powinniśmy sobie coś wyjaśnić. Młody Costello, którego właśnie poznaliśmy, to typ mało przyjemny. Znam jego ojca, a w każdym razie słyszałem o nim. Jimmy Costello to osobnik

jeszcze bardziej antypatyczny. Jest gangsterem i bandziorem. Przyszła pani do mnie z pewnym problemem, mianowicie zaginął pani brat. Chwilę potem okazuje się, że ktoś dokładnie przetrząsnął jego mieszkanie. Następnie w tym mieszkaniu, które zresztą pani utrzymuje, zjawia się Costello junior. Ma klucz i wygląda na to, że czuje się tu jak u siebie. Przykro mi, jeśli moje metody działania wydają się pani nieco zbyt, że tak powiem, zdecydowane, ale poznawszy młodego Costello, jestem teraz znacznie bardziej zaniepokojony zniknięciem pani brata niż jeszcze godzinę temu.

Sheila Gainsborough znowu uroczym zmarszczyła brwi. – A czy Costello wyjaśnił, po co tam przyszedł i skąd ma klucz?

– No, przede wszystkim, to już go nie ma. – Wręczyłem jej klucz, który został od razu połknięty przez aligatora. – Costello twierdzi, że przyjaźni się z Sammym i że mają wspólne plany biznesowe, ale na temat tego, jakie to mają być interesy, wypowiada się bardzo mętnie. Chodzi niby o impresariat. Czy pani brat ma jakieś pojęcie o zarządzaniu karierą nowych talentów?

– Sammy? Ależ skąd.

– Podejrzewam, że Costello też raczej nie szkolił się w tym kierunku. – Uruchomiłem samochód, ale zanim ruszyłem, zadałem jeszcze pytanie. – Czy „Largo” coś pani mówi?

– Chodzi o tę miejscowość w hrabstwie Fife?

– Nie, to nie miejscowość. To osoba. Costello w pierwszej chwili sądził, że przysłał mnie ktoś o nazwisku Largo.

Sheila zastanowiła się, wpatrując się w przestrzeń. Krótką, parną chwilę milczenia znowu wypełnił unoszący się wokół niej zapach. – Nie – odezwała się w końcu. – Nie znam żadnego Largo. I nie przypominam sobie, aby Sammy kiedykolwiek wspominał o kimś takim.

– W porządku – powiedziałem z uśmiechem. – Odwiozę panią do miasta. Sugeruję, żeby pani zgodnie z planem pojechała do Londynu. Ja trochę się tu rozejrzę. W jaki sposób mogę się z panią kontaktować?

Rozdziawiając aligatora, Sheila wyjęła wizytówkę. – Tu jest

numer do mojego agenta. Nazywa się Humphrey Whithorn. Gdyby chciał się pan ze mną skontaktować, on zawsze będzie wiedział, gdzie jestem. Ale co pan właściwie zamierza? Nie ma pan żadnego punktu zaczepienia.

– Są te kluby, w których Sammy pracował. Mogę zacząć od nich. – Wziąłem od niej wizytówkę. Na grubym, białym papierze welinowym wytłoczone były srebrzystoszare słowa: Sheila Gainsborough. Nazwisko Whithorna, napisane mniejszą czcionką, widniało u dołu po prawej stronie. Jak wszystkie inne elementy jej wizerunku, również wizytówka tchnęła klasą i pieniędzmi. Próbowałem wyobrazić sobie na wizytówce słowa „Ishbell Pollock”. Faktycznie nie pasowały. – Tymczasem dobrze byłoby, gdyby sprawdziła pani w banku, czy Sammy próbował wypłacić ostatnio jakieś pieniądze.

Pojechaliśmy z powrotem do mojego biura, gdzie wypytałem ją bardziej szczegółowo o tryb życia Sammy’ego. Gdy już wyczerpaliśmy temat, obiecałem, że zrobię wszystko, co w mojej mocy, aby odnaleźć jej brata. Podając mi rękę na pożegnanie, kiwnęła głową i wstała z krzesła. Odprowadziłem ją do drzwi – nie był to wielki wyczyn w moim mikroskopijnym, dusznym biurze – i obiecałem, że będę w kontakcie. Obserwując, jak schodzi po schodach, zauważyłem, że stąpa tak, jakby unosiła się nad ziemią – ubraną w rękawiczkę dłoń trzymała nad poręczą, nawet jej nie dotykając, a szpilki na jej stopach stuknęły delikatnie o kamienne stopnie. Sheila Gainsborough miała w sobie grację, jakiej od dawna nie widziałem u żadnej kobiety. Przez głowę przemknęła mi myśl o pewnej innej osobie i na to wspomnienie poczułem skurcz w żołądku. Ta inna osoba była martwą osobą.

Kiedy straciłem Sheilę z oczu, wróciłem do swojej upalnej klitki i usiadłem za biurkiem, przez dłuższą chwilę starając się zlokalizować przyczynę zaczynającego mnie ogarniać niepokoju.

Mieszkałem na ulicy Great Western. Miejsce było w porządku – całe piętro typowej glasgowskiej wiktoriańskiej willi.

Przestrzeń do zamieszkania nierzadko znajduje się na

zasadzie przypadku: ktoś zna kogoś, kto z kolei zna osobę mającą do wynajęcia pokój. Przypadek, który sprawił, że zajmowana przeze mnie obecnie kwatery została przeznaczona na wynajem, polegał na tym, że niemiecki U-Boot władował się w sam środek fregaty Rezerwy Królewskiej Marynarki Wojennej. Fregata poszła na dno szybciej, niż kurwa z nabrzeża Clyde zdążyłaby zrobić laskę dokerowi w dniu wypłaty. Wraz z fregatą na dnie legł młodszy oficer White. Niby nic wielkiego: w końcu był to tylko jeden z milionów ludzkich ogników przedwcześnie zgasłych w czasie wojny. Ten mało znaczący z punktu widzenia statystyki fakt był jednak druzgocącą tragedią dla ładnej młodej żony i dwóch córek oficera. Świetlana niegdyś przyszłość rdzewiała teraz na dnie Atlantyku podobnie jak wrak zatopionej fregaty.

Zetknąłem się ze zdekompletowaną rodziną White'ów, szukając jakiegoś mieszkania do wynajęcia. Pani White zamieściła ogłoszenie o wynajmie w „Glasgow Herald”. Mając tylko wdowią wojskową rentę, ledwie wystarczającą do przeżycia, Fiona White znalazła drastyczne, choć praktyczne rozwiązanie. Przerobiła piętro domu na zasadniczo niezależne lokum i ogłosiła, że jest dostępne dla wynajmujących, lecz tylko tych, którzy mogą przedstawić nienaganne referencje. Moje referencje były najbardziej nienaganne z tych, jakie można było kupić u fałszerza, i pani White przyjęła mnie na kwatery. Jedno nie było dla mnie do końca jasne: dlaczego nie wymówiła mi mieszkania po tym, jak w ciągu ostatnich dwóch lat miałem ze dwie nocne wizyty miejscowej policji. No ale z drugiej strony, czynsz nie był niski, a ja skrupulatnie co tydzień go uiszczałem. Prawdę mówiąc, mogłem bez trudu przeprowadzić się w jakieś lepsze miejsce, ale nabrałem sympatii do rodziniki White'ów. Każdy, kto mnie zna, nie byłby ani trochę zdziwiony, że od razu gdy poznałem tę ładną, młodą wdowę, przyszło mi do głowy, że może mógłbym ją pocieszyć. A należała do tego rodzaju kobiet, jakie chętnie się pociesza. W miarę upływu czasu mój stosunek wobec niej zaczął się jednak niepostrzeżenie zmieniać i stał się nieprzyjemnie rycerski. Poczulem się w pewnym sensie

opiekunem smutnej rodzinki zajmującej parter pode mną.

W przedpokoju przy schodach wisiał na ścianie aparat telefoniczny do wspólnego użytku i kiedy wróciłem na kwaterę, zadzwoniłem do Lorny. Liczyłem na to, że rozmowa telefoniczna wystarczy, ale ona nalegała, abym przyjechał.

Zgrywanie dżentelmena zaczynało przeradzać się w zły nawyk, więc pojechałem do Pollokshields. Kiedy dotarłem na miejsce, ze zdziwieniem przekonałem się, że mój hebrydyjski koleś znowu stoi na straży przy drzwiach frontowych: – Tylko szeby panie czuły się besspiecznie – uspokoił mnie śpiewnym głosem.

Siedziałem między Lorną a Maggie, a atmosfera była tak napięta, że zdawało się, iż lada chwila strzeli we mnie jakiś piorun. Pocięczałem. Uspokajałem. Gadałem o najdurniejszych rzeczach, starając się za wszelką cenę uniknąć jakiegokolwiek nawiązania do faktu, że zaledwie dobę temu popełniono tu brutalne morderstwo. Maggie zrobiła herbaty i poczęstowała mnie papierosem z dużego pudełka leżącego na stoliku do kawy. Zwróciłem uwagę, że była to marka Four Square firmy Dobie z Paisley.

– Zeszłego wieczoru paliłaś inne – powiedziałem. – Takie wymyślne z filtrem.

– Ach, te? – wzruszyła ramionami. – Dostałam je od Jimmy’ego. Zazwyczaj palę inny gatunek.

Sięgnąłem do kieszeni marynarki i wyciągnąłem niedopałek zabrany z popielniczki w mieszkaniu Sammy’ego Pollocka. Podsunąłem go Maggie, aby mogła zobaczyć dwa złote paski na filtrze. Zmarszczyła brwi.

– Tak, właśnie takie. Skąd to masz?

– To ma związek z pewną sprawą, nad którą obecnie pracuję. Zaginięcie.

– Czy ta zaginiona osoba pochodzi z Francji?

– Nic o tym nie wiem. Dlaczego pytasz?

– Bo to montPELLIERY. Francuska marka. Jimmy dostał od kogoś z pół tuzina paczek. Pewnie z przemytu. Może właśnie dlatego znalazłeś kogoś jeszcze, kto je pali. Pewnie przemycili

całą ciężarówkę.

– To możliwe. – Odwróciłem się do Lorny. – Czy policja ma coś nowego? Czy coś mówili o postępach śledztwa?

– Był tu znowu nadinspektor McNab – powiedziała. Powieki miała ciężkie, a jej rysy przytępiła żaloba. – Zadawał kolejne pytania.

– Jakiego rodzaju?

– Z kim tata spotykał się w ostatnich tygodniach. I czy wydarzyło się coś niezwykłego.

Pokiwałem głową. Willie Sneddon miał rację, nie afiszując się ze swoimi spotkaniami i interesami, jakie kręcił z Bilonem. – No właśnie, a wydarzyło się?

– Nie – wtrąciła się Maggie. – W każdym razie nic nam o tym nie wiadomo. Ale Jimmy nie miał zwyczaju zwierzać się ze swoich poczynań. Tym bardziej dotyczących interesów. – Zamilkła na chwilę. – Może tylko jedna rzecz... ale chyba nie warto o tym nawet wspominać...

– Powiedz...

– Ktoś zostawił dla niego jakieś pudełko. To była przesyłka.

– Pamiętam – odezwała się Lorna, marszcząc czoło. – To było dziwne. Drewniane pudełko, a w środku nic poza kilkoma patykami i kłębkim wełny.

– Wełny?

– Tak – ciągnęła Lorna. – Kłębkim splełanych, czerwonych i białych nitek wełny.

– To chyba nic istotnego – powiedziałem. – Czy policja przeszukiwała ponownie rzeczy twojego ojca? Mam na myśli biuro.

– Nie. Dlaczego?

– Tak tylko mi przyszło do głowy. – Wzruszyłem ramionami i wypilem łyk herbaty. – Czy twój tata trzymał w domu jakiś terminarz?

– A czemu pytasz? – Wtrąciła się znowu Maggie z wyraźną nutą podejrzliwości w głosie. Podejrzliwość ma to do siebie, że się udziela, i zacząłem się zastanawiać, skąd u niej taka ostrożność.

– Jak już mówiłem, policja nie grzeszy nadmierną wyobraźnią, więc może nie wpadli na to, żeby sprawdzić, czy trzyma w domu coś takiego.

– Jimmy nie potrzebował terminarza – powiedziała Maggie. – Wszystko miał tu... – Postukała się w przykrytą lokami skroń.

– Tak przypuszczałem, zresztą nieważne...

– Myślisz, że coś by to dało? – spytała Lorna bez podejrzliwości, z jaką potraktowała moje zainteresowanie jej macocha.

– Możliwe. Przynajmniej dowiedzielibyśmy się, z kim się widział w dniu śmierci. – Postanowiłem odpuścić temat. Może to, co powiedziała Maggie, wystarczy, żeby Sneddon dał mi spokój.

Spędziłem tam ponad godzinę. A w każdym razie tyle, ile można by się spodziewać po partnerze pogrążonej w żałobie córki. Lorna odprowadziła mnie do drzwi i gdy już miałem wychodzić, przywarła do mnie w desperackim uścisku i pocałowała. Zasmuciło mnie to, bo naprawdę czegoś ode mnie potrzebowała, a ja naprawdę chciałem jej to dać. Ale nie mogłem, bo po prostu nie potrafiłem się tego w sobie doszukać.

Lorna i ja spotykaliśmy się w celach czysto rozrywkowych, nic ponadto. Miał to być tylko niezobowiązujący romans. Ale teraz, kiedy zamordowano jej ojca i została sama, nagle chciała czegoś więcej, na co żadne z nas wcześniej się nie pisało.

Chyba wyczuła, że nic z tego nie będzie, bo odsunęła się ode mnie. A gdy to do niej dotarło w całej pełni, jej twarz nabrała wyrazu chłodnej niechęci.

– Posłuchaj, Lorno... – zacząłem.

– Daruj sobie, Lennox – odparła.

Kiedy wychodziłem z podjazdu na ulicę, skręcający w kierunku domu samochód zahamował. Podziękowałem gestem ręki, ale kierowca nie zwrócił na mnie uwagi i ruszył dalej, gdy tylko odszedłem na bok. Nawet nie odwrócił głowy w moim kierunku, ja natomiast dobrze mu się przyjrzałem. Brunatnoczerwony samochód był dość luksusowy i prawie nowy – lanchester leda lub daimler conquest, wypolerowany do

połysku i wyglądający jak wydłużona kropla świeżej krwi. Sam kierowca też wyglądał dość wytwornie. Jechał bez kapelusza, więc dostrzegłem, że ma ciemne włosy i cienki wąsik. Miał około trzydziestki. Schludnie ubrany, marynarka prawdopodobnie szyta na miarę. Wsiadłem do zaparkowanego przy krawężniku samochodu, ale po chwili zastanowienia wróciłem pod dom, żeby sprawdzić, czego facet chce. Eleganckie ubranie i drogi samochód świadczyły o tym, że nie był gliniarzem. Wsiadłem z auta i podszedłem kawałek podjazdem, chowając się za krzakiem, żeby ukradkiem obserwować, co dzieje się przed domem. Był już przy drzwiach i okazało się, że miałem rację co do jego garnituru. Dużo kosztował. Mężczyzna był wysoki, może o kilka centymetrów wyższy ode mnie, co w Glasgow należało do rzadkości. Maggie otworzyła drzwi i wpuściła go do środka. Znali się, bez dwóch zdań. Oboje odruchowo obejrzelili się za siebie, jakby sprawdzając, czy nikt ich nie obserwuje. A może facet wspomniiał jej o naszym przelotnym spotkaniu na podjeździe. Zza krzaka trzmieliny, za którym się ukryłem, nie widzieli mnie jednak, i po chwili weszli do domu. Przywitani się ze sobą trochę jak osoby bliskie, a trochę jak współpracownicy. Może łączyły ich jakieś interesy.

Oczywiście ich dyskrecja miała swoje granice, bo w końcu Lorna nadal była w domu. A może... W głowie zaświtała mi mało pochlebna myśl na temat mojej świeżo osieroconej sympatii, ale niemal natychmiast puściłem ją w niepamięć. Żadnych teorii spiskowych, Lennox. A nawet jeśli coś jest na rzeczy – powiedziałem sobie – daj temu spokój. Przecież ostrzegano cię, żebyś pilnował własnego nosa. Poza tym, choć może istniał jakiś moralny imperatyw, aby postawić zabójcę Bilona przed obliczem sprawiedliwości, miałem inne, bardziej popłatne sprawy do rozpracowania.

Zresztą moralne imperatywy nigdy mnie za bardzo nie ruszały.

IV

Robiło się już późno, ale przyszło mi do głowy, aby przed powrotem do domu zejść jeszcze na szklaneczkę do pubu Pod Końskim Łbem, który stał się moim nieoficjalnym drugim biurem. Kiedyś było to moje główne biuro, ale ostatnio spędzałem tam mniej czasu, starając się – co prawda bez wielkiego przekonania – przyjmować raczej zlecenia niewiążące się z przekraczaniem granic prawa.

Kiedy wszedłem do środka, barman Wielki Bob uśmiechnął się do mnie. Odwzajemniłem uśmiech. Wielki Bob to porządny chłop. Często zastanawiałem się, czy został barmanem ze względów aliteracyjnych i czy gdyby miał na imię Stefan, to zostałby strażakiem. Cokolwiek robił, zanim wziął się za swój obecny fach, był bez wątpienia twardym skurczybykiem. Wojna skończyła się zaledwie kilka lat temu i istniała pewnego rodzaju niepisana umowa, że nawet jeśli rozpoznawało się innych mężczyzn, którzy przeżyli swoje w roli mięsa armatniego, to nie rozmawiało się o tym. Zauważało się zbieżność losów, ale się o nich nie rozprawiało.

– No, no, kurwa. – Bob nalał mi whisky Canadian Club. – Dokąd cię wywiało? Myślałem, że spieprzyłeś z powrotem do Kanady.

– Ty też pracujesz dla agencji turystycznej z Nowego Brunzswiku? – spytałem, a Bob spoważniał. – Byłem zajęty, Bob. Ktoś o mnie pytał?

– Nieee... tylko ten gnojek, o tam. – Skinął głową w kierunku stojącego przy drugim końcu kontuaru młodzieńca. Machnąłem na młodego zapraszającym gestem.

– Pewnie niańczy się z tym małym piwem cały wieczór, co? – rzuciłem do Boba, który przytaknął, posyłając mi porozumiewawcze spojrzenie. – Nalej mu świeży kufel.

– Jak leci, panie Lennox? – Davey Wallace podszedł do nas z promiennym uśmiechem i odebrał z rąk Wielkiego Boba duże piwo. Davey miał około metra siedemdziesiąt wzrostu, cerę czystą na tyle, na ile pozwalało glasgowskie powietrze, a na sobie nieco zbyt obszerny używany garnitur, który kiedyś był drogi. Kiedyś, czyli jedną wojnę i jedno pokolenie temu.

– Cześć, Davey – powiedziałem.

– Interesy w porządku? – zagadywał z entuzjazmem. – Prowadzi pan jakieś nowe sprawy?

– Wszystko po staremu, Davey – odparłem z uśmiechem. Davey Wallace był marzycielem. Porządnym chłopakiem, ale marzycielem. Dla wielu autochtonów Glasgow było na równi domem i więzieniem. Kratami, które ich więziły, był system klasowy i, w każdym niemal przypadku, brak jakichkolwiek realnych alternatyw wobec dożywotniej pracy fizycznej. Młodzież miasta ginęła w żarłocznych czeluściach hut i zakamarkach stoczni. Często zastanawiałem się, czy przypadkiem w glasgowskim szpitalu położniczym przy – nomen omen – Rottenrow⁹ w świadectwach urodzenia nie wpisują od razu „czeladnik” zamiast „chłopiec”.

Davey był właśnie czeladnikiem i pracował jako spawacz na porannej zmianie w stoczni. Rozpoczął tę pracę w wieku lat piętnastu i niechybnie przepracuje tam aż do emerytalnego sześćdziesiątego piątego roku swojego glasgowskiego żywota. Do tego czasu pewnie przejdzie mu entuzjazm do rock and rolla, bo przed czterdziestką ogłuchnie od ciągłego hałasu spawarek i nitownic. Ale na razie siedemnastolatek Davey Wallace, osierocony w wieku siedmiu lat, wychowywany w sierocińcu przez kolejnych osiem, jeszcze nieżonaty i bez dzieci, które nieuchronnie przypieczętowałyby jego losy w branży przemysłowej, każdego popołudnia i każdego sobotniego wieczoru szukał zapomnienia w kinie, gdzie obcował z nieco inną ekipą, złożoną z takich postaci, jak Bogart, Cagney, Mitchum, Robinson i Mature.

Kiedy dowiedział się, że jestem autentycznym prywatnym

⁹ Ang. zgniły zaulek.

detektywem, podszedł do mnie kiedyś w barze jak starogrecki pasterz do Zeusa. Od tamtej pory nie przepuścił żadnej okazji, żeby mi przypomnieć, że gdybym kiedykolwiek potrzebował pomocy...

– Dziękuję za piwo, panie Lennox.

– Nie ma za co, Davey. Nie powinienes już być w łóżku? Co z twoją ranną zmianą?

– Najczęściej śpiam popołudniami – odparł, po czym natychmiast uściślił: – Ale zawsze jestem do dyspozycji... wie pan, panie Lennox, gdyby kiedykolwiek potrzebował pan pomocy w którejś z prowadzonych spraw. Zawsze jestem tu dostępny.

Wymieniłem porozumiewawcze spojrzenia z Wielkim Bobem, który uśmiechnął się szeroko.

– Słuchaj, Davey – odparłem. – To nie całkiem tak, jak myślisz. Nie tak, jak w kinie. W tym, jak zarabiam na życie, nie ma niczego spektakularnego.

Spochmurniał. – Powinien pan spróbować pracy w stoczni. W porównaniu z nią wszystko jest spektakularne.

– Naprawdę? – odparłem z uśmiechem. – Sądziłem, że jest elektryzująca.

Davey albo nie złapał dowcipu, albo niezbyt mu się spodobał, bo wpatrywał się z ponurą miną w swój kufel, co stanowiło, zgodnie z moimi obserwacjami, pewną szkocką tradycję. Westchnąłem.

– Słuchaj, Davey, nie mogę ci zaproponować żadnej pracy, bo akurat nie mam na nią zapotrzebowania. Sam czasem jestem pod kreską. Ale umówmy się, że jeśli coś się pojawi na horyzoncie i na przykład będzie mi potrzebna dodatkowa para oczu albo jakaś inna pomoc, to dam ci znać. Okej?

Podniósł znad kufla rozpromienione oczy. – Jasne, panie Lennox. Może pan na mnie liczyć.

– W porządku, Davey. Dopij piwo i zmykaj do domu. Jak mówiłem, jeśli tylko będę czegoś potrzebował, odezwę się do ciebie.

Pozwoliłem mu pokręcić się jeszcze przy mnie, aż dokończył swoje piwo. Gdy wyszedł, Wielki Bob nalał mi kolejną

szklaneczkę Canadian Club.

– Zdajesz sobie sprawę, że trzymam tu te siki tylko dla ciebie?
– powiedział. – Czemu nie możesz pić szkockiej jak wszyscy inni?

Rozejrzałem się po barze, próbując przeniknąć wzrokiem sinoszarą zasłonę dymu papierosowego. W rogu siedziała stłoczona wokół stołu grupka starszych mężczyzn w cyklistówkach. Grali w domino, paląc niechlujne skręty. Pogrążeni w kłębach dymu, grę przerywali tylko, aby pociągnąć łyk whisky, a kamienie kładli na pokryty śladami po kuflach piwa blat stołu jak posępni tytani, przewracający nagrobki na cmentarzu. Glasgowska scena jakby żywcem wzięta z jakiegoś obrazu Goi.

– Nie wiem, Bob – odparłem z zadumą. – Może odkładam tę przyjemność na później...

– Do kurwy nędzy... – mruknął Bob, którego uwagę odciągnęło coś za moimi plecami. Odwróciłem się i zobaczyłem, że bocznymi drzwiami weszło do pubu czterech młodych mężczyzn.

– Tommy... Jimmy... – Bob wezwał pozostałych barmanów i z wyrazem determinacji na twarzach całą trójką wyszli zza kontuaru, kierując się w stronę nowo przybyłych. Goście ubrani byli w znoszone ubrania robocze. Jeden z nich miał na kurtce ciężką skórzaną kamizelkę, a wszyscy czterej nosili gumki. Włosy mieli dłuższe, niż to było przyjęte, a twarz tego w kamizelce okalały gęste, ciemne loki. Ogorzałe gęby świadczyły o tym, że większość czasu spędzali na wolnym powietrzu.

– Pieprzone pajki... – wymamrotał Bob pod nosem, przechodząc obok mnie. – No dobra, hałastra... wypieprzać stąd, i to migiem! Już nieraz mówiłem waszej bandzie, że to nie lokal dla takich jak wy.

– Chcemy się tylko napić – powiedział kędzierzawy z apatyczną miną i nieco irlandzkim akcentem. Najwyraźniej nie było mu obce powitanie, jakim uraczył go Wielki Bob. – Tylko mały drink. Po cichu i bez problemów.

– Nic tu nie dostaniecie. Tacy jak wy nie umieją pić spokojnie. Już kiedyś podobni wam zdemolowali mi lokal. A teraz fora ze dwora.

Jeden z intruzów spojrział na Boba zaczepnie. Jego poza świadczyła o tym, że szykuje się do rozróby. Kędzierzawy położył mu dłoń na ramieniu i powiedział coś, czego nie rozumiałem. Tamten jakby odpuścił i cała czwórka w milczeniu, choć nieśpiesznie, wyszła z pubu.

– Pieprzone pajki... – powtórzył Bob, gdy wyszli.

– Cyganie? – spytałem.

– Irlandzcy tinkersi. Przyjechali tu na jarmark Vinegarhill w Gallowgate. Obozują przy dawnej wytwórni octu.

– Wyglądali na dość rozsądnych – powiedziałem.

Wielki Bob skrzyżował muskularne ramiona na potężnej klatce piersiowej. – Taa... tacy się wydają teraz, ale wystarczy kilka kolejek i im, kurwa, odbija. Gdybym zaczął pozwalać tym włóczęgom tutaj pić, to wieczorami zbierałbym na opał resztki mebli. Skurwysynów interesuje tylko picie i bijatyki.

– Właśnie... picie i bijatyki – powtórzyłem, zastanawiając się, czym w takim razie różnią się ci włóczędzy od typowych glasgowskich klientów. – Zabawne, bo akurat niedawno oglądałem walkę pajków.

– Tak? Założę się, że to była istna jatka. Psychole, kurwa. – Bob pokręcił głową, co przypomniało mi, z jakim pełnym niedowierzania respektem wyrażał się o swoich fajterach Sneddon.

Wróciłem do siebie około dziesiątej wieczorem. Mijając drzwi do mieszkania Fiony White, usłyszałem, jak wyłącza telewizor. Kupiłem go sześć miesięcy temu, gdy moja płynność finansowa notowała akurat okresową zwyżkę. Wymyśliłem pretekst, że lepiej, aby odbiornik stał w salonie White'ów. Że niby jest tam więcej miejsca i takie tam. Prawda zaś była taka, że telewizja mnie nie interesowała. Nadal nie potrafiłem sobie jakoś wyobrazić, że mogłaby zastąpić radio. Jedno z moich

największych rozczarowań przeżyłem, zobaczywszy po raz pierwszy w telewizji aktora Valentine'a Dyalla. Okazało się, że głos Człowieka w Czerni ze słuchowiska *Spotkanie ze strachem* należał do kogoś wyglądającego na cierpiącego na niestrawność menedżera bankowego.

Ustaliłem z panią White, że będę mógł w dowolnym momencie skorzystać z telewizora, pod warunkiem że nie będzie jej to akurat w czymś przeszkadzało, natomiast ona i dzieci będą mieć do niego zupełnie swobodny dostęp. Wiedziałem, że chętnie korzystają z tej możliwości, choć pani White zawsze wyłączała odbiornik, gdy wracałem do domu. Gdy zapewniłem ją, że nie mam nic przeciwko temu, aby oglądała z córkami telewizję tak często, jak tylko mają na to ochotę, powiedziała, że boi się, by „nie zużyć kineskopu”. A tak naprawdę nie chciała mi po prostu nic zawdzięczać. Nikomu nie chciała nic zawdzięczać. Tę postawę przyjęła z pewnością na długo przed naszym pierwszym spotkaniem. Fiona White była atrakcyjną i jeszcze młodą kobietą, ale jak sięgałem pamięcią, nigdy nie widziałem, aby kiedykolwiek się uśmiechała.

Wszedłem na piętro do swojego mieszkania i posłuchałem przez chwilę serwisu zagranicznego, po czym przełączyłem radio na serwis krajowy. W wiadomościach znalazła się wzmianka o zbliżającej się walce między Bobbym Kirkcaldym i Janem Schmidtke. Była to jedna z najbardziej oczekiwanych walk w historii glasgowskiego boksu, mimo iż jej wynik był w zasadzie z góry przesądzony: powszechnie uważano, że Niemiec Schmidtke, pięściarz o mocnym ciosie, ale niezbyt szybki, zostanie zdeklasowany i rozgromiony przez mistrza walki technicznej Kirkcaldy'ego.

Uśmiechnąłem się z satysfakcją na myśl, że jednak udało mi się załatwić bilet na tę walkę. Mina mi jednak zrzędała, gdy uświadomiłem sobie, jak bardzo wzrosły ambicje Williego Snedдона i Jonny'ego Cohena. Udziałem w poczynaniach Bobby'ego Kirkcaldy'ego poszerzali bowiem swoją sferę wpływów poza Glasgow. Poczulem się nieswojo ze świadomością, że mogę zostać zamieszany w jakieś szemrane

interesy towarzyszące imprezie sportowej krajowego formatu.

No ale cóż, tego właśnie zazwyczaj dotyczyła moja praca: szemranych interesów.

Tego lata, a w zasadzie już od roku, czyli od czasu, kiedy miałem te wszystkie przeboje w stoczni, w wyniku których nabawiłem się kilku nadliczbowych dziurek, starałem się jakoś wyjść na prostą. Trudno byłoby podsumować moją drogę życiową bez użycia różnych niecenzuralnych sformułowań, więc nie pozostaje nic innego jak powiedzieć o moim życiu, że było dokumentnie popieprzone. Przypuszczam, że ludzie tak właśnie się o mnie wyrażali: „Aaa, Lennox... W porządziu gość, chociaż popieprzony”. Przez ostatnich dwanaście miesięcy czyniłem usilne starania, aby ten mój życiorys stał się nieco mniej popapwany. Miałem jedno wielkie pragnienie: któregoś ranka podczas golenia spojrzeć w lustro i nie czuć niechęci do faceta, który z niego spogląda.

Bogiem a prawdą, byłem kiedyś prostolinijnym, rozgarniętym i cholernie entuzjastycznym kanadyjskim chłopakiem, wyrastającym nad brzegami rzeki Kennebecasis u boku bogatych rodziców i wykształconym w elitarnej Szkole Kolegialnej w Rothesay. W tym wszystkim nie było akurat nic popieprzonego. Potem jednak pewien mały austriacki kapral postanowił spieprzyć nie tylko mój świat i okazało się nagle, że jestem oficerem Pierwszej Armii Kanadyjskiej i tkwię po kolana w błocie i krwi gdzieś sześć tysięcy kilometrów od domu. Pierwsza Kanadyjska, a w każdym razie jej wierchuszka, z ochotą wykorzystywała moich rodaków jako mięso armatnie. Normandia, Dieppe, Sycylia. Byliśmy zazwyczaj zapraszani jako pierwsi wszędzie tam, gdzie akurat miała miejsce jakaś poważna impreza, uatrakcyjniana pokazami artylerii robiącej sita z ludzkich ciał. Moja zamorska wycieczka rozpoczęła się na Sycylii i prowadziła dalej przez Włochy i Holandię aż do Niemiec. To właśnie gdzieś w trakcie tego mojego wielkiego europejskiego tournée chłopak znad Kennebecasis stał się

jedną z ofiar tej wojny. Kimkolwiek był człowiek, którym w owym czasie się stałem, doskonale odnajdywał się właśnie tutaj, w Glasgow.

I to właśnie tutaj, kiedy stałem w otrzymanym po demobilizacji garniturze, w jaki w przeciwnym razie nie ubrano by mnie nawet do trumny, trzymając w ręku bilet na statek do Halifaxu w Nowej Szkocji, po raz pierwszy zetknąłem się z Trzema Królami.

Istnieje błędny pogląd, że wszyscy gangsterzy są tacy sami. Podobnie wszyscy gliniarze są tacy sami, rzekomo. Niektórzy uważają nawet, czasem z dość uzasadnionych powodów, że między gangsterami i gliniarzami też nie ma żadnych różnic. W istocie kryminalny półświatek jest społecznością taką, jak wszystkie inne, i tak jak we wszystkich innych sferach życia można w nim spotkać najróżniejsze odmiany i typy osobowości. Trudno nawet powiedzieć, że łączącymi gangsterów cechami są nieuczciwość albo niemoralność. Niektórzy złoczyńcy przestrzegają bardzo surowego kodeksu moralnego. Inni nie.

Trzej Królowie byli tego dobrym przykładem. Jeśli coś w Glasgow znajdowało się poza sferą wpływów Williego Snedдона, Jonny'ego Cohena i Młota Murphy'ego, to znaczyło, że nie zasługuje na niczyje zainteresowanie. W 1948 roku w eleganckich podwojach restauracji Regency Oyster trzech głównych bossów półświatka Glasgow usiadło w cywilizowany sposób przy obiedzie, aby porozmawiać o przyszłości. Pod koniec tego spotkania podzielili między siebie równo należność za spożyty obiad, jednocześnie w taki sam mniej więcej sposób dzieląc strefy swoich wpływów w mieście.

Jednak wydarzenia, które rozgrywały się przed tym wiekopomnym obiadem, nie nosiły znamion niczego ani eleganckiego, ani cywilizowanego. Zacięta wojna gangów, toczona przez Snedдона i Cohena po jednej stronie oraz Młota Murphy'ego po drugiej, groziła tym, że wszyscy nawzajem się unicestwią. Poza tym pierwszą ofiarą tej wojny padły rzecz jasna zyski. W Regency miała miejsce koronacja i Sneddon,

Cohen i Murphy, trzej bossowie półświatka, wyłonili się stamtąd już jako Trzej Królowie.

Jak jednak wspominałem, nie ma dwóch identycznych osób, i Trzej Królowie byli bardzo odmiennymi osobowościami. Willie Sneddon to naprawdę odrażający typ. Przebiegły i niebezpieczny. Ten twardziel z Gorbals rabunkami, morderstwami i torturami dobił się pozycji na samym szczycie. Ale był inteligentny, wręcz finezyjny.

Dla Młota Murphy'ego finezja była pojęciem tak odległym, jak Antarktyda dla wielbłąda. Michael Murphy zyskał przydomek Młot po tym, jak w obecności dwóch rywalizujących gangów, posługując się ołowianym młotem budowlanym z krótką rączką, rozbił na miazgę czaszkę Paula Cochrane'a, szefa przeciwnego gangu. Murphy nie grzeszył nadmierną inteligencją, za to jego zaciekłość i bezwzględność były równie monumentalne, jak jego drażliwość i kompleks niższości. Entuzjastycznie dbał o podtrzymywanie legendy związanej ze swoim przydomkiem i krążyły słuchy, że korzysta z każdej nadarzającej się okazji, aby swoim młotem potraktować kolana, łokcie i czaszki przeciwników. Kiedyś nawet sam mi się zwierzył, że podstawa to być rozpoznawalnym.

Jonny Cohen, trzeci z królów, stanowił doskonały przykład tego, jak szeroki był wachlarz osobowości i charakterów wśród przestępczej społeczności. Przystojniak Jonny, nazywany tak z racji swojej godnej gwiazdy filmowej fizjonomii, był miłym gościem i oddanym mężem oraz ojcem, wiodącym spokojne życie w Newton Mearns, czyli Tel Awiwie nad rzeką Clyde, jak miejscowi nazywali tę podglasgowską miejscowość. No w każdym razie był to miły, wiodący spokojne życie facet wtedy, kiedy nie napadał na banki, nie organizował kradzieży kosztowności, nie zajmował się nielegalnymi usługami bukmacherskimi i tym podobnymi rzeczami. Jednak prawdą było też, że swego czasu Jonny oddelegował kilka dusz w rejony bliższe Panu, choć przecież wszystko to byli rywale lub aktywni uczestnicy tej wielkiej glasgowskiej zabawy. Innymi słowy, nigdy nie byli to cywile. Lubilem Jonny'ego. Miałem po temu

dobre powody: kiedyś ocalił mi skórę, poza tym kiedy przybyłem do Glasgow, to właśnie on jako pierwszy zasugerował, że jemu i jego kolegom po fachu mogłyby się przydać moje umiejętności.

Nie zrozumcie mnie źle. Dokładnie wiedziałem, z jakimi ludźmi wchodzę w konszachty. Pojmowałem też, że niektóre z tak zwanych dochodzeń, jakie dla nich prowadzę, balansują na bardzo nieostrej granicy tego, co legalne, a często ją przekraczają. Uwikłałem się w jakieś podejrzone i bardzo nieprzyjemne interesy i coraz wyraźniej czułem, że mój charakter zmienia się w sposób budzący mój wewnętrzny sprzeciw. Dlatego właśnie przez ostatnich dwanaście czy trzynaście miesięcy próbowałem dojść ze sobą do ładu, a to się wiązało z ograniczeniem kontaktów z Trzema Królami. Zamiast tego angażowałem się w chwalebna i szlachetna pracę na rzecz społeczeństwa, która polegała głównie na inscenizowaniu w obskurnych hotelach scenek niewierności małżeńskiej na potrzeby spraw rozwodowych. Te dwie sprawy, którymi zajmowałem się obecnie, stwarzały niebezpieczeństwo, że znowu wejść w bliską komitywę z najgroźniejszymi ludźmi w Glasgow.

Przestępczą brać łączy jedno, a mianowicie nienormowany czas pracy. Wymuszenia z groźbą karalną, napady z bronią w rękę, nadzór nad burdelami i inne rodzaje występku to wyczerpujące zajęcia, więc przeciętny gangster raczej nie jest rannym ptaszkiem. Postanowiłem zatem poczekać ze złożeniem wizyty Jonny'emu Cohenowi do popołudnia, mimo iż wiedziałem, że spośród wszystkich Trzech Królów to on prowadzi najbardziej unormowany tryb życia. Zadzwoiłem do niego po obiedzie i umówiliśmy się na spotkanie o piątej po południu w dogodnym dla nas obu miejscu, czyli w klubie Pacific.

Stałem przed klubem, kontemplując *glamour*. Zabawna rzecz. Samo słowo jest jak najbardziej szkockie – oznacza urok

albo zaklęcie rzucone na kogoś, by go oczarować. Dziwne, że choć wymyślili to określenie właśnie Szkoci, pozostawało ono całkiem obce ich naturze. Kiedy próbowali być glamour, zawsze wszystko wychodziło nie tak. Choć nie, to nie do końca prawda. Istniały przecież wyjątki: na przykład Sheila Gainsborough była ucieleśnieniem glamour. Odznaczała się naturalnym wdziękiem – rzadkie osiągnięcie, biorąc pod uwagę, że pochodzenie zupełnie jej do tego nie predysponowało.

Pacific miał być w założeniu klubem ekskluzywnym, obdarzonym glamour. Ale nie był. Co więcej, porażka w tym względzie była rzędu tych, jakie polepszyłyby samopoczucie Neville'owi Chamberlainowi po Monachium. Klub Pacific zajmował parter i przyziemie brudnego od sadzy budynku przy ulicy Broomielaw, na północnym nabrzeżu rzeki Clyde, przecinającej centrum miasta. Nawet za dnia było to mroczne miejsce, gdyż mieściło się niemal pod samą żelazną kratownicą przecinającego rzekę mostu kolejowego. Kiedy tam przybyłem, słońce jeszcze prażyło i z ulgą zanurzyłem się w wilgotny chłód klubu, jakbym wchodził do jakiejś podziemnej groty.

Oficjalnie Pacific był prywatnym klubem, dostępnym tylko dla członków. Dzięki takiej sprytniej formule prawnej Przystojniak Jonny Cohen mógł ominąć większość przepisów regulujących sprzedaż alkoholu. Jak większość tego rodzaju nocnych lokali, za dnia przybytek ów sprawiał tandetne, przygnębiające wrażenie. Nadmorski kurort poza sezonem – to chyba dobre porównanie. W środku powietrze było jeszcze przejrzyste, ale i tak miało się wrażenie, jakby wszystkie powierzchnie tchnęły mdlącym odorem stęchłego tytoniu. W pomieszczeniu stały ze dwa tuziny stolików z ułożonymi na blatach krzesłami, była też nieduża scena i narożny barek. Tematyka morska sprowadzała się zasadniczo do wiszących na ścianach kół ratunkowych z napisami „KLUB PACIFIC” i niedbale rozwieszonych nad sceną fragmentów sieci rybackich. Barek z półokrągłym kontuarem opatrzony był naniesionym na wyrzucony przez morze kawałek drewna napisem „HAWAJSKI BAR HULA”, wokół którego

poprzączepiano jeszcze kilka kawałków sieci. W sieć wetknięto na chybił trafił kilka krabich skorup. Może świadczyło to tylko o moich osobistych ograniczeniach, ale nie potrafiłem sobie wyobrazić miejsca w znanym nam wszechświecie, a prawdopodobnie i kilku innych, równoległych, które mniej przypominałoby skąpaną w promieniach słońca i otoczoną lazurowym morzem tropikalną wyspę niż Broomielaw w Glasgow.

Choć musiałem przyznać, że klub Pacific nieźle nadawał się do nawiązania intymnej znajomości z pewnym gatunkiem małych krabopodobnych żyjątek.

Wszedłem do środka mniej więcej za dziesięć piąta, kiedy obsługa właśnie zdejmowała ułożone na stolikach krzesła i przygotowywała się do kolejnego długiego wieczoru, pełnego zbyt drogich drinków, zbyt skąpo ubranych dziewcząt i miernego jazzu. Przystojniak Jonny był już na miejscu. Uśmiechnął się do mnie promiennie, ujawniając nieskazitelne uzębienie nad opatrzonym dołkiem wydatnym podbródkiem w stylu Cary’ego Granta. Wyglądał schludnie i emanował świeżością i pewnością siebie. Też potrafię się odstawić, ale przy Jonnym wymiękałem – miałem nieodparte wrażenie, że jego krawiec i fryzjer spiskują, aby mnie wpędzić w kompleks niższości. Moja koszula lepiła się do spoconych pleców. Ciemne, gęste włosy Jonny’ego były doskonale przystrzyżone i przemknęło mi przez głowę pytanie, czy a nuż nie dałbym rady latać co dwa tygodnie do Hollywood na wizyty u prywatnego fryzjera. Postanowiłem na razie nie zdejmować kapelusza.

– W Szkocji wciąż bez zmian, Lennox? – Uścisnęliśmy sobie dłonie na powitanie.

– Nie ta postać.

– Co?

– Te słowa padają pod adresem innej postaci z Makbeta. To Macduff pyta Rossa: „W Szkocji wciąż bez zmian?¹⁰”. Lennox niewiele się w sztuce do kogokolwiek odzywa. Trwa tylko przy swoim królu i w końcu zostaje za to zgładzony.

– Takim właśnie jesteś Lennoxem? Pytanie, którego byś się trzymał króla. – I nie czekając na odpowiedź, dodał z uśmiechem. – Wiesz, co w tobie lubię, Lennox? Rozmawiając z tobą, zawsze można się czegoś nauczyć.

– To zasługa towarzystwa, w jakim się obracam. Ostatnio szwendam się po okolicy z Pedikiurkiem McBride’em. Czasem, kiedy się spotykamy, robimy sobie burzę mózgow. Tak czy inaczej, myślę, że i ty, i ja czegoś się od siebie nawzajem nauczyliśmy... i o sobie nawzajem dowiedzieliśmy... prawda, Jonny?

Uśmiech nie zniknął z twarzy Jonny’ego, ale nieco się zmienił, tak jakby tarczę słońca przesłonił na moment skrawek obłoku. – Co mogę dla ciebie zrobić, Lennox?

– Pracuję obecnie nad dwiema sprawami i w pewnym sensie obie mają związek z tobą.

– Tak? Przypuszczam, że chodzi między innymi o to zamieszanie z Bobbym Kirkcaldym.

– Willie Sneddon prosił mnie, żebym porozmawiał z Kirkcaldym. Wygląda na to, że ktoś próbuje nastraszyć tego waszego fajtera.

Ktoś z obsługi włączył odkurzacz i Jonny skrzywił się, słysząc jego wycie. Kiwnął, abym poszedł za nim i usiedliśmy w oddalonej części klubu, przy stoliku stojącym na niewysokim podium sąsiadującym z niedużą sceną. Dziwne było widzieć tutaj Przystojniaka Jonny’ego Cohena, bo zupełnie do tego lokalu nie pasował. Tym bardziej dziwne, bo w końcu lokal był jego własnością. Gdybyście zobaczyli go tu w roli klienta, z jego aparycją, fryzurą i w szytym na miarę, ekskluzywnym garniturze, pewnie zachodzilibyście w głowę, co tutaj robi. Tylko że Jonny nie był klientem klubu Pacific, lecz jego właścicielem. I jako biznesmen wiedział doskonale, że nie warto marnować czasu ani pieniędzy na doprowadzanie tej speluny do poziomu odpowiadającego jego wyrafinowanym gustom.

Zdjąłem kapelusz. Przyglądziłem dłonią fryzurę od ’Phersona – najlepszą, jaka była dostępna w Glasgow za cenę półtora

szylinga. Faktycznie, do fryzur hollywoodzkich trochę jej brakowało.

– Chwileczkę... – Jonny wstał i podszedł do jednej z dziewcząt, uruchamiającej bar. Wrócił z promiennym uśmiechem. – Mam dla ciebie małe co nieco.

Dziewczyna podeszła z butelką i dwiema szklaneczkami.

– Dzięki, Fran... – powiedział Jonny, odebrał butelkę z rąk dziewczyny i wyciągnął ją w moim kierunku w takim geście, jakby przyznawał mi nagrodę.

– Prosto z Bardstown w Kentucky. Burbon Heaven Hill. Wiem, że wolisz żytnie od szkockich. Spróbuj. – Nalał mi szklaneczkę.

– Doskonały... – powiedziałem. Burbon był faktycznie wyśmienity.

– Wiesz o tym, że Sneddon i ja zainwestowaliśmy w Kirkcaldy'ego?

– Tak, wiem. A co z Murphym?

Jonny potrząsnął przecząco głową, jakbym mu zaproponował, żeby sprzedał swoją siostrę do burdelu. – On nie. I najlepiej by było, gdyby w ogóle się o tym nie dowiedział. Zawsze narzeka, że go nie uwzględniamy przy różnych interesach. Tym razem faktycznie go olaliśmy. Zacząłby się szarogęsić, a z Kirkcaldym współpracują też inni, którzy uciekliby gdzie pieprz rośnie po pierwszym spotkaniu z Murphym.

– Znam to uczucie – odparłem.

– Sneddon ma bzika na punkcie tej sprawy z Kirkcaldym, wiesz, z tym nękaniem – powiedział Jonny, niemal wzdychając.

– Rozumiem go.

Jonny pokręcił głową. – Coś tu jest nie tak, Lennox. Tu nie chodzi tylko o zastraszenie. Wszystkie te pierdoły... stryczki podrzucane na próg.

– Stryczki? – Odstawiłem drinka. – Sneddon nie mówił nic o stryczkach. Powiedział tylko, że ktoś oblał Kirkcaldy'emu samochód farbą i wrzucił martwego ptaka do skrzynki na listy.

– Taa – odparł Jonny. – To też. Położył mu również stryczek na progu. A czy Sneddon mówił ci o tej farbie na samochodzie?

Znaczy, jakiego była koloru?

Potrząsnąłem przecząco głową.

– Była czerwona. Krwistoczerwona. A ten martwy ptak to nie żaden wróbel czy podobne gówno. To był gołąb. Biały gołąb. O co w tym, kurwa, chodzi?

– Razem wzięwszy, wygląda mi na to, że ktoś grozi Kirkcaldy’emu śmiercią – powiedziałem. – Moim zdaniem ktoś próbuje wymusić na nim, żeby przegrał nadchodzącą walkę – pasuje jak ulał.

– Nieee... coś w tym wszystkim nie gra – odparł Jonny. – To ja zasugerowałem Sneddonowi, żeby zlecić ci tę robotę. To coś więcej niż nieudolne próby ustawienia walki. Wiesz, o co mi chodzi?

Wzruszyłem ramionami. – Sprawdzę wszystkie możliwe tropy, jak to mówią we wszystkich najlepszych filmach kryminalnych.

– Wspomniałeś o dwóch.

– Co?

– Wspomniałeś o dwóch sprawach, nad którymi pracujesz i które mają ze mną jakiś związek.

– A, tak... No, może nie tyle z tobą, ile z tym miejscem – powiedziałem, rozglądając się wkoło. – Znasz może pieśniarkę Sheilę Gainsborough?

– Jasne. To ta glasgowska dziewczyna, która zrobiła karierę. Ma ładny głos.

– I na dodatek duże niebieskie oczy – dorzuciłem. – Chodzi o to, że zaginął jej brat.

– Sammy Gainsborough.

– Sammy Pollock. Gainsborough to jej pseudonim artystyczny. Teraz również nazwisko, bo zmieniła je prawnie, ale nazywała się Pollock. Jej brat nazywa się Sammy Pollock.

– To się nie zdziw, bo on też używa teraz nazwiska Gainsborough, przynajmniej na gruncie zawodowym. Wygląda na to, że stara się zdyskontować sukces starszej siostry.

– A więc znasz go.

– Pewnie. Śpiewał tu kilka razy. Rewelacji nie było. Głos ma

w porządku, ale do siostry się nie umywa.

– Kiedy tu ostatnio śpiewał?

– Ze trzy tygodnie temu. – Jonny wyjął z kieszeni papierošnicę i poczęstował mnie zawartošcią. Zapaliliśmy. – Sammy wskoczył na miejsce kogoš, kto w ostatniej chwili odwołał występ. Ale nie miał tu stałego angažu. Od tamtej pory go tu nie widziałem, nawet jako klienta.

– Był stałym bywalcem?

– W miarę. Włašnie dlatego mógł podmienić gošcia, który nawalił z powodu choroby. Nie chodziło nawet o to, że jest pod telefonem. Po prostu był akurat na miejscu.

– Wiedziałeš o tym, że zadaje się z synem Jimmy’ego Costello?

– Z Paulem Costello? – Zmarszczył czoło Jonny. – Nie, nie wiedziałem. No, ten to faktycznie śliska sztuka. Teraz, kiedy o nim wspomnialeš, przypominam sobie, że widziałem go w klubie kilka razy. Nie przypuszczałbym jednak, że ma coś wspólnego z Sammym. Chyba nie spotkałem ich nigdy razem, w každy razie tu, w klubie. Sądziš, że młody Costello ma coś wspólnego z zaginięciem Sammy’ego Gainsborougha?

– Nie wiem, Jonny. On twierdzi, że nawet nie wiedział o zniknięciu Sammy’ego. Który zresztą może wcale nie zaginał, tylko poszedł gdzieš w tango i za dzień, dwa się pojawi.

– Ješli faktycznie zaginał, to uważnie bym się przyjrzał temu Costello. Ten pokręcony gnojek wdał się pewnie w swojego starego, więc próbuje rwać kasę, gdziekolwiek ją wywęšzy.

– Będę wyczulony na tego typka. Na ile dobrze znasz Costello? Chodzi mi o starszego.

– Niewiele miałem z nim do czynienia. Prowadzi kantor bukmacherski i pub na East Endzie. Płaci haracz Młotowi Murphy’emu, a Murphy co jakiś czas zwraca się do niego o jakieš przysługi. Wiesz, wypożycza czasem goryli i takie tam. Murphy faktycznie zachowuje się jak udzielny władca. Albo feudał. Costello robi, co mu każą, i płaci, ile zawołają, a reszta to juź jego sprawa – może robić swoje, pod warunkiem że Murphy o tym wie.

– No tak, nic nowego. I Costello junior uczy się fachu od swojego tatuśka?

– Costello ma dwóch synów – Paula i starszego Michaela. Nie wydaje mi się, aby poświęcał zbyt wiele uwagi któremukolwiek z nich. Paul to palant, a Michael sprawił swojemu staremu spory zawód.

– Naprawdę?

– Taa... wyobraź sobie, jaki wstyd – poświęcasz całe życie złodziejstwu, a własne dziecko wyrasta ci na uczciwego człowieka. Dla starego Costello musiał to być spory cios, gdy okazało się, że owoc jego lędźwi to syn wyrodny, który zapragnął być praworządnym obywatelem. Michael podobno rozważał nawet kiedyś wstąpienie do seminarium duchownego, ale w końcu przeniósł się do Edynburga i pracuje jako urzędnik państwowy.

– Cholera... – Zarówno ton mojego głosu, jak i mina wyrażały współczucie dla ojca i syna. – Urzędnik państwowy w Edynburgu. Nikt nie zasługuje na taki los. A słyszałeś może o Francuzie nazywającym się Barnier?

– Chodzi o Alaina Barniera? Pewnie. A czemu pytasz?

– Według Sheili Gainsborough kręcił się wokół Sammy’ego Pollocka.

Na twarzy Jonny’ego pojawił się uśmiech. – Alain Barnier wokół nikogo się nie kręci. To inni kręcą się wokół niego. Barnier to kombinator.

– Komu podlega?

– Nikomu.

– Daj spokój, Jonny. Każdy, kto w tym mieście coś knuje, ma konszachty z tobą, Murphym albo Sneddonem.

– Barnier zasadniczo działa w ramach prawa. Jasne, ma kilka dochodowych lewizn, ale nic takiego, czym bylibyśmy zainteresowani. Zdarza się, że ubijam z nim jakiś interesik.

– A konkretnie? W jakiej branży on działa?

– Oficjalnie jest importerem. Sprowadza głównie wina. I inne alkohole. Ściąga też różne rzeczy z Dalekiego Wschodu. Meble, ozdoby, tego rodzaju pierdoły. Mieszka tu od dwóch lat

i zaopatruje te bardziej ekskluzywne restauracje w mieście. No i w Edynburgu. Ale gdybyś potrzebował cokolwiek innego, pewnie też mógłby to załatwić. – Jonny nalał nam jeszcze po szklaneczce Heaven Hill i znowu obrócił w moją stronę nalepkę na butelce burbona. – Zdobyłem poprzez Barniera. To samo z koniakiem.

– Niech zgadnę: nie zależy mu za bardzo na przeciążaniu pracą celników?

– Tak, pod tym względem jest bardzo troskliwy. Oszczędza naszym zapracowanym urzędnikom państwowym sporej dozy papierkowej roboty. Zawsze sprowadza jednak towary z najwyższej półki. W każdym razie żadnego z tych dóbr raczej nie uświadczysz na targowisku Paddy's Market. Co niektórzy twierdzą, że ta sfera jego działalności nie przynosi jednak aż takich profitów jak niegdyś. Zakończenie reglamentacji źle wpłynęło na interesy.

– A co z papierosami? Też je przemycą? Na przykład jakieś luksusowe francuskie marki?

Jonny wzruszył ramionami. – Wątpię. Chociaż z drugiej strony...

– Słyszałeś kiedyś o klubie Czerwony Mak, Jonny? Możliwe, że ma coś wspólnego z Barnierem, a już na pewno z Sammym Pollockiem.

– Klub Czerwony Mak?

– W książce telefonicznej go nie znalazłem. Może nie ma koncesji na alkohol.

– Nie zetknąłem się z tą nazwą, Lennox. – Gdy nalewał mi trzeciego drinka, zaczynałem mieć już wypieki na twarzy. Ponownie rozejrzałem się po Pacificu, ale klub nie nabrał rumieńców i nadal robił przygnębiające wrażenie.

– Gdzie mógłbym znaleźć Barniera? – spytałem.

– Bywa tutaj, gdy gramy jakiś dobry jazz. W piątki. Ale nie w każdy piątek. Najszybciej złapiesz go nad rzeką. Ma tam coś w rodzaju biura. Choć bardziej przypomina to szopę. W pobliżu składów celnych.

– Czy to tam „wyzwala” swoje towary?

Jonny wzruszył ramionami. – Nie mam pojęcia. Jeśli tak, to chyba dzięki łapówkom. Jakaś szara koperta od czasu do czasu dla dozorey, gliniarza albo celnika. Jak już mówiłem, Barnier nie jest jakimś zatwardziałym kryminalistą. Działa po prostu na granicy prawa. Powinniście się dogadać.

– Pójdę już – powiedziałem, dopijając burbon. – Dzięki za whisky.

Jonny odprowadził mnie do drzwi. Przez chwilę staliśmy na zewnątrz, mrużąc oczy, by po wyjściu z mrocznych czeluści Pacificu przywykły do jasnych promieni słońca.

– Lennox? – powiedział Jonny, zasłaniając oczy dłonią.

– Tak?

– Ta druga sprawa, dotycząca Sammy’ego Pollocka: wiem, że musisz się nią zająć, ale dowiedz się, do diabła, co się wyrabia wokół Bobby’ego Kirkcaldy’ego, bo Sneddon dostanie świra. Do walki zostało jeszcze tylko ponad dwa tygodnie. Jak mówiłem, moim zdaniem coś w tym wszystkim śmierdzi.

– Zobaczę się z nim dziś wieczorem. Jeszcze raz dzięki za burbona.

Jonny miał rzecz jasną rację. Myśląc o sprawie Sammy’ego Pollocka, intuicyjnie wyczuwałem kłopoty. Od sprawy Kirkcaldy’ego bił natomiast zapach pieniędzy. Ich woń wokół niego była tak intensywna, że dobrze wróżyła moim dochodom – gdybym rozwikłał tę kabałę dla Jonny’ego Cohena i Williego Snedдона, mógłbym liczyć na niemałą premię. Poza tym, zgodnie z obietnicą daną Sheili Gainsborough, zdołałem już trochę powęszyc w sprawie jej brata. Coś w tym zniknięciu Sammy’ego nie dawało mi spokoju. Tak czy inaczej, od dawna nie miałem okazji, żeby odświeżyć swoją francuszczyznę.

V

Imperium brytyjskie, efekt najzarłocniejszego procesu grabieży ziemi od czasu, gdy Dżyngis-chan wsiadł na konia, było czymś doprawdy niezwykłym. A niezwykłym czynił je przede wszystkim fakt, że zostało stworzone przez Brytyjczyków, najbardziej chyba skruszony naród na świecie. Zawsze wyobrażałem ich sobie jako takich współczesnych wikingów o nienagannych manierach, okropnie zażenowanych z powodu dokonywanych przez siebie gwałtów i łupiestwa. Przypuszczam, że moje zainteresowanie rozsianymi po całym globie koloniami, dominiami, protektoratami, terytoriami mandatowymi i zależnymi wynikało stąd, że sam byłem żywym przykładem tego, jak funkcjonuje cały ten kolonialny twór: urodziłem się w Glasgow, ale opuściłem je wraz z rodzicami jeszcze jako niemowlę i znalazłem się w Kanadzie, która nadal miała status dominium. Dwadzieścia jeden lat później okazało się nagle, że oddalona o sześć tysięcy kilometrów „macierz”, z którą ani nie utrzymywałem żadnych bezpośrednich kontaktów, ani nawet nie miałem żadnych związanych z nią wspomnień, pilnie potrzebuje mojej pomocy.

A teraz, po kolejnych szesnastu latach, mieszkałem w drugim mieście imperium, nad którym, mimo zapewnień w szkolnych podręcznikach, z całą pewnością zachodziło już słońce. Od półtora wieku Glasgow stanowiło przemysłowe serce tego imperium. Wojna wszystko wywróciła jednak na nice. Wielka Brytania niemal w jej wyniku zbankrutowała. Gdyby w 1946 roku Stany Zjednoczone nie udzieliły jej pożyczki w wysokości prawie czterech miliardów dolarów, królewska wyspa nie uniknęłaby bankructwa. A teraz dawni wrogowie szybko stawali się rywalami w takich dziedzinach jak przemysł stoczniowy i ciężki. Świat zmieniał się szybko. Wielka Brytania

jeszcze szybciej. A najszybciej Glasgow.

Trudno byłoby jednak wysnuwać podobnie ponure wnioski, patrząc na tętniącą życiem stocznię, obok której właśnie przejeżdżałem. Było w pół do jedenastej rano i już panował upał. Miałem opuszczone szyby w obu oknach atlantica i gdy mijałem kolejne keje, w powietrzu tak parnym, że wiszący w nim kurz można by odsącać sitem, rozbrzmiewały głuche, lecz donośne odgłosy tłuczonego, ciętego i spawanego metalu. Miało się wręcz wrażenie, że sama ta krzątająca podnosi temperaturę otoczenia.

Po lewej, tuż przy nabrzeżu wyrastał las pozostających w nieustannym ruchu dźwigów, które niestrudzenie prowadziły załadunek i rozładunek zadokowanych statków albo dostarczały do stoczni ogromne arkusze grubej blachy. Minąłem wielkie, pięciokondygnacyjne, zbudowane z czerwonej cegły stoczniove składy celne, otoczone wysokim ogrodzeniem. Zaparkowałem na ulicy i podszedłem do stróżówki, aby zapytać, gdzie znajduje się biuro Alaina Barniera. Stróż okazał się, jak zwykle, zblazowanym emerytowanym gliniarzem, od którego udało mi się wyciągnąć jedynie namiary na jakieś małe biuro spedycyjne, gdzie być może mógłbym uzyskać dalsze informacje. Pół godziny zajęło mi rozpytywanie o Barniera, zanim wreszcie dowiedziałem się, jak trafić do jego dziupli. Dotarłem tam po jedenastej.

Biuro, a w zasadzie bardziej szopa, okazało się jednym z szeregu półcyldrycznych baraków z blachy falistej, przypominających wystające z ziemi powalone pnie sekwoi. Napis nad drzwiami głosił „Agencja Importowa Barnier i Clement”. Zapukałem i wszedłem do środka. Od razu zorientowałem się, że nie jest to żadna przykrywka, lecz autentyczne, pełną parą działające biuro, panował w nim bowiem pewien niemożliwy do podrobienia rodzaj uporządkowanego chaosu. Część dla petentów oddzielał od reszty baraku kontuar, na którym znajdował się dzwonek recepcyjny, a obok niego metalowy szpikulec pełen nabitych dokumentów przewozowych. Za kontuarem stały trzy biurka,

z pół tuzina szaf na dokumenty i kobieta.

Kobieta miała jakieś metr pięćdziesiąt pięć i ubrana była w nadający jej profesjonalny wygląd szary kostium, nieco ciągnący się w okolicach talii i biustu. Jej okrągłą, bladą twarz okalały ciemne loki, tak mocno zaondulowane, że chyba przetrwałyby wybuch bomby jądrowej. Wąskie usta umalowała czerwoną szminką dość odważnie, by sprawiały wrażenie obfitszych.

– W czym mogę pomóc? – spytała, podchodząc do kontuaru zza swojego biurka. Jej wąskie wargi rozciągnął wyrażający zmęczenie, zdawkowy uśmiech.

– Szukam pana Barniera.

– Chodzi może o ki lana?

– Ki lana? – Zmarszczyłem brwi. – Co to jest ki lan?

Zignorowała moje pytanie. – Pana Barniera w tej chwili nie ma. Był pan umówiony?

– Nie, nie byłem. A kiedy wróci?

– Musiałby się pan najpierw umówić.

– Dziękuję, świetnie sobie radzę bez takich ceregieli. No więc... Kiedy wróci?

Wlepiła we mnie osadzone w okrągłej twarzy duże, zielone oczy, jakbym był kompletnym idiotą. – Umówić... – niemal wysylabizowała, jak to z upodobaniem robił Pedikiurek McBride.

– Nad drzwiami pisze „Barnier i Clement”. Może jest pan Clement?

– *Monsieur Klemą* – poprawiła mnie, wymawiając francuskie nazwisko bez końcowego „t” i kalecząc je przy okazji tak, jak to tylko Szkoci potrafią – tu nie pracuje. Kieruje naszym francuskim biurem.

– Rozumiem...

Z boku kontuaru znajdował się odchylany blat na zawiasach i podnosząc go do góry, przeszedłem na jej stronę. Jej duże oczy zaokrągliły się jeszcze bardziej.

– Tu nie wolno wchodzić...

– Poczekam – odparłem i usiadłem za jednym z biurek,

kładąc kapelusz na stercie papierów. – To chyba najlepsze wyjście, skoro nie jest mi pani w stanie powiedzieć, kiedy pan Barnier wróci ani gdzie go mogę znaleźć.

Moja przysadzista przyjaciółka z wielkimi oczyma i wąskimi, wymalowanymi ustami podniosła i przytrzymała blat kontuaru, dając mi niedwuznacznie do zrozumienia, że mam się wynosić. – Nie może pan poczekać.

– No i znowu mnie pani nie docenia. Mogę. Już to robiłem. Wielokrotnie. Tak między nami, jestem w tym nawet dość dobry.

Podniosła słuchawkę telefonu na swoim biurku i wykręciła jakiś numer. Odwróciwszy się do mnie plecami, zaczęła coś mówić do mikrofonu ściszym, lecz zaafekowanym głosem. Po chwili, w milczeniu podała mi słuchawkę.

Uśmiechnąłem się do niej radośnie. Nasza współpraca doskonale się rozwijała.

– Pan mnie szukał? – Głos po drugiej stronie słuchawki włądzał doskonałym angielskim. Francuski akcent był wyczuwalny, ale niezbyt silny.

– Pan Barnier? Czy moglibyśmy chwilę pogawędzić?

– Pogawędzić o czym? – Nie wyczułem w jego głosie żadnej podejrzliwości ani rezerwy. Tylko zniecierpliwienie.

– Próbuję się z kimś skontaktować, a pan mógłby mi pomóc tę osobę odnaleźć.

– A o kogo chodzi?

– Wolalibyśmy z panem porozmawiać w cztery oczy. I to jak najszybciej, jeśli nie ma pan nic przeciwko temu. Gdzie moglibyśmy się spotkać?

– Ale kogo pan szuka? – spytał znowu swoją nienaganną, wyuczoną angielszczyzną.

– Sammy’ego Pollocka. Może pan go znać pod nazwiskiem Gainsborough.

W słuchawce zapadło na chwilę milczenie. Po czym padło kolejne, stuprocentowo poprawne pod względem gramatycznym zdanie. – Coś mi mówi, że pana prośba ma charakter zawodowy, a nie prywatny. Nie przedstawił pan się

jednak pani Minto jako funkcjonariusz policji.

– To dlatego, że nim nie jestem. Gdybym tak postąpił, musiałbym kogoś odgrywać, a nie jestem w tym zbyt dobry, proszę mi wierzyć. Potrafię udawać tylko Maurice’a Chevaliera, ale jako Francuz z pewnością by się pan zorientował.

– Nie mam czasu na takie podchody. Jak się pan nazywa?

– Lennox. Zna pan Sammy’ego Pollocka, prawda, panie Barnier?

– Tak, znam go, ale niezbyt dobrze. Prawdę mówiąc, znam go na tyle słabo, że raczej nie pomogę w jego poszukiwaniach.

– Mimo wszystko chciałbym z panem porozmawiać, panie Barnier.

– Obawiam się, że jestem na to zbyt zajęty. I nie potrafię panu pomóc. Pan prowadzi dochodzenie, czyż nie? Przypuszczam, że mam do czynienia z prywatnym detektywem?

– Po prostu komuś pomagam, panie Barnier. Sammy Pollock zaginął i staram się ustalić miejsce jego pobytu i stan zdrowia. Byłbym zobowiązany, gdyby poświęcił mi pan kilka minut. Może ma pan jakieś informacje, które wydają się panu nieistotne, a mnie mogłyby ułatwić odszukanie Sammy’ego.

– Przykro mi. Jak już mówiłem, nie mam czasu...

– W pełni rozumiem. Przekażę to panu Cohenowi. To właśnie on zasugerował, żebym z panem porozmawiał.

Dostałem wreszcie to, na co czekałem: krótką chwilę ciszy po drugiej stronie. Barnier układał sobie teraz w głowie to i owo. Było mi w sumie wszystko jedno, czy ta układanka będzie miała ręce i nogi, czy nie.

– Czy zna pan restaurację Kupiecka Pieczeń w śródmieściu? – odezwał się wreszcie z westchnieniem.

– Znam – odparłem. Kupiecka Pieczeń była jedną z restauracji nie dla motłochu. W mieście, w którym motłoch dominował. Barnier najwyraźniej miał klasę, no i pieniądze. Trudno było przypuszczać, że ktoś taki zadaje się z Sammym Pollockiem. A tym bardziej z szumowinami pokroju Paula Costello. Ale trzeba to było sprawdzić.

– Spotkajmy się tam o ósmej wieczorem – powiedział. –

W barze.

– Dziękuję, panie Barnier. Będę na pewno.

Pojechałem z powrotem w stronę centrum, wcześniej skręciłem jednak na północ, w drogę na Aberfoyle. Bolała mnie głowa: czułem tępe, uporczywe pulsowanie w skroniach i za oczami. Słoneczne niebo nad Glasgow zasnuła cienka, ciemniejąca powłoka chmur. Upał jednak nie zelżał, a otaczające mnie powietrze wydawało się jeszcze gęstsze i cięższe. Wiedziałem, że moja migrena zwiastuje burzę. Nawet gdy znalazłem się już poza miastem, duchota wciąż dawała się we znaki i czułem się tak, jakby jakiś akordeonista wygrywał bezgłośnie melodię na moich skroniach. Po około piętnastu minutach zajechałem w okolice Mugdock, gdzie Glasgow ustępowało otwartym terenom wiejskim, na których gdzieniegdzie rozrzucone były luksusowe rezydencje. Słońce znowu przebiło się przez pokrywą chmur, ale ciężkie przedburzowe powietrze nadal stało nieruchomo, a na zachodzie niebo przybrało stalowoszary odcień.

Rezydencja Bobby'ego Kirkcaldy'ego nie należała do tych najbardziej luksusowych, ale w zestawieniu z jego domem rodzinnym w Motherwell stanowiła ogromny krok naprzód. Choć na dobrą sprawę o sporym postępie świadczyło już to, że miało się toaletę w budynku i nie trzeba było współużytkować jej z czterema innymi rodzinami. Prawdę mówiąc, darzyłem Kirkcaldy'ego jako boksera sporym podziwem. Zaczął karierę w wadze półśredniej. Później przeszedł do średniej, nie tracąc jednak pewnej gracji i lekkiej pracy nóg. Widziałem dwie jego walki i było to jak obserwowanie dwóch zupełnie różnych bokserów. Kirkcaldy był typem zawodnika, który choć przypuszczalnie nie należał do gigantów intelektu, to zdawał się dysponować przenikliwą inteligencją ciała, polegającą na umiejętności ciągłego interpretowania ruchów przeciwnika i precyzyjnego dostosowywania do nich własnych posunięć. Wyglądało to tak, jakby walczył z dowolnym pięściarzem,

w ciągu pierwszej minuty meczu potrafił rozpracować jego styl i przyjąć odpowiednią taktykę. Walcząc z przeciwnikiem preferującym walkę ofensywną, w subtelny sposób zwiększał zasięg ciosów, zmuszając go do walki w mniej wygodnym dla niego dystansie. Jeśli stawał przeciwko zwolennikowi walki technicznej, skracał dystans krótkimi prostymi, spychając go do defensywy i na liny.

W jednej z walk, które oglądałem, jego przeciwnikiem był Pete McQuillan. McQuillan był typem fajtera, niezbyt szybkiego, lecz dysponującego potężnym ciosem. Był to kawał chłopca i musiał się pilnować, aby utrzymać się w wadze półśredniej. Pod względem stylu nieznacznie tylko przewyższał umiejętnościami walczących na gołe pięści pajków. Nikt go wcześniej nie pokonał, a wygrywał walki albo przez KO, albo tak maltretując twarze przeciwników, że w pewnym momencie sędzia przerywał pojedynek. I wreszcie los postawił go naprzeciwko Bobby'ego Kirkcaldy'ego. Widowisko było fascynujące. McQuillan zajadłe młócił powietrze, a Kirkcaldy tańczył wokół niego, co jakiś czas z absolutną precyzją wypuszczając kąśliwe proste. Zmusiło to McQuillana do zakosztowania czegoś zupełnie nowego: dystansu. Kirkcaldy wygrał jednogłośnie na punkty. Stał się niekwestionowanym faworytem kraju w Europejskich Mistrzostwach Wagi Średniej i miał zmierzyć się z zachodnioniemieckim bokserem Janem Schmidtke.

A ja miałem bilet na ten pojedynek.

Dom był mniej więcej tej samej wielkości, co dom MacFarlane'a w Pollokshields, choć wybudowany został później, może w latach dwudziestych czy trzydziestych. No i miał znacznie korzystniejszą, bardziej prestiżową lokalizację. Pobieleny wapnem, lśnił w promieniach słońca, sprawiając nieco obce w tych okolicach wrażenie. Główne wejście, znajdujące się od południa, osłaniał łuk w stylu art déco, obramowany czerwonymi cegłami. Białe ściany pod dachem z czerwonej dachówki ozdobione były terakotowymi płytkami. Całość sprawiała wrażenie ambitnej próby przywołania

śródziemnomorskich klimatów, co w Szkocji było wyczynem na miarę upodobnienia Lona Chaneya do Clarka Gable'a. Nie byłem tylko pewien, na ile efekt ten był zasługą architekta, a na ile niecodziennych warunków pogodowych, które tego lata panowały na zachodzie Szkocji.

Drzwi otworzono mi niemal natychmiast, ledwie musnąłem przycisk dzwonka. Domyśliłem się, że moje przybycie zaanonsował chrzest zwirow pod kołami nadjeżdżającego atlantica. Widać było, że mieli tu oko na gości – proszonych i nie. Otworzył mi nie Bobby Kirkcaldy, lecz ktoś wyglądający jeszcze bardziej wojowniczo: starszy mężczyzna w ciemnym garniturze z wąskim wełnianym krawatem. Facet był żyłasty i wyglądał na niezłego twardziela. Spod siwych, przystrzyżonych na jeża włosów spoglądała na mnie pobrużdżona, ogorzała twarz i widać było, że pogoda była tylko jednym z czynników, jakie odcisnęły na niej swoje piętno. Spłaszczony nos – szeroki, bezforemny i jakby z gumy – musiał być łamany tyle razy, że nie było w nim już żadnej chrząstki mogącej nadać mu jakiś sensowny kształt. O urazach tych świadczył nie tylko wygląd mężczyzny, lecz również jego głos – jeszcze bardziej stłumiony i nosowy niż u przeciętnego glasgowczyka.

– Czego pan chce?

– Spokojnego życia, pieniędzy, pięknej dziewczyny u boku i poczucia wewnętrznej harmonii.

Patrzył na mnie bez wyrazu. Widocznie cięgi, jakie zebrał, pozbawiły go też resztek poczucia humoru.

– Przyszedłem spotkać się z Bobbym. – Westchnąłem. Nie czułem się tu doceniany. – Nazywam się Lennox. Bobby spodziewa się mojej wizyty.

Zmierzył mnie wzrokiem. Zrewanżowałem się. Trudno było ocenić, w jakim jest wieku. Mógł być równie dobrze zniszczonym pięćdziesięciolatkiem, jak i dobrze zakonserwowanym siedemdziesięciolatkiem. Było jasne, że kiedyś boksował, ale podejrzewałem, że stan swojej twarzy zawdzięczał w takim samym stopniu walkom w ringu, jak poza

nim. Przechyliłem głowę i uśmiechnąłem się ze zniecierpliwieniem. Stary wojownik cofnął się i wpuścił mnie do środka. Miałem zamiar podać mu swój kapelusz, ale jako kamerdyner nie wzbudzał zaufania, więc rozmyśliłem się i podążyłem za nim długim korytarzem wyłożonym terakotą. Na ścianach wisiały dobrane ze smakiem obrazy, niektóre nawet oryginalne. Wychowany w Motherwell bokser pokroju Kirkcaldy'ego miał przypuszczalnie tyle samo dobrego smaku, co mój podstarzały koryfeusz węchu w zmasakrowanym nosie, więc wystrój wnętrza przypisałem dobremu dekoratorowi.

Weszliśmy do przestronnego salonu z dużymi przeszklonymi drzwiami, za którymi rozciągał się widok na rozległy, świetnie utrzymany ogród i położone w oddali zielone wzgórza. Miłe miejsce. I wymagające sporych nakładów. Najbardziej uderzyło mnie to, w jaki sposób zostało urządzone. Glasgow było miastem, w którym generalnie wykorzystywano wszystko, co akurat było pod ręką. Funkcjonowało tak zresztą całe brytyjskie społeczeństwo, bo zasadniczo do niedawna tylko w taki sposób można było jakoś przetrwać. Powojenne widmo bankructwa jeszcze bardziej spowalniało proces stopniowego przechodzenia od niedostatku do dobrobytu. Tutaj dochodził do tego jeszcze tradycyjny szkocki konserwatyzm. Widziałem kilka nowocześnie urządzonych domów – na przykład dom Jonny'ego Cohena – ale na ogół traktowano modernistyczne nowinki nieufnie. Czasem decydowano się na taki wystrój wnętrza, ale z reguły bez wielkiego przekonania albo z kolei z psującą efekt nadgorliwością.

I właśnie dlatego przeciętnemu Szkotowi dom Bobby'ego Kirkcaldy'ego kojarzyłyby się z hollywoodzkim planem filmowym. Wszystko tu było naprawdę dobrej jakości. Nawet jeśli poszczególne meble to nie był oryginalny Bauhaus, le Corbusier czy Eames, to bez wątplenia stanowiły dobre podróbki. Jedna ze ścian cała zastawiona była książkami. Nasunęła mi się niepochlebna myśl, że bokser Kirkcaldy musiał zlecić swojemu architektowi wnętrz, aby w ten sposób podrasował mu profil intelektualny. Podobnie jak w korytarzu,

obrazy na ścianach salonu sprawiały wrażenie oryginalnych. Była to w większości sztuka współczesna, geometryczna i abstrakcyjna, ale coś w tego rodzaju obrazach mnie pociągało. Płótna i meble wyglądały na nowe. A dla mnie nowe znaczyło dobre. Przypisywałem jednak to wszystko działaniom przepłaconego projektanta wewnątrz.

Gdy weszliśmy do salonu, Bobby Kirkcaldy podniósł się ze stojącej pod przeszkloną ścianą, obitej skórą leżanki i podszedł do nas krokiem tak samo swobodnym jak wtedy, gdy widziałem go na ringu. Miał gęste, ciemne włosy i w przeciwieństwie do eskortującego mnie starszego gościa jego twarz nie zdradzała typowych oznak bokerskiej kariery. Wyglądało na to, że nos ma wciąż w jednym kawałku i tylko lekko wystające kości policzkowe nadawały mu wygląd fajtera. Rozpięta pod szyją koszula i lekkie spodnie – strój nieformalny, ale widać było od razu, że pochodzi z najbardziej ekskluzywnych sklepów.

– Pan jest Lennox? – spytał Kirkcaldy. Nie uśmiechnął się, lecz jednocześnie w jego sposobie bycia nie wyczuwało się żadnej wrogości. Tylko rzeczowość.

– Tak, Lennox. Wie pan, dlaczego tu jestem?

– Żeby zająć się tym całym cyrkiem, który ostatnio miał miejsce. Wynajął pana Willie Sneddon. Szczerze mówiąc, uważam, że Sneddon przejmuje się tym wszystkim bardziej ode mnie. – Ton Kirkcaldy’ego był opanowany, niemal łagodny, ale wychyciłem nutę niechęci, gdy wymawiał nazwisko Williego Snedдона. Mówił ze spokojną pewnością siebie, a jego glasgowski akcent nie był aż tak wyraźny, jak się spodziewałem. Stojąc z nim twarzą w twarz, a nie w odległości dyktowanej wielkością hali bokerskiej, można było dostrzec w jego oczach inteligentny błysk. Było w nich jednak coś jeszcze, czego nie potrafiłem nazwać, a co sprawiło, że moja sympatia do niego wyparowała.

Odwróciłem się i spojrzałem na worek treningowy, który mnie tu przyprowadził.

– Wszystko w porządku – powiedział Kirkcaldy. – Przy wujku Bercie można rozmawiać bez skrępowania. Trenuje mnie od

moich chłopięcych lat.

Wujek Bert patrzył na mnie beznamiętnie. No ale pewnie już lata temu twarz obito mu do tego stopnia, że utracił zdolność wyrażania czegokolwiek. Zacząłem w głębi ducha kwestionować jego kwalifikacje trenerskie, skoro nikt swego czasu nie nauczył go, co znaczy słowo „unik”.

– Okej – odparłem. Zacząłem rozglądać się po pokoju w nadziei, że zaproponują mi, bym usiadł. – Miłe miejsce. Podobają mi się obrazy. Nigdy nie jestem pewien, gdzie kończy się ekspresjonizm abstrakcyjny, a zaczyna taszyzm.

– Tutaj nie wisi ani to, ani to – odparł Kirkcaldy. – Nie ufam żadnym „izmom”. Ani politycznym, ani artystycznym. Kupuję po prostu to, co lubię i na co mnie stać. A stać mnie na to wyłącznie dzięki pięściom. – Zorientował się, że nadal stoimy i gestem wskazał kanapę, która niemal wisiała w powietrzu tuż nad lśniącem parkietem. Osunąłem się na nią, a wymagało to nieco zachodu. Kirkcaldy zdecydowanie nie przemawiał jak typowy pięściarz o ulicznym rodowodzie i zacząłem podejrzewać, że te książki na półkach nie były tylko na pokaz. Istnieje pewna kategoria Szkotów o robotniczym pochodzeniu, którzy pozbawieni w dzieciństwie dostępu do wiedzy i wykształcenia, później traktują możliwość uzupełnienia tych braków jak dar niebios. Sądziłem, że jestem wolny od różnych snobistycznych ocen, okazało się jednak, że nie całkiem. Stało się jasne, że inteligencja, jaką zdawał się przejawiać Kirkcaldy podczas walki, nie ogranicza się tylko do ringu.

– Czy zna się pan na sztuce, panie Lennox? – spytał, sadowiąc się na krześle Eamesów naprzeciwko mnie. Wujek Bert stał dalej. Pewnie z nawyku: musiał kiedyś walczyć do upadłego o utrzymanie się na nogach.

– Trochę – odparłem. – Kiedyś się nią interesowałem, ale wojna niejako wymusiła na mnie zmianę upodobań. Nadal lubię jednak wpaść czasem do jakiejś galerii.

Kirkcaldy uśmiechnął się i kiwnął głową. Był to nic nieznaczący, zdawkowy uśmiech, tak samo jak w przypadku Sheili Gainsborough. – Zdaje pan sobie sprawę, że to są tylko

jakieś wygłupy, prawda?

Wzruszyłem ramionami. – Wygląda na to, że ktoś chce pana przestraszyć przed wielką walką. Wielu ludzi obstawia jej wynik bardzo dużymi kwotami. A niektórzy z tych ludzi nie stronią od różnych machlojek, żeby zabezpieczyć swoje inwestycje.

– To jasne, że ktoś próbuje napędzić mi strachu, ale bezskutecznie. Niełatwo mnie przerazić, a każdy, kto miał ze mną choć trochę do czynienia, wie, że prędzej porzucę karierę na ringu, niż oddam walkę walkowerem.

– A czy ktoś panu coś takiego proponował? Chodzi mi o jakieś rozmowy telefoniczne, listy wsunięte pod drzwi – tego typu rzeczy.

– Nie. Nic takiego. Jak sam pan mówi, chodzi o zastraszenie. Próby zakłócenia moich przygotowań do walki.

Kiwałem głową i notowałem. Może to moje potakiwanie i notowanie zostanie odraportowane Sneddonowi. Czuję, że to szukanie wiatru w polu, tak samo jak w przypadku terminarza, w którym Bilon miał rzekomo notować to i owo. Zaskoczyło mnie jedynie, z jaką łatwością Kirkcaldy uwierzył, że ktoś chce mu tylko napsuć krwi przed walką. Tak jak Jonny Cohen miałem bowiem wrażenie, że chodzi o coś innego. Postanowiłem wy badać, co sądzi o tym sam zainteresowany.

– A czy można by to wyjaśnić w inny sposób? Może ktoś ma jakiś żal o coś albo ma pan z kimś zatarg?

Ściągnął wargi, zastanawiając się nad tym przez chwilę. – Nie... szczerze mówiąc, nie przychodzi mi do głowy nikt, kto mógłby coś takiego robić z powodów osobistych.

– Rozumiem – odparłem. Ciekawe, że musiał się nad tym zastanowić przed udzieleniem odpowiedzi. Tak jakby taka ewentualność nigdy wcześniej mu się nie nasunęła. Rozmawialiśmy jeszcze przez pół godziny, a ja notowałem kolejne wydarzenia, daty i godziny, które z wyraźnym znudzeniem podawał mi Kirkcaldy. Spytałem, czy mógłbym obejrzeć ten obłany farbą samochód, ale okazało się, że już go przemalowano. Zaś stryczek i martwy ptak wylądowały na śmietniku.

– Jaki to był ptak? – spytałem.

– Co? Nie wiem. Po prostu ptak. Chyba gołąb. W każdym razie był biały. Śnieżnobiały. Więc pewnie gołąb.

– A jak zginął?

– Nie mam, kurwa, pojęcia. – Pytanie wytrąciło go trochę z równowagi i w jego głosie zaczął przebijać akcent rodzinnej dzielnicy Motherwell.

– I co pan zamierza? – spytał bez większego zainteresowania.

– No cóż, nie bardzo mam się na czym oprzeć. Nie ma pan żadnego pomysłu, kto mógłby do pana żywić jakieś osobiste pretensje... Niewiele mogę zrobić oprócz zapewnienia panu bezpieczeństwa. Na jakiś czas.

– Sam potrafię zadbać o swoje bezpieczeństwo – powiedział, spoglądając wymownie na wujka Berta.

– Jeśli nie ma pan nic przeciwko temu, to jednak będę miał oko na to, co się wokół pana dzieje. Oczywiście nie mogę być w okolicy cały czas, ale gdyby coś się wydarzyło, to można mnie zazwyczaj złapać pod jednym z tych numerów. – Zapisałem mu swoje numery telefonów do domu i do biura, a także do pubu Pod Końskim Łbem.

Gdy wychodziłem od Kirkcaldy'ego, stalowoszare niebo było jeszcze ciemniejsze, a zaduch się nasilił. Czulem, jak w tym wilgotnym upale głowę uciska mi jakieś wielkie imadło. Nie jechałem nawet kilku minut, gdy wreszcie rozpętała się burza.

Trzeba przyznać, że do jednego Glasgow ma talent, i to większy niż jakiegokolwiek inne znane mi miejsce, a mianowicie do ulew. Niebo przecięła seria jasnych, szpetnych błysków i zanim zdążył się nade mną przetoczyć ogłuszający grzmot, pierwsze krople zabębniły w przednią szybę atlantica. Nie był to zwykły deszcz. Miało się wrażenie, że jakaś skumulowana furia miota grubymi, ciężkimi pociskami, które łomotały i dudniły zaciekle po dachu samochodu, kpiąc z celowości uruchomienia wycieraczek, które nijak nie nadążały ze zbieraniem wody. Gdy przejeżdżałem przez Blanefield, podążając w kierunku Bearsden, zmuszony byłem zwolnić do ślimaczego wręcz tempa, bo ulewa ograniczała widoczność do jednego, dwóch

metrów.

Miałem jeszcze nieco czasu przed spotkaniem z Francuzem, więc podjechałem na ulicę Argyle. Nawałnica nie ustawała, ale dopisało mi szczęście i zaparkowałem samochód w miejscu, z którego po kilkunastosekundowym sprincie dobiegłem do narożnej kafejki. Wszedłem do środka, otrzepałem z wody kapelusz i podałem go kelnerowi, zbolałym głosem skarżąc się na nagłą zmianę pogody. Zajęte były może ze dwa stoliki, więc siedziałem w posępnej ciszy. Kiedy skończyłem jeść barani kotlet z tłuczonymi ziemniakami, wypilem kawę i zapaliłem, ponuro kontemplując deszcz za oknem.

Robota głupiego. Im dłużej o tym myślałem, tym mocniej utwierdzałem się w przekonaniu, że zlecenie dotyczące Bobby'ego Kirkcaldy'ego jest w istocie niczym innym jak głupiego robotą. Willie Sneddon miotał się na oslep, drżąc o losy swojej inwestycji. Ale poza kiblowaniem przez całą noc pod domem Kirkcaldy'ego niewiele tak naprawdę mogłem zrobić. Jeśli natomiast wymagana byłaby całodobowa obserwacja domu, to Sneddon musiałby się liczyć ze słonym rachunkiem. Już bardziej opłacałoby mu się postawić pod domem Pedikiurka McBride'a. Albo Śpiewaka. To była robota dla mięśniaków. Będę musiał uświadomić to Sneddonowi.

Uregulowałem rachunek przy kasie, odebrałem kapelusz i wyszedłem z powrotem na deszcz, który już znacznie zelżał, przynosząc uczucie ulgi po męczącym zaduchu, który wisiał w powietrzu. No i Glasgow było znowu sobą – deszczowe i ubrane w różne odcienie szarości.

Dotarcie do Kupieckiej Pieczni w dzielnicy biznesowej zajęło mi zaledwie kilka minut. Przybyłem więc nieco za wcześnie i postanowiłem zaczekać do ósmej w samochodzie. Kupiecka Pieczeń była lokalem pretendującym do miana glasgowskiej restauracji z klasą. Mieściła się na wprost niedużego parku pośrodku dzielnicy georgiańskich i wiktoriańskich szeregówek. Jak sugerowała nazwa, okoliczne domy zajmowali kiedyś bogaci glasgowscy kupcy i przemysłowcy. Obecnie większość z nich zostało przerobionych na biura. Siedząc w samochodzie,

dla zabawy założyłem się sam ze sobą, że rozpoznam Barniera, gdy zjawi się na spotkanie. Przez ten czas, kiedy czekałem przed restauracją, weszła do niej jednak tylko jakaś para w średnim wieku. Oboje ubrani zresztą w tweed, oczywiście.

Kupiecka Pieczeń została tak zaprojektowana, a ściślej rzecz biorąc, urządzona i ozdobiona, aby onieśmielać. W tym miejscu człowiek z definicji miał się czuć nieswojo. Jak na mój gust, wszystko tutaj było zdecydowanie przesadzone. Luksusowe, czerwone skórzane obicia były nieco zbyt luksusowe i stanowczo zbyt czerwone. Gdyby Pieczeń znajdowała się w Edynburgu, aż tak by to nie raziło.

Wszedłem do środka i podałem swój kapelusz portierowi w sięgającej pasa, białej kamizelce i tocisku na głowie. Był bez wątpienia najbardziej stetryczalym portierem, jakiego kiedykolwiek widziałem i zaniepokoiłem się, że ciężar mojego kapelusza przygnie go do ziemi. Oznajmiłem, że jestem umówiony na spotkanie z panem Barnierem i portier skinął głową w kierunku wysokiego mężczyzny, stojącego przy barze tyłem do mnie. Wspólne przejście przez hol zajęłoby nam pewnie całe wieki, więc podziękowałem mojemu oldboyowi hotelowemu i wręczyłem mu dwa szylingi napiwku. Uznałem, że z ciężarem półkoronówki mógłby już mieć niejakie trudności.

– Monsieur Barnier? – skierowałem pytanie do pleców mężczyzny, który odwrócił się w moją stronę. Alain Barnier wyglądał inaczej, niż przypuszczałem. Przede wszystkim był wysoki i miał jasne – choć nie całkiem blond – włosy oraz zielone oczy. Kojarzył mi się bardziej ze Skandynawem albo Niemcem niż z Francuzem z południa. Nie miał też ciemnej karnacji południowca, której się u niego spodziewałem, ignorując fakt, że mieszkał w Glasgow już od co najmniej dwóch lat. Z drugiej strony, trudno o kogoś bledszego od rodowitego glasgowczyka. Szkoci byli najbledszymi ludźmi na świecie, a wśród glasgowczyków można było spotkać nawet odmiany lekko sine. Oczywiście ostatnio zdarzali się też spaleni na purpurę osobnicy, nieprzyzwyczajeni do oddziaływania tej wielkiej, ognistej kuli na niebie, która z nieodgadzionych

przyczyn tak dawała się tego lata wszystkim we znaki. Barnier był przyciągającym uwagę, przystojnym mężczyzną z głębokimi bruzdami pod oczyma, sugerującymi, że często się uśmiecha. Jednak w jego rysach można się było doszukać pewnego okrucieństwa. Na oko dałem mu czterdzieści lat.

Poza lekko złocistym odcieniem skóry, jeszcze dwie inne rzeczy świadczyły o tym, że Barnier jest cudzoziemcem. Ubrany był wytwornie, ale bez żadnej ostentacji. I nie miał na sobie ani skrawka tweedu. Garnitur z lekkiej, jasnopopielatej flaneli w delikatne białe prążki był świetnie dopasowany. Krój nie wyglądał na brytyjski. Nienaganny wygląd Barniera dopełniały starannie przystrzyżone wąsy i podkreślająca podbródek kozia bródka. Pierwsze skojarzenie, które mi się nasunęło: ubrany u Cardina czwarty muszkieter.

– Nazywam się Lennox, monsieur Barnier – powiedziałem po francusku. – Rozmawialiśmy dziś po południu przez telefon.

– Tak, czekałem na pana. Drinka? – Skinął na barmana ze swobodną pewnością siebie, jaka Szkotom nie przychodzi łatwo. – Dwa koniaki – powiedział po angielsku.

– Proszę... – zwrócił się do mnie, używając znowu ojczystego języka i wskazał obity skórą, zaciszny zakątek na tyłach sali barowej. Usiedliśmy. – Mówi pan bardzo dobrze po francusku, monsieur Lennox. Ale, za pozwoleniem, z dość silnym akcentem. I mówi pan powoli, jak Bretończyk. Przypuszczam, że jest pan Kanadyjczykiem?

– Faktycznie, pochodzę z Nowego Brunswiku, jedynej oficjalnie dwujęzycznej prowincji Kanady – odparłem, sam zaskoczony dumą, z jaką to powiedziałem.

– Ale chyba nie jest pan frankofonem?

– Czy to aż tak ewidentne?

Barnier wzruszył ramionami i zrobił minę. No ale w końcu był Francuzem, więc można było się tego spodziewać. – Nie... nie aż tak. Ale słyhać silny akcent, więc uznałem, że pana pierwszym językiem jest angielski.

– A pan skąd pochodzi, monsieur Barnier?

Przyniesiono drinki. – Z Tulonu. No, w zasadzie z Marsylii.

Potem zamieszkałem w Tulonie.

Wypiłem łyk koniaku i poczułem, jak złociste ciepło rozlewa się w moim wnętrzu.

– Dobry, prawda? – spytał. Uśmiech pogłębił bruzdy pod jego oczami. – To ja go dostarczam. Jedna z najlepszych marek.

– Rzeczywiście doskonały. Miałem okazję skosztować burbonu, jaki dostarcza pan Jonny’emu Cohenowi. Też wyśmienity.

– A, tak... wspominał pan, że zna monsieur Cohena... – Barnier spojrział na mnie znad swojej koniakówki. – A tak nawiasem mówiąc, to nieźle pan zagrał na nerwach mojej pannie Minto.

– Naprawdę? – odparłem, unosząc brwi z miną niewiniątka, tak jak w wieku szesnastu lat, kiedy ojciec indagował mnie w sprawie brakujących papierosów i whisky. – A wydawało mi się, że świetnie się dogadujemy. Nauczyłem się nawet nowego słowa – kilan. A może to są dwa słowa?

Coś w tej mojej uwadze jakby ukłuło Barniera, ale szybko się opanował. – Nie mogę pozwolić na to, żeby pan ją irytował. Panna Minto jest bardzo... zdecydowaną osobą, która pełni kluczową rolę w funkcjonowaniu mojego biura.

– Dlaczego spytała mnie, czy chodzi o ki lan? Czy dobrze to wymawiam?

– Chodziło jej o pewien towar, który ostatnio sprowadzaliśmy. Pewnie myślała, że chciał się pan ze mną widzieć w tej właśnie sprawie, i tyle.

– Pochlebia mi, że panna Minto uznała, że jestem na tyle bogaty, aby ten towar nabyć.

– Nie uznała. Po prostu towar zaginął w transporcie. Najprawdopodobniej został niewłaściwie oznakowany i wysłany gdzie indziej, to wszystko. Panna Minto przypuszczała zapewne, że jest pan z agencji ubezpieczeniowej.

– Z twarzy Barniera zniknął uśmiech, a ton głosu świadczył o tym, że towarzyska pogawędka się skończyła. – Czego pan właściwie ode mnie chce, monsieur Lennox?

– Zostałem zatrudniony do zbadania okoliczności zniknięcia

Sammy'ego Pollocka. Może pan go znać pod nazwiskiem Gainsborough.

– Trudno powiedzieć, że go znam pod jakimkolwiek nazwiskiem. Z monsieur Pollockiem łączyła mnie bardzo powierzchowna znajomość. Tak rzadko miałem z nim do czynienia, że nie umiem nawet określić, kiedy ostatni raz się z nim spotkałem. A czemu mnie pan o niego pyta?

– A potrafi pan sobie przypomnieć, kiedy ostatnio go pan widział?

Barnier zamyslił się demonstracyjnie, łagodnie gładząc swoją kosią bródkę i formując ją w szpic.

– Chyba ze dwa czy trzy tygodnie temu. W piątek. Widziałem go wtedy w klubie Pacific. To okropna nora... Niech pan, proszę, nie mówi monsieur Cohenowi, że tak się wyraziłem – jest w końcu dobrym klientem. Ale to naprawdę nieprzyjemne miejsce. Zaglądam tam, bo jak na ironię w piątki monsieur Cohen zatrudnia dość dobrych jazzmanów. W każdym razie właśnie w Pacificu widziałem młodego monsieur Pollocka. Trafiała mu się akurat mała fucha – zaśpiewał kilka razy w zastępstwie za kogoś, kto odwołał występ. Jeśli mnie pamięć nie myli, był tam z jakąś dziewczyną. Ale nie rozmawiałem z nim owego wieczoru.

– I od tamtej pory nic?

– Niech pan posłucha, panie Lennox. – Barnier przerzucił się znowu na swoją nienaganną pod względem gramatycznym angielszczyznę. – Naprawdę nie mam pojęcia, czy później go jeszcze gdzieś spotkałem, czy nie. Sammy Pollock nie jest osobą, która jakoś szczególnie zaprzęta moją uwagę. Możliwe, że się na niego natknąłem, ale nie utrwaliło mi się to w pamięci. Spytam jeszcze raz: dlaczego mnie pan o tego człowieka wypytuje?

– Proszę mi wybaczyć, monsieur Barnier, ale bardzo staram się złapać jakiś trop. Powiedziano mi, że widywano Sammy'ego Pollocka w pana towarzystwie. Wygląda na to, że on naprawdę zaginął i szczerze mówiąc, jego los bardzo mi leży na sercu. Jak dotąd nie udało mi się zdobyć absolutnie żadnych informacji

o tym, gdzie może przebywać. – Przypatrywałem się Francuzowi. Trudno było cokolwiek wyczytać z wyrazu jego twarzy. Może moja udana bezradność nie zrobiła na nim żadnego wrażenia. A może po prostu nic go to wszystko nie obchodziło.

– Czy prowadził pan z Pollockiem jakieś interesy?

– Nie, żadnych.

– A wtedy, kiedy pan go widywał – znał pan te osoby, które się z nim prowadziły?

– Znowu muszę pana rozczarować. I nie chciałbym być nieuprzejmy, ale chyba naprawdę nie mogę już panu w niczym pomóc. – Dopił koniak. Było to jak postawienie kropki na końcu zdania – sygnał, że nasza rozmowa dobiegła końca.

– Dziękuję panu za poświęcony czas, monsieur Barnier – powiedziałem po francusku.

Barnier został w Pieczeni, a ja odebrałem kapelusz od stetryczalego portiera i wyszedłem na ulicę. Deszcz ustał, ale niebo nadal było w kiepskim humorze. Nie było w tym osamotnione.

Dzień okazał się bezowocny i czułem się zbyt zmęczony, żeby jechać do domu Sneddon w Bearsden. Po prawdzie nie miałem nawet siły, żeby do niego zadzwonić. Zresztą komunikowanie Williemu Sneddonowi, że sprawy nie idą po jego myśli, lepiej było załatwić z nim w cztery oczy, i to będąc w odpowiednim nastroju. Nie wsiadłem od razu do samochodu, tylko podszedłem do budki telefonicznej na rogu, wrzuciłem do automatu kilka drobniaków i zadzwoniłem na londyński numer, który dostałem od Sheili Gainsborough. Facet z angielskim akcentem, który odebrał telefon, przedstawił się jako jej agent i oznajmił, że aktualnie Sheila nie jest dostępna pod tym numerem.

– Wiem – powiedziałem. – Dała mi ten numer jako telefon kontaktowy.

– Rozumiem. Czy pan Lennox? – Głos miał nieco zbyt wysoką tonację i sprawiał wrażenie zniewieściałego. Ledwo stłumiłem śmiech, uzmysławiając sobie, że najwyraźniej spodziewałem

się, iż prowadzenie agencji impresaryjnej to fach równie konkretny i męski, jak hutnictwo czy górnictwo.

– Tak, to ja – odparłem.

– Niech mi pan powie, Lennox... czy ma pan coś do odraportowania? – Rany! Przemawiając do mnie tym tonem, w ekspresowym tempie tracił całą moją sympatię.

– Właśnie dlatego dzwonię – powiedziałem.

– No więc? – rzucił. Traktował mnie tak, jakbym był jakimś wynajętym pracownikiem. I faktycznie nim byłem. Ale on też.

– Panna Gainsborough powiedziała, że mogę się z nią skontaktować za pośrednictwem tego numeru. Pan Whithorn, jak przypuszczam... Czy będzie się pan z nią widział dziś wieczorem?

– Widuję się z panną Gainsborough niemal co wieczór – odparł tonem właściciela. – Będzie tutaj za pół godziny.

– Proszę jej przekazać, że dzwonił Lennox. I że zadzwonię później wieczorem. Około dziesiątej. Dobrze by było, gdyby była wtedy pod telefonem.

– Czemu nie powie mi pan po prostu, co ma pan do odraportowania, a ja jej to przekażę?

Znowu parsknąłem śmiechem, tym razem nieco głośniejszym, żeby nie umknęło to jego uwadze. – Chodzi o zasadę poufności, przyjacielu. Sądziłem, że z racji wykonywanego fachu jest to znajome panu pojęcie.

– Nie jestem tylko impresariem panny Gainsborough, panie Lennox. Jestem również jej doradcą. I przyjacielem.

– Zadzwonię ponownie o dziesiątej – powiedziałem i odwiesiłem słuchawkę. Postanowiłem kiedyś skonfrontować się twarzą w twarz z właścicielem głosu po drugiej stronie słuchawki. Przeczynałem jednak, że twarz Humphreya Whithorna nie przypadnie mi raczej do gustu.

Wróciłem do auta. Nie zwróciłem szczególnej uwagi na wolseleya zaparkowanego w odległości trzech wozów od mojego atlantica, dopóki drogi nie zastąpił mi rosły mężczyzna w pomiętym prochowcu i zbyt małym filcowym kapeluszu. Jego towarzyszy, niższy, ale też krzepki, wyrósł przy moim

drugim boku. Fizjonomię miał taką, że człowiek wolałby nie nawiązywać z nim kontaktu wzrokowego w pubie. I w ogóle gdziekolwiek. Poczułem stanowczy uścisk jego dłoni na moim ramieniu, tuż nad łokciem. Od razu skumałem, że nie są to bynajmniej policjanci. To byli czyiś goryle.

– Dobra, Lennox – powiedział prochowiec. – Pan Costello chce cię widzieć. Teraz.

Poczułem pewnego rodzaju ulgę. Stawianie czoła tego rodzaju osiłkom jest męczące, ale ewentualna uległość wynika z wiedzy, kto za nimi stoi. Costello nie był aż tak grubą rybą, więc zrobiłem znudzoną, rozdrażnioną minę.

– Czyżby? – odparłem. Z jakiegoś powodu przypomniała mi się korpulentna, stanowcza sekretareczka Barniera i postanowiłem wziąć z niej przykład. – Jestem bardzo zajęтым człowiekiem. Powiedz Costello, żeby się najpierw ze mną umówił.

Palce na moim ramieniu zacisnęły się mocniej, więc odwróciłem się do gościa z uśmiechem. To byli twardziele, zaprawieni w zadawaniu krzywdy. Jimmy Costello nie cieszył się jednak sławą geniusza świata przestępczego Glasgow, toteż goryle, których zatrudniał, nie mieli klasy za grosz. Przypuszczalnie śledzili mnie od samego rana i tylko z powodu deszczu nie zwróciłem na nich uwagi. Mogli mnie spokojnie zgarnąć już wcześniej, w dogodniejszej okolicy. To miejsce jednak do nich nie należało. Głupio wybrali, bo znajdowaliśmy się w samym centrum dzielnicy biznesowej. Co prawda był już wieczór, za kwadrans dziewiąta, ale staliśmy tuż przed renomowaną restauracją. A dwie przecznice dalej znajdował się dzielnicowy posterunek policji. Tak, to było najgłupsze posunięcie, jakie mogli wykonać, bo miejsce było idealne do kontrataku. Ale jak na tępaków przystało, nie tracili rezonu – goryl trzymający w żelaznym uścisku moje ramię wyglądał na równie pewnego siebie jak jego towarzysz.

– No, no... – powiedział ze zjadliwym uśmieszkiem. – Pójdiesz po dobroci czy zamierzasz, kurwa, brykać?

Podczas wojny czegoś się o sobie dowiedziałem, choć

wolałbym nigdy się z tym nie skonfrontować. Czegoś mrocznego i paskudnego. Nie sypiałem po nocach, zastanawiając się, czy to, co we mnie tkwi, jest dziełem wojny, czy też tkwiło we mnie od samego początku, ale gdyby nie wojna, nigdy by się nie uaktywniło. I teraz, gdy stałem pomiędzy dwoma bandziorami, próbującymi siłą wciągnąć mnie do swojego samochodu, czułem, jak to coś, gdzieś we mnie, budzi się i wita mnie jak starego znajomego.

– Słuchajcie, koledzy – powiedziałem przyjaźnie, lecz cicho. Cicho, żeby musieli wyteńczyć nieco słuch. – Nigdzie z wami nie pójdę. A jeśli będziecie mnie chcieli do tego zmusić, to komuś stanie się krzywda. Powiedzcie Costello, że jeśli chce się ze mną spotkać, to niech chwyci za telefon jak wszyscy inni. Jeśli jest wkurzony, że poobijałem trochę jego chłopaka, to możecie mu powtórzyć, że mam to gdzieś.

– Co mówisz? – Większy gość w prochowcu zmarszczył czoło i nachylił się w moją stronę, a o to właśnie mi chodziło. Miałem wolną tylko jedną rękę, więc wymierzyłem kopniaka w to miejsce, gdzie powinny znajdować się klejnoty tego palanta. Trafiłem w dziesiątkę, bo momentalnie zgięło go w pół. Facet ściskający moje ramię szarpnął mnie do tyłu, ale przewidziałem to i celowo nie stawiałem oporu. Wręcz przeciwnie. W walce ulicznej trzymanie dystansu wobec przeciwnika nie zawsze jest najlepszą strategią, więc wykorzystałem sytuację, żeby go staranować. Padł do tyłu na maskę wolseleya, a ja wylądowałem na nim. Wymierzył mi cios w twarz. Moja głowa poleciała do tyłu i przez moment w polu widzenia podziwiałem czarno-białe kaskady iskier. Wolną ręką chwyciłem spadający mi z głowy kapelusz i wcisnąłem mu go na gębę. Później niespodzianka – odsunąłem kapelusz i strzeliłem go z byka w nos.

Już gratulowałem sobie w duchu, że tak świetnie wybrnąłem z sytuacji, gdy jakiś muł kopnął mnie z całej siły w okolice kręgosłupa, tuż nad prawą nerką. Usłyszałem, jak raptem z obu płuc uchodzi mi powietrze i znalazłem się w stanie bezdechu, w którym paniczne próby złapania tchu stają się najważniejszą

sprawą na świecie. Większy facet w prochowcu, który mnie kopnął, złapał mnie za ramiona i odciągnął od rozłożonego na masce kompana. Walczyłem o oddech, zdając sobie sprawę, że jeśli szybko się nie pozbieram, zostanę za chwilę skopany. Nagle większy mnie puścił i pochyliłem się do przodu, opierając dłonie na kolanach i wciągając łapczywe hausty powietrza do opróżnionych płuc. Kątem oka dostrzegłem coś, co nie miało najmniejszego sensu, po czym spojrzałem z powrotem na gościa z zakrwawioną twarzą, który gramolił się z maski wolseleya. Wiedziałem, że już tylko jego mam na głowie, bo w niezrozumiałej scenie, jaką przed chwilą zarejestrowałem, Alain Barnier bardzo skutecznie spuszczał łomot ubranemu w prochowiec bandzirowi.

Nadal miałem pełne ręce roboty, więc skupiłem się całkowicie na koleśku, który właśnie podnosił się z maski wolseleya. Zrobiłem krok do przodu, gotów mu przyłożyć, gdy tylko się wyprostuje. Okazało się, że nie jest aż tak głupi, za jakiego go brałem, bo wyczuł moje zamiary i opierając się łokciami o maskę, wymierzył w moją stronę podstępnego kopniaka. Chybił jednak celu i udało mi się złapać go za kostkę, którą potraktowałem tak, że facet zsunął się z maski auta jak statek z pochylni. Spadł na chodnik jak kłoda i walnął z całej siły głową o krawężnik. Znieruchomiał i przez chwilę naprawdę przestraszyłem się, że go zabiłem. Uspokoił mnie, wydając cichy jęk.

Tymczasem za mną słychać było odgłosy zmagania Barniera z drugim facetem. Od strony Pieczeni też dobiegały jakieś krzyki. Odwróciłem się, żeby sprawdzić, co się dzieje. Duży gość w prochowcu wyglądał na większego twardziela niż jego kumpel i przyszło mi do głowy, że Barnier nie da mu rady. Ale kiedy się odwróciłem, okazało się, że gość stoi już bez niedopasowanego kapelusza na głowie, a z rany na skroni i z rozbitych ust płynie mu krew. Moją fascynację budził natomiast Barnier, który z całkowitym niemal spokojem stał w pewnej odległości od przeciwnika. Widziałem, jak jego ruchliwe oczy nieustannie monitorują położenie rąk i stóp oraz

wyraz twarzy rosłego faceta, tak jakby odczytywał zamiary i przewidywał wszystkie jego ruchy. Ten rzucił się do przodu i wypuścił w stronę Barniera niezdarne, desperackie haka. Barnier cofnął się z gracją, z jaką zapewne zwykł przepuszczać staruszki na bulwarze. I wtedy zobaczyłem, w jaki sposób Francuz gromi przeciwnika. Tułów przechylił jakby całkowicie w jedną stronę, a jego przeciwległa noga poszybowała w górę szerokim łukiem, ze stopą przecinającą powietrze jak kosa. Trafił goryla Costello w bok głowy, a ten padł na ziemię jak powalone drzewo.

Zrobiłem kilka kroków do tyłu i stanęliśmy z Barnierem ramię w ramię, obaj zmobilizowani na wypadek, gdyby pozostali uczestnicy tej zabawy podnieśli się z chodnika. Za nami, na schodach prowadzących do Pieczeni zrobiło się małe zbiegowisko, a gdzieś w oddali usłyszałem nagłące dźwięki syreny policyjnej.

– To ja po nich zadzwoniłem – powiedział Barnier po francusku, nie odwracając się w moją stronę. Trudno było facetowi odmówić zimnej krwi. – Więc lepiej uzgodnijmy wspólną wersję.

Goryl, który walnął głową o chodnik, stanął na nogi, opierając się o błotnik samochodu. Spojrzał na Barniera i na mnie. Wzrok miał jeszcze nieco mętny, ale był już na tyle przytomny, żeby zorientować się, iż jesteśmy w pełni przygotowani na kontynuowanie tych wspólnych igraszek, i najwyraźniej uznał, że na razie ma już dość. Podniósł filcowy kapelusz swojego koleżki, trącił go nogą i wymamrotał coś o policji. Obaj wgramolili się niezdarne do wolseleya i odjechali.

– Kim byli pana kumple?

– To niezadowoleni klienci – odparłem.

– Niech pan lepiej wejdzie do środka i doprowadzi się do porządku.

Kiwnąłem głową i poszedłem za nim w kierunku Pieczeni, ignorując przybycie czarnego policyjnego wolseleya 6/80. Kiedy doszliśmy do głównego wejścia, Barnier przekazał mnie pod opiekę stetryczalego portiera, który zaprowadził mnie

wyłożonymi czerwonym dywanem schodami do męskich toalet. Był tam jakiś boy klozetowy, który wyraźnie się zszokował, domyśliłem się więc, że moja twarz musi być w opłakanym stanie. Kiedy jednak spojrzałem w lustro wiszące nad umywalkami, okazało się, że nie jest aż tak źle i poprosiłem o mokry ręcznik, aby przyłożyć go do policzka i zapobiec powstaniu nadmiernej opuchlizny i siniaka. Czekając na ręcznik, umyłem ręce i twarz oraz schłodziłem kark zimną wodą. Wyprostowałem się ostrożnie nad umywalką, macając delikatnie krzyż, w który kopnął mnie prochowiec. Stwierdziłem, że robię się już na to wszystko za stary.

Osuszyłem się ręcznikiem, wyprostowałem kołnierz i poprawiłem krawat, po czym poprosiłem podstarzałego portiera w kamizelce, aby otrzepał z kurzu moją marynarkę i pomógł mi ją założyć.

– To naprawdę okropne, proszę pana – powiedział z autentycznym oburzeniem. – Naprawdę okropne, żeby nie można było po prostu zająć się swoimi sprawami bez obaw, że ktoś nas na ulicy zaczepi albo obrabuje.

Przytaknąłem, posyłając mu zmęczony uśmiech. Najwyraźniej taką właśnie historyjkę sprzedawał im Barnier, kiedy polecił, aby zadzwonili na policję. Przycisnąłem wilgotny ręcznik do policzka. Stary portier zniknął znowu na schodach i zjawił się minutę później – byłem pod wrażeniem, bo naprawdę obrócił w podskokach – przynosząc zawinięty w serwetkę lód. Oparłem się o wykafelkowaną ścianę i przytknąłem lód do twarzy. Po kilku minutach dałem po napiwku portierowi i boyowi i poszedłem z powrotem wyłożonymi czerwonym dywanem schodami na górę. Barnier rozmawiał akurat przy głównym wejściu z dwoma policjantami. Zwyczaj panował tu taki, że mundurowi muszą tego rodzaju rozmowy wyjaśniające przeprowadzać przy drzwiach – nie wpuszczano ich nawet do żadnego pomieszczenia dla personelu ani do biura. Cokolwiek powiedział im Barnier, widocznie ich to usatysfakcjonowało, ponieważ wrócili do samochodu, mnie już nie przesłuchując. Zwróciłem uwagę, że po Barnierze nie było widać żadnych

zupełnie śladów niedawnego starcia, a jego nienaganna popielata koszula była nadal nieskazitelna. Podszedł i klepnął mnie po ramieniu z szerokim uśmiechem.

– Chyba przydałby się panu jeszcze jeden koniak, co?

– Ba, dobry koniak nie jest zły – odparłem.

Wróciliśmy do baru i usiedliśmy w tym samym miejscu, co poprzednio. – Co pan powiedział gliniarzom, żeby ich spławić? – spytałem.

– Że jest pan moim kuzynem z Quebecu i nie mówi pan ani słowa po angielsku. I że te dwa typy próbowały pana obrabować, a ja i menedżer restauracji wszystko to widzieliśmy przez okno. Podałem im fałszywy opis samochodu i sobie poszli.

– Nie chcieli ze mną rozmawiać?

– Powiedziałem im, że mówi pan tylko po francusku. A za kilka dni wraca pan do domu, więc nie chce pan żadnych komplikacji związanych ze składaniem oficjalnego doniesienia o przestępstwie i ewentualną koniecznością opóźnienia wyjazdu.

– I to im wystarczyło?

– Mówimy o policji, przyjacielu. Zajmowanie się sprawą cudzoziemca, który za chwilę ma wyjechać, jest skomplikowane. A policjanci, wiadomo – nauczyłem się jednego: nie lubią komplikacji – ta zasada sprawdza się pod każdą szerokością geograficzną. Może teraz dowiem się, o co tak naprawdę chodziło? Czy ma to jakiś związek ze zniknięciem młodego pana Pollocka?

– Tak. A przynajmniej w pewnym sensie. Sammy Pollock trzymał się z Paulem Costello, synem Jimmy’ego Costello. Słyszał pan o Jimmym Costello?

Barnier ponownie typowo francuskim gestem wzruszył ramionami i potrząsnął przecząco głową.

– Costello to kryminalista i gangster. Ze średniej półki, ale zarządza małym gangiem. Koledzy, z którymi się zabawialiśmy, to najpewniej jego ludzie. Costello ma też syna obiboka. To nie lada wyczyn być aż takim popaprańcem, żeby i w podziemiu

przestępczym nie móc znaleźć swojego miejsca. No ale taki właśnie jest młody Paul. W każdym razie on i Sammy Pollock trzymali się razem, dopóki ten drugi nie zaginął. Poza tym Paul miał klucz do mieszkania Sammy'ego. Odebrałem mu go i odbyliśmy szczerą wymianę poglądów. Na tyle szczerą, że być może przetrąciłem mu tę czy ową kość.

– A tata Costello nie jest z tego powodu zadowolony, co?

– Na to wygląda. Ale szczerze mówiąc, chyba ma to gdzieś. To, co odbyło się na zewnątrz, to tylko pokazówka. Może tak naprawdę wisi mu, że nieco przyłożyłem jego synalkowi, ale musi stwarzać pozory, że ma coś przeciwko. Wśród przestępczej braci stwarzanie pozorów to ważny element ich fachu...

– Cóż, mam wrażenie, że może się pan spodziewać kolejnej wizyty ze strony pańskich wielbicieli. Albo ze strony ich kumpli.

– Znacząco uniósł brew.

– Może powinienem trzymać się pana. To była dość finezyjna praca nóg.

– To savate. Boks francuski. Czasem nazywany jest grą marsylską, ponieważ stał się bardzo popularny w zeszłym stuleciu w Marsylii, szczególnie wśród marynarzy. Chodzi o to, że walcząc na pływającym statku, lepiej jest mieć przynajmniej jedną rękę wolną, aby się nią czegoś przytrzymać, wiadomo, wszystko się buja, hušta i kołysze.

– Taa... – powiedziałem. Faktycznie, słyszałem o savate, ale to, co widziałem na zewnątrz, było czymś więcej. – Wydawało mi się jednak, że savate to pewien styl walki ulicznej, uprawiany przez dokerów i marynarzy. Natomiast pan, za przeproszeniem, nie wygląda mi na kogoś, kto spędził młodość, wszczynając burdy w marsylskich zaułkach.

– Nie wyglądam? – odparł Barnier. – No, może nie. Ale jedno w życiu zrozumiałem – że ludzie bardzo rzadko są tymi, za których ich bierzemy. W każdym razie savate z upływem czasu nabrało pewnej finezji. Stało się sportem. Na przykład ćwiczył je Aleksander Dumas, syn. – Przyglądałem się bezwzględnej, przystojnej twarzy Francuza. W jego okolonym przystrzyżonym wąsem i kocią bródką uśmiechu kryła się jakaś przebiegłość.

I jakaś melancholia. Kojarzył mi się ze znużonym, smutnym szatanem.

– Sport czy nie – odparłem – cieszę się, że tak właśnie to się potoczyło. Dziękuję za pomoc, również z policją.

Barnier wzruszył tylko od niechcenia ramionami.

Wydawało się, że nie mamy sobie już nic więcej do powiedzenia, więc nogi poniosły mnie na ulicę i do mojego samochodu. Tym razem nie było w zasięgu wzroku żadnych osiłków. Do czasu jednak. Wiedziałem, że prędzej czy później będę musiał się jakoś uporać z tą sytuacją z Costello. Otwierając drzwi atlantica, obejrzałem się jeszcze w stronę Kupieckiej Pieczeni. Barnier stał w oknie baru, obserwując mnie, pewnie tak samo jak wtedy, kiedy zostałem napadnięty.

Osoba Barniera jakoś nie dawała mi spokoju. Nie miałem powodu wątpić w to, co mi powiedział o swojej znajomości – czy raczej jej braku – z Sammym Pollockiem. Dręczyło mnie jednak coś zupełnie innego. Było w tym Francuzie po prostu coś dziwnego. Jakiś cień, który wokół niego się wyczuwało. No i jak na handlarza winami, z pewnością potrafił wychodzić obronną ręką – czy może raczej nogą – z opresji.

Po drodze do domu zajrzałem do Lorny. Miałem nadzieję, że zimny kompres, przyłożony wcześniej do twarzy, jakoś zniweluje opuchliznę na mym licu, ale policzek miałem nadal obolały i Lorna natychmiast to zauważyła.

– Co się stało? – spytała przy drzwiach, ale jej troskę przyćmiła żaloba i zadowolona się moim bagatelizującym wzruszeniem ramion i mruknięciem, że to nic takiego.

Usiedliśmy w salonie. Byliśmy sami, bo Maggie MacFarlane wyszła. Żeby pozalać swoje sprawy, jak podobno poinformowała Lornę. Ciekaw byłem, na ile sprawy te dotyczyły kochasia, który wczoraj podjechał pod dom.

Lorna wyglądała na zmęczoną i oczy miała zaczerwienione od płaczu. Pocieszałem ją łagodnym głosem i robiłem wszystko, czego można by oczekiwać od czulego absztyfikanta. Po jakimś czasie, gdy chwila po temu wydała się odpowiednia, zagadnąłem ją o gościa w lanchester-daimlerze. Przez chwilę

patrzyła na mnie, jakby nie wiedziała, o co mi chodzi.

– Wysoki, ciemne włosy... wąsy – podpowiadałem.

Na jej otępiełej twarzy pojawił się w końcu żywszy błysk. – Aaa, tak... Jack. Jack Collins. Był współnikiem taty. Poza tym to przyjaciel domu.

– Wspólnikiem? Nic nie wiedziałem, że twój ojciec miał współnika.

– Ale nie w biznesie bukmacherskim. Jack Collins zajmuje się boksem. Organizuje mecze bokserskie. Chyba jest kimś w rodzaju agenta czy organizatora. Wspólnie z moim ojcem przygotowywali kilka walk. Założyli firmę. Byli ze sobą bardzo życzliwi. Jack jest prawie członkiem rodziny.

– Ale chyba to nie oni organizowali tę walkę Kirkcaldy’ego ze Schmidtkem, co?

– Nie... to nie ta skala. Czemu pytasz?

– A tak, z ciekawości – odparłem. – A po co przyjechał tu wczoraj?

– Pomaga w uporządkowaniu pewnych spraw związanych z interesami.

– Rozumiem. Pomaga twojej macosze?

Lorna spojrzała na mnie zdezorientowana, ale po chwili zaświtało jej, do czego zmierzam. – O nie. Nic z tych rzeczy. Wierz mi. Nie to, żeby Maggie nie była do czegoś takiego zdolna. Jest zdolna do wielu rzeczy. Ale wydaje mi się, że Jack po prostu nie jest tym w najmniejszym stopniu zainteresowany. Podobno ma cały wianuszek adoratorek. – Usiłowała uśmiechnąć się szelmowsko, ale smutek szybko starł jej uśmiech z twarzy. – Jak mówiłam, Jack i tata byli bardzo ze sobą życzliwi. Jack w żadnym wypadku by nie...

– Czego chciał? Wczoraj wieczorem, znaczy.

– Przyjechał tylko sprawdzić, czy może w czymś pomóc. Poza tym szukał jakichś papierów taty.

– I znalazł je?

– Nie, chyba nie.

Wypiliśmy z Lorną po drinku i kiedy wychodziłem, znowu do mnie przylgnęła. Stłumiłem budzące się we mnie uczucie

irytacji. Lorna z uporem próbowała złamać naszą umowę dotyczącą niezobowiązującego charakteru naszego związku. Ja z równym uporem się przed tym broniłem. Niezły ze mnie aparat – pomyślałem.

Kiedy wróciłem do siebie, z telefonu w przedpokoju zadzwoniłem do Sheili Gainsborough na numer jej agenta. W słuchawce odezwał się ten sam wysoki, zniewieściały głos. Poprosiłem do telefonu pannę Gainsborough i w słuchawce rozległo się westchnienie, potem zapadła cisza i wreszcie ona sama podeszła do telefonu. Omówiłem swoje dotychczasowe poczynania, co nie trwało zbyt długo.

– Czy Sammy w ogóle się do pani odzywał?

– Nie – odparła. – Zupełnie. – Transatlantycki głos sprawiał wrażenie zmęczonego i zrezygnowanego. – Miałam nadzieję...

– Ja nadal prowadzę poszukiwania, panno Gainsborough. Rozmawiałem z tym Francuzem, Barnierem. Wydaje się jednak, że on wcale tak dobrze Sammy'ego nie zna.

– Nie? – Wydawała się zaskoczona. Ale tylko trochę. – Sammy kilka razy o nim wspomniał. Sądziłam, że się znają.

– Tak, on zna Sammy'ego. Tylko że nie aż tak dobrze.

Rozmawialiśmy jeszcze przez kilka minut, ale niewiele więcej potrafiła mi powiedzieć, a ja jej jeszcze mniej. Obiecałem, że będę ją szczegółowo informował o postępach mojego dochodzenia.

Kiedy odłożyłem słuchawkę, poczułem na sercu jakiś martwy ciężar. Za każdym razem, kiedy w moim umyśle pojawiał się obraz całej tej dziwnej sytuacji związanej z Sammym Pollockiem, jawiła mi się ona w coraz mroczniejszych barwach.

VI

Po wojnie Wielka Brytania zaangażowała się w budowanie bardziej sprawiedliwego społeczeństwa. Może właśnie dlatego gdy Beveridge ze swoimi stronnikami planowali wprowadzenie państwa opiekuńczego i zapewnienie wszystkim równych szans, Willie Sneddon, Jonny Cohen i Młot Murphy opracowali układ Trzech Królów. Cały pomysł polegał na sprawiedliwym podzieleniu między całą trójkę wpływów w Glasgow. Każdemu po równo.

I może rzeczywiście podzielono ten tort na równe części, ale jakoś Williemu Sneddonowi udało się przechwycić większość lukru. Sneddon był pośród Trzech Królów zdecydowanie najbogatszy. Nikt tak naprawdę nie wiedział – choć wielu podejrzewało – w jaki sposób udało mu się aż tak wzbogacić. Młot Murphy niewątpliwie spędził wiele bezsennych nocy na próbach rozwikłania tej kwestii. Ale prawdę mówiąc, jeśli znało się Williego Snedдона, przestawało to być aż takie zagadkowe. Jego charakter krył w sobie coś mrocznego, przebiegłego i pokrętnego, i to w większym nawet stopniu niż można by się spodziewać po przeciętnym bossie świata przestępczego. Sneddon był dużego kalibru kombinatorem. Nie był zwykłym kryminalistą, lecz kryminalistą przedsiębiorcą, nieustannie szukającym okazji i wynajdującym sposoby wyciśnięcia grosza z każdego przedsięwzięcia.

Wiedziałem – choć nigdy o tym z nim nie rozmawiałem – że gros zasobów finansowych Jonny'ego Cohena nie brało się wcale z jego klubów czy innych przekrętów. Jego głównym źródłem przychodów była prowadzona na dużą skalę działalność przestępcza: głównie rabunki, a także włamania, defraudacje i czasem wyłudzenia. Większość dochodów Jonny'ego Cohena, tak samo zresztą jak Młota Murphy'ego, pochodziło z dużych robót, przynoszących jednorazowo dużą

kasę. Willie Sneddon działał w tej samej branży, ale wszyscy wiedzieli, że jest zaangażowany w tyle różnych interesów i przekrętów, że może liczyć na ciągły, stały przyływ gotówki. Do tego dochodziło jeszcze jedno jego oblicze: Williego Snedдона biznesmena. Sneddon miał autentyczną smykałkę do prowadzenia legalnych interesów, choć mógł je rzecz jasna kręcić dzięki zasobom gotówki, którą ukradł, wyłudził lub sfalszował. Jak większość gangsterów dużego kalibru założył szereg – działających na pozór zgodnie z prawem – przedsiębiorstw, stanowiących w istocie przykrywkę ułatwiające pranie brudnych pieniędzy. Od typowego bossa półświatka różnił się tym, że potrafił przekształcić je w autentycznie legalne i prosperujące firmy.

Zazwyczaj wystarczyło jednak nieco poskrobać, aby przekonać się, co kryje się pod tą cienką pozłotą. W każdym razie Sneddon bez wątpienia miał nosa do wszelkiego rodzaju popłatnych – legalnych i nielegalnych – przedsięwzięć.

Konsekwencją tego wszystkiego był fakt, że w przeciwieństwie do niedawno zmarłego Bilon MacFarlane'a Sneddonowi udało się przekroczyć społeczny Rubikon rzeki Clyde. I bynajmniej na tym nie poprzestał. Jego wielka, siląca się na wielkopański rozmach rezydencja, usytuowana na działce tak dużej, że mógłby nią zarządzać burmistrz z radą miejską, znajdowała się w najzieleńszej i najbardziej ekskluzywnej części zielonej i ekskluzywnej dzielnicy Bearsden. Wiedziałem, że jego sąsiadami są między innymi sędzia Sądu Najwyższego, ze dwóch właścicieli stoczni i kilku innych wysoko postawionych biznesmenów. Ciekaw byłem, jak czuł się sędzia, mając za żywopłotem ze złotokapu i ligustru takiego sąsiada jak Sneddon, najlepiej prosperujący przestępca Glasgow. No ale Willie Sneddon osiągnął już w tym mieście na tyle wysoki status majątkowy i szerokie wpływy, że niektórzy ludzie, z którymi miał do czynienia, dociekając wątpliwych źródeł jego majątku z pewnością zaliczyliby do przejawów złego smaku.

No i rzecz jasna nie bez znaczenia w tym względzie była

praktyka przekazywania co jakiś czas komu trzeba grubo wypchanej szarej koperty. Glasgow było miastem, w którym kupić można było wszystko. Nawet opinię szacownego obywatela.

Nie mogłem już dłużej odkładać spotkania ze Sneddonem. Pewnie łaknął jakichś wiadomości, a ja, no cóż, mogłem go tylko oświecić, że jego zlecenie dotyczące Bobby'ego Kirkcaldy'ego to strata czasu i że od Maggie MacFarlane wiem, jakoby Bilon nigdy nie prowadził żadnego tajnego terminarza.

Pogoda nie była deszczowa. Zza zwiewnej, mleczonej zasłony chmur nieśmiało prześwitywało słońce, a powietrze przestało już być tak obezwładniająco parne. Wstałem, ogoliłem się i włożyłem bladoniebieską jedwabną koszulę, dobierając do niej krawat w odcieniu ciemnego burgunda i granatowy garnitur z niewielką domieszką moheru. Garnitur był lekki jak piórko, leżał doskonale, no i słono mnie kosztował. Do tego granatowe skarpetki i półbuty, też burgund. Otrzeptałem ramiona marynarki, włożyłem ją i poprawiłem krawat przed lustrem. Cholera, ale ten garnitur był świetnie dopasowany! Aż szkoda było to psuć, wypychając kieszeń czymś ciężkim, ale spodziewałem się, że prędzej czy później natknę się na Costello albo kogoś z jego krzepkiej świty.

Mam zwyczaj nosić ze sobą pałkę: kilkunastocentymetrowy pręt z hartowanej stali, zakończony ołowianą kulką i obciążony skórą. Mój czołobitny stosunek do spraw mody wykluczał jednak możliwość defasonowania czymś takim garnituru. Na szczęście dysponowałem też szczuplejszą odmianą tego narzędzia: ponaddwudziestocentymetrową pałką sprężynową, zbudowaną na podobnej zasadzie, lecz spłaszczoną, mającą mniej więcej szerokość portfela i przypominającą nieco skórzany fryzjerski pas do ostrzenia brzytw. Była czarna i zgrabna – nasuwała się myśl, że coś takiego Chanel mogłaby zaprojektować dla Ala Capone.

Wsunąłem pałkę do wewnętrznej, lewej kieszeni marynarki, skąd mogłem ją bez trudu wyciągnąć prawą ręką. Ołowiany obciążnik wypychał mi nieco tę połowę marynarki, ale uznałem,

że jakoś to przeboleję. Podczas rewizji osobistej obecność takiej płaskiej pałki łatwo umyka uwadze, bo w dotyku przypomina portfel. Zdecydowanie nie miałem ochoty wychodzić na ulicę bez jakiegoś zabezpieczenia.

Zadzwońłem do Sneddona, żeby się z nim umówić. Powiedział, że cały dzień ma zajęty i spytał, czy nie mógłbym przekazać mu informacji przez telefon. Odparłem, że wolałbym z nim porozmawiać w cztery oczy, dorzucając coś w stylu, że takich spraw nie omawia się telefonicznie. Kupił to i powiedział, żebym zajrzał do niego wieczorem, około wpół do dziewiątej.

Zadzwońłem do niego w sprawie spotkania między innymi po to, aby dać mu do zrozumienia, że praktyka dzwonienia i umawiania się na pasujący obu stronom termin odpowiada mi dużo bardziej niż zgarnianie z ulicy przez Pedikiurka McBride'a. Poza tym w przeciwieństwie do gospodarstwa w Dumbarton, rezydencja w Bearsden była jednocześnie prywatnym domem Sneddona i jego biurem. Kto wie, może udałoby mi się nawet nakłonić Jimmy'ego Costello do przestrzegania takiej samej etykiety towarzyskiej. Było to jednak mocno wątpliwe.

Przed wyjściem zatrzymałem się na chwilę w holu na dole i zadzwoniłem do Lorny. Trzymała się nieźle, choć w jej przytłumionym żałobą głósie nadal słyhać było zmęczenie. Jakoś udało mi się wymigać od wizyty – obiecałem tylko, że zadzwonię później. Spytałem, czy policja jeszcze o coś ją wypytywała i czy zaglądał do nich Jack Collins. Na oba pytania odpowiedziała przecząco. Potem nastąpiła jedna z tych chwil dłuższego milczenia, które często nam się ostatnio zdarzały, kiedy każde z nas czekało, aż to drugie coś powie. Coś istotnego lub podnoszącego na duchu. Coś, co by jakoś pogłębiło naszą płytką relację.

– No to do usłyszenia później – powiedziała w końcu bezbarwnym tonem i odłożyła słuchawkę.

Pojechałem na wschodni kraniec miasta, do Dennistoun. Tak jak w przypadku wielu innych czcigodnych dzielnic Glasgow

dobrze było móc powiedzieć, że człowiek pochodzi z Dennistoun. Unikać należało natomiast ciąglego tam wracania. Dennistoun była dzielnicą wąskich, krętych uliczek, przy których stały stare czynszówki okopcone sadzą buchającą z kominów fabrycznych jeszcze za czasów młodości królowej Wiktorii. Rzucały się tam w oczy puste place, będące pozostałością po wyburzonych, najbardziej zrujnowanych slumsach. Na kilku z nich wzniesiono już i zasiedlono tchnące nowością bloki.

Zajechałem na obrzeża dzielnicy, w rejon niepasującej zupełnie do otoczenia, zielonej szachownicy ogródków działkowych, za którymi stała budowla skonstruowana ze skręconych śrubami płacht blachy falistej, też zupełnie tu niepasująca i kojarząca się raczej ze stoczną.

Zaparkowałem i wszedłem do środka drzwiami, nad którymi widniał napis oznajmiający światu, że jest to Siłownia McAskilla. W środku znajdowały się dwa nadgryzione zębem czasu ringi bokserskie do sparingów i kilka zwisających z sufitu, nieużywanych akurat worków treningowych. Panowała cisza. Jediną obecną tu osobą był starszy mężczyzna w golfie i cyklistówce, siedzący w przeciwległym rogu sali na starym, zdezelowanym fotelu i czytający gazetę. Gdy wszedłem, spojrzał w moją stronę, złożył uważnie gazetę, wstał i podszedł do mnie.

– Cześć, Lennox... – przywitał mnie z uśmiechem stary McAskill. Był to pełen zmęczenia uśmiech na pełnej zmęczenia twarzy, która ewidentnie też miała na koncie sporo spotkań z pięściami w rękawicach. Gestem głowy wskazał na znajdujące się w głębi sali drzwi do biura. – Jest tam...

Przebiegłem salę i wszedłem do niewielkiego pomieszczenia, w którym za biurkiem siedział szczupły mężczyzna o zbyt długiej twarzy, palący papierosa. Wyglądał na około czterdzieści lat, wiedziałem jednak, że ma o dziesięć mniej. Na blacie biurka leżał jego filcowy kapelusz z szerokim rondem, który już ładnych kilka lat temu wyszedł z mody. Własny kapelusz o wąskim rondzie wymownie położyłem obok.

– Pan Lennox... – Mężczyzna uśmiechnął się i wstał zza

biurka. Był wysoki, co nie było bynajmniej zaskakujące, jako że glasgowska policja nie zatrudniała mężczyzn mających mniej niż metr osiemdziesiąt wzrostu. W związku z powyższym co najmniej dwie trzecie funkcjonariuszy rekrutowało się jednak spoza Glasgow. Uścisnęliśmy sobie dłonie. Otóż trzeba powiedzieć, że glasgowscy gliniarze nie mieli zwyczaju mówić do mnie per „pan” ani podawać mi ręki, chyba że po to, aby nałożyć mi kajdanki. No ale z detektywem Donaldem Taylorem to była inna sprawa. Mieliśmy ze sobą pewien układ.

– Dzięki, że się zjawileś, Donald. Jesteś na służbie?

– Mam dziś drugą zmianę. Od drugiej.

– Udało ci się czegoś dowiedzieć o tym, co mnie interesuje?

Potrząsnął przecząco głową. – Obawiam się, że niewiele, panie Lennox. Bobby Kirkcaldy nie pochodzi z Glasgow. Urodził się w Motherwell. Żeby uzyskać coś więcej, musiałbym skontaktować się z policją w hrabstwie Lanarkshire, a to wywołałoby pytania.

– Ale mógłbyś przynajmniej sprawdzić, czy był notowany przez policję.

– Jasne... zrobiłem to. Nie był. I na ile zdążyłem się zorientować, nie krążą też na jego temat żadne pogłoski. Wygląda na to, że jest czysty.

– A co z tą drugą sprawą – dotyczącą Bilona MacFarlane’a?

– Przykro mi... z tym też kiepsko. Nie przydzielono mnie do tej sprawy i tu tak samo – jak zacznę się za bardzo zagłębiać, wzbudzi to podejrzenia przełożonych. Rozmawiałem jednak nieoficjalnie ze śledczym zbierającym materiały dowodowe. Powiedział, że zabrali z domu MacFarlane’a całe kopy materiałów. Rzecz jasna za zgodą pani domu.

– To wszystko?

– Jeszcze dwie sprawy. Inspektor Ferguson pytał o pana.

– Wie, że się znamy?

– Nie, w zasadzie nie. To znaczy, nie wie, że mamy... no, nasz układ. Inspektor Ferguson nie wdaje się w takie sprawy. Wie po prostu, że rozmawiałem z panem w związku z tymi zeszłorocznymi zajściami. Kiedy pan był za granicą.

Kiwnąłem głową. Jock Ferguson był kiedyś moim głównym policyjnym informatorem. Ale nie płatnym. Był uczciwym gliniarzem. Tak przynajmniej kiedyś myślałem. Nie rozmawiałem z nim od pół roku.

– A druga sprawa?

– To był właśnie jeden z powodów, dla których nie mogłem za bardzo węszyć przy sprawie MacFarlane’a. Niuchało w niej zbyt wielu gości z wierchuszki. Tak jakby chodziło o coś więcej niż o zwykły rabunek.

– No i...? – rzuciłem niecierpliwie. Czułem, że Taylor do czegoś zmierza. Nie byłem tylko pewien, czy do czegoś konkretnego, czy dętego. Wiedział, że płacę tylko za konkrety.

– Na komendzie przy placu St. Andrew’s zjawił się pewien jankes. Był z nadinspektorem McNabem i zastępcą naczelnika.

– Amerykanin?

– Tak sądzę. Mijałem ich na korytarzu. Mówił jak pan.

– Nie jestem Amerykaninem. Jestem Kanadyjczykiem.

– No tak... miał silniejszy akcent. Wielkie chłopisko. Takie jak McNab. W krzykłym garniturze.

– A co to ma wspólnego ze mną?

– No, wie pan, jakie są kobitki. Maszynistki i policjantki rozpływały się nad jego akcentem. Był na ustach wszystkich. Przyjaźnię się z jedną z dziewczyn pracujących w biurze zastępcy naczelnika. Mówi, że zażyczyli sobie wszystkie akta dotyczące morderstwa MacFarlane’a.

– Więc ten gość to amerykański gliniarz?

– Nie wiem. Ktoś mówił, że to prywatny detektyw. Tak jak pan.

– Okej... – Zastanowiłem się nad tym przez chwilę. – Coś jeszcze się dzieje?

– Tylko to kolejne morderstwo.

– Jakie kolejne morderstwo? – spytałem.

– Ten facet, którego znaleziono na torach.

– Myślałem, że to wypadek. – Zapaliłem kolejnego papierosa i przesunąłem paczkę w kierunku Taylora, żeby się poczęstował.

– Co wy tam, Einsteiny, wyrabiacie? Macie zamiar aresztować

maszynistę?

– Nadinspektor McNab jest z tego powodu wściekły jak diabli. Wszyscy byli zadowoleni z wersji, że to pociąg go zabił. Do diaska, przecież musieli posłużyć się łopatami, żeby go stamtąd całego pozbierać! Ale lekarz sądowy, który robił sekcję zwłok, orzekł, że gość był martwy, jeszcze zanim przejechał go pociąg. Poza tym miał dwa rozwalone palce i obtarte do krwi knykcie. Konował twierdzi, że denat musiał brać udział w jakiejś bójce, w której został zakatowany na śmierć, a potem pozbyto się ciała. Pociąg zrobił z niego marmoladę i podejrzenia są takie, że ktokolwiek go załatwił, podrzucił ciało na tory.

– Brzmi sensownie – odparłem. – Prawie się udało, ciężko kwestionować obrażenia spowodowane przez pociąg. A kim był ten ktoś?

– Nie mamy pojęcia. Nie pasuje do żadnych zgłoszeń o zaginięciu ani nie miał przy sobie jakiegokolwiek dowodu tożsamości. Ten lekarz sądowy to jakiś nowy mądrala, stosujący różne wymyślne sztuczki. W sprawozdaniu napisał, że z budowy ciała tego sztywniaka, jego nagniotków i karnacji wnioskuje, że był robotnikiem. Pasuje zresztą do tego, jak był ubrany. – Taylor zachichotał złośliwie. – Coś mi się wydaje, że doktorek będzie naszą następną ofiarą morderstwa. Nadinspektor McNab jest naprawdę wkurzony, że wrzucono mu do rozpracowania kolejne zabójstwo. Nie lubi za bardzo papierkowej roboty ten nasz nadinspektor.

Kiwnąłem głową. Łatwo mi było sobie wyobrazić, jak McNab szereguje nieboszczyków: ludzie, którzy byli nikim, ludzie, którzy byli kimś, a na samej górze gliniarze. Gdy ginął policjant, McNaba trudniej było zatrzymać niż ten pociąg, który zmasakrował zwłoki robotnika.

Taylor jeszcze przez dziesięć minut gadał o niczym, próbując w ten sposób wykazać, że zasłużył na wynagrodzenie. Kiedy skończył, podziękowałem mu i podałem numer aparatu telefonicznego w korytarzu na mojej kwaterze.

– Przekręć do mnie, jeśli czegoś jeszcze się dowiesz. Opłaci ci

się. – Otworzyłem portfel i wręczyłem mu trzy dziesiątaki. Gliniarze nie brali mało.

Gdy Taylor wyszedł, wróciłem do sali treningowej. Ćwiczyło tam dwóch podrostków przebranych w bokserki i białe podkoszulki. Sprawiali wrażenie chudych i zbyt bladych. Obaj uwijali się wokół worków treningowych, a stary McAskill stał oparty o ścianę i przyglądał im się bez zainteresowania.

Podszedłem do niego i wsunąłem mu w rękę piąta. – Dzięki za udostępnienie biura, Mac. Wiesz coś o Bobbym Kirkcaldym?

– Niewiele. Rusza się jak marzenie. Rozwali tego Szkopa w przyszłym tygodniu.

– Myślisz?

– Nie mam żadnych wątpliwości.

– Ale nigdy się z nim nie spiknąłeś? Mam na myśli branżę bokserką.

– Nieee. Nie splunąłby na takie miejsce jak to, nawet gdyby się paliło. Poza tym to wiejski chłopak. Nie z Glasgow.

Uśmiechnąłem się w duchu na myśl, że McAskill mówił o Motherwell tak, jakby to była jakaś kraina miodem i mlekiem płynąca. Choć może w porównaniu z Dennistoun taka właśnie była.

– Ma opiekuna. Mówi, że to jego wujek. To gość mniej więcej w twoim wieku. Kirkcaldy nazywa go wujkiem Bertem.

Miałem wrażenie, że McAskill się koncentruje. Widać było, że przychodzi mu to z wysiłkiem. Najwyraźniej próbował wydobyć coś z mózgowicy, która nieźle się poobijała w jego czaszce przez te wszystkie lata boksowania. Przeleciało mi przez głowę skojarzenie z próbą namierzenia piłeczki z konkretną liczbą w wirującym bębnie do totolotka.

– A jak on wygląda?

– Tak jakby używał twarzy do rozbijania sklejonych landrynek.

– Kurwa... – Najwyraźniej znalazł wreszcie piłeczkę, której szukał. – Albert Soutar. On jest wujem Kirkcaldy'ego?

Wzruszyłem ramionami.

– Czy ma taki kurewsko połamany nos?

– To chyba za mało powiedziane. Mógłby nim pewnie wachać swoje uszy.

– To mi wygląda na Soutara, bez dwóch zdań. No i faktycznie miał jakąś rodzinę gdzieś w Lanarkshire. To jest wyjątkowo wredny sukinsyn. A w każdym razie był.

– To znaczy?

– Na przełomie lat dwudziestych i trzydziestych przeszedł na zawodowstwo, ale był do niczego. Zbyt wiele ciosów kontrował głową. Sporo też walczył na gołe pięści. Potem trochę siedział.

– W więzieniu?

– Tak. Należał do gangu brzytwiarzy Bridgeton Billy Boys. Podobno pociął jakiegoś gliniarza. Trzymał brzytwę ukrytą w daszku czapki. – McAskill dotknął własnej cyklistówki. – Był naprawdę wrednym skurwysynem. Jak mawiał mój staruszek, nadużył zaszczytu bycia pojebem.

Uśmiechnąłem się, wyobrażając sobie rozczulającą scenę przy kominku, jak ojciec trzyma na kolanach syna i wprowadza go w tajniki obraźliwych epitetów.

– Więc sądzisz, że wuj Albert to właśnie on?

– To możliwe. – McAskill wolno pokiwał głową. – Jeśli to on, to trudno o większego oprycha. To dziwne, że młody Kirkcaldy z nim trzyma.

Z Dennistoun pojechałem na obiad – jeśli tak to można nazwać – do pubu Pod Końskim Łbem. Zamówiłem pasztecik i duże piwo i w trakcie eksperymentu mającego potwierdzić naukowy fakt, że tłuszcz nie rozpuszcza się w wodzie, na drugim końcu baru dostrzegłem Joego Gallaghera, zaprzyjaźnionego dziennikarza. Określeniem „zaprzyjaźniony” posługuję się dość luźno, nie tylko w odniesieniu do tego akurat gościa, ale ogólnie rzecz biorąc wobec wszystkich znajomości zawartych w Glasgow od chwili, gdy po raz pierwszy zjawiłem się w tym mieście. W przypadku Joego bardziej pasowałoby określenie „kompan do picia”. Uzyskanie informacji od dziennikarza kosztuje znacznie mniej niż wyciągnięcie czegoś

od biorących w łapę gliniarzy. Zazwyczaj do otworzenia kanałów komunikacji wystarczy postawienie dużego piwa, poprawionego jakimś łyskaczem, więc udałem się w drugi koniec baru i zapytałem Joego, czym się dzisiaj raczy.

Wyszedłem z baru pół godziny później. Mój gazeciasty koleżka powiedział mi, że ze dwa razy przeprowadzał wywiad z Kirkcaldym. Był zdania, że Bobby to zmyślny chłopak. Wspomniał też poobijanego starszego opiekuna, który zdawał się nie odstępować Kirkcaldy'ego o krok.

– Taa... nazywa go wujkiem, jeśli się nie mylę – rzuciłem.

– Jasne, wujek – mruknął Joe. – To Bert Soutar, kurwa. Niezłe ziółko.

Było punkt wpół do dziewiątej. Skręciłem w długi, wznoszący się podjazd, który ciągnął się przez ogród gęsto porośnięty drzewami i krzewami o lśniących liściach i kończył pod rezydencją Sneddona. Był przyjemny wieczór. Ciemniejący błękit nieba nie wydawał się odpowiednim tłem dla wiktoriańskiej architektury wznoszącej się na posesji Sneddona. Do typowej szkockiej pogody – jak również szkockiej mentalności – idealnie pasował gotyk. Nawet czarny bentley R-Type Sneddona sprawiał wrażenie, jakby czał się na podjeździe. Zaparkowałem obok i podszedłem do budynku, niemal spodziewając się, że otworzy mi drzwi Vincent Price¹¹ i zaprosi do obejrzenia swojej galerii figur woskowych. Tak, Price by tu pasował – tym bardziej, że po moim dzwonku drzwi otworzył Śpiewak i w milczeniu zrobił krok w bok, wpuszczając mnie do holu.

Sneddon tym razem zrezygnował z typowego dla siebie chwytu i nie kazał na siebie czekać. Zostałem od razu wprowadzony do jego gabinetu. Stojące pod ścianami, wypełnione książkami półki ugięły się pod ciężarem wiedzy, a w pomieszczeniu unosił się wyrazisty zapach drewnianych,

¹¹ Vincent Price (1911-1993) – amerykański aktor, główna postać horroru z 1953 roku – pt. *Gabinet figur woskowych*.

obciągniętych skórą mebli. Nie wydawało mi się realne, by Sneddon spędzał tu zbyt wiele czasu, poświęcając się lekturze.

– Masz dla mnie wieści? – Sneddon zajął miejsce przy biurku, na którego zrobienie poszło chyba z półtora drzewa. Widywałem mniejsze lotniskowce. Miał na sobie świetnie skrojony trzyczęściowy garnitur w niebieskie prążki, pod nim szytą na miarę jedwabną koszulę w biało-błękitne paski, a na szyi śliwkowy krawat. Mógłby to być z powodzeniem ubiór maklera giełdowego z Surrey, ale w tym wypadku uwypuklał tylko zaciętą twarz właściciela z blizną po cięciu brzytwą.

– Widziałem się wczoraj z Kirkcaldym – powiedziałem.

– I?

– Nie ma żadnego punktu zaczepienia. To, co mi powiedział, niczego nie wnosi. Trzeba czekać i obserwować, żeby złapać delikwentów na gorącym uczynku.

– To czekaj i obserwuj.

– Nie mogę tam siedzieć przez całą dobę. Zresztą pomyślałem sobie, że może chciałby pan, aby jakichś dwóch pańskich ludzi było tam na miejscu, żeby wymierzyć tym zbirom sprawiedliwość natychmiast, gdyby a nuż się zjawili.

– Wynająłem cię, bo chcę, żebyś wybadał, co się dzieje. Co się naprawdę dzieje. – Sneddon utkwił we mnie swoje zimne, szaroniebieskie spojrzenie, jakby chciał mi w ten sposób dać coś do zrozumienia.

– Rozumiem. A więc nie tylko Jonny Cohen uważa, że kryje się za tym coś więcej.

Sneddon spojrzał gdzieś ponad moim ramieniem w kierunku drzwi i odprawił kogoś gestem głowy. Odwróciłem się i zobaczyłem stojącego tam – rzecz jasna w milczeniu – Śpiewaka. Myślałem, że po wprowadzeniu mnie do gabinetu wyszedł, więc jeśli czaił się tam z mojego powodu, jego wysiłki poszły na marne.

– Zaangażowałem w Kirkcaldy'ego kurewsko dużo pieniędzy – powiedział Sneddon, gdy Śpiewak zniknął, zamykając za sobą masywne drzwi. – Więcej niż sobie możesz wyobrazić. Co on ci powiedział?

Posiłkując się notesem, zrelacjonowałem przekazane mi przez Kirkcaldy'ego fakty. Kiedy skończyłem i zamknąłem notes, Sneddon nadal nie spuszczał ze mnie chłodnego spojrzenia. Pytająco uniósł brew.

– Okej – powiedziałem. – Chce pan wiedzieć nie, czego się dowiedziałem, tylko co o tym wszystkim sądzę. W porządku... Bobby Kirkcaldy starał się mnie przekonać, że tracę czas. Że nic wielkiego się nie dzieje. Bardzo ochoczo podchwycił ideę, że te wszystkie wygłupy mają po prostu na celu wytrącić go z równowagi przed wielką walką. I zapewnił mnie, że nic takiego nie nastąpi.

– Więc?

– Miałem wrażenie, że usiłuje to wszystko zbagatelizować. I pozbyć się mnie. Jak się pan w ogóle o tym wszystkim dowiedział? Od samego Kirkcaldy'ego?

– Nie, nie od niego. Opowiedział mi o tym jego menedżer.

– A Kirkcaldy mu się na to skarżał?

– Nie, właściwie nie. – Sneddon nadal patrzył na mnie beznamiętnie. – Menedżer wrócił kiedyś do domu i zobaczył samochód pochlapany czerwoną farbą. Spytał Bobby'ego, co to za akcja, i usłyszał taką samą bajeczkę jak ty.

– Taa... – Poczęstowałem Sneddona papierosem. Odmówił niecierpliwym ruchem głowy. Nie śpiesząc się, zapaliłem swojego. – Kirkcaldy całkowicie olewa całą tę sprawę. Pytałem go, czy to możliwe, aby ktoś robił te numery z pobudek osobistych – jakieś wyrównanie starych porachunków, dawny wróg lub coś w ten deseń. Zaczął się nad tym demonstracyjnie zastanawiać i w końcu oznajmił, że nic mu nie przychodzi do głowy. Otóż gdyby chodziło o mnie i ktoś podrzucałby mi na próg martwe ptaki, stryczki i tym podobne niespodzianki, to dniami i nocami bym się zastanawiał, czy ktoś nie żywi do mnie przypadkiem jakiejś urazy. Nikt nie musiałby mi tego sugerować.

– Więc sądzisz, że on dobrze wie, o co w tym wszystkim chodzi?

– Tego nie twierdzę, ale spójrzmy prawdzie w oczy... Jonny

Cohen węszy w tym jakiś przekręt. Podobnie ze mną. Panu też to brzydko pachnie. Co pan wie o Kirkcaldym? Pomijając oczywiście jego umiejętności na ringu.

– Nie aż tyle, ile bym chciał. Widziałeś go w jakiejś walce?

– Tak, ze dwa razy.

– Wiem na tyle dużo na temat boksu, aby zdawać sobie sprawę, że do regularnych zwycięstw w ringu potrzeba nie tylko mocnego uderzenia, ale i sporo oleju tutaj. – Sneddon popukał się palcem po skroni. – A Kirkcaldy ma i to, i to. Boksuje inteligentnie. A poza tym jest ambitny.

– No, przypuszczam, że to pożądana cecha u boksera, na którego się stawia.

– To prawda. Zastanawia mnie natomiast, i martwi, na ile realizuje te ambicje również poza ringiem.

– Niech pan słucha, panie Sneddon... – Pochyliłem się do przodu, opierając łokcie na kolanach. – Nie ma sensu bawić się w tego rodzaju eliptyczne sformułowania...

– A co to ma, kurwa, niby znaczyć? Nie za dużo czasu spędzasz z Pedikiurkiem nad „Reader’s Digest”?

– Jest dla mnie jasne, że ma pan pewne podejrzenia, którymi się pan ze mną nie dzieli. Poza tym mógł być pan sobie z tym wszystkim poradzić przy pomocy swoich ludzi, którzy by tam sterczeli tak długo, aż zjawiłby się delikwent, żeby wywinąć jakiś kolejny numer. Ale zatrudnił pan mnie, żeby sprawdzić, czy tak samo jak pan i Jonny Cohen nie doszukam się w tym wszystkim czegoś trefnego. Czemu nie powie mi pan prosto z mostu, czego konkretnie mam się wywiedzieć?

Sneddon skrzywił usta w szpetnym grymasie, który uważał pewnie za uśmiech. – Może lubię bawić się w takie epileptyczne sformułowania...

– Eliptyczne... – poprawiłem go i od razu tego pożałowałem. Nawet ten daleki cień uśmiechu zniknął z jego twarzy. – Bobby Kirkcaldy ma opiekuna, który nie odstępował go ani na krok. To starszy facet z pokiereszowaną gębą. Kirkcaldy nazywa go wujem Bertem. Sprawdzałem, kto zacz, i okazuje się, że to dawny członek gangu brzytwiarzy, Bert Soutar. W latach

trzydziestych trzymał z gangiem Bridgeton Billy Boys.

– Pamiętam Billy Boysów – powiedział Sneddon. Nie miałem powodu w to wątpić. Billy Boysi byli sekciarskim gangiem protestanckim, zorganizowanym na wzór military. Jeśli chodzi o interesy, Sneddon miał tylko jedną słabość, jedną lukę w swoim kalkulującym obiektywizmie. Był mianowicie bigotem do szpiku kości. – Ale nigdy nie słyszałem o żadnym Bercie Soutarze.

– Siedział w pace.

Sneddon skrzywił się i wzruszył ramionami. – Pocięcie kilku fenian nie znaczy jeszcze, że z niego jakiś Al Capone. Sądziś, że to ma jakieś znaczenie?

– No. Być może Kirkcaldy nie jest aż takim praworządnym obywatelem, na jakiego wygląda. Może to wujek Bert zamieszany jest w jakieś szemrane interesy. To by wyjaśniało te wszystkie pogrozki.

– Okej – odparł Sneddon. – Działaj dalej i próbuj dowiedzieć się czegoś więcej. Prosiłem cię o coś jeszcze. Terminarz Biloną. Pomyszkowałeś trochę?

– Pytałem o niego żonę Biloną... znaczy, wdowę po Bilonie... ale powiedziała, że on niczego takiego nie prowadził. Twierdzi, że wszystko miał w głowie. Natomiast policja zabrała z domu jakieś materiały.

– Mieli nakaz rewizji?

– Nie... bez nakazu. Maggie MacFarlane wyraziła zgodę. Tak na marginesie: odwiedził ją pewien dżentelmen. Jack Collins. Zna go pan?

– Taa... znam Collinsa. Był współnikiem Biloną w jednym z kantorów bukmacherskich. I w organizowaniu pomniejszych walk bokserskich.

– Czy jest jakiś powód, dla którego powinienem mu się lepiej przyjrzeć?

Sneddon zaśmiał się w sposób sugerujący, że małą ma w tym praktykę. – Można by tak powiedzieć. Może doszukasz się w Collinsie pewnego rodzinnego podobieństwa... MacFarlane robił kiedyś interesy z Collinsiem seniorem, który hodował

charty i wystawiał je na wyścigach. Zresztą z powodzeniem. Choć prawdę mówiąc, podobno Bilon ubił lepszy interes z matką Collinsa, jeśli łapiesz, o co mi chodzi.

– Bilon jest ojcem Jacka Collinsa?

– Ano. I Collins o tym wie. Rab Collins zmarł na zawał ponad dwadzieścia lat temu. Od tamtej pory Bilon opłacał Jackowi ekskluzywną szkołę i tym podobne pierdoły.

– Rozumiem. – Zrobiłem minę, jaką robi się wtedy, gdy wypróbowało się już wszystkie kombinacje, a sejf nadal nie chce się poddać. Zapadło milczenie i Sneddon przez chwilę mi się przyglądał. Nie przyszłoby mi wcześniej na myśl, że obserwacja może być aktem agresji. Coś chodziło mu po głowie. Swoją drogą coś zawsze chodziło mu po głowie, natomiast w tym wypadku jego skupiony wyraz twarzy dobitnie to pokazywał.

– Okej – odezwał się w końcu. – Więc tak... Mówiłem ci już, że spotkałem się z Bilonem wcześniej tego dnia.

– Tego dnia, kiedy został zabity?

– Tak. No więc, jak pewnie wiesz, Bilon nie zawsze działał zgodnie z prawem, choć na ogół jednak tak. Coś tak jak ty. I tak samo jak ty, od czasu do czasu robił jakieś interesy ze mną, z Cohenem albo z Murphym. Nigdy nie robił niczego, co mogłoby go narazić na przymknięcie przez policję. W każdym razie niczego, z czym można by go jakoś bezpośrednio powiązać. Był śliski jak ślimacze gówno na deszczu. Lubił pośredniczyć w różnych sprawach. Organizować wszystko i inkasować za to prowizję albo jakiś procent od ewentualnych zysków.

– I mieliście ze sobą jakieś konszachty związane z organizacją walk bokserskich. Tak mi pan powiedział.

Sneddon zrobił minę. – Wiem. I z początku sądziłem, że o to właśnie chodzi. Mieliśmy się spotkać i pogadać o Bobbym Kirkcaldym.

Uniosłem brwi. Wszystko zaczęło nabierać kształtów. Choć na razie zarys był jeszcze mglisty. – Wydawało mi się, że Bilon nie miał nic wspólnego z Kirkcaldym. Że to nie ten poziom. Tak

pan sugerował...

– Tak, tak... racja. Bo sam tak z początku myślałem. Ale chciał ze mną porozmawiać o jakimś interesie, w którym planował pośredniczyć. I powiedział, że jest w to zaangażowany Bobby Kirkcaldy. Ale nie jako bokser, tylko jako inwestor.

– No więc poszedł pan obgadać rzecz z Bilonem. I co?

– No właśnie o to chodzi. Pojechałem do niego do domu... tak jak ustaliliśmy. Śpiewak mnie tam zawiózł i czekał na mnie w samochodzie. Ale kiedy już zaczęliśmy rozmawiać, okazało się, że Bilon robi w gacie ze strachu. Był, kurwa, blady jak ściana. Próbował nie dać nic po sobie poznać, ale kiedy nalewał mi drinka, ręce mu się trzęsły jak cholera. No i zaczął nawijać jakieś brednie o tym, że mnie przeprosza i że mnie niepotrzebnie fatygował, bo interes, który nagrywał, w końcu nie wypalił.

– A powiedział, co to miały być za kokosy?

– Nie. To znaczy, zaczął coś kręcić o tym, że Kirkcaldy chciał założyć w mieście jakąś szkołę boksu, ale przeliczył się z finansami.

– A pan w to nie wierzy? To w sumie prawdopodobne.

Sneddon pokręcił przecząco głową. Położył dłonie na orzechowym blacie biurka, rozsunął palce i utkwiał w nich nieobecny wzrok. – Orientujesz się, w jakich siedzę interesach, Lennox. Bukmacherzy, ochrona, kurwy, banki, paserstwo. Ale wiesz, jaka naprawdę jest moja specjalność? Strach. To strach trzyma cały ten pieprzony bajzel w kupie. Życie nauczyło mnie, że najlepszym i sprawdzonym sposobem, by mieć pełne kieszenie, jest pilnowanie, aby inni mieli pełne gacie. – Odchylił się do tyłu na krześle, przypatrując mi się chłodnym wzrokiem. – Więc jeśli twierdzę, że ktoś zastraszył Bilona MacFarlane'a, to wiem, co mówię.

– No i co, docisnął pan go do muru? – spytałem. – Dowiedział się pan, o co tak naprawdę chodzi?

– Nie. To nie miało sensu. Widziałem, że nic by to nie dało. Ktoś nieźle wziął MacFarlane'a w obroty. Nie puściłby pary z ust, nawet gdybym wezwał z samochodu Śpiewaka.

Kiwnąłem głową. Brzmiało sensownie. Jeśli ktoś był w stanie przebić Sneddon'a i Śpiewaka w ich przestępczej profesji, to coś poważnego było na rzeczy. Na biurku Sneddon'a leżała papierośnica: cała z litego srebra i tak duża, że powinno było na niej siedzieć piętnastu piratów. Sneddon odemknął wieczko, wyjął papierosa i pchnął srebrne cacko po powierzchni orzechowego lotniskowca w moim kierunku. Poczęstowałem się i przypaliłem papierosa Sneddonowi i sobie należąca do kompletu srebrną zapalniczką.

– No i tego samego wieczoru pożegnał się z życiem.

– Ano. – Sneddon zmrużył oczy w kłębach dymu papierosowego. – Dlatego właśnie potrzebny mi jest ten terminarz.

– Nie tylko po to, żeby gliniarze nie dowiedzieli się, że widział się pan z Bilonem w dniu jego śmierci. Intryguje pana, z kim on się spotkał wcześniej, przed panem.

– Utrafiłeś w sedno, Lennox. Choć może wcale nie jest to tam zapisane. Zresztą żona Bilona twierdzi, jak mówiłeś, że on nigdy takiego kalendarza nie prowadził.

– Tak powiedziała. Teraz pojmuję, dlaczego pan chciał, żebym trochę powęszył. – Zamilkłem na chwilę. Przypominałem klauna w cyrku, który stoi jak gamoń, aż deska, z którą obraca się drugi klaun, dotrze do jego głowy. Do mnie też coś dotarło. – No tak... – powiedziałem. – Już łapię. To właśnie dlatego zaangażował mnie pan do tego całego zamieszania z Bobbym Kirkcaldym. Chodzi o tę samą sprawę, prawda? Mam wybadać, czy Kirkcaldy ma coś wspólnego z tym tajemniczym interesem, w którym pośredniczył Bilon.

– Tak. I przypuszczam, że ta historyjka ze szkołami bokserskimi to tylko gówniana podpucha. Szczególnie biorąc pod uwagę to, co mówiłeś o tym jego szemranym, pieprzonym wuju, który się wokół niego kręci.

– A te stryczki i inne głupoty?

– Może to ma jakiś związek właśnie z tym interesem, a żadnego ze zbliżającą się walką.

– Rozumiem... – Zaciągnąłem się, po czym wypuściłem dym,

kontemplując jego snujące się srebrzystoszare nitki. – Wszystko to zaczyna mi podejrzanie pachnieć. I panu też chyba powinno. Policja przejawia wielką aktywność w sprawie zabójstwa Bilon i nadinspektor Willie McNab dał mi niedwuznacznie do zrozumienia, że jeśli zacznę za bardzo wokół tego węszyć, jego żona dostanie w prezencie wisiołek z moich jąder.

Rozległ się odgłos pocierania starego drewna o drewno: to Sneddon wysunął jedną z szuflad biurka. Sięgnął ręką do środka, wyjął coś i rzucił na blat przede mną. Była to duża biała koperta, zamknięta, choć niezaklejona, i grubo wypchana. Obiecująco grubo.

– Kup sobie nowe jądra – rzucił Sneddon, skinieniem głowy wskazując kopertę.

Podniosłem ją i nie zaglądając do środka, wsunąłem do wewnętrznej kieszeni marynarki. Jej kojący ciężar równoważył obciążenie przeciwległej wewnętrznej kieszeni, w której tkwiła moja pałka sprężynowa. Trzeba będzie zacząć nosić do pracy jakąś teczkę.

– Masz rację, policja kręci się wokół sprawy MacFarlane’a jak rój much wokół ścierniwa. – Sneddon ujawnił swój talent do wymyślania barwnych metafor. – A ja się, kurwa, pytam, dlaczego. Był jednym z ważniejszych buków, to fakt, ale gliniarzy przy tej sprawie jest jakoś za dużo i są zbyt wysoko postawieni.

Przytaknąłem. Pasowało. Też zastanawiałem się nad tym, dlaczego zaangażował się w to sam McNab. – Więc sądzi pan, że policja wpadła na trop szwindlu, który montował Bilon?

– Możliwe. Ale w takim razie musi to być przekręt na jakąś cholernie dużą skalę. A jeśli tak, to muszę, kurwa, czegoś więcej się o nim dowiedzieć. Masz jakieś wtyki na policji, nie?

– Taa... – potwierdziłem niechętnie, zastanawiając się, ile Sneddon może wiedzieć o moim układzie z Taylorem. Ciężar wypchanej koperty pod marynarką uprzytomnił mi jednak, że nie wypada za bardzo się opierać. – Pan też. I to pewnie lepsze od moich.

– Słuchaj... – Sneddon nachylił się w moją stronę, mrużąc

oczy. Znowu z twarzy zostało mu samo czoło. – Już ci, kurwa, mówiłem, że nie chcę, aby ktokolwiek mnie z tą sprawą kojarzył. Dlatego działałem zza twoich pleców. Chcesz tę kasę czy nie?

Jeszcze raz głęboko się zaciągnąłem, zgasilem papierosa w zwalistej kryształowej popielnicy, wziąłem z biurka kapelusz i wstałem.

– Zajmę się tym. – Skierowałem się ku drzwiom, ale jeszcze coś mi zaświtało. – Zna pan pewnie wszystkich w tym mieście, którzy są zamieszani w jakieś machlojki.

– No, mniej więcej. – Sneddon rozsiadł się w swoim zielonym, skórzanym fotelu jak kapitan na statku. Na pirackim, rzecz jasna.

– Czy słyszał pan kiedyś o facecie, który nazywa się Largo?
Zastanowił się przez chwilę i potrząsnął przecząco głową.

– Okej... dzięki. Chciałem się tylko upewnić.

Zanieczyszczenia przemysłowe to czasem naprawdę piękna sprawa. Kiedy wyszedłem od Snedдона, przez chwilę zatrzymałem się przy samochodzie i spojrzałem na zachód. Dom Snedдона położony był wyżej niż domy zwykłych zjadaczy chleba nie tylko w sensie pozycji społecznej, więc spoglądając ponad czubkami drzew, można było dostrzec rozpościerające się w dali przedmieścia. Glasgowskie powietrze miało dość konkretną konsystencję, co powodowało, że zachody słońca rozlewały się szeroko rozmytą feerią barw, tak jakby ktoś przelewał przez zwoje jedwabiu złotą i czerwoną farbę. Stałem, wpatrując się w to widowisko, przepelniony uczuciem zadowolenia.

Ta błogość miała jednak więcej wspólnego z obciążającym mi kieszeń zwitkiem gotówki niż z samym zachodem. Wsiadłem do atlantica i ruszyłem z powrotem do centrum.

Powinienem być mieć się bardziej na baczności. Tym razem bowiem ktoś wykazał się nieco większą finezją i wyższym poziomem inteligencji.

Wracalem od Sneddona i wjezdzałem wlasnie w zakret odgraniczajacy Bearsden od stojacego nizej na drabynie spolecznej Milngavie, kiedy dostrzegłem na skraju drogi granatowego forda zephyra 6 z podniesiona maska. Ciemnowlosy, dosc chyba elegancko ubrany i wygladajacy na okolo trzydziestci piec lat kierowca stal obok na jezdni. Mowie „chyba”, poniewaz robil to, co robi kazdy prawdziwy mezczyzna, kiedy psuje mu sie samochod: stal na jezdni, jedna reke opierajac na biodrze, a druga drapiac sie po glowie. I jak kazdy prawdziwy mezczyzna, zeby dobrze sie podrapac, musial zdjac marynarkę i podwinac rekawy koszuli. Poza ta wyrazala jednoczesnie bezradnosc i upor, dajac do zrozumienia, ze czlowiek probowal juz wszystkiego i prosbe o pomoc traktuje jako ostatecznosc.

Zaklamem pod nosem, widzac, ze mnie zauwazył, a jego unoszaca sie od niechcenia reka sugeruje, ze ma zamiar mnie zatrzymac. Regula jest taka, ze nie wolno pokazywac po sobie, ze jest sie zdesperowanym. Po prostu sygnalizuje sie czlonkowi bractwa zmotoryzowanych, aby przyszedł nam z pomocą, tak samo jak my uczynilibysmy w podobnych okolicznosciach.

Chociaz pracuje nad tym, aby to zmienic, wciaz pozostaje Kanadyjczykiem. A to znaczy, ze mimo usilnych starań, aby wyleczyc sie z wrodzonej, chronicznej, iscie kanadyjskiej dolegliwosci, jaką jest uprzejmosc, nadal na nią cierpie. Bywa, ze pyskuje w kontaktach z gangsterami i gliniarzami, ze przyloze temu czy owemu zbyt podskakujacemu chuliganowi i ze przy rozmaitych okazjach cudzołozę i przeklinam, czasem zreszta robiac to jednoczesnie. Przy tym wszystkim przeprowadzilem jednak przez jezdnie tyle staruszek, ze skauci wyznaczyl nagrode za moja glowe.

Facet najwyrazniej potrzebowal wsparcia. Musialem sie zatrzymac i mu go udzielic. Kanadyjska krew zagrala we mnie tak silnie, ze nawet w glowie mi nie postalo, by powiazac gościa z Jimmym Costello, który postanowil w ten oto przemyslny

sposób wymusić na mnie spotkanie. Ostatecznie finezja i subtelność nie były cechami kojarzącymi się człowiekowi z Jimmym Costello.

– Jakiś kłopot? – spytałem, opuściwszy szybę po zjechaniu na pobocze.

Uśmiechnął się. – Dziękuję, że się pan zatrzymał. – Otworzył drzwi atlantica i wpakował się na fotel obok mnie, zanim zdążyłem cokolwiek rzec. Dopiero wtedy zauważyłem na jego czole niewielką bliznę w kształcie półksiężyca. Ułamek sekundy, w którym usiłowałem przypomnieć sobie, kto wspominał mi o ciemnowłosym mężczyźnie wysokiego wzrostu z taką właśnie blizną na czole, wystarczył mu do wyciągnięcia broni z kieszeni spodni. Rozpoznałem webleya WP kalibru 32. Ostatnią partię tego modelu wyprodukowano w 1916 roku, ale mógł z równym powodzeniem pochodzić z przełomu stuleci.

– To jakiś żart, co? – powiedziałem, mierząc drwiącym spojrzeniem rewolwer. Jednocześnie szacowałem szanse przyłożenia gościowi płaską pałką sprężynową tkwiącą w mojej marynarce. Kiedy ktoś mierzy do mnie z broni, robię się nieco drażliwy. Uznałem jednak, że na razie lepiej będzie nie wszczynać dyskusji z nowo poznanym kolegą. Na omówienie mojego stosunku do bycia na linii strzału przyjdzie jeszcze czas.

– Tej broni niczego nie brakuje, frajerze.

– Mojemu osiemdziesięciodwuletniemu dziadkowi wujecznemu Frankowi też niczego nie brakuje, ale nie zabierałbym go ze sobą na tego rodzaju spotkanie.

– Wierz mi, Lennox. Ten webley działa bez zarzutu.

– Jestem pewien, że działał tak, gdy Mata Hari używała go do oganiania się przed napastującym ją przy bankietowym stole Kajzerem. Dokąd jedziemy? Na targ staroci?

Ciemnowłosy bandzior westchnął. – Słuchaj, Lennox, nie przeciągaj struny. Pan Costello chce z tobą porozmawiać, a jego ostatnie zaproszenie potraktowałeś niezbyt elegancko. – Wymowę miał lepszą niż przeciętny glasgowczyk. I potrafił zachować zimną krew. W każdym razie moje próby, aby go wziąć pod włos oraz gra na zwłokę w nadziei, że nadjedzie jakiś

samochód, nie przynosiły rezultatów. Zauważyłem, że przy zephyrze pojawił się pozostający dotychczas w ukryciu drugi gangster i opuścił maskę samochodu.

– A co ma twój kumpel? Garłacz skałkowy? – powiedziałem, okraszając żart uśmiechem, mającym zamaskować chodzące mi po głowie pytanie, czy udałoby mi się skrócić gościowi kark, zanim zdąży pociągnąć za spust.

– Będzie za nami jechał. Pojedziemy do pubu na spotkanie z panem Costello. Pan Costello polecił mi, aby ci powiedzieć, że masz się nie rzucać. Nie ma żadnej potrzeby. Poprzednio strasznie się zaperzyłeś i przyłożyłeś Tony’emu i Joemu – zupełnie bez sensu. Chodzi o coś innego, niż myślisz. – Kiwnął głową w kierunku drogi przez nami. – Jedziemy.

Spojrzałem na rewolwer. Wyglądało na to, że rzeczywiście sprostałby swojemu zadaniu. Kula to kula, nawet gdyby miała przy okazji odjąć dzierzającemu broń goryłowi ze dwa palce. – Chcesz mi powiedzieć, że nie chodzi wcale o Paula Costello?

– Będziesz musiał o tym pogadać z panem Costello. Ale faktycznie, chodzi nie całkiem o to, o czym myślisz.

– Okej – westchnąłem. – To dokąd? Do Riviery?

– Nie... – Mój pasażer wyszczerzył pozółtkle od papierosów zęby. – Mamy cię zabrać do Imperium. Na małą pogawędkę. Nic wielkiego. Więc nie rób kłopotów.

– Ja? – odparłem urażonym tonem. – Jestem jak Rab Butler... moje hasło to „zgoda buduje”.

Mój pasażer polecił mi przejechać rzekę Clyde i znaleźliśmy się w dzielnicy Govan. Po obu stronach majaczyły nad nami poczerniałe czynszówki i w pewnej chwili dostałem polecenie, aby zaparkować przed pubem, nad wejściem do którego widniał szyld z dumą oznajmiający, że oto Imperium zaprasza w swe progi. Chowające się właśnie za czynszówkami słońce zaczął osnuwać cienki, popielaty całun chmur. Cóż, mroczny nastrój był w końcu wizytówką Govan.

– Popatrz no, popatrz – rzuciłem radośnie, gdy wysiedliśmy z samochodu. – Słońce jednak zachodzi nad Imperium. – Mój towarzysz w odpowiedzi gestem głowy wskazał mi wejście.

Rewolwer spoczywał już w kieszeni, ale wraz z trzymającą go ręką. Za nami zatrzymał się ford zephyr, z którego wysiadł drugi gość – nieco niższy od swojego kumpla ciemny blondyn. Obaj wyglądali dokładnie tak, jak opisała ich Sheila Gainsborough.

Weszliśmy do pubu – głośnego, cuchnącego dymem papierosowym, nieświeżym potem i whisky przybytku. W rogu jakaś kobieta o nienaturalnie czarnych włosach wydawała przy wtórze rozstrojonego pianina jakieś nieprzyjemne, skrzekliwe dźwięki. Pub Imperium był typową glasgowską spelunką. Pozwoliłem się zaprowadzić do stojącego w rogu stolika, domyślając się, że nie czekają tam na mnie bynajmniej książę Rainier z Grace Kelly. I faktycznie – przy stoliku siedział przysadzisty mężczyzna w drogim, źle dopasowanym garniturze i przyglądał się ponuro, jak zbliżam się z towarzyszącą mi świtą. Miał gęste, po irlandzku ciemne włosy, które prosiły się o fryzjera, i cienki wąsik nad szpetnymi, bezkształtnymi ustami.

– Podobno chciałeś ze mną rozmawiać – powiedziałem bez uśmiechu i bez pytania usiadłem przy stole. W przeciwieństwie do Sneddon, Cohena czy Murphy’ego Jimmy Costello nie zasługiwał na to, aby zwracać się do niego ze szczególnym szacunkiem. Z drugiej strony, właśnie z powodu tego rodzaju podejścia wpakowałem się w ciągu ostatnich dwóch lat w pewne dość niefortunne sytuacje.

– Chcesz drinka? – spytał Costello pozbawionym wyraźnych emocji tonem.

– Whisky.

Costello kiwnął głową do mojego ciemnowłosego opiekuna i ten ruszył w poprzek dusznej, tłocznej sali w kierunku baru, zostawiając nas samych. Wyglądało na to, że nie będzie to jednak aż taka przygoda, z jaką się liczyłem. Piosenkarka przy pianinie zdawała się przeżywać paroksyzm namiętności. Była tęgą kobietą powyżej pięćdziesiątki o kształtach równie apetycznych jak beczka na piwo, okrągłej, bladej twarzy, małych oczach, zbyt ciemnych i długich włosach oraz zbyt

czerwonych ustach. Najwyraźniej należała do kategorii tych tradycyjnych piosenek, które zgodnie z odwiecznym glasgowskim zwyczajem opatrywały każde słowo dodatkową, śpiewaną przez nos sylabą. Glasgowski pub to wymarzone miejsce dla każdego, kto ma awersję do spółgłosek. Piosenkarka właśnie informowała mnie i wszystkich innych w promieniu dziesięciu kilometrów, że podobno dudy, dudy wzywają *Dhmnaa-anny Bhee-hoya*.

Wrócił mój opiekun, postawił na stole dwie szklaneczki whisky i kufel portera, po czym znowu zostawił nas samych.

– Dałeś wycisk mojemu chłopakowi – powiedział Costello. Żadnego gniewu. Sączyl swojego portera, spoglądając na mnie bez szczególnego zainteresowania.

– Sam się o to prosił, Jimmy. Sięgał po kosę. Czy po to mnie ściągałeś?

– Nie. I wtedy, kiedy wysłałem po ciebie Tony’ego i Joego, też nie o to chodziło. Cała ta rozróżba była niepotrzebna.

– Mówiłem tym twoim małpom, że jeśli chcesz ze mną gadać, to możesz do mnie zadzwonić.

– Słuchaj, Lennox, nie pogrywaj ze mną. Odpuszczam to z Paulem. Odpuszczam to z Tonym i Joem... choć wierz mi, że bardzo im to nie w smak... Więc przestań ze mną gadać, jakbym był byle gnojkiem. Już dałeś do zrozumienia, jakie masz o mnie mniemanie, ale jesteś teraz na moim terenie. Mógłbym cię oddać w ręce chłopaków i oni szybko utarliby ci nosa.

Miałem właśnie coś odpowiedzieć, gdy piosenkarka w rogu rozdarła się, sięgając nowych szczytów fałszu: *Dhmnaaany Beh-ho-oy... dhu-hudy, dhu-hudy ciehe wzy-hy-waaja...*

– Mógłbyś się o to pokusić – odparłem. – Ale pracuję dla Williego Snedдона, a to jest jeden z nosów, którego chyba lepiej nie ucierać. Więc darujmy sobie te dyrdymały. Czego chcesz?

– Dlaczego pobiłeś Paula?

– Myślałem, że nie po to tu jestem.

– Bo nie po to. W każdym razie nie wprost. Chcę po prostu

wiedzieć, o co między wami poszło. Chodziło o tego młodego Gainsborough?

– Tak naprawdę nazywa się Sammy Pollock. Tak, faktycznie chodziło o niego.

– Podobno zaginął?

– Właśnie.

– To samo z Paulem.

Zapadła chwila milczenia. A każdym razie zapadłaby, gdyby govańska Maria Callas nie kontynuowała swojego zawodzenia.

O-hod ja-haru do-ho ja-haru... i-hi zbo-hoczem gó-hury w dó-huł... la-ha-to prze-mhi-ne-he-ło i-hi kwia-ty spa-ha-dły ju-huż...

– Co znaczy „to samo”?

– A jak, kurwa, myślisz? Zaginął. Nie ma go i nikt go od trzech dni nie widział.

– I sądzisz, że mam z tym coś wspólnego?

– Nie. I nie dlatego tu jesteś. Chcę, żebyś go odszukał.

– Jestem zajęty.

– Jasne... i jedna z rzeczy, którymi jesteś zajęty, to szukanie młodego Gainsborough. To wszystko jest ze sobą powiązane. Szlajali się razem. Mieli ambitne plany. Licho wie jakie, ale ambitne. – Szpetne usta Costello wykrzywiły się pod wąsem jeszcze bardziej. – To wszystko, na co stać Paula... ambitne plany. Tylko, kurwa, krzty charakteru czy rozumu, żeby je zrealizować.

Pociągnąłem łyk whisky. W porównaniu z nią to, co podawano w lokalu Sneddon, gdzie odbywały się walki pajków, było ambrozją.

Tho ty-hy, tho ty-hy ju-husz mu-hu-sisz i-iść, ha ja-ha zo-ho-sta-hać tuuu...

– I nie nasuwa ci się, gdzie może być ani dlaczego zniknął? – spytałem.

Costello pokręcił głową z posepną miną.

– Te dwie małpki, które mnie tu przyprowadziły... jak się nazywają?

– Co? – mruknął zdezorientowany Costello. – Ten

ciemnowłosy nazywa się Skelly, a jego kumpel Young. Czemu pytasz?

– Kazałeś Skelly’emu wsadzić mi gnata pod zębra, żeby mnie tu przyholować? Nie lubię, jak ktoś bierze mnie na muszkę.

Costello rzucił mi ponure spojrzenie i potrząsnął przecząco głową. – To dureń, kurwa. Mówiłem mu tylko, że ma cię tu koniecznie ściągnąć. Nikt z moich ludzi nie powinien mieć pukawki bez mojej zgody. Już ja się z nim rozprawię.

– Nie ma sprawy – odparłem. – Sam z nim pogadam. Może lepiej, jeśli zamiast ciebie ja to załatwię, kumasz? Ale nie dlatego pytałem cię o Skelly’ego i Younga. Ktoś mi mówił, że kręcili się wokół Sammy’ego Pollocka, zanim zaginął. A jeśli to nie oni, to zgodnie z opisem na pewno ich bracia bliźniacy.

– Są młodszy od reszty moich ludzi. Często obracają się w towarzystwie Paula. Może wydaje im się, że ma przed sobą świetlaną przyszłość. Marne, kurwa, szanse. W każdym razie nie ma w tym żadnej tajemnicy: Paul kręcił się wokół Sammy’ego, a Skelly z Youngiem kręcili się wokół Paula.

Podniosłem do ust szklankę z whisky, ale odstawiłem ją, bo uznałem, że lepiej nie narażać żołądka. – Wiesz co – powiedziałem. – Nadal pracuję nad sprawą Sammy’ego Pollocka, więc jeśli przy okazji dowiem się czegoś o Paulu, to dam ci znać.

– Zapłacę ci...

– Nie ma potrzeby. Ale winien mi będziesz przysługę. Poza tym chciałbym, żebyś zapomniał o tym, co się zadziało między mną a Paulem. I twoimi trzema neandertalami.

– Już mówiłem...

– To nie wszystko... – spojrzałem w kierunku kontuaru, gdzie Skelly pochłonięty był rozmową ze swoim jasnowłosym kumplem. – Jestem, że tak powiem, człowiekiem o pewnych zasadach. Na przykład nie pozwalam ludziom mierzyć we mnie z żadnej broni.

– Ech... do kurwy nędzy... – Costello spojrzał na stojącego przy barze Skelly’ego, a potem na mnie. – Nie mógłbyś już tego odpuścić? Nie mogę pozwolić, żebyś obijał wszystkich moich

ludzi.

– Takie są moje warunki.

Costello zaczekał, aż wybrzmia oklaski i hałaśliwe owacje towarzyszące finałowi *Dhmnnaaany Beh-ho-oya*. Sam miałem ochotę wiwatować. Kiedy aplauz ucichł, Costello kiwnął przyzwalająco głową z jedyną miną, jaką miał opanowaną do perfekcji – ponurą.

– To wróćmy teraz do młodego Paula – powiedziałem. – Przypuszczam, że pierwsza rzecz, jaka powinna ci przyjść do głowy, to pogadać z tym gościem Largo.

– Co? Z jakim, kurwa, Largo?

– Nie znasz nikogo o tym nazwisku?

– A co, powinienem?

Odchyliłem się do tyłu z westchnieniem. – Pewnie nie. Nikt z tych, których pytałem o Largo, o nim nie słyszał. Kiedy spiknąłem się z Paulem w mieszkaniu Sammy’ego, myślał z początku, że jestem gliniarzem.

– Myślał, że jesteś z policji?

– Taa... wiem – westchnąłem. – Muszę złożyć oficjalną reklamację u swojego krawca. W każdym razie kiedy pokapował się, że tak nie jest, spytał, czy przysłał mnie Largo. A gdy chciałem ustalić, kim jest ten Largo, wykręcił się od odpowiedzi. Wspomniał jednak, że winien jest gościowi jakieś pieniądze.

Costello utkwiał we mnie wzrok. Jego pozbawiona wyrazu twarz należała do kategorii tych, z których trudno coś konkretnego wyczytać. – Nie podoba mi się to wszystko – powiedział po chwili. – Po co Paul miałby od kogoś pożyczać forszę? A jeśli pożyczał, to dlaczego nie słyszałem nic o tym gnoju Largo?

– Faktem jest, że zaskoczyłem Paula i możliwe, że gadka o długu wobec Largo była najlepszym wykrętem, jaki mu wtedy przyszedł do głowy. W każdym razie próbuję się dowiedzieć, kim jest ów Largo, bo może mieć jakiś związek ze sprawą Sammy’ego Pollocka. A jak się już pewnie sam domyślasz, zniknięcie Paula pozostaje w bliskiej zależności z całą resztą. –

Zamilkłem na chwilę. – A co z klubem Czerwony Mak... coś ci mówi ta nazwa?

Costello pokręcił przecząco głową. – To się jakoś łączy z Paulem?

– Możliwe – odparłem. – Może też z Sammym Pollockiem. A może nie ma z niczym związku. – Wstałem i wziąłem swój kapelusz. – Okej, może mógłbyś powiedzieć swojemu przydupasowi, żeby mi oddał kluczyki. Dam znać, jeśli dowiem się czegoś o twoim synu.

– Powiedz mi coś, Lennox – powiedział Costello. – Ta cała afera z Sammym Pollockiem... i teraz z Paulem... szukasz ludzi czy ciał? To wszystko chyba nie wygląda zbyt dobrze, co?

Wzruszyłem ramionami. – To, że zniknęli, nie znaczy, że nie żyją, Jimmy. Zaczynam nabierać podejrzeń, że oni prowadzili jakieś interesy na boku, prawdopodobnie z tym Largo, o którym nikt nic nie wie. Możliwe, że ściga ich za te długie i musieli się na jakiś czas zapaść pod ziemię. Licho wie.

– To mój chłopak, Lennox. Moja krew. Wałkoń i dupek, ale przecież mój syn. Odszukaj go. Jakoś ci to wynagrodzę.

Kiwnąłem głową. – Dobra, Jimmy. Zobaczę, czego uda mi się dowiedzieć. – Włożyłem na głowę swój filcowy borsalino. – Będę czekał przy samochodzie. Powiedz Skelly'emu, żeby przytupiał tam z kluczykami.

Świeże powietrze to w Glasgow dość względne pojęcie, miło było jednak opuścić Imperium i znaleźć się na ulicy. Ignorując obskurne czynszówki, spojrzałem w górę, ponad dachy i kominy. Minęła dziesiąta, ale było jeszcze stosunkowo jasno. Położenie geograficzne Szkocji sprawiało, że letnie wieczory trwały długo. Ktoś otworzył drzwi pubu i dobiegł mnie przez chwilę panujący wewnątrz gwar. Odwróciłem się i zobaczyłem Skelly'ego z towarzyszącym mu Youngiem.

– Twoje kluczyki, Lennox. – Skelly wyciągnął rękę w moją stronę, częstując mnie swoim żółtozębym uśmiechem.

– Dzięki. – Odebrałem kluczyki lewą ręką. – A to dla ciebie...

Prawą ręką sięgnąłem do kieszeni marynarki. Przez chwilę, sądząc z wyrazu twarzy Skelly'ego, miałem wrażenie, że

naprawdę spodziewa się z mojej strony dziesięcioszylingowego napiwku. Wyciągnąłem płaską pałkę sprężynową i płynnym ruchem walnąłem go na odlew w twarz. Towarzyszył temu odgłos przypominający coś między trzaskiem a chrzęstem i Skelly osunął się na ziemię jak kłoda. Jego kompan zrobił krok w moim kierunku, a ja wyciągnąłem do niego rękę, gestem palców pokazując mu, żeby się nie zatrzymywał. Young najwyraźniej postanowił jednak nie skorzystać z zaproszenia i wycofał się.

Nachyliłem się nad Skellym. Zaczynał dochodzić do siebie. Jego zakrwawiona twarz nie prezentowała się zbyt atrakcyjnie. Wyglądało na to, że oddałem mu przysługę, bo chyba niezbyt chętnie korzystał ze szczoteczki do zębów, więc tych kilka zębów mniej zaoszczędzi mu w przyszłości fatygi. Obmacałem go wolną ręką, aż znalazłem to, czego szukałem. Sięgnąłem do kieszeni jego marynarki i wyciągnąłem webleya.

– I jeszcze mała rada, Skelly... nigdy, przenigdy nie mierz do mnie z żadnej broni, nawet takiego starocia jak ten. Jeśli jeszcze kiedykolwiek wykręcisz taki numer, zabiję cię. To nie jest bynajmniej przenośnia: dosłownie sprawię, że przestaniesz oddychać. Złapałeś?

Zza połamanych zębów wydobył z siebie jakiś mało artykułowany jęk. Uznałem to za potwierdzenie. Schowałem do kieszeni trzydziestkę dwójkę i zwróciłem się do blondyna.

– Jeśli gdzieś jeszcze zobaczę twoją gębę, to zafunduję jej zabieg nie gorszy niż jemu. Dotarło?

Przytaknął.

– Życzę upojnej nocy, niunie – rzuciłem przyjacielsko, wsiadłem do atlantica i odjechałem.

VII

Następnych kilka dni upłynęło mi na dość ożywionej, acz bezowocnej aktywności. Bezowocnej, bo nie znalazłem odpowiedzi na pytanie, co stało się z Samym Pollockiem. Bezowocnej, gdyż nie rozpracowałem sprawy Bobby'ego Kirkcaldy'ego. Zacząłem już rozważać, czy nie zmienić nazwy firmy na Firma Dochodzeniowa „Syzyfowe Prace”. Jedynym pozytywem było to, że mogłem u Wielkiego Boba zostawić wiadomość dla młodego Davey'ego, aby się ze mną skontaktował. Może wreszcie miałbym dla niego jakieś zajęcie.

Sheila Gainsborough była z powrotem w Glasgow. Zadzwoiła do mnie od razu po przyjeździe z Londynu i nie była bynajmniej zadowolona, że moja relacja jest taka krótka. Nalegała na rozmowę w cztery oczy i spytała, czy spotkałbym się z nią w mieszkaniu Sam-my'ego. Pojechałem tam tego samego dnia po południu.

Kiedy tam dotarłem, miejsce było odmienione nie do poznania. Po nieporządku nie było już śladu, a w powietrzu unosił się zapach wosku pszczelego.

Sheila miała blond włosy upięte spinkami w kok, a na sobie strój do poważnych prac domowych: bluzkę koszulową w czerwonej kratę z połami zawiązanymi w okolicy pępka, ujawniającą kilkucentymetrowy jasny pasek talii nad błękitnymi spodniami rybaczkami. Żadnego wykwintnego stroju jak podczas naszego poprzedniego spotkania i zero makijażu poza naprędce umalowanymi na pąsowo ustami. Nie miało to jednak znaczenia, bo i tak wyglądała rewelacyjnie.

– Musiałam to miejsce doprowadzić wreszcie do porządku – powiedziała. – Od razu poprawiło mi to humor. Znaczy, myśl, że Sammy wróci do schludnego mieszkania.

Zaproponowała mi kawę i postanowiłem zaryzykować: w Glasgow taki poczęstunek zazwyczaj oznaczał jakąś podłą

butelkowaną mieszankę na bazie cykorii, do której dolewało się wrzątku. Sheila była jednak mało typową glasgowianką. Po chwili wróciła, wnosząc na tacy zachęcającą zawartość: elegancki ekspres do kawy, dwie filiżanki i półmisek z ciastkami. Napelniła nam obojgu filiżanki i usiadła naprzeciwko mnie jak absolwentka renomowanej szkoły dla dziewcząt: ze złożonymi razem stopami i odchylonymi na jeden bok kolanami. Znowu przysłała mi do głowy myśl, że została świetnie wyszkolona.

Poczęstowała mnie ciastkiem. Był to jeden z tych przesłodzonych specjałów, które nabrały popularności, gdy skończyło się racjonowanie cukru: pączek ze śmietaną i dżemem. W ojczystej Nowej Szkocji nazywaliśmy to drożdżówką z Burlington. Nie miałem pojęcia, jak nazywa się to gdzie indziej.

– Nie, dziękuję – odparłem z uśmiechem. – Nie przepadam za słodczymi. – Zwróciłem uwagę, że odłożyła półmisek, ale sama też nie skosztowała. Utrzymanie takiej figury wymagało sporo samozaparcia.

– Kiedy rozmawialiśmy ostatnio, byłam naprawdę zmartwiona tym zniknięciem Sammy’ego... – Zagryzła pasową dolną wargę, a ja rozmarzyłem się, jak by to było, gdyby wgrzyła się w moją. – Teraz, panie Lennox, jestem już przerażona. Wygląda na to, że słuch po nim zaginął. A pan, jak rozumiem, nie natrafił na najmniejszy nawet trop...

– Niech pani posłucha, panno Gainsborough. Czegoś się jednak dowiedziałem, tylko nie chciałem o tym rozmawiać przez telefon. Czy przypomina sobie pani Paula Costello – tego, który usiłował dostać się do mieszkania Sammy’ego?

Przytaknęła. Dostrzegłem w jej oczach niepokój.

– No więc – kontynuowałem – obawiam się, że on też zaginął. Podobna sytuacja.

Niepokój zamienił się w strach i w oczach Sheili zabłyśły łzy.

– Zdecydowanie uważam, że powinna pani zawiadomić policję – powiedziałem, odstawiając filiżankę na spodek i pochylając się do przodu. – Wiem, że bardzo się pani niepokoi

i, szczerze mówiąc, ja też.

– Ale policja... – Urwała i zmarszczyła brwi. – Dlaczego pan myśli, że obaj zaginęli?

– Mam taką teorię, że ten wspomniany przez Paula tajemniczy Largo faktycznie ma z tym coś wspólnego. Nie sądzę, że Paul, jak twierdził, był mu winien pieniądze. Nie przypuszczam też, aby Largo wysyłał tu jakichś zbirów, gdyby i Sammy nie był z nim w jakiś sposób powiązany. Choć Costello temu zaprzeczył.

– Więc o co, pana zdaniem, w tym wszystkim chodzi?

– Prawdę mówiąc, nie wiem, ale domyślam się, że Sammy i Paul Costello prowadzili jakieś interesy z Largo i coś poszło nie tak. Jeśli mam rację, można to chyba uznać za pozytywną wiadomość. Może to znaczyć, że Sammy i Costello po prostu się ukryli. Z własnej woli. To by tłumaczyło, dlaczego tak trudno ich znaleźć: o to właśnie im chodzi. Ale to tylko moje domysły. Uważam, że powinna pani udać się na policję. Ewidentnie coś tu nie gra. Nawet jeśli Sammy ulotnił się z własnej inicjatywy, wygląda na to, że czegoś się obawia.

– Nie. Żadnej policji. Jeśli ma pan rację, to całkiem prawdopodobne, że Sammy złamał w jakiś sposób prawo. Znając jego charakter, pewnie poważnie przegiął. A on nie zniósłby więzienia. – Przez chwilę zmarszczyła w swój uroczy sposób brwi, po czym orzekła: – Chcę, żeby to pan nadal szukał Sammy'ego. Czy potrzeba panu więcej pieniędzy?

– Na razie nie, panno Gainsborough. Prosiłbym tylko o to, aby powiedziała pani swojemu agentowi, że nie pracuję dla niego. Nie mam zamiaru mu się tłumaczyć. Z niczego. Mogę się kontaktować wyłącznie bezpośrednio z panią. Czy to jest dla pani do przyjęcia?

Kiwnęła twierdząco głową. Sięgnąłem do kieszeni po papierosa, ale okazało się, że moja papierośnica jest pusta.

– Och, niech pan chwilę poczeka... – Wstała i rozejrzała się wokół siebie. – Sammy pali. Jestem pewna, że podczas sprzątanía przeszły mi przez ręce jakieś papierosy. No właśnie... – Podeszła do stojącej pod ścianą komody

i przyniosła masywne srebrne pudełko. Podniosła wieczko i poczęstowała mnie.

– Z filtrem – powiedziała przepraszającym tonem, po czym zmarszczyła brwi. – Niech pan spojrzy... to ten gatunek, o który pan pytał. Jak ten niedopałek ze śladami szminki.

Wyjąłem jednego papierosa i obejrzałem go. Na filtrze były dwa złote paski. – Taa... to montpellier. Francuska marka. Sporo ich chyba w obiegu. – Zapaliłem i zaciągnąłem się. Odczucie było takie, jakby się wciągało dym przez gruby koc. Dwoma palcami oderwałem filtr i wrzuciłem go do popielniczki, po czym ugniotłem poszarpany koniec papierosa.

– Przepraszam – powiedziałem. – Filtry są dobre dla kobiet. Dla mnie zabijają smak papierosa.

Sheila uśmiechnęła się zdawkowo jak ktoś, kto nie słucha, co mówi rozmówca. – Więc będzie pan kontynuował poszukiwania? – spytała.

– Będę – odparłem i zamilkłem na chwilę, żeby zdjąć z języka kilka skrawków tytoniu. – Wiem, że nie chce pani angażować w to policji, ale czy miałyby pani coś przeciwko temu, gdybym zasięgnął języka u kilku moich znajomych gliniarzy? Oczywiście na zasadzie pełnej poufności.

– A co, jeśli staną się podejrzliwi?

– Ci, których mam na myśli, nie są podejrzliwi, tylko drodzy. Już ja się tym zajmę.

Rozmawialiśmy jeszcze pół godziny. Pytałem ją o ludzi, z którymi zadawał się jej brat, zwłaszcza o tę dziewczynę – Claire. Prosiłem, żeby zastanowiła się jeszcze raz, czy mówi jej coś nazwisko Largo. Bez rezultatów. Nie potrafiła też wskazać miejsc, które Sammy jakoś szczególnie sobie upodobał i w których mógłby szukać schronienia. Ale naprawdę się, biedactwo, starała, tyle że nic nie przychodziło jej do głowy – żadne miejsca, fakty czy osoby, które mogłyby mi pomóc w odnalezieniu jej brata.

W końcu odpuściłem, pozwalając, by kontynuowała desperacko metodyczne sprzątanie. Przed wyjściem zażartowałem, że Sammy wróci przynajmniej do mieszkania

jak z igielki.

Szczerze mówiąc, oboje żywiliśmy jednak obawy, że może się to okazać sprzątaniami przed stypą.

Poszczęściło mi się dopiero w czwartek wieczorem. Jeśli można to nazwać szczęściem. Robiłem obchód glasgowskich klubów i pubów. Większość moich rozmówców kojarzyło Paula Costello tylko jako syna Jimmy'ego Costello. Tym kilku, którym mówiło coś nazwisko Sammy Pollock/Gainsborough, też kojarzyło się ono tylko z Sheilą Gainsborough. Wyłączyłem ze skóry, żeby znaleźć jakichś grających lub śpiewających estradowców, którzy by w ogóle o nich słyszeli, nie mówiąc już o ewentualnych propozycjach impresaryjnych. Zacząłem od kilku najbardziej stylowych glasgowskich klubów, takich jak Swing Den i Manhattan, po czym zacząłem sprawdzać rozsiane po mieście, bardziej siermiężne knajpy dla robotniczej klienteli.

Klub Cezar należał do tej drugiej kategorii. Dominowało tu picie na umór, a poziom występów estradowych był tak podły, że po prostu trzeba było pić na umór, żeby jakoś je znieść. Zjawiłem się tam około wpół do dziesiątej wieczorem.

Nazwa klubu była bardzo adekwatna. Był to lokal, w którym każdy występ był okazją do tego, żeby uchlać się jeszcze bardziej, a kolejni pretendenci kojarzyli się nie tyle z artystami, ile z gladiatorami. Spodziewałem się niemal, że przy którymś z przednich stolików zobaczę Nerona z muchą pod szyją, gestem kciuka wyrażającego swoją opinię o kolejnych numerach. Gdy wszedłem do klubu, na scenie produkował się akurat jakiś komik. Udało mu się podgrzać atmosferę na widowni – dość podobnie jak udało się to Borisowi Karloffowi przy pomocy pochodni wobec bandy rozwścieczonych wieśniaków w filmie *Frankenstein*.

Publika dojrzewała już do owej chwili, w której agresja słowna zaczyna się zamieniać w fizyczną i widziałem, że mimo przyklejonego uśmiechu nad wielką muchą komik rzuca po sali rozpaczliwe spojrzenia. Nie byłem pewien, czy starał się

wyłowić z tłumu choćby jedną śmiejącą się twarz, czy raczej ocenić, z której strony nastąpi ostrzał. Zachodziłem w głowę, skąd brali się w Glasgow śmiałkowie, chcący zrobić karierę kłowna, skoro było do wyboru tyle innych mniej ryzykownych profesji, jak pirotechnika, corrida i polykanie mieczy. Ogarnęło mnie głębokie, szczere współczucie wobec stojącego na scenie artysty.

Potem wysłuchałem kilku jego dowcipów i uznałem, że zasłużył sobie na takie traktowanie.

Menedżer klubu Cezar był moim znajomym. Wcisnął mi w garść niezamówiony i niechciany kufel ciepłego portera i wąskim korytarzykiem poprowadził mnie za kulisy.

– To jest człowiek, o którym ci mówiłem, Lennox – powiedział, pchnięciem ręki otwierając drzwi do szafy. Słyszałem jeszcze, jak w głębi lokalu publiczność reaguje na występ komika i po raz pierwszy doświadczyłem, jak brzmia odgłosy żadnego krwi tłumu.

Szafa okazała się najmniejszą garderobą, jaką kiedykolwiek widziałem, a w swojej barwnej karierze widziałem ich niemało. Tę zajmowała jednak nie tancerka rewiowa, lecz niewysoki mężczyzna około pięćdziesiątki o dużych piwnych oczach i z resztkami włosów na jajowatej głowie. Zwisająca z sufitu goła żarówka rzucała na jego bladą skórę żółtawe światło, pogłębiając jego podobieństwo do Humpty Dumpty'ego¹². Miał na sobie tani smoking i muszkę. Na jego kolanach spoczywała błyszcząca trąbka, której pokrowiec leżał otwarty na szafce pełniącej rolę toaletki. Uśmiechnął się na mój widok.

– To chyba pan poszukuje młodego Sammy'ego, tak?

– Faktycznie. Wie pan, gdzie on jest?

– Nie. Nie widziałem go od dwóch tygodni. Ale pomyślałem, że może pana zainteresować pewna historia. Dwa tygodnie temu przed klubem Pacific... wie pan, klubem pana Cohena... otóż dwa tygodnie temu miałem tam występ. To był piątkowy

¹² Postać z popularnej angielskiej rymowanki: „Humpty Dumpty na murze siadł / Humpty Dumpty z wysoka spadł / I wszyscy konni i wszyscy dworzanie / Złożyć do kupy nie byli go w stanie”.

wieczór. W każdym razie kiedy po występie zmierzałem na autobus do domu i byłem już w połowie ulicy, usłyszałem przed klubem jakiś tumult. Sammy miał chyba na pieńku z dwoma facetami. Takimi raczej młodszymi, bym powiedział. Jakaś, ewidentnie, przepychanka. Ale nie bójka, w każdym razie nie taka honorowa, typu jeden na jednego, wie pan – w końcu było ich dwóch. Z klubu wyszedł w pewnym momencie jakiś gość i udało mu się załagodzić całą sprawę.

– O której to było?

– Około dziewiątej. Grałem wtedy wcześniej.

– Rozpoznał pan któregoś z nich?

– Tych dwóch rozrabiaków nie. Oczywiście rozpoznałem Sammy'ego. Ten, który zażegnał spór, wyglądał mi na Paula Costello, wie pan, syna Jimmy'ego Costello. Zawsze szwendają się razem po klubach. Znaczą Costello i Sammy.

– Weszli z powrotem do Pacificu?

– Nie. Wszyscy wsiedli do samochodu i odjechali. Ta sprzeczka odbyła się właśnie przy samochodzie. Normalnie nie zwróciłbym w ogóle uwagi na coś takiego, tylko że wyglądało to jakoś dziwnie.

Kiwnąłem głową. Taka uliczna szarpanina nie była w Glasgow niczym niezwykłym. Widziało się je w każdy piątkowy albo sobotni wieczór. – Dlaczego dziwnie?

– Czy ja wiem... Po prostu dziwnie. Nie byli narąbani ani nic takiego. Nie rwali się do bijatyki. Bardziej jakby... – Zmarszczył blade, bezwłose czoło. W końcu znalazł adekwatne określenie. – Jakby byli czymś bardzo wzburzeni. Szczególnie Sammy. Miało się wrażenie, jakby tamci dwaj zrobili coś nie tak.

– Do jakiego wsiedli samochodu?

– To był jakiś duży biały wóz. Chyba ford.

– Ford zephyr 6?

– Możliwe. Tak, chyba tak. Wie pan, o kim mówię?

– Zdaje się, że kiedyś się na nich napatoczyłem. Jak dobrze zna pan Sammy'ego Pollocka?

– Sammy'ego Pollocka?

– Brata Sheili Gainsborough – wyjaśniłem i gość załapał.

Najwyraźniej Sammy bez skrupułów posługiwał się pseudonimem artystycznym siostry.

– Niezbyt dobrze. Widywałem go tu i ówdzie. Głównie w klubach.

– A czy kiedykolwiek proponował panu albo innym muzykom, że będzie was reprezentował?

– Co znaczy „reprezentował”?

– No czy mówił o usługach impresaryjnych? Albo o pomysłe założenia z Pauliem Costello agencji wyławiającej nowe talenty?

Człowieczek z glacą roześmiał się. – A co oni mogą wiedzieć o branży muzycznej? Nie, nigdy nie wspominał o tym ani mnie, ani nikomu, kogo znam.

– Okej. – Zastanowiłem się przez chwilę. – A czy przychodzi panu do głowy ktokolwiek, kto mógłby wiedzieć, gdzie jest Sammy?

– No, jest ta cizia, z którą kręci.

– Claire?

– A, czyli pan ją zna?

– Nie. Tylko o niej słyszałem. Ale bardzo bym chciał z nią pogadać. Nie wie pan przypadkiem, gdzie mógłbym ją znaleźć?

– Owszem. Ona śpiewa. I to całkiem nieźle. Claire Skinner. Czasami śpiewa wieczorami w Pacificu. A mieszka chyba gdzieś w Shettleston.

Wyjąłem z portfela dwa funciaki i wcisnąłem trębaczowi. Choć sądząc z odgłosów dobiegających z głównej sali klubowej, może powinienem był dać mu raczej webleya, którego skonfiskowałem Skelley’emu.

– Dzięki. Sporo mi to pomogło. Powodzenia tam na scenie – powiedziałem i wyszedłem, zastanawiając się, ile potrwa, zanim będą tu potrzebni konni i dworzanie.

Zadzwoiłem do Jonny’ego Cohena. Powiedział, że zna Claire – dziewczynę, która śpiewa w Pacificu – choć nie był pewien, czy faktycznie jej nazwisko brzmi Skinner. Nie kojarzył jej też z Sammym Pollockiem.

– Jesteś pewien, że chodzi właśnie o tę dziewczynę? – spytał.

– Tak mi powiedział mój informator, ale kto wie? Możesz mi dać jej adres?

– Ja go nie mam, ale może Larry, który mi pilnuje interesu w Pacificu, będzie wiedział. Albo przynajmniej powie ci, z kim się kontaktuje, żeby ją zamówić. Zahacz o klub jutro wieczorem, a ja mu przykażę, żeby ci udostępnił ten kontakt.

– Dzięki, Jonny. Jestem twoim dłużnikiem.

– To fakt. Jeszcze jedno, Lennox...

– Tak?

– Mam nadzieję, że dotarło do ciebie to, co powiedziałem – żeby te bzdury nie przeszkodziły ci w kontynuowaniu sprawy Bobby’ego Kirkcaldy’ego.

– Dotarło, Jonny, dotarło.

Davey Wallace zjawił się w moim biurze dokładnie o wpół do jedenastej, zgodnie z wiadomością, jaką dla niego zostawiłem u Wielkiego Boba. Miał na sobie ten sam wysłużony i zbyt obszerny garnitur, w którym widywałem go w pubie Pod Końskim Łbem, a poza tym białą koszulę i czerwony krawat w szkocką kratę. Całość dopełniał szary kapelusz filcowy z szerokim rondem, który był do czegoś podobny chyba ze dwadzieścia lat temu. No tak, przynajmniej dowiedziałem się w ten sposób, jak powinien wyglądać rasowy prywatny detektyw.

Davey wkroczył do biura z tak szerokim i radosnym uśmiechem na twarzy, że zacząłem się zastanawiać, czy aby dobrze postąpiłem, angażując go do tej sprawy. Przecież to jeszcze dzieciak. I to dobry dzieciak. No ale cóż – w końcu podjął się tego z własnej, nieprzymuszonej woli.

– To co, masz jasność, co robić? I co ważniejsze – czego nie robić?

– Pewnie, panie Lennox. Nie sprawię panu zawodu.

Sięgnąłem do szuflady biurka i wyciągnąłem zgrzebną płócienną torebkę. Była ciężka od wypełniających ją drobniaków. Wysypałem ich garść na biurko.

– Weź tę torbę ze sobą. Tych miedziaków starczy na rozmowę

z Australią. Gdyby cokolwiek się działo, dzwoń na numery, które ci podałem, a przekażą mi wiadomość, kiedy tylko będą mogli. – Podrzuciłem torebkę kilka razy w powietrze, oceniając jej wagę. – Kiedy nic z niej nie wyciągasz, trzymaj ją dokładnie zasznurowaną. Jest na tyle mocna, że nie pęknie, a w razie kłopotów można się nią całkiem niezłe obronić. Jasne?

– Jak słońce, panie Lennox.

– I nie chcę, żebyś w jakikolwiek sposób ryzykował, Davey. Miej tylko oko na dom Kirkcaldy’ego i daj mi znać, gdyby coś tam się działo. Pamiętaj... gdy ktoś będzie tam wchodził albo stamtąd wychodził, zapisuj, jak wygląda i o której to miało miejsce.

Ponownie sięgnąłem do szuflady i rzuciłem mu czarny dziennikarski notatnik. Złapał go i przez chwilę wpatrywał się weń szeroko otwartymi oczami, jakbym wręczył mu klucze do królestwa niebieskiego.

Pojechaliśmy do Blanefield i zaparkowałem atlantica na ulicy niedaleko domu Kirkcaldy’ego. Trudno było nie zwracać tam na siebie uwagi, ale samochód był w miarę oddalony od rezydencji, a jednocześnie wejście do niej było dość dobrze widoczne. Dałem Davey’emu dwa funty i paczkę papierosów oraz wskazałem pobliską latarnię, o którą mógł się oprzeć. Podszedł do powierzonego mu zadania tak poważnie, że obawiałem się, aby nie przestał mrugać oczami.

Zostawiłem samochód i rzuciłem Davey’emu kluczyki, żeby mógł się w nim schronić, gdyby zaczęło padać. Widać było już zdecydowany powrót typowej glasgowskiej pogody i mlecznobiałe niebo co jakiś czas nabierało złowieszczych ciemnych barw. Nie chciałem, żeby z mojego powodu Davey nabawił się zapalenia płuc albo stopy okopowej, co w tym zachodnioszkockim klimacie nie było wcale takie rzadkie. Zanim odszedłem, pozostawiając chłopaka samego na warcie, zajrzałem do domu Kirkcaldy’ego. Okazało się, że boksera akurat nie ma – otworzył mi wujek Bert Soutar. Miał na sobie koszulę z krótkimi rękawami, z których wylaniały się ramiona gęsto pokryte tatuażami. Dostrzegłem wśród nich napisy

zawierające niezbyt przyjazne sugestie pod adresem papieża. Gdyby stopień ponuractwa można było umieścić na skali podobnie jak głosy operowe, to Soutar byłby bas-barytonem. Gdy powiedziałem mu, że stojący na rogu młodzieniec to mój współpracownik i nie ma nic wspólnego z zakłócającymi spokój Kirkcaldy'ego delikwentami, kiwnął tylko pośepnie głową i zamknął drzwi.

Wiedziałem oczywiście, że tego popołudnia Davey nie będzie miał jeszcze nic szczególnego do odraportowania. Tego rodzaju wybryków, których ofiarą padł Kirkcaldy, dopuszczano się na ogół pod osłoną nocy.

Kiedy Davey ofiarnie wypatrywał oczy, nie spuszczać ich z rezydencji Kirkcaldy'ego, ja skorzystałem z okazji i udałem się na strzyżenie i golenie do 'Phersona na ulicy Byres. Staruszek 'Pherson był fachowcem pełną gębą i wyszedłem od niego z rozwibrowaną twarzą i przedziałkiem, w porównaniu z którym robota Mojżesza nad Morzem Czerwonym to zwykła partanina. Pojechałem tramwajem do centrum i wykonałem z biura kilka bezowocnych telefonów – bezowocnych, bo nie przybliżyły mnie do rozwikłania zagadki, kim jest Largo.

Może zainspirowało mnie to, że nazwisko Jocka Fergusona padło w rozmowie z moim obłaskawionym gliniarzem Donaldem Taylorem, w każdym razie niemal pod wpływem impulsu chwyciłem w pewnej chwili za słuchawkę i wykręciłem numer komendy głównej przy placu St. Andrew's. Detektyw inspektor Jock Ferguson nie oczywiście nie wiedział o mojej „zażyłości” z jednym z podległych mu funkcjonariuszy i gdy usłyszał mój głos, był dość zaskoczony. Zaskoczony i może nieco nieufny. Nie mam pojęcia, dlaczego niektórzy ludzie tak na mnie reagują, szczególnie gliniarze. Okazało się, że nie ma żadnych zobowiązań w przerwie obiadowej i umówiliśmy się na spotkanie w pubie Pod Końskim Łbem. A nie zamieniliśmy ze sobą praktycznie słowa od niemal roku.

Gdy tam dotarłem, było wpół do drugiej i obiadowe towarzystwo doprowadziło już lokal do stanu zadymienia, który można by ciąć nożem. Gdybym miał określić rodzaj tutejszej

klienteli, powiedziałbym, że jest eklektyczna. Ubrani w przepisowe prążkowane garnitury urzędnicy stali przy kontuarze ramię w ramię z robociarzami w cyklistówkach i kaloszach. Należy zaznaczyć, że nie sposób było zarzucić glasgowczykom, iż nie śledzą najnowszej mody – w związku z panującymi temperaturami kilku robotników miało nawet odwinięte do kostek kalosze.

Przy kontuarze dostrzegłem mężczyznę pod czterdziestkę. Stał odwrócony plecami, ale rozpoznałem jego wysoką, kościstą sylwetkę i nieodłączny popielaty garnitur, który zdawał się nosić bez względu na porę roku. Niektórzy policjanci potrzebują munduru nawet wtedy, gdy przechodzą do dochodzeniówki. W pewnym sensie rozumiem tę potrzebę: po powrocie do domu można zrzucić z siebie wszystko, co kojarzy się z robotą. Pomagając sobie barkiem, dopchnąłem się do kontuaru obok Fergusona. Stojący obok niego mężczyzna zmierzył mnie tym pobieżnym, bezinteresownie wrogim spojrzeniem, na jakie można się natknąć chyba tylko w glasgowskich knajpach. Uśmiechnąłem się do niego, po czym odwróciłem się do Fergusona.

– Cześć, Jock.

Ferguson spojrzał na mnie szarymi, pasującymi do garnituru oczyma. Twarz miał niemal bez wyrazu i praktycznie nie sposób było domyślić się, co mu akurat chodzi po głowie. Spotkałem już sporo mężczyzn, którym wojna starła z twarzy resztki uczuć. Jakoś tak zawsze miałem wrażenie, że doświadczenia wojenne Jocka Fergusona musiały być bardzo zbliżone do moich.

– Kopę lat – powiedział, nie uśmiechając się. I nie proponując mi drinka. No nic, trzeba było jakoś przebrnąć przez tę grę wstępną. – Gdzieś się podziewał?

– A, po prostu nie wychylałem się zanadto. Wiesz, sprawy rozwodowe, kradzieże w firmach, tego typu kwiatki.

– Nadal świadczysz usługi dla glasgowskiego elementu?

– Od czasu do czasu. Nie tyle, co kiedyś. Czasy się wszak zmieniają, Jock. Gangsterzy też uczą się zasad wolnego rynku.

Nie mogę konkurować ze stawkami, jakich życzą sobie twoi koledzy.

Twarz Fergusona nieco stężała, ale najwyraźniej postanowił odpuścić. Kiedyś obróciłby takie docinki w żart, wiedząc, że mówię nie o nim, tylko o innych gliniarzach. Ale to było kiedyś – dawno i nieprawda.

– Słyszałem, że zasięgałeś o mnie języka, Lennox. Po tej zeszłorocznej aferze. Ktoś mógłby mnie posądzić o lekką paranoję, ale mam wrażenie, że uważasz, iż miałem coś wspólnego z tamtą rozróbą. Czy tak?

Wzruszyłem ramionami. – Gawędziłem trochę z kilkoma twoimi kolegami. Chcesz powiedzieć, że nic cię z tym wszystkim nie łączyło?

Spojrzałem mu w oczy, ale nie odwrócił wzroku. Żadnemu z nas nie śpieszyło się do precyzowania tego, co się wówczas wydarzyło. Prawdę mówiąc, nie powinien był w ogóle nic wiedzieć o zajściach, które miały wtedy miejsce w portowym magazynie i w wyniku których dostałem kulkę w bok, a pewna bardzo bliska mi osoba zginęła na moich oczach, gdy odstrzelono jej twarz. Zajściach, które nie miałyby miejsca, gdyby jakiś gliniarz nie dał cynku komu trzeba.

– Cokolwiek się stało, nie wiązało się w żaden sposób ze mną. To właśnie chcę powiedzieć, tak.

– Okej. Jeśli tak twierdzisz, to wierzę ci, Jock. – Oczywiście było to kłamstwo. Obaj o tym wiedzieliśmy, ale takie postawienie sprawy pozwoliło nam przejść do innych tematów. Przynajmniej na razie. – No i jak leci?

– Kupa roboty. McNab wrzucił mi tę sprawę ze śmiercią na torach. I naciska coraz bardziej. Ten nowy mądraliński lekarz sądowy nieźle go wkurwił. Znasz McNaba, mało go obchodzą takie krwawe porachunki wśród marginesu, chyba że sprawa jest prosta i oczywista, a tak zazwyczaj jest.

Pokiwałem empatycznie głową. Sama myśl o wykonywaniu roboty dla rozwścieczonego McNaba przyprawiała o ciarki. Na chwilę powróciło wspomnienie ciężaru jego łapska na mojej klatce piersiowej. – I jak idzie dochodzenie? Jakies tropy?

– Gównno, a nie tropy – prychnął Ferguson. – Nie mamy nic poza ciałem. A i tego jest niewiele, bo zmieściłoby się teraz w dwóch wiadrach. No ale mniejsza z tym – przecież nie po to się ze mną spotykasz, żeby wypytywać o poziom satysfakcji zawodowej. Czego chcesz, Lennox? Zawsze za czymś wężysz.

Zanim przeszedłem do rzeczy, kiwnąłem na barmana i zamówiłem dwie whisky. Tego barmana akurat nie znałem, więc nie było sensu mieszać mu w głowie, zamawiając Canadian Club.

– Słyszałeś o tej zbliżającej się walce? Bobby’ego Kirkcaldy’ego z tym Niemcem?

– Jasne. I co z nią?

– No więc Kirkcaldy’ego ostatnio spotykają z czyjejś strony pewne nieprzyjemności. Jakieś świństwa podrzucane pod drzwi, zawołowane pogróżki i inne tego typu bzdury.

– Zawiadamiał nas o tym?

– Nie. W zasadzie zostałem wynajęty do tego przez jednego z jego sponsorów, i to tylko dlatego, że o tych wszystkich perypetiach dowiedział się menedżer Kirkcaldy’ego. Sam Kirkcaldy robi, co może, żeby to zbagatelizować.

– Jeden z jego „sponsorów”? – Ferguson podniósł podejrzliwie do góry brew.

– Chodzi o to, że coś w tym wszystkim śmierdzi. Jest ten kręcący się wokół Kirkcaldy’ego podstarzały gość – niby-goryl, niby-trener. I niby podstarzały, ale twardy jak skurwysyn. Nazywa się Bert Soutar. Zastanawiałem się, czy mógłbyś...

Ferguson westchnął. – Zobaczę, co da się zrobić. Ale coś za coś, Lennox. W przyszłości może ja poproszę ciebie o przysługę, okej?

– Do usług. – Uśmiechnąłem się i zamówiłem dwa paszteciki. Przyniesiono je na wysłużonych białych talerzach, pokrytych widoczną pod szkliwem szarą pajęczyną pęknięć i kojarzących się z pisuarami. Paszteciki nurzały się w czymś w rodzaju sosu, który wyglądał po prostu na płynny tłuszcz. Muszę nadmienić, że od czasu przybycia kilka lat temu do Glasgow straciłem na wadze. Ferguson, najwyraźniej niezrażony sposobem podania

pasztecików, wgrzył się w swój, ocierając serwetką ściekający mu po brodzie tłuszcz.

– To wszystko?

– Tak – odparłem, sącząc whisky. – Zdaje się, że stary Soutar machał kiedyś niezłe brzytwą. Wiesz, gang Bridgeton Billy Boys i te sprawy. Bardzo by mi się przydały wszelkie informacje na jego temat, jakie dałbyś radę zdobyć.

– Mam lepszy pomysł... – Sięgnął do kieszeni marynarki i wyciągnął notes i ołówek. Napisał coś na kartce, wydarł ją z notesu i podał mi. – To jest adres Jimmy’ego MacSherry’ego. Teraz jest już stary, ale w latach dwudziestych i trzydziestych był z niego naprawdę twardy skurwysyn. Walczył z Kozakami Sillitoego, kilku policjantów posłał do szpitala. Dostał dziesięć lat i chłostę. Należał do Billy Boysów i zna wszystkich, którzy w tamtych kręgach cokolwiek znaczyli. Musisz tylko umiejętnie z nim gadać. No i będzie cię to kosztowało kilka funciaków.

– Dzięki, Jock. Doceniam twoją pomoc. – Schowałem karteluszek do kieszeni. Przyszło mi do głowy coś jeszcze. – Aha, słuchaj, wydaje się, że nikt nie zna tego faceta, ale pomyślałem, że ciebie też o niego spytam. Obiło ci się kiedyś o uszy nazwisko Largo?

Jak już wspomniałem, Jock Ferguson miał dość nieprzeniknioną fizjonomię, ale teraz coś po niej przemknęło, tak jakby podłączono go do sieci wysokiego napięcia.

– Co wiesz o Johnie Largo?

– Nic. Zupełnie nic, dlatego właśnie pytam. A co ty o nim wiesz?

– Gdzie słyszałeś to nazwisko? Skądś musiałeś je wytrzasnąć.

Spojrzałem na Fergusona. Wyprostował się znad kontuaru i zwrócił w moją stronę. W jednej chwili przeistoczył się ze znajomego w rasowego gliniarza. Po tych wszystkich poszukiwaniach mój zasób wiedzy na temat Largo w ułamku sekundy wzrósł dwukrotnie. Do nazwiska doszło jeszcze imię. Jednocześnie rozdzwoniły się jednak w mojej głowie wszelkie możliwe sygnały alarmowe. Stało się jasne, że sama znajomość słów „John Largo” wystarczała, aby zasłużyć na tego rodzaju

zainteresowanie policji, jakiego starannie unikałem. Uznałem, że najlepiej zagrać w otwarte karty.

– Okej, Jock, widzę, że wreszcie trafiłem na właściwy trop. A ty najwyraźniej myślisz, że wiem coś, czego wiedzieć nie powinienem. Ale to nie tak. Znam tylko nazwisko, nic ponadto. Badam sprawę pewnego zaginięcia. A w zasadzie już dwóch zaginięć, bo ostatnio również Paul Costello, syn Jimmy’ego Costello, zapadł się pod ziemię. Ale zanim przepadł, natknęliśmy się na siebie. Najpierw myślał, że jestem jednym z twoich kolegów, potem spytał, czy przysłał mnie Largo. I to tyle. Rozpytywałem po całym mieście, czy ktoś zna tego Largo, ale bez rezultatu. Aż do teraz. Więc kim jest ten enigmatyczny John Largo?

– No widzisz... To pytanie... Na twoim miejscu już nigdy więcej bym nikogo o to nie pytał. John Largo to ktoś, o kim lepiej nic nie wiedzieć. Najcenniejsza informacja, jakiej kiedykolwiek ci udzieliłem, brzmi następująco: John Largo nie istnieje. Przyjmij to do wiadomości i zajmij się własnym życiem. W przeciwnym razie może się okazać, że niewiele ci tego życia zostało.

– Eee, no chwila, Jock. Nie możesz...

– Muszę się zbierać. Zobaczę, czy uda mi się czegoś dowiedzieć o Soutarze. A na razie wybadaj Jimmy’ego MacSherry’ego.

Zanim zdążyłem coś powiedzieć, już go nie było. Pochyliłem się nad kontuarem i spojrzałem na jego opróżnioną do połowy szklaneczkę whisky. Działo się coś naprawdę poważnego – kiedy Szkot nie dopija postawionego mu przez kogoś drinka, wiadomo, że to nie przelewki.

Bridgeton było jednym z tych miejsc, gdzie człowiek czuł się przesadnie wystrojony, jeśli miał na nogach półbuty. Miało się wrażenie, że obuwie jest tutaj nieobowiązkowe aż do wieku lat dwunastu. Potem zazwyczaj wkładało się ciężkie, podkute metalowymi gwoździami buciory robocze, które na nogach

czterdziestopięciokilogramowego młodziaka dudniły tak, jakby ulicą maszerował cały oddział hitlerowców. Tak jak dziewięćdziesiąt dziewięć procent mieszkańców Bridgeton, Jimmy MacSherry nie miał telefonu, więc uznałem, że najlepiej będzie pofatygować się do niego osobiście. Nie omieszkalem zabrać ze sobą swojej pałki. Bridgeton było taką dzielnicą, w której człowiek czułby się nagi bez jakiegoś narzędzia mogącego wyrządzić krzywdę innej istocie ludzkiej.

Zanim wyszedłem z pubu na tramwaj do Bridgeton, otrzymałem jeszcze telefon od Davey'ego. Tak jak się spodziewałem, nie miał nic szczególnego do odraportowania poza tym, że Kirkcaldy wyszedł na swój popołudniowy trening do siłowni w Maryhill, gdzie zawsze ćwiczył. Wcześniej poleciłem Davey'emu, żeby miał oko nie na samego Kirkcaldy'ego, a raczej na jego dom, i tego faktycznie się trzymał. Pomimo że nie miał mi nic konkretnego do przekazania, zapewniłem go o tym, jak świetnie mu idzie, bo nie chciałem, by stracił entuzjazm, jakim tryskał na początku. Odłożył więc słuchawkę uspokojony, zachowując młodzieńczy zapał.

Dla całej reszty świata glasgowczycy niewiele się od siebie różnią: każdy wygląda mniej więcej tak samo, mówi w tym samym niezrozumiałym narzeczu, tyra za grosze w stoczni, fabryce albo hucie i mieszka w jakimś slumsie. Glasgowczyków cechuje też pewien schizoidalny rys – będąc ludźmi nastawionymi niezwykle serdecznie i przyjaźnie, przejawiają jednocześnie skłonność do stosowania psychopatycznej wręcz przemocy. W samym Glasgow istnieje jednak przepaść, która dzieli tutejszą klasę robotniczą. Na pierwszy rzut oka jest to podział o charakterze religijnym: protestanci kontra katolicy. W gruncie rzeczy jest to jednak kwestia etniczna: szkoccy glasgowczycy kontra glasgowczycy o pochodzeniu irlandzkim. I ta nienawiść między obiema społecznościami najsilniejszy wyraz znajdowała w rywalizacji dwóch miejscowych drużyn piłkarskich: Rangersów i Celticu.

Bridgeton położone było na przedmieściach i wyglądało

bardzo podobnie do wszystkich pozostałych przedmieść Glasgow. Wzdłuż ulic stały czynszówki albo trzypiętrowe bloki mieszkalne. Najczęściej spotykanym tu materiałem budowlanym była nie cegła ani nie jasny piaskowiec, lecz jego czerwona odmiana. Co nie miało rzecz jasna większego znaczenia, jako że wszystkie tutejsze budowle, tak jak wszędzie w Glasgow, oblepiała gruba warstwa sadzy. Czasem przebijał zza niej ognik pierwotnej barwy, upodabniając bryłę czynszówki do ciemnego, rdzewiejącego kadłuba statku mającego na tle nieba. Tak jak w innych rejonach miasta, najgorsze slumsy stopniowo likwidowano, stawiając na ich miejscu nowe bloki mieszkalne. Duch ery atomowej dotarł już do Glasgow i wkrótce wszyscy jego mieszkańcy cieszyć się będą najnowszymi wygodami współczesności. Takimi jak na przykład splukiwane toalety.

Pod jednym względem Bridgeton różniło się jednak od innych rejonów miasta, mianowicie natężeniem nienawiści między sąsiadami. Była to najbardziej ultraloyalistycznie protestancka, antykatolicka dzielnica Glasgow.

Kilka tygodni temu, jak co roku dwunastego lipca, Bridgeton stało się punktem zbornym orkiestr dudziarskich, werblistów i innych uczestników pochodu upamiętniającego zwycięstwo protestanckiego króla Wilhelma Orańskiego nad katolickim królem Jakubem w bitwie nad Boyne. Zorganizowano tradycyjny triumfalny przemarsz ulicami Glasgow. Szczególnie tymi, przy których mieszkają głównie katolicy. O dziwo, gburowatym katolikom jakoś nie udzielił się świąteczny nastrój i nie przyłączyli się do wspólnego wyśpiewywania takich ciekawych motywów jak: „Brodzimy już w fenińskiej krwi, więc poddaj się lub giń”.

Glasgow było jednak miastem równych praw i sprawiedliwości, więc i część Bridgeton zamieszkiwali ultrarepublikańscy katolicy, nienawidzący wszystkiego, co protestanckie. Gang Norman Conks, katolicki odpowiednik Billy Boysów, działał w Bridgeton głównie w okolicy ulic Poplin i Norman. Jego specjalnością, poza tymi samymi usługami

w dziedzinie chirurgii plastycznej, jakie przy pomocy brzytwy oferowali Billy Boysi, było obrzucanie uczestników lipcowego pochodu koktajlami Mołotowa, wypełnionymi naftą lub benzyną. Czasami w stronę pochodu leciały też „bulki z kiełbasą”, czyli ludzkie odchody zawinięte luźno w kawałek gazety.

Zastanawiałem się niekiedy, jak Rio mogło w ogóle konkurować z karnawałowym klimatem Glasgow.

Teraz jednak nie było na ulicach Bridgeton żadnych maszerujących orkiestr, a i panujący tu klimat nie był szczególnie karnawałowy. Szczerze mówiąc, nawet tego przyjemnego letniego dnia trudno mi było wyobrazić sobie miejsce, gdzie panowałyby mniej zabawowy nastrój. W każdym razie cieszyłem się, że nie przyjechałem tu swoim atlantikiem. Na ulicy, przy której mieszkał MacSherry, nie stały żadne samochody, a pod jedną z latarni bawiła się grupka pięciu czy sześciu rozwrzeszczanych, bosonogich dzieciaków o umorusanych twarzach. Przechodząc obok wejścia do jednej z czynszówek, zauważyłem obserwującego mnie spod daszka czapki trzydziestoletniego na oko mężczyznę. Miał na sobie koszulę bez kołnierza i kamizelkę. Spod podwiniętych rękawów koszuli wylaniały się przedramiona, wyglądające jakby były splecione ze stalowej liny. Stał oparty o framugę drzwi ze skrzyżowanymi nogami, ubranymi w ciężkie buty, a kciuki wetknął w kieszenie kamizelki. Poza sprawiała wrażenie najzupełniej swobodnej, a jednak z jakiegoś powodu przysłała mi do głowy myśl, że facet stoi na czatach albo jest kimś w rodzaju strażnika.

Jedyną osobą, jaką jeszcze tam minąłem, była kobieta około pięćdziesiątki, która wyłoniła się ze stojącego nieco dalej budynku. Była równie szeroka co wysoka i miała na sobie bezkształtną czarną sukienkę. A może po prostu ciało pod tą sukienką było bezkształtne. Głowę obwiązaną miała chustką, a nogi gołe, jako że beżowe pończochy zjechały jej w okolice kostek. Całości dopełniały ciemne kapcie w szkocką kratę. Patrząc na jej łydki upstrzone sino-czerwonymi plamami,

poczułem nagle impuls, aby przyrzec sobie solennie, że już nigdy w życiu nie tknę peklowanej wołowiny z puszkii. Kobieta przeszła obok, spoglądając jeszcze bardziej podejrzliwie niż wartownik ze stalowymi ramionami.

Uśmiechnąłem się do niej, a ona odpowiedziała mi groźnym spojrzeniem. A już miałem jej wyznać, jak cieszę się, że Diorowski New Look zawitał wreszcie i do Glasgow.

Odnalazłem właściwą czynszówkę i wszedłem na klatkę schodową. W glosgowskich slumsach najbardziej zadziwiało mnie, że można było wręcz jeść z wypucowanych schodów albo progu każdego z mieszkań. Glosgowczycy z wielką dumą sprząтали wspólnie użytkowane części domów – wszelkie przedsionki, schody i wejścia. Zazwyczaj obowiązywał ściśle przestrzegany grafik dyżurów, a jeśli jakaś gospodyni domowa nie wywiązywała się z obowiązku doprowadzenia do stanu nieskazitelności korytarza czy progu swojego gniazda, stawała się wyrzutkiem społecznym.

Mieszkanie MacSherry'ego znajdowało się na drugim piętrze. Korytarz był faktycznie bez skazy, natomiast w powietrzu unosił się jakiś nieprzyjemny zapach. Zapukałem do drzwi i otworzyła je kobieta po sześćdziesiątce, w porównaniu z którą tę spotkaną na ulicy trzeba by zdecydowanie uznać za szczupłą.

– Dzień dobry. Czy mógłbym porozmawiać z panem MacSherryem?

Gruba odwróciła się bez słowa i przetoczyła się po przedpokoju, zostawiając za sobą otwarte drzwi. Wyrzuciła z siebie kilka szybkich, zniekształconych samogłosek, w których domyśliłem się komunikatu: „Ktoś do ciebie”.

Z pokoju wyłonił się mężczyzna siedemdziesiąt plus i podszedł do drzwi. Był niski – nieco ponad metr sześćdziesiąt – ale krępy i żyłasty. Dużą głowę pokrywał mu siwy jeź. Wyglądał nieco tak, jak wyobrażałem sobie podstarzałego Williego Snedдона. Z tym, że u Snedдона blizna po brzytwie to był pryszcz w porównaniu z gęstą siatką niegdysiejszych cięć, pokrywających policzki i czoło MacSherry'ego. Tak jak wujek Bert Soutar, miał na twarzy wypisaną całą pełną przemoc

historię swojego życia, tylko w nieco innym narzeczu.

– Czego, kurwa, chcesz?

Uśmiechnąłem się. – Może mógłby mi pan w czymś pomóc. Szukam informacji. O kimś z dawnych lat.

– Spieprzaj – odparł bez cienia gniewu czy złości i chciał zatrzaskać drzwi, ale zablokowałem je, wstawiając but za próg. Stary MacSherry otworzył drzwi na oścież i spojrzał znacząco na mój but, a potem na mnie. Uśmiechnął się. Nie spodobał mi się ten uśmiech i zadumałem się przez chwilę nad dyshonorem, jakim byłoby lanie z rąk emeryta.

– Przepraszam – rzuciłem, podnosząc dłonie w uspokajającym geście. – Chodzi o to, że jestem gotów zapłacić za te informacje.

Ponownie spojrzał na mój but i cofnąłem nogę z progu.

– Co chcesz wiedzieć?

– Zna pan... albo znał pan może niejakiego Berta Soutara?

– Ano znałem. Ale co ci do niego? Nie jesteś z policji.

– Nie, nie... to nie tak. Reprezentuję grupę inwestorów, którzy zainteresowani są pewną imprezą sportową. Pan Soutar zaangażowany jest w tę imprezę i po prostu sprawdzamy jego wiarygodność. Bo wie pan, on był kiedyś karany.

– Co ty, kurwa, nie powiesz. – Ironia nie była jego mocną stroną.

– Powiem – ciągnąłem dalej, jakby nie dotarł do mnie jego sarkazm. – Nie chodzi o to, że samo w sobie stanowi to jakiś problem. Chcielibyśmy jednak wiedzieć nieco więcej, z kim mamy do czynienia. Czy znał pan dobrze pana Soutara?

– Powiedziałeś, że gotów jesteś zapłacić za te informacje.

Wyjąłem portfel i wręczyłem mu pięć funtów, drugiego piąta przytrzymując w ręku. – Może moglibyśmy...? – Skinąłem głową w stronę przedpokoju.

– Jak chcesz – powiedział MacSherry i cofnął się, wpuszczając mnie do środka.

Pokój był mały i ciasny. Ale tak jak na klatce, i tu było zaskakująco czysto. Duże okno bez firanek wychodziło na ulicę, a w jednej ścianie widniała alkowa, typowe rozwiązanie

w glasgowskich czynszówkach. Meble były tanie i wysłużone, lecz gdzieś tam wybijały się spośród nich osobliwie nowe i drogie sprzęty. Ku swojemu zaskoczeniu dostrzegłem utknięty w rogu pokoju nieduży telewizor firmy Pye ze stojącą na nim anteną teleskopową o dwóch odchylonych od siebie pod zawiadczającym kątem ramionach. Zrozumiałem początkową niechęć MacSherry'ego, by wpuścić mnie do środka: na tę zbieraninę starych i nowych sprzętów składały się te nabyte legalnie i te pozyskane na drodze kradzieży.

Gruba kobieta, która jak się domyślałem, była żoną MacSherry'ego, wyszła z pokoju. Było jasne, że często robiło się tu interesy.

– Jesteś, kurwa, jankesem? – MacSherry miał ujmujący, bezpośredni sposób bycia. Raczej nie liczyłem, że poczęstują mnie tu herbatą.

– Kanadyjczykiem – odparłem z uśmiechem, od którego zaczęła mnie już nieco boleć szczęka. – A jeśli chodzi o Soutara...

– Był jednym z Billy Boysów. I bokserem. Walczył na gołe pięści. Twarda sztuka. Wiem, o co w tym wszystkim biega. O jego bratanka, Bobby'ego Kirkcaldy'ego. To jest, kurwa, ta impreza sportowa, co nie?

– Obowiązuje mnie poufność, panie MacSherry, więc nie mogę wyjawiać szczegółów. Soutar należał do Bridgeton Billy Boysów mniej więcej w tym samym czasie, co pan, prawda?

– Taa, ale nie znałem go zbyt dobrze. W każdym razie na punkcie brzytwy i pięści miał pojebane w głowie, to pewne. Tylko że później, kiedy Billy Boysi się zmilitaryzowali, wie pan, te wszystkie poranne musztry i tak dalej, Soutar się zmył. Szczerze nienawidził pieprzonych fenian, ale bardziej mu podchodziło robienie kasy. Z boksu jednak nie zrezygnował. Dopiero jak pociął tych glińiarzy, to go przyskrzynili.

– Chwila, mówił pan przecież, że Bert odszedł od Billy Boysów...

– Bo odszedł. Ale to nie było w trakcie rozróby między gangami. Fakt, akurat skończył się jakiś mecz, ale Soutar

włamywał się wtedy do kasy pożyczkowej. Coś mu się, kurwa, ubzdurało, że policja konna będzie zbyt zajęta tą zadymą po meczu. Dwóch gliniarzy przyłapało go jednak, jak coś majstrował na tyłach budynku. Z tego, co słyszałem, Soutar zaczął pyskować i chcieli mu dać mały wycisk. To był jego największy problem – że sam sobie, kurwa, robił wbrew przez swój niewyparzony jęzor. W każdym razie zawsze nosił w kieszeniach kamizelki dwie brzytwy. I jak tych dwóch gliniarzy się na niego rzuciło, to pociął obu. Jednemu poszło oko. Widziałeś, w jakim stanie ma twarz?

– Tak – odparłem. – Musiał swego czasu nieźle inkasować na ringu.

– To nie ma, kurwa, nic wspólnego z boksem. Bert Soutar był zbyt zwinny na to, żeby tak się dać zmasakrować na ringu albo podczas walki na gołe pięści. Nie, to sprawka pieprzonych glin. Zakatowali go niemal na śmierć. Zrobili mu, kurwa, ścieżkę zdrowia. To była, widzisz, nauczka, że Kozaków się nie tnie. – MacSherry miał na myśli Kozaków Sillitoego, konne oddziały policji do zwalczania gangów, stworzone przez ówczesnego naczelnika policji w Glasgow Percy’ego Sillitoego. – Kiedy Soutar wyszedł z paki, nie wrócił już do Billy Boysów. Podobno był wzorowym więźniem i wyszedł po sześciu latach. Z nowymi pomysłami na życie. Mówił, że Billy Boysi już go nie interesują. Że z nimi kasy nie robi. Poza tym jako bokser był skończony. Cięgi, które zebrał w więzieniu, na dobre spieprzyły mu facjatę. Nie mógł sobie pozwolić na jakieś kolejne uszkodzenia. Zresztą i tak by nie dostał licencji – ze względu na twarz i ze względu na tę odsiadkę. I mniej więcej wtedy zaczął kręcić się wokół takiego jednego szpanerka, który namącił mu w głowie różnymi pomysłami na robienie kasy.

– Szpanerek, powiadasz?

– Wtedy go jeszcze nie znałem. Nie pochodził z Bridgeton i był chyba od nas młodszy. Nawet sporo. Ale, jak mówię, pozował, kurwa, na nie wiadomo kogo. Razem z Soutarem przez jakiś czas działali w branży bokserskiej. Obstawiali, a raczej ustawiali, walki. Z tym tylko, że ten ich układ nie

przetrwiał próby czasu, i potem już Soutara nie widywałem. Zapadł się pod ziemię, natomiast MacFarlane odniósł, kurwa, oszałamiający sukces.

– MacFarlane?

– Taa. Bilon MacFarlane. No o tym dupku właśnie mówię. Potem został jednym z bardziej liczących się bukmacherów. Gównu mu jednak z tego wszystkiego przyszło, biorąc pod uwagę, że marnie skończył z rozpieprzoną na amen facjatą.

Siedziałem, kiwając głową, jakby miało mi to jakoś pomóc w przetworzeniu uzyskanych informacji. Przez głowę przebiegały mi dziesiątki możliwych kombinacji ludzi i zdarzeń. Drzwi do mieszkania były nadal niezamknięte i usłyszałem jakieś dobiegające z korytarza głosy. To była ta gruba staruszka i jakiś facet. Uznałem, że czas na mnie, wstałem i wręczyłem MacSherry’emu drugą pięcioletówkę.

– Za mało – powiedział.

– Co? – Przybrałem najbardziej zdezorientowaną minę, na jaką mnie było stać. Choć daleko mi było do dezorientacji.

– Jeszcze dziesięć.

– Dostał pan za fatygę tyle, ile się należy, panie MacSherry. I to z naddatkiem.

Podniósł się z krzesła. Usłyszałem za sobą jakiś dźwięk i obróciwszy się, zobaczyłem, że słyszany przed chwilą na korytarzu głos należał do napotkanego na ulicy wartownika bez kołnierza. Stał teraz przy drzwiach, blokując wyjście. Na twarzy miał wredny uśmieszek.

– Jeszcze dziesięć. No, dawaj. A w zasadzie to zaoszczędzę ci kłopotu. Dawaj, kurwa, cały portfel.

Dokonałem oceny sytuacji. Niewesoło. Stary byłby wystarczająco twardym orzechem do zgryzienia, a obecność młodszego gościa zdecydowanie przechylała szalę na moją niekorzyść.

Wzruszyłem ramionami.

– Okej. Dam wam wszystko, co mam w portfelu. Mało mnie to wzrusza. Po prostu odbiorę sobie to od inwestorów, o których wspominałem. – Na chwilę zmarszczyłem

w zamysleniu brwi, po czym rozjaśniłem się, jakby wpadł mi do głowy jakiś ekstra pomysł. – Zresztą najlepiej będzie, jeśli po prostu powiem im, żeby osobiście tu się pofatygowali. Może pan wtedy bezpośrednio z nimi omówić sprawy finansowe. Zatrudnia mnie pan William Sneddon. Drugim inwestorem jest pan Jonathan Cohen. – Mówiłem przyjaznym tonem, tak jakby moje słowa wcale nie niosły ze sobą poważnej groźby. – Wiem, że panu Sneddonowi bardzo działają na nerwy wszelkie próby ingerencji w jego działania biznesowe. Jestem więc pewien, że bardzo poważnie potraktuje pana roszczenia finansowe. Bardzo poważnie.

MacSherry spojrział nad moim ramieniem na młodszego faceta, a potem znowu na mnie. – Czemu wcześniej nie mówiłeś, że pracujesz dla pana Sneddona? Może robisz mnie tylko w konia.

– Jeśli gdzieś na tym zadupiu jest jakaś czynna budka telefoniczna, to możemy się do niej przespacerować i sam pan go o to zapyta. Mogę też poprosić Pedikiurka McBride’a, żeby się tu zjawił i zaświadczył o moich referencjach. – Zrezygnowałem już z przyjaznego tonu. To był taki taniec na linie. Niektórzy ludzie po prostu nie mają zdrowego instynktu, który podpowiadałby im, kiedy strach jest uczuciem jak najbardziej pożądanym. Gotów byłbym się założyć, że MacSherry był właśnie tego rodzaju typem.

Ruchem głowy zasygnalizował młodszemu mężczyźnie, aby ten pozwolił mi wyjść.

– Dziękuję za pomoc, panie MacSherry. – Odwróciłem się i nie śpiesząc się, spokojnie wyszedłem z mieszkania.

Uchwyt na trzymanej w kieszeni pałce rozluźniłem jednak dopiero wtedy, gdy wyszedłem na ulicę i skręciłem za pierwszy róg.

VIII

Zanim nadjechał tramwaj i dotarłem z powrotem do biura, zrobiła się prawie szósta. Zaczynał się kolejny męczący wieczór. Miało się wrażenie, że parne, stojące powietrze oblepia całe ciało i czułem, że kołnierz koszuli na karku mam już przesiąknięty potem. Zgodnie z umową Davey Wallace zadzwonił punkt szósta. Nie miał prawa jazdy, więc powiedziałem mu, żeby nigdzie się nie ruszał, tylko poczekał w atlanticu, aż po niego przyjadę. Uznałem, że najlepiej będzie wziąć do Blanefield taksówkę, która potem zabrałaby Davey'ego do domu. Jazda taksówką była jednym z luksusów, których większość glasgowczyków doświadczała przy bardzo tylko wyjątkowych okazjach. Przed udaniem się do Blanefield zadzwoniłem do Sneddona i opowiedziałem mu o wizycie u MacSherry'ego.

– Wiedział, że jesteś tam w moich interesach? – spytał.

– Z początku nie. Ale potem mu powiedziałem.

– Jebane szczury. Już ja ich nauczę szacunku.

– To niech pan lepiej wyśle całą ekipę. Z tego, co się zorientowałem, staruszek nadal ma jakąś obstawę. No i reputację, na którą musiał sobie zapracować. – Nie wspomniałem Sneddonowi, że przy pierwszej wzmiance o nim MacSherry'emu zmięła rura. Wkurzyło mnie, że dziadek chciał mi przetrzepać kieszenie. Lekcja szacunku mu się przyda, jak powiedział Sneddon.

– Ach, tak? No to załatwię mu zmianę krajobrazu. Założę się, że nieczęsto rusza się z Bridgeton – powiedział Sneddon, co przypomniało mi o obietnicy, jaką kiedyś otrzymałem od nadinspektora McNaba. Ten lokalny koloryt był tak wyrazisty, że może gdybym „spieprzył z powrotem do Kanady”, moje zdrowie by na tym zyskało.

– Coś ciekawego z tego spotkania jednak wynikło –

powiedziałem. – Wiedział pan, że Bert Soutar i Bilon MacFarlane prowadzili kiedyś razem interesy? Gdzieś na początku wojny.

– Nie... – Czułem, że Sneddon usiłuje ułożyć w głowie tę samą łamigłówkę, nad którą głowiłem się w Bridgeton. – Nie, nie wiedziałem. Sądzisz, że to ma jakieś znaczenie?

– No cóż, ten złoty interes, który zamienił się w bajeczkę o szkołach boksu... możliwe, że Bilon ukrywał szczegóły, ale faktycznie chodziło o tych samych mocodawców. Może rzeczywiście miało to jakiś związek z Bobbym Kirkcaldym. I może pośrednikiem między nimi był właśnie stary kumpel MacFarlane'a – Soutar.

– Ale przecież to ja miałem być stroną w tym interesie, a MacFarlane tylko pośrednikiem. – Czułem, że Sneddon zapuszcza sondę, chcąc sprawdzić, co ja na to.

– Nie zapominajmy, że ktoś potraktował czaszkę Bilona jak jajko na miękko – odparłem. – Na mojego nosa to wszystko ma związek z tym interesem. On był rozgrywającym i grał o wielką kasę, a nie o jakąś prowizję. I podejrzewam, że wujek Bert jest w to jakoś zamieszany.

– Myślisz, że to on wgniół Bilonowi facjatę?

– Nie wiem. Może. Tylko nie rozumiem, po co miałby to robić, chyba że coś się pokręciło z tym interesem, czegokolwiek dotyczył. Może to raczej ktoś, kto kieruje te pogróżki wobec Kirkcaldy'ego? Jednego jestem pewien – że Kirkcaldy'emu nie w smak ta uwaga, jaką mu poświęcamy. Skoro już o tym mowa, to czy mógłbym dostać ze dwóch ludzi do obserwowania na zmianę domu Kirkcaldy'ego? Na razie mam tylko jednego pomocnika.

– Okej – zgodził się Sneddon. – Możesz wziąć Pedikiurka. Zdaje się, że nieźle się dogadujecie.

– Taa... – odparłem. – Jak dwa gołąbki... Dzięki. Dam znać, kiedy będę go potrzebował.

Odłożyłem słuchawkę, zamknąłem biuro i podjechałem taryfą do klubu Pacific. W lokalu zaczynały się przygotowania do kolejnego wieczoru. Jonny Cohen zatrudniał tu jako

menedżera Larry'ego Franksa – niewysokiego, przystojnego Żyda po czterdziestce. Nigdy wcześniej go nie spotkałem, ale wyglądało na to, że wie, kim jestem, bo od razu po moim przybyciu podszedł i przedstawił się. Był bez marynarki i miał podwinięte rękawy koszuli.

– Pan Cohen mówił, że potrzebne panu namiary na Claire Skinner – powiedział z szerokim uśmiechem. Mówił z akcentem, trudnym do zidentyfikowania, choć pobrzmiwały w nim echa Londynu. I jeszcze jakaś naleciałość, ale już znacznie odleglejsza. Od czasu do czasu można było się z czymś takim spotkać. Wojna kładła się jeszcze cieniem na ludzkich losach i choć z rozsianych po całej powojennej Europie obozów dipisowskich zamknięto już wszystkie poza jednym, nadal szerokie rzesze ludzi próbowały budować nowe życie na obczyźnie. Tak czy inaczej, jakiegokolwiek były losy Franksa, najwidoczniej nie utracił pogody ducha. – Może drinka? Na koszt firmy...

– Dziękuję, nie tym razem. Faktycznie, poszukuję Claire. Jonny mówił, że ma pan jej adres.

– Jak najbardziej... – Franks znowu szeroko się uśmiechnął i wręczył mi wyjętą z kieszeni kamizelki, złożoną karteczkę. Moją uwagę przykuło coś, co miał na przedramieniu, ale od niechcienia obciągnął od razu rękaw. – Ale włamanie się do Fort Knox może okazać się łatwiejszym zadaniem.

– To znaczy? – Rozłożyłem karteluszek. Widniał na nim adres w Crathie Court w Partick.

– To cipkarnia – wyjaśnił rzeczowo i bez cienia pożądlivosti. – Schronisko dla panien prowadzone przez miasto. Działa od dwóch lat z okładem. Claire tam mieszka. Ale mają tam matronę, która zrobi panu koło pióra, jak się pan tam będzie próbował dostać. Goście płci męskiej ściśle zakazani. Może więcej pan wskóra, starając się ją złapać tu następnym razem, gdy będzie śpiewać.

– A kiedy to może być? – spytałem.

– Prawdę mówiąc, może dopiero za tydzień, dwa. Na najbliższe dwa piątki zamówiłem już jakąś nową kapelę jazzową.

– Nie, nie... Muszę się z nią zobaczyć wcześniej. – Zapatrzyłem się przez chwilę w karteczkę, myślami będąc gdzie indziej. – Szukam Sammy’ego Pollocka vel Gainsborough, jak chyba wolał się przedstawiać. To chłopak Claire. Widział go pan ostatnio?

– Tego palanta? – powiedział Franks z drwiącym uśmiechem.
– Nie. Już od dwóch tygodni.

– Ostatni raz widziano go właśnie tutaj. Około dwóch tygodni temu przed klubem miała miejsce jakaś drobna utarczka. Był pan świadkiem tej akcji albo słyszał coś na ten temat?

– Nie... – Franks w zamyśleniu ściągnął usta. – Obawiam się, że nie. I nikt nic o tym nie wspominał.

– Rozumiem. – Wsunąłem kartkę do kieszeni. – Dzięki. Również za propozycję drinka. Skorzystam następnym razem, kiedy tu wpadnę.

– Jasne. – Z jego twarzy nie schodził uśmiech, ale był już jakiś inny. Czytał w moich myślach, a ja w jego. Komunikat, jaki odebrałem, brzmiał: „Nie potrzebuję litości”.

Wyszedłem z zaduchu klubu Pacific w zaduch glasgowskiego wieczoru. Taksówka nadal na mnie czekała. Usiadłem na tylnym siedzeniu i zamówiłem kurs do Blanefield. Siedziałem przez całą podróż w milczeniu, rozmyślając nad radosnym usposobieniem Larry’ego Franksa. I nad numerem wytatuowanym po wewnętrznej stronie jego przedramienia.

Mógłbym przysiąc, że kiedy wysiadłem z taksówki, Davey Wallace tkwił dokładnie w tym samym miejscu i w tej samej pozycji jak wtedy, gdy rozstawaliśmy się rano. Usiedliśmy w moim atlanticu i przez dwadzieścia minut zdawał mi relację na podstawie swoich szczegółowych notatek. Dwadzieścia minut szczegółowej relacji z niczego. Był z niego bez wątpienia dobry dzieciak i zapału mu nie brakowało. Starał się jak cholera.

– Miałbyś jutro czas na to samo? – spytałem. – Przydałoby się nawet, żebyś postacjonował tu nieco dłużej. To jak?

– Jasne, panie Lennox. Nie ma sprawy. I nie musi mnie pan tu przywozić. Już wiem, gdzie to jest i mogę tu przyjechać

tramwajem.

– Okej. W takim razie spotkajmy się tu jutro nieco później. Powiedzmy, o szóstej. Sądzę, że za dnia nic się tu nie wydarzy. A jak z twoją pracą? Wyrobisz się na poranną zmianę?

– Nie ma żadnego problemu, panie Lennox.

– Świetnie – odparłem. Oczywiście, że nie było problemu. Nawet konieczność przebycia Himalajów nie byłaby dla Davey’ego przeszkodą zdolną go zniechęcić. Wręczyłem mu piąta. – Pędź teraz do domu.

– Dziękuję, panie Lennox – powiedział Davey niemal czolobitnie.

Nie był to czas zbyt produktywnie spożytkowany. Przez trzy godziny siedzenia i obserwowania domu Kirkcaldy’ego nie wydarzyło się absolutnie nic. Potem zjawił się Bobby Kirkcaldy, przypuszczalnie wracając po całym dniu spędzonym w siłowni w Maryhill. Wtoczył się na podjazd wartym ponad tysiąc funtów sportowym sunbeam-talbotem z opuszczonym dachem. Zgoda, że Kirkcaldy odniósł sukces jako profesjonalny bokser, ale nawet biorąc to pod uwagę, jego zasoby finansowe robiły wrażenie. Cóż, może dorabiał sobie rozwożeniem gazet.

Zsunąłem się nieco w fotelu kierowcy, żeby znaleźć oparcie dla szyi i naciągnąłem kapelusz na oczy. Nie było sensu się katować. Nadal czułem się lepki od potu, ale choć szybę miałem spuszczoną na sam dół, stojące, parne powietrze nie zapewniało żadnej ulgi. Martwiłem się, że zacznę przysypiać. Włączyłem radio, ale znalazłem w nim jedynie kolejną, wpadającą jednym uchem i wypadającą drugim melorecytację Franka Sinatry. Spróbowałem pobudzić mózg, robiąc małą inwentaryzację prowadzonych przez siebie spraw.

Zamordowanie Bilona miało bez dwóch zdań związek z całą resztą. Bobby Kirkcaldy tkwił po uszy w czymś mało stosującym się do zasad Queensberry’ego¹³. Soutar był łącznikiem między

¹³ Zasady markiza Queensberry’ego – opracowane w drugiej połowie XIX w. w Anglii przepisy regulujące sportową walkę na pięści, na których opiera

Bilonem a Kirkcaldym. Ja tu się staram, jak mogę, żeby nie brnąć głębiej w jakieś pokrętne interesy, tymczasem sprawa morderstwa Bilonu wsysa mnie coraz bardziej.

Jednocześnie druga prowadzona przeze mnie sprawa – ta w stu procentach legalna – nie posuwała się do przodu ani o krok. Postanowiłem, że jutro spróbuję skontaktować się z Claire Skinner, przeczuwając jednak, że przełomu nie osiągnę. Sammy Pollock dosłownie zapadł się pod ziemię. Dręczyła mnie myśl, że może nie dokonał tego samodzielnie, tylko z czyjąś profesjonalną pomocą. No i była jeszcze ta reakcja Jocka Fergusona, kiedy wspomniałem o Largo. Jeśli to była ta sama osoba, którą podobno znał Paul Costello, to oznaczało to kogoś spoza znanego kręgu glasgowskich gangów, na tyle jednak znaczącego, aby na dźwięk jego nazwiska glasgowska dochodzeniówka od razu nadstawiała uszu.

Nie miałem zbyt skłonności do dumania nad swoim życiem, może dlatego, że przekonałem się w czasie wojny, dokąd taka zaduma prowadzi: do szaleństwa albo do śmierci. Ale siedząc tu w samochodzie przed podglasgowskim domem boksera, który prawdopodobnie był na bakier z prawem, poczułem nagle, że ogarnia mnie tęsknota za domem.

Blanefield górowało nad Glasgow. Słońce było już niżej na niebie i jego miedzianozłote promienie sączyły się przez mgiełkę unoszącą się nad położonym w dolinie miastem. Widok ten uruchomił kolejne wspomnienie dotyczące Saint John, gdzie zdarzały się podobne zachody słońca. Przemysłowe serce Stanów Zjednoczonych położone było w stanie Michigan, skąd przepelnione pyłem, popychane podmuchami wiatru powietrze przemieszczało się na północ i na zachód, docierając do nadmorskich prowincji Kanady, rozświetlonych słońcem tryskającym purpurowymi snopami i broczącym czerwienią do zatoki Fundy. Na tym jednak kończyło się podobieństwo. Sięgnąłem pamięcią do tych przedwojennych dni. Było wtedy inaczej. Ludzie byli chyba inni. I ja byłem inny.

A może nie byłem.

Z tyłu zajechał i zatrzymał się samochód. Ciemnozielony rover. Nie musiałem się za siebie oglądać, aby wiedzieć, że kierowcą był Pedikiurek. Albo to, albo nastąpiło nieprzewidziane zaćmienie słońca. Pedikiurek podszedł do drzwi atlantica od strony chodnika i zapukał w szybę. Otworzyłem mu i wgramolił się do środka, a ja po raz kolejny doceniłem zawieszenie atlantica.

– Witam, panie Lennox... – powiedział z uśmiechem Pedikiurek. – Jak się pan miewa?

– Dobrze, Pedikiurku. A ty?

– Kwitnąco, panie Lennox, kwitnąco. Pan Sneddon przysłał mnie tutaj, żebym przejął od pana obserwację domu pana Kirkcaldy’ego. Później zmieni mnie Śpiewak, który będzie tu aż do rana.

– To będzie długa noc, Pedi.

– Mam radio – odparł. – Jazz działa na mnie kojąco.

– Z pewnością. A kogo lubisz słuchać?

– Najbardziej Elephants Gerald – odparł z uśmiechem.

– Kogo?

– No wie pan... Elephants Gerald. Tej śpiewaczki jazzowej.

– Aaa... – powiedziałem, tłumiąc drwiący uśmieszek. – Chyba chodzi o Ellę Fitzgerald.

– Tak? Myślałem, że to Elephants Gerald. Wie pan, jedno z tych wielkich jazzowych nazwisk. Jak Duke Wellington.

– Duke Ellington, Pedi – sprostowałem. Zauważyłem, że uśmiech zniknął z jego twarzy. Najwyższy czas, żeby ruszać w drogę. – Ale mogę się mylić. W każdym razie baw się dobrze. Spikniemy się później.

Pedikiurek zapewnił mnie solennie, że będzie bardzo skrupu-lat-nie pełnił swoją wartość, więc zostawiłem go obserwującego dom Kirkcaldy’ego z fotela rovera Snedдона. Pojechałem prosto do domu. Zamykając za sobą główne drzwi

wejściowe, usłyszałem, że w mieszkaniu White'ów znowu wraz z moim powrotem wyłączają telewizor. Wszedłem na górę do siebie i zabrałem się za parzenie prawdziwej kawy i robienie kanapek z szynką z kromek chleba, które należało wykorzystać już ze dwa dni temu, bo trwałością zaczynały przypominać materiały budowlane.

Zasiadłem właśnie do jedzenia, gdy usłyszałem na dole dźwięk dzwonka, a potem Fiona White otworzyła komuś drzwi. Dobięły mnie odgłosy krótkiej wymiany zdań, a następnie ciężkich kroków na schodach. Ktoś mógłby mnie posądzić o niegościnność, ale nie miałem zwyczaju przyjmować wizyt u siebie w mieszkaniu. Chciałem uchronić je przed ewentualnym zainteresowaniem osób, z którymi miałem do czynienia w swojej pracy i to był jeden z głównych powodów, dla których wybrałem pub Pod Końskim Łbem na swoje nieoficjalne biuro poza godzinami pracy. Zanim więc zareagowałem na stukanie do drzwi, wyjąłem z szuflady komody pałkę, którą zwykłem tam chować po powrocie do domu, i wsunąłem ją do kieszeni. Otworzyłem drzwi i przezornie cofnąłem się krok do tyłu. Okazało się, że to Jock Ferguson, a z nim jeszcze jakiś mężczyzna, wyższy i masywniej zbudowany. Facet miał na sobie jasnopolielaty garnitur z wyjątkowo wąskimi kłapami przy marynarce opinającej potężne bary, a na głowie coś podobnego do słomianego kapelusza, opasanego szeroką niebieską wstążką. Jego duża twarz była nieco zbyt pulchna, żeby można było go uznać za przystojnego, a od miejscowych odróżniała go opalenizna, ewidentnie nabyta nie tylko tego upalnego lata. Brakowało mu tylko zawieszzonego na szyi napisu „Boże, błogosław Amerykę”¹⁴. Widok Fergusonona pod moimi drzwiami, i to w tak dziwnym towarzystwie, zbił mnie z tropu.

– Jock? Co ty tu...?

– Cześć, Lennox. Możemy wejść?

– Pardon... Jasne, wchodźcie.

¹⁴ *God Bless America* – tytuł popularnej amerykańskiej pieśni patriotycznej.

Wchodząc, rosły Amerykanin uraczył mnie szerokim uśmiechem. Zdjął swoje cudaczne nakrycie głowy, odsłaniając najbardziej zadziwiającą fryzurę, jaką kiedykolwiek widziałem. Szpakowate włosy miał przystrzyżone na jeża, ale w taki sposób, że na karku i po bokach były zgolone niemal do skóry, a najeżone od góry. Zadziwił kunszt fryzjera, który potrafił uczynić z włosów perfekcyjnie płaską, na podobieństwo zadbanego trawnika, powierzchnię. Wyobraźnia podsuwała obraz fryzjerskiego inżyniera, dzierżącego w jednej dłoni nożyczki, a w drugiej poziomnicę.

– Lennox, pozwól, że przedstawię ci Dextera Devereaux, naszego kolegę ze Stanów Zjednoczonych. Zajmuje się dochodzeniami, tak jak ty.

– Mów mi Dex – przemówił do mnie szeroki uśmiech spod języka.

Uścisnąłem Amerykaninowi dłoń, po czym zwróciłem się do Fergusona. – Powiedziałeś, że pan Devereaux zajmuje się dochodzeniami jak ja... A może miałeś na myśli dochodzenia takie, jakie prowadzisz ty?

– Jestem prywatnym detektywem, tak jak ty... – wyjaśnił z koleżeńskim uśmiechem Devereaux. – Jestem tu w związku z pewnym śledztwem, którego się podjąłem. W sprawie kryminalnej, ale na prywatne zlecenie.

– Okej... więc w czym mogę panu pomóc? – spytałem. Zorientowałem się, że wszyscy nadal stoimy. – Przepraszam... niech pan siada, panie Devereaux.

– Ależ mów mi Dex... Dzięki. – Ferguson i Amerykanin usiedli na skórzanej sofie. Wyjąłem z komody butelkę kanadyjskiej żytniej whisky i trzy szklaneczki.

– Zakładam, że nie jesteście panowie aż tak bardzo na służbie, żeby odmówić drinka?

– Jeśli o mnie chodzi, nigdy nie jestem aż tak bardzo na służbie – odparł Devereaux. Wziął ode mnie napełnioną szklaneczkę i spróbował trunku. – Mmmm, niezła... – mruknął z aprobatą. – Myślałem, że pijecie tu tylko szkocką.

– Mam nieco inne upodobania – powiedziałem i usiadłem na

fotelu naprzeciwko nich. Devereaux rozglądał się od niechcienia po mieszkaniu, omiatając wzrokiem meble, butelki na kredensie, książki na półkach. Ten jego luz był jednak pozorny, bo Devereaux wyraźnie kojarzył mi się z wytrawnym, zawodowym golfistą szykującym się do uderzenia piłeczki.

– Masz sporo książek – powiedział, patrząc znowu na mnie. – A coś Hemingwaya?

– Niestety – odparłem. – Nic Hemingwaya. Tak jak nie mam mieszanej szkockiej. A więc co mogę dla pana zrobić, panie Devereaux?

– Proszę... Dex. A jeśli chodzi o to, co możesz dla nas zrobić... Zdaje się, że wspominałeś detektywowi Fergusonowi o Johnie Largo.

– Pytałem, czy go zna albo coś o nim wie.

– A co ty sam wiesz o Johnie Largo? – Devereaux oderwał ode mnie wzrok, skupiając się na sączonej whisky.

– Jedyne, co wiem o Largo, to że ma na imię John, i to tylko dlatego, że Jock sam nieopatrznie mi to powiedział. Wiem też, że to jakaś naprawdę gruba ryba, bo ktoś gotów jest z jego powodu wysłać za Atlantyk biorącego dwadzieścia dolarów za godzinę prywatnego detektywa. Obawiam się, że to wszystko, co wiem. Jeszcze to, że zna go ktoś, kto był przyjacielem kogoś, kto zaginął. A teraz i ten gość przepadł.

– Paul Costello. Opowiadałem ci o jego ojcu – zwrócił się Jock Ferguson do Devereaux, który pokiwał głową, jakby zniecierpliwiony, ale bez uszczerbku dla przyklejonego do twarzy uśmiechu. Ta krótka wymiana między nimi uświadomiła mi dobitnie, jaki porządek dziobania obowiązuje w łączącej ich znajomości. Ferguson był może na swoim terenie, ale w przedmiotowej sprawie najwięcej do powiedzenia miał najwyraźniej Devereaux. Kimkolwiek był Largo i czymkolwiek się zajmował, było to coś poważnego.

– A kim jest ten przyjaciel Costello, który zaginął? – spytał Devereaux, wypijając kolejny łyk whisky. I znowu rzucone od niechcienia pytanie i towarzyszący mu gest świadczyły o dużym profesjonalizmie.

– Obawiam się, że tego nie mogę panu zdradzić, panie Devereaux – odparłem, odwzajemniając się uśmiechem. – Obowiązuje mnie poufność. Mój klient nie życzy sobie mieszania w to policji.

– Jesteś Kanadyjczykiem? – spytał Devereaux.

– Tak. Z Saint John w Nowym Brunzswiku.

– To tuż obok Maine. Ja jestem z Vermontu.

– Serio? To tuż obok Quebecu.

Devereaux roześmiał się. – Racja, racja. A wiesz, że mamy największy odsetek Amerykanów o francuskich korzeniach? Wyższy nawet niż Luizjana. Stąd właśnie wzięło się moje nazwisko. Znaczący, z Vermontu, a nie z Luizjany – wyjaśnił ze śmiechem.

– Tak. Orientuję się w tym trochę. Jak sam pan powiedział, Nowa Anglia to rzut kamieniem przez granicę od Saint John. No i Nowy Brunzswik jest dwujęzyczny.

– A, tak... – Devereaux aż sapnął z zadowolenia, ucieszony z naszej wymiany zdań. Miałem jednak wrażenie, że dalsze próby nawiązania transatlantyckiej przyjaźni będzie trzeba odłożyć na inną okazję. – Wie pan, panie Lennox, naprawdę bardzo by nam to pomogło, gdybyśmy się jednak dowiedzieli, kto jest pana klientem.

– Niestety nie mogę, panie Devereaux. Jako prywatny detektyw powinien pan to rozumieć. Ale to jedyne, czego nie mogę zrobić. Poza tym pomogę, w czym tylko będę mógł. Kim jest John Largo?

Devereaux spojrział w głąb szklanki. Jock Ferguson nawet nie tknął swojej whisky. Kiedy Devereaux podniósł wzrok, nadal się uśmiechał, ale zdecydowanie powiało chłodem.

– Nie może pan liczyć na nasze zaufanie, panie Lennox, skoro i pan nam nie ufa. Porozmawiajmy szczerze. Otóż widziałem, jak pracują koledzy detektywa Fergusonona. Tutejsza policja też wydaje się niezwykle zainteresowana panem Largo. Gdyby został pan zatrzymany za zatajanie ważnych dla śledztwa informacji, mogłaby to być długa i bolesna procedura.

– Nie ujawniam nazwisk swoich klientów, Dex. Ani pod

wpływem bicia, ani za kasę, a z całą pewnością nie pod wpływem grózb. – Podniosłem się z fotela. – Sądzę, panowie, że powinniście już iść.

Devereaux podniósł do góry dłonie w pojednawczym geście. – Okej, okej... spokojnie, kolego. Prawda jest taka, że ja też nie mogę ci zbyt wiele powiedzieć na temat Largo. Masz jednak rację – to gruba ryba. No i jest teraz gdzieś tutaj, w Glasgow. Słyszałem już wszystko o tych waszych Trzech Królach... tej całej lokalnej nedorobionej cosa nostrze. Ale coś ci powiem... wybacznij, ale jakoś nie potrafię mówić do ciebie „panie Lennox” – jak masz na imię?

– Mów mi po prostu Lennox, tak jak wszyscy.

– No więc coś ci powiem, Lennox – John Largo bez mrugnienia okiem starłby na pył tych waszych Trzech Królów. Largo tak ma się do Trzech Królów, jak rekin do planktonu. Rekina nic plankton nie obchodzi, nie wie nawet o jego istnieniu, ale mógłby mu urządzić koniec świata jednym machnięciem ogona. Z tego, co o nim wiemy, John Largo to ktoś więcej niż zwykły kryminalista. Stanowi wręcz zagrożenie dla bezpieczeństwa narodowego USA. To człowiek wyjątkowo niebezpieczny, wyrachowany i wpływowy.

– W takim razie co on robi w Glasgow?

– Przez ostatnich pięć lat przygotowywał pewną operację o światowym zasięgu. Organizował jej elementy w różnych krajach, jak ogniwa łańcucha, aż ten łańcuch zaprowadził go tutaj.

– Pozwól, że zgadnę... to dopiero przedostatnie ogniwo tego łańcucha, co? Dlatego właśnie tu jesteś.

Devereaux uśmiechnął się jeszcze szerzej. Zwrócił się do Fergusona. – Wiesz, Jock, miałeś rację. To faktycznie łebski facet. – I znowu do mnie. – Taa. Twoja rodzina pochodzi stąd, prawda? Masz szkockie korzenie?

– To prawda. Rodzice wyruszyli stąd kiedyś w świat. Z glasgowskiego portu.

– Taa... Wraz z setkami tysięcy, milionami innych. Rosjanie, Żydzi, Niemcy, Polacy... wszyscy przewinęli się właśnie przez

ten port, tak samo jak rodowici Szkoci, którzy wyemigrowali do Kanady i do USA. To jeden z wielkich punktów tranzytowych, Lennox, jak Marsylia, Neapol albo Rotterdam. I to nie tylko dla ludzi. Largo ma coś, co chce przerzucić do Stanów, a ludzie w Nowym Jorku już na to czekają. Ludzie dysponujący infrastrukturą pozwalającą do maksimum wykorzystać ofertę handlową Largo.

Sączyłem whisky, kiwając głową. – Niech zgadnę – ci ludzie nie wyemigrowali do USA z Glasgow, raczej z Palermo albo z Neapolu.

– Jak mówiłem, łebski z ciebie gość, Lennox. Mam nadzieję, że na tyle łebski, aby zobaczyć szerszą perspektywę. A to naprawdę bardzo szeroka perspektywa.

– A skąd mam wiedzieć, czy nie zostałeś tu przysłany właśnie przez tych koneserów spaghetti z Ameryki? – rzuciłem.

Devereaux parsknął śmiechem, który niezbyt mi się spodobał. – Detektyw Ferguson może za mnie poręczyć. A jeśli to ci nie wystarcza, możesz zadzwonić do nadinspektora McNaba. Glasgowska policja daje mi duże wsparcie.

– To bardzo wspaniałomyślnie z ich strony – powiedziałem.

Zapadła chwila ciszy bardziej brzemiennej niż dziewczyna z Gorbals po weekendzie w Largs.

– Okej... No więc tak – westchnąłem, przybierając ton głosu i pokrywając lico miną pod tytułem „no dobra, macie mnie, powiem, co wiem”. – Mój klient to osoba publiczna. Jak już wyjaśniałem Jockowi, prowadzę dochodzenie w sprawie zaginięcia. A zginął ktoś z rodziny mojego klienta. Najbliższej rodziny. I akurat kiedy robię wizję lokalną w mieszkaniu tej osoby, zjawia się tam Paul Costello i otwiera sobie drzwi kluczem. W pierwszym odruchu założył, że jestem gliniarzem. Gdy wyjaśniłem, że nie jestem, zadał mi kluczowe pytanie: czy przysłał mnie Largo. Wdaliśmy się w nieco ożywioną dyskusję. Pytam go, kim jest Largo, a on na to, że to ktoś, komu jest winien pieniądze. I tyle. Po kilku dniach wezwał mnie ojczulek Costello – relacjonuję mu wszystko to, co przed chwilą usłyszeliście, po czym on mówi mi, że Paul zginął.

– Tak jak krewny twojego klienta? – Jock Ferguson wreszcie upił nieco swojej whisky.

– Tak, ale to nie znaczy, że te zaginięcia mają ze sobą jakiś związek.

– A co z tym Bobbym Kirkcaldym? – spytał Devereaux. – Wiem od Jocka, że zaangażowany jesteś w jakąś sprawę z udziałem Kirkcaldy’ego i właśnie wypytyując o niego, rzuciłeś hasło Largo.

Machnąłem ręką bagatelizująco.

– Nie... to nie ma żadnego związku. Po prostu rozmawiając z Jockiem, przyszło mi do głowy, aby spytać go, czy słyszał o Largo. Nawiasem mówiąc, rozpytywałem o niego po mieście, ale nikt nic nie wie.

– Nic dziwnego – odparł Devereaux. – Mówiłem ci, że Largo to zupełnie inna bajka.

– Zastanawiam się, czy przypadkiem nie rozmawiamy o dwóch zupełnie różnych Largo. Przecież zanim Jock o nim nie wspomniał, nie znałem nawet jego imienia. Może to wcale nie John Largo, a ktoś inny.

– Możliwe – odparł Devereaux. – Wiemy jednak na sto procent, że on jest obecnie w Glasgow, a twoja o nim wzmianka to jedyny trop, jaki pojawił się od szeregu miesięcy.

– Ech, Lennox, na miły Bóg... – Ferguson nagle dał wyraz swojej frustracji. – Powiedz nam po prostu, kto jest twoim klientem. Wystarczy przecież, że zajdziemy na pogawędkę do Jimmy’ego Costello, a on wszystko nam wyśpiewa.

– W takim razie będziecie musieli się tego dowiedzieć od niego, a nie ode mnie. Poza tym nie byłbym wcale taki pewny, czy Costello to wiarygodne źródło informacji. – Westchnąłem. – Słuchajcie, powiedziałem wam wszystko, co mogłem i już naprawdę niewiele jest do dodania. Więc może dajmy spokój tym podchodom i powiedzcie mi, co wy wiecie o Largo i jego działalności, a ja wam powiem, czy moim zdaniem może to mieć coś wspólnego z prowadzonymi przeze mnie sprawami.

Devereaux wstał i włożył słomkowy kapelusz na swoje idealnie równe rzyśko.

– Może tak zrobimy. Dzięki, że poświęciłeś nam nieco czasu, Lennox. Następnym razem to ja stawiam – powiedział z tym swoim nieodłącznym dobrodusznym uśmiechem. Może dlatego nie potrafiłem dojść, dlaczego zabrzmiało to w moich uszach jak groźba.

Dziesięć minut po ich wyjściu znów rozległo się pukanie do drzwi. Otworzywszy je, zobaczyłem postać Fiony White. Miała na sobie bladoróżową szmizjerkę z krótkimi rękawami, a na twarzy wyraz dezaprobaty. Był to zestaw, do którego zdążyłem przywyknąć.

– Proszę, pani White, niech pani wejdzie... – zaprosiłem ją do środka, wiedząc, że i tak nie skorzysta. Nigdy nie wchodziła. Z jej bladzielonych oczu bił chłód, ale zauważyłem, że przed przyjściem na górę uszmiłkowała usta.

– Panie Lennox, już panu mówiłam, co myślę o nawiedzaniu tego domu przez policję. Po pana poprzednim aresztowaniu...

Podnosząc do góry dłoń, powstrzymałem lawinę słów, która za chwilę niechybnie by mnie pochłonęła.

– Niech pani posłucha, pani White, ma pani rację, że jeden z tych dzentelmenów jest policjantem. Ale ten drugi był Amerykaninem. Działa w tej samej branży co ja. – Zamilkłem na chwilę, aby zapadł jej w pamięć ten doniosły fakt, że działałam na arenie międzynarodowej. Zajrzałem jej w oczy: jeśli zapadł, to tak głęboko, że nie zostawił po sobie żadnego śladu. – Nie przyszli tu po to, aby mnie aresztować czy przesłuchiwać, pani White. Przyszli jako koledzy po fachu, aby zasięgnąć mojej opinii w pewnej sprawie. A jeśli chodzi o ten ostatni incydent... Myślałem, że już to sobie wyjaśniliśmy. To było zwykłe nieporozumienie. Do wyjaśnienia którego sama się pani zresztą przyczyniła.

Spojrzała na mnie oziębłe. Miałem naprawdę wielką ochotę, żeby ją jakoś rozgrzać, znaleźć jakiś ostatni, nikły ognik jej kobiecego potencjału i rozniecić go, by rozgorzał pełnym blaskiem. I ona chyba mnie przejrzała.

– W każdym razie byłabym zobowiązana, gdyby zechciał pan nie załatwiać swoich spraw zawodowych w tym domu.

– Detektyw inspektor Ferguson jest moim przyjacielem, pani White. Jego wizyty mają charakter w tym samym stopniu towarzyski, co zawodowy. Zresztą, jak pewnie zdążyła pani zauważyć, w ogóle nie mam zwyczaju przyjmować tutaj gości. – Była to prawda. Nigdy nie sprowadzałem tu kobiet i zawsze starałem się, aby to miejsce pozostało enklawą pośród wszystkich moich życiowych zakrętów, pewnego rodzaju schronieniem. Westchnąłem. – Proszę, pani White, niech pani wejdzie i usiądzie. Chciałbym z panią o czymś porozmawiać.

– Ach, tak? – Surowy chłód w oczach kobiety pogłębił się.

Doprawiłem swój uśmiech szczyptą zniecierpliwienia i wskazałem gestem sofę. Fiona White przemaszerowała obok mnie z demonstracyjną niechęcią. Nie zajęła miejsca na sofie, tylko przycupnęła w spiętej pozie na brzegu fotela, jakby gotowa w każdej chwili się z niego zerwać.

– O czym chce pan ze mną porozmawiać?

– Mieszkam u pani już dwa lata, pani White, i zawsze płaciłem czynsz regularnie i bez poślizgów. Włącznie z tymi sześcioma miesiącami w zeszłym roku, kiedy nie było mnie w kraju. Nie hałasuję, nie upijam się i nie wyśpiewuję irlandzkich ballad do wczesnych godzin rannych, nie sprowadzam tu też młodych dam, aby pokazać im swoją kolekcję znaczków. W sumie uważam się za dość wzorowego lokatora.

Fiona White patrzyła na mnie w milczeniu z wyzywającym chłodem na twarzy. Trudno było to uznać za potwierdzenie z jej strony moich walorów jako najemcy.

– Podskórnice czuję, że pani wciąż ma jakieś obiekcje względem mnie – ciągnąłem dalej. – Że żałuje pani, iż zgodziła się wynająć mi mieszkanie. Jeśli rzeczywiście tak jest, pani White, proszę mi to teraz powiedzieć, a uznam to za wymówienie.

– Decyzja, czy pan zostanie, czy się wyprowadzi, należy wyłącznie do pana, panie Lennox – odparła z odrobiną ognia

przebijającą się przez dotychczasowy chłód. – Naprawdę nie mam pojęcia, czego pan ode mnie oczekuje. Brzmi to raczej tak, jakby to pan miał do mnie zastrzeżenia jako do właścicielki. Jeśli mój sposób bycia pana razi, to przepraszam. Ma pan oczywiście pełne prawo się wyprowadzić.

– Wcale nie chcę się wyprowadzać, pani White. Ale proszę zrozumieć, chcę mieć możliwość przyjmowania od czasu do czasu gości, a także poczucie, że nie nadużywam zbytnio pani uprzejmości, gdy raz na jakiś czas odbierze pani dla mnie wiadomość telefoniczną. Wiem, że najlepiej byłoby dla pani nie dzielić swojego domu z kimś obcym i nie przyjmować lokatora. No ale jest, jak jest, a ja mieszkam tutaj. Gdyby mnie tu nie było, zapewne miałyby pani jakiegoś innego najemcę. Nie ponoszę winy za okoliczności, które sprawiły, że zaczęła pani to mieszkanie wynajmować. – Wstałem i podszedłem do kredensu. Wziąłem tę samą, co poprzednio, butelkę whisky i nalałem sobie szklaneczkę. Ze stojącej obok butelki nalałem pani White sherry Walnut Brown marki Williams i Humbert i bez pytania wsunąłem jej szklanekę w dłoń. Przez chwilę jakby chciała odmówić, ale wzięła ją bez słowa.

– Jeśli chce pan zostać, niech pan zostanie – powiedziała. – Proszę jednak nie oczekiwać ode mnie medalu za to, że wywiązuje się pan po prostu ze swoich zobowiązań jako lokator.

Wypiła łyk sherry. Może to tylko gra mojej wyobraźni, ale miałem wrażenie, że napięcie nieco z niej opadło.

– Podoba mi się tu – powiedziałem. – Już to pani mówiłem. Chętnie też zawsze robię, co tylko mogę, dla dziewczynek. – Miałem na myśli córki Fiony White.

– Nie potrzebujemy jałmużny, panie Lennox. Niczego od pana nie potrzebujemy. – Odwilż okazała się krótka i myląca. Odstawiła na stół szklaneczkę z sherry i podniosła się gwałtownie. – Jeśli to już wszystko, panie Lennox, to będę wracała do dziewcząt.

– Co panią tak we mnie razi, pani White? – powiedziałem. – Czy to, że jestem Kanadyjczykiem? To, czym się zajmuję? A może po prostu to, że w ogóle tu jestem?

To była ta kropla, która przepelniła czarę. Po okresie chłodu nastąpiła prawdziwa epoka lodowcowa.

– Co to ma niby znaczyć?

– Jest dla pani solą w oku to, że tu jestem. Że wróciłem. Że w przeciwieństwie do pani męża przeżyłem. Czasem mam wrażenie, że mnie pani nie znosi, bo uosabiam wszystkich tych, którzy przeżyli tę wojnę.

Odwróciła się na pięcie i skierowała ku drzwiom. Podeszedłem i położyłem dłoń na klamce. Chciałem otworzyć jej drzwi, ale najwyraźniej źle odczytała moje intencje, bo szarpnęła mnie za rękę. Poczułem na nadgarstku mocny uścisk jej ciepłych, smukłych palców. Była tuż przy mnie, w odległości zaledwie kilkunastu centymetrów. Czulem jej przepojony sherry oddech. I aromat lawendy wokół szyi. Oboje na chwilę zastygliśmy, patrząc sobie w oczy. Ona ciężko oddychała. Ja wstrzymałem oddech. Po chwili, która zdawała się trwać całą wieczność, pani White szarpnięciem otworzyła drzwi, wypadła z pokoju i zbiegła po schodach.

– Dobranoc, panie Lennox – rzuciła po drodze drżącym głosem.

– Pani White... Fiono...

Dotarła na parter i nawet się nie obejrzawszy, z impetem zatrzaskała za sobą drzwi swojego mieszkania.

Wróciłem do siebie i nalałem sobie jeszcze jedną whisky, chyba po to, żeby wypić za swój zmysł dyplomatyczny oraz za poprzedni raz, kiedy znalazłem się w sytuacji o równie mocnym ładunku erotyzmu. Ciekawe, co działo się obecnie z Maisie MacKendrie, z którą tańczyłem na wieczorku zorganizowanym przez kościół prezbiteriański w Saint John, kiedy oboje mieliśmy piętnaście lat.

Nie tylko takie myśli zaprzętały mi jednak głowę. Sączyłem w zadumie whisky, a tematów do rozmyślań miałem w bród.

Jednym z nich był Dex Devereaux. I to, jak niezwykle chętnie zaofiarowała mu współpracę glasgowska policja. Można by wręcz rzec: służalczo.

IX

Są ludzie, którzy rozkoszują się nieprzewidywalnością życia – tym, że nigdy tak naprawdę nie wiadomo, co nas czeka za następnym rogiem ulicy. Witamy nowy dzień i przystępujemy do codziennych czynności całkowicie, błogo nieświadomi, ile spraw może się przez najbliższą dobę pokomplikować. Kiedy następnego ranka się obudziłem, umyłem i ogoliłem, nie miałem tak naprawdę czasu na snucie rozważań – nie zastanawiałem się, co aż tak poważnego dzieje się w Glasgow, że wymaga to interwencji zza oceanu. Rozwój wypadków sam niejako skierował moją uwagę ku innym sprawom.

Najnowsze wieści dotarły do mnie tą samą drogą, co do całej reszty glasgowczyków – za pośrednictwem nagłówka w „Glasgow Herald”.

ARESztOWANO PODEJRZANEGO O ZAMORDOWANIE GLASGOWSKIEGO BUKMACHERA

Gazetę kupiłem po drodze do biura i aby ją przeczytać, jak zwykle zatrzymałem się na kawę w kafejce przy ulicy Argyle. Artykuł pod nagłówkiem wyjaśniał, że niejaki Tommy „Pistolet” Furie, podrzędny bokser, został zaaresztowany za zamordowanie Jamesa MacFarlane’a, znanego glasgowskiego bukmachera, podejrzanego o powiązania z glasgowskim światem przestępczym. Czytając dalej, dowiedziałem się, że Furie należał do grupy tinkersów biwakujących na Vinegarhill. Domyśliłem się, że „podrzędny bokser” to po prostu bokser walczący na gołe pięści i przypomniałem sobie budujące widowisko, jakiego byłem świadkiem w zakonspirowanej oborze Sneddona.

Furie, jak wynikało z treści artykułu, był irlandzkim

tinkersem. Czyli pajkiem, jak określiliby go Sneddon. Z racji pochodzenia Furie miał niewątpliwie spore szanse na uczciwy proces. Mniej więcej takie same, jak moje na to, aby Marilyn Monroe puściła kantem Joe DiMaggio i przyjechała do Glasgow, aby nurzać się ze mną w grzechu. Glasgowska dochodzeniówka wyjawiała reporterowi, że choć podejrzany współpracuje ze śledczymi, będą oni badać wszystkie inne pojawiające się w śledztwie tropy. Gdy to czytałem, przez głowę przemknął mi obraz Marilyn piorającej moją bieliznę w glasgowskiej czynszówce.

Tyle na ten temat.

Zastanawiałem się, jaka była reakcja Lorny na te wiadomości i czy policja postąpiła na tyle rozsądnie, aby skontaktować się z nią, zanim przeczyta je w gazecie. Dopilem kawę i poszedłem do biura. Pogoda w Glasgow unormowała się i ze stalowoszarego nieba znowu siąpiła tłustawa mżawka. Z biura zadzwoniłem do Lorny, ale nikt nie odebrał. Postanowiłem podjechać do niej wieczorem, bo nie widzieliśmy się już od kilku dni. Telefonowałem wprawdzie codziennie, ale przy każdej rozmowie spotykałem się z coraz chłodniejszym odbiorem. Źle czułem się z tym, że nie bywam tam częściej, ale ostatnie wydarzenia sprawiły, że w ogóle nie miałem do tego głowy. Poza tym nadal nie mogłem jej dać tego, czego ode mnie potrzebowała.

Teraz, kiedy przestała mnie zaprzętać sprawa morderstwa Bilona, postanowiłem nie drażyć już kwestii, jakie interesy łączyły go z Bobbym Kirkcaldym. Najważniejszym zadaniem stało się odszukanie tych gnoi, którzy starali się wytrącić z równowagi Kirkcaldy'ego przed walką. Wiedziałem, że nie jest to nikt z ekipy Schmidtkiego, bo mieli zjawić się w Szkocji dopiero pod koniec tygodnia. Nie znaczyło to oczywiście, że nie mogli zaangażować do tego kogoś z miejscowych macherów, ale jakoś nie wydawało mi się to prawdopodobne. Stawiałem raczej na kogoś, kto mógłby sporo zarobić na przegranej Kirkcaldy'ego. Resztę dnia spędziłem na obchodzie glasgowskich kantorów bukmacherskich. Tura po publicznych

toaletach Kalkuty byłyby bardziej pouczającym doświadczeniem.

Pora obiadowa zastała mnie na East Endzie, więc wstąpiłem do nieznaney mi wcześniej kafejki. Lokal najwyraźniej specjalizował się w lepkości, bo bekon, kiełbasa i grzanka, które mi podano, okazały się wypami na morzu tłuszczu. Postanowiłem nie zadawać gwałtu swoim jelitom i zrezygnowany wypilem tylko kawę. Potem znalazłem jakąś budkę telefoniczną i nakarmiłem ją garścią miedziaków.

Ponownie wykręciłem numer Lorny, ale i tym razem bez powodzenia. Na półce leżała książka telefoniczna. Przekartkowałem ją, żeby wyszukać numery hoteli w pobliżu placu St. Andrew's, w których ceny pokoi wydawały się jeszcze w zasięgu glasgowskiej policji. Wytypowałem trzy takowe. Za każdym razem pytałem o pana Dextera Devereaux ze stanu Vermont w USA. Do trzech razy sztuka. Zadzwoiłem do hoteli Central i St. Enoch Station, ale powiedziano mi, że nie zatrzymał się tam żaden Amerykanin o nazwisku Devereaux. Okazało się, że trzeba było przyjąć kolejność alfabetyczną, bo namierzyłem go wreszcie w hotelu Alpha przy ulicy Buchanan. Na recepcji powiedziano mi, że pan Devereaux wyszedł w interesach i przypuszczalnie wróci dopiero wieczorem. Nie zostawiłem żadnej wiadomości, tylko przerwałem połączenie, naciskając błyszczący metalowy przycisk na aparacie. Przy okazji wykręciłem numer do glasgowskiego mieszkania Sheili Gainsborough. Znowu bez powodzenia.

Większe szczęście miałem przy następnym abonencie, jeśli konieczność rozmowy z Williem Sneddonem można nazwać szczęściem.

– Czytał pan dzisiejszą gazetę? – spytałem.

– Czytałem – odparł Sneddon beznamiętnie. – Pieprzeni pajkowie. Nie można skurwieli nawet na chwilę spuścić z oka.

– Tommy „Pistolet” Furie... Z tego, co o nim pisali, wynikałoby, że to zawodnik walczący na gołe pięści. Natknął się pan może na niego?

– Nie... Nic mi o tym nie wiadomo. Może. Żadnych nazwisk,

pełna dyskrecja i tak dalej. Nie podbijam im, kurwa, książeczek zdrowia. Tak czy inaczej, to ma gównie wspólnego ze sprawą, która nas interesuje. A co z Bobbym Kirkcaldym? Masz coś?

Podelektowałem się chwilę bogactwem angielszczyzny, jakiego doświadczyć można było chyba tylko w macierzy.

– Nie. Spędziłem cały dzień na kręceniu się po kantorach bukmacherskich i niuchaniu, kto postawił na jego przegraną.

– Ktoś ci, kurwa, mówi takie rzeczy?

– Mówiłem, że pracuję dla pana, ale na próżno... na próżno... nikt jakoś nie słyszał o żadnych dużych zakładach.

– Co gównie znaczy – odparł Sneddon. – Takich poważnych zakładów nikt nie robi w pierwszym lepszym kantorze. Pogadaj z Tony Polakiem.

– Grabowskim? – upewniłem się, ale jakiś głos w słuchawce poinformował mnie, że powinienem wrzucić do automatu więcej monet. Było to przypomnienie, aby uważać na to, co się mówi z ulicznego automatu telefonicznego. Wrzuciłem dwie mosiężne trzypensówki i nacisnąłem guzik wznawiający rozmowę.

– Grabowskim? – spytałem jeszcze raz. – Myślałem, że Tony już nie działa w branży hazardowej ani jako kasiarz.

– Nie całkiem... To, kurwa, prawda, że stać go już na przyzwoitą emeryturę, ale jeszcze od czasu do czasu przyjmuje zakłady. Jeśli ktoś na mieście obnosił się z jakimś dużym zakładem, to Tony Polak na pewno o tym wie.

– Sprawdzę to. Mogę jeszcze potrzymać Pedikiurka do obserwacji domu Kirkcaldy'ego? Mój człowiek obstawia wieczory.

– Chyba tak. To wszystko?

– Jeszcze jedna sprawa... – Nie byłem wcześniej pewien, czy wtajemniczę Snedдона w moje podejrzenia, ale w końcu był moim klientem i miał prawo wiedzieć, co mi chodzi po głowie.

– No?

– To może nieistotne, ale kto wie... Pamięta pan, jak pytałem, czy zna pan kogoś o nazwisku Largo?

– No tak, i co?

– Otóż spytałem o Johna Largo o jedną osobę za dużo i wczoraj wieczorem odwiedził mnie w domu zaprzyjaźniony gliniarz. Nie przyszedł sam. Przeprowadził jakiegoś jankesa, który twierdził, że jest prywatnym detektywem z Vermontu.

– I?

– Jeśli on jest prywatnym detektywem, to ja jestem Grace Kelly. Wygląda na to, że wodzi na pasku całą glasgowską policję.

– Jaki to ma związek ze mną?

– Nie wiem. Może to nie ma z kimkolwiek związku, ale oznacza po pierwsze, że w mieście działają jakieś poważne amerykańskie organy ścigania, a po drugie, że ten John Largo to jakaś naprawdę gruba ryba. A Glasgow to nieduży staw. Pana staw.

– Rozumiem, do czego zmierzasz. Popytam o to. Mówiłeś już o tym Cohenowi i Murphy’emu?

– Nie, ale zamierzam to zrobić. No i nie rozpytywałbym zbyt głośno. Tak właśnie trafił do mnie Eliot Ness.

Po zakończeniu rozmowy ze Sneddonem opuściłem East End i przekraczając rzekę, pojechałem na południe w kierunku Cathcart i Newton Mearns.

Wiele rzeczy w Glasgow i w Szkocji mnie drażniło, ale sporo mi się też u Szkotów podobało. Jedną z ich najbardziej ujmujących cech był akceptujący stosunek do różnych odcieni szkockości. Tak jak można było o sobie powiedzieć „irlandzki Amerykanin”, tak w Szkocji można było mieć obce korzenie, a jednocześnie być traktowanym jak rodowity Szkot. Byli więc włoscy Szkoci, byli żydowscy Szkoci, którzy przyczynili się do powstania unikalnego zjawiska kulturowego, jakim była bar micwa cèilidh¹⁵, podczas której obowiązkowymi elementami stroju były jarmułki i kilty, a po wojnie pojawiła się jeszcze

¹⁵ Cèilidh – tradycyjne spotkanie towarzyskie w kulturze celtyckiej, kultywowane przede wszystkim w społecznościach irlandzkich i szkockich na świecie.

jedna społeczność: polscy Szkoci.

Tony „Polak” Grabowski był jednym z tysięcy polskich żołnierzy, którzy walczyli ramię w ramię z żołnierzami brytyjskimi – na lądzie lub w brytyjskich przestworzach. Wielu z nich zginęło w obronie wyspy, na której spędzili zaledwie kilka miesięcy. Ogromna większość Polskich Sił Zbrojnych w Wielkiej Brytanii stacjonowała w Szkocji. Miałem słabość do Polaków, bo polska Pierwsza Dywizja Pancerna weszła w pewnym momencie w skład Pierwszej Armii Kanadyjskiej i widziałem ich w akcji. Uznałem wtedy, że mam wielkie szczęście, walcząc wraz z nimi po tej samej stronie barykady.

Po wojnie, jak wielu jego rodaków, Tony Polak uznał, że bardziej odpowiada mu układ po tej stronie żelaznej kurtyny i stał się cudzoziemcem z prawem stałego pobytu, a potem naturalizowanym obywatelem brytyjskim. Ożenił się ze Szkotką i osiedlił w Polmadie, południowej dzielnicy Glasgow. Już sama nazwa Polmadie dawała pojęcie o malowniczości dzielnicy, składającej się z plataniny uliczek wijących się między czynszówkami i komunalnymi bliźniakami z lat trzydziestych. Choć trzeba było przyznać, że w porównaniu z takimi nazwami dzielnic jak Auchenshuggle i Roughmussel nazwa Polmadie brzmiała niemal lirycznie. Poza tym w porównaniu ze slumsami dzielnicy Gorbals tutejsze bliźniaki były niemal pałacami.

Oficjalnie Tony Polak prowadził zieleniak. Będąc Polakiem, nie mógł przypuszczać, że owoce i warzywa zawsze zajmują na glasgowskich listach zakupów ostatnie miejsca, chyba że zostały usmażone lub się do smażenia nadawały. Może dlatego Tony zajmował się warzywniakiem za dnia, a prawdziwą kasę trzepał nocą. Był kiedyś bez wątplenia najlepszym kasiarzem w Szkocji. Nie było takiego sejfu, do którego by nie dał rady się włamać. Fach kasiarza był jednak niebezpieczny. Zawsze istniało ryzyko postawienia stopy nie tam, gdzie trzeba, poślizgnięcia się na rynnie, upadku. Albo trafienia na niesłyszalny system alarmowy, nocnego stróża lub bezszelestnie poruszającego się policjanta na rewirze. Dlatego

Tony, gdy już zaoszczędził tyle, aby zapewnić rodzinie stabilność finansową i póki go jeszcze nie zapuszkowali, zrezygnował z kariery rabusia, decydując się na mało ekscytujące towarzystwo podwędłych główek kapusty i pomarszczonych pomidorów. Od czasu do czasu organizował jednak jakąś partyjkę karcianą albo przyjmował zakłady na co lepsze wydarzenie sportowe, żeby uzupełnić dochody ze sprzedaży groszku i kiełków.

Odnalazłem Tony'ego Polaka za ladą warzywniaka na ulicy Cathcart. Był niskim, przysadzystym mężczyzną o szerokiej polskiej twarzy i wyraźnym polskim akcencie. Zaczynał łysieć i golił codziennie resztki porastających mu jeszcze głowę włosów. Po jego ciemniejących zakolach domyśliłem się, że jest późniejsza pora, niż sądziłem.

– Cześć, Tony... co powiesz, co słysząc?

Tony roześmiał się z kwestii filmowej. A właściwie zachichotał, co w zestawieniu z jego krępą, mocną sylwetką dawało dość nieoczekiwany efekt. Był wielbicielem Jamesa Cagneya i podczas naszego pierwszego spotkania urzekł go mój „amerykański” akcent. Od tamtej pory przy każdym spotkaniu witałem go słowami wypowiedzianymi przez Rocky'ego Sullivana w filmie *Aniołowie o brudnych twarzach*. Kiedyś zaryzykowałem jakąś kwestię Bogarta ze *Skarbu Sierra Madre*, ale zgasił mnie pełnym dezaprobaty spojrzeniem.

– Zie małż, Lenogz. Zo powieź? Zo złychać? Kope lad, zomziedzie... – Dowcip polegał na tym, że Tony nie zdawał sobie sprawy, iż jego szkocka wymowa w połączeniu z wyraźnym polskim akcentem już sama w sobie dawała komiczny efekt. Każdy, kto uczy się obcego języka, podchwytuje na ogół akcent rejonu, w którym przebywa. Jeśli chodzi o naukę języka angielskiego, Tony był w sferze oddziaływania lingwistycznego odpowiednika promieniowania gamma: glasgowskiej odmiany angielskiego. Potrafił już zagadywać i żartować jak rodowity glasgowczyk, ale przekręcał spółgłoski w niemal każdym wypowiedzianym przez siebie słowie. Trzeba się było niezłe wysilić, żeby zrozumieć, co ma na myśli, choć

jednocześnie było to nieraz tak komiczne, że za każdym razem, gdy go słuchałem, pękałem ze śmiechu. Nigdy jednak nie dałem tego po sobie poznać.

– Cześć, Tony. Jak idzie interes?

– Jag zwygłe. Nie moqe narzegadź... i dag by do niz nie dało... – odparł Tony, jak zwykle wywołując u mnie skojarzenia z Willem Fyffe¹⁶ i Akimem Tamiroffem¹⁷, a nawet Belą Lugosim¹⁸. – Zo zie dzieje?

– Potrzebne mi są pewne informacje.

– Do drawiież we władziwe miejzce... na zwoich zebulach do zie znam. – Zachichotał jak dziewczynka i szerokim gestem wskazał wyłożony na ladzie towar.

Przerwała nam drobna kobiecina w chustce na głowie, fartuchu i wyblakłych kapciach w szkocką kratę. Była w nieokreślonym wieku, gdzieś między trzydziestką a osiemdziesiątką. Glasgowczycy zazwyczaj pomijali wiek średni, wybierając drogę na skróty od młodości do zniedołężnienia. Kobieta złożyła zamówienie i Tony szybkim teatralnym gestem otworzył papierową torbę, jak to potrafią chyba tylko sprzedawcy w warzywniakach i prestidigitatorzy. Wrzucił do niej kilka cebul i tym samym gestem iluzjonisty zakręcił nią wkoło, uśmiechając się promiennie.

– Bardzo broże, złodko... – Wręczył zamkniętą torbę klientce w kapciach, która szurając nogami, opuściła sklepik.

– A jague inwormadzje? – spytał, gdy zostaliśmy sami.

– To bardzo poufna sprawa, Tony. Tylko między nami... Nikt się nie dowie, że byłeś moim informatorem. Chciałem się tylko dowiedzieć, czy ktoś próbował może postawić jakieś większe pieniądze na walkę Bobby’ego Kirkcaldy’ego z Janem Schmidtke. Mam na myśli naprawdę poważne zakłady. – Liczyłem na dobrą wolę Tony’ego. Nie wchodziła tu w grę żadna łapówka ani groźba, a zawsze było łatwiej, gdy

16 Will Fyffe (1985–1947) – popularny szkocki pieśniarz, komik i aktor.

17 Akim Tamiroff (1899–1972) – aktor amerykański armeńskiego pochodzenia.

18 Bela Lugosi (1982–1956) – aktor amerykański pochodzenia węgierskiego, najbardziej znany z roli wampira Draculi.

informator był ubogi albo zastraszony.

– No dag, gurwa, jag zwygle... „Między nami”, gurza duba... Założe zie, że bradzujęż dla gdóregoż z Drzech gurwa Grólów. Gdo zie du brzyżał – Wili Zneddun? – powiedział Tony. Przypominało to rozmowę z hrabią MacCulą.

Zignorowałem jego pytanie. – To nieważne, Tony. Czy ktoś próbował obstawić przegraną Bobby’ego Kirkcaldy’ego?

– Nie. Zoś bym o dym wiedział. Muziałbym w do zaangażowadź gilgu wiengrzych chłobzów... – Zmarszczył czoło, wskrzeszając w ten sposób widmo linii włosów. – Chodź nie... zoś było. Dwóch gówniarzy... Byli w Żabli Zarazena... gdzież drzy dygodnie demu. Zgrywali wielgich chojragów...

Znałem pub Szabla Saracena, o którym wspomniał Tony. Traktował go jako swoje nieformalne biuro, tak jak ja traktowałem pub Pod Końskim Łbem.

– I chcieli coś obstawić?

– Nie... nie załkiem. Chodziło im dylgo o do, żeby zie dowiedziedź, jag do bendzie działadź. Dwóch bendagów, jag mówiłem, zgrywajądzych wielgich chojragów. Miałem wrażenie, że nie mieli gazy, żeby obzdawidź wyzogo, ale mieli jagież widogi, żeby ją zdobydź.

– Skąd? – spytałem, jedynie ogromnym wysiłkiem woli powstrzymując impuls, aby zamienić „sk” na „zg”.

– Nie mam, gurwa, bojendzia, Lenogz. Zdaje mi zie, że dylko dag biebryyli drzy bo drzy. Łabierz?

– Ale mówili o obstawieniu *przegranej* Bobby’ego Kirkcaldy’ego?

– Nie... Dego nie bowiedziałem. Nie mówili, jag chzą obzdawiadź. Chdzieli dylko wiedziedź, gdo by brzyjął dagi duży zagład. Brawde mówiądź, niezbyd uważnie ich złuchałem. Jag mówie, do dylgo dwaj zmargadźe biebrazdzy głubody.

– I co im powiedziałeś?

– Że do ja bym brzymował dagi zagład. W borozumieniu z wiengrzymi chłopzami. Ja albo Bilon MagWarlane. Ale do było zanim Bilonowi rozbili wadzjadę.

– Bilon MacFarlane? – Poczujęm lekki dreszcz na karku.

– Jazne... normalnie wyzłałbym ich do Bilona. Ale deraz Bilon brzymuje chyba dylgo zagłady, gdo nazdembny dozdanie w biegle w dyłek widłami... – Tym razem Tony nieco stonował swój chichot.

– Czy policja była u ciebie od czasu tego morderstwa?

– Bolizja? Niee... nie zawradzają zobie mną głowy. Brzedzier nigdy nie byłem nodowany. Nie mają za bardzo bojedzia, zo giedyż wywijałem. Boza dym wrzyzdzy wiedzą, że deraz już jezdem grzedzny.

– A ci dwaj drobni kombinatorzy... wiesz, kim byli? Rozpoznałeś ich?

– Nie. Dwóch, gurwa, rzbanerów, moim zdaniem. Niezbyd uważnie ich złuchałem, łabierz?

– Okej, dzięki, Tony. – Uścisnąłem mu dłoń i zacząłem zmierzać do wyjścia, ale coś mi przyszło jeszcze do głowy i odwróciłem się ponownie do niskiego, uśmiechniętego Polaka.

– A co wiesz o Jacku Collinsie? Był współnikiem Bilona w kilku przedsięwzięciach.

– Daa... A wierz, że on był też zynem MagWarlane'a? Niezłubnym zynem. Bilon i Mama Gollinz zabawiali zie giedyż w chowanie giełbazy, jag zwygliżmy mawiadż w graju.

– Czy ludzie generalnie o tym wiedzieli?

– O, daag... Wrzyzdzy o dym wiedzieli. Ale zam nie miałem, gurwa, nigdy do dzynienia z młodym Gollinzem.

– Jeszcze jedno. Bobby Kirkcaldy ma takiego niby opiekuna. To podobno jego wujek...

– A, daa... Dobrze znam dego zdarego *skurwysyna*.

– *Skurwysyna*, powiadasz? – spytałem. Musiałem się niezłe napocić, żeby rozszyfrować wrocławsko-glasgowską nawijkę Tony'ego, ale teraz już się zgubiłem.

– Daa... *skurwysyna*. Do bo bolzgu brzydgie złowo. Zaraz, jag do jezd bo angielzgu? Baland... nie. Do nie dag. Może dubeg... Albo gudaz? Nie, do deż nie do. Zuginzyn...

– Dobra, już złapałem, Tony... – Podniosłem ręce w uspokajającym geście. – Co o nim wiesz?

– Dylgo dyle, że do niezły zgurdżybyg. Giedyż bił zie na gołe

bienździ, bodem uzdawiał walgi, zazdrarzał bo brozdu zawodnigów. Niezły zgurdzybyg, bez dwóch zdań. Ale nie ma mowy, żeby był zamierzany w uzdawianie walgi Girgaldy'ego. A w gażdym razie na jego niegorzyźdz. W gońdzu nie zarzyna zie góry znorządzej złode jajga...

– Dzięki, Tony. I do zobaczenia.

– Zo powiez? Zo złychać? Nie, Lenogz?

Zostawiłem promiennie uśmiechniętego Polaka za ladą i wyszedłem. Postępów dużych nie zrobiłem, ale czułem się tak, jakby ktoś już zaczął coś majstrować przy wyłączniku światła w małym, ciemnym pokoiku gdzieś w tyle mojej głowy.

Znowu zadzwoniłem do Lorny z jakiejś budki. I znowu nic. Zacząłem się już poważnie niepokoić i postanowiłem, że kiedy już załatwię wszystko, co na dziś zaplanowałem, pojedę do Pollokshields i sprawdzę, zo zie dzieje, jak ująłby to Tony.

Pojechałem do Partick, zaparkowałem przy Thornwood Drive i podszedłem piechotą do Crathie Court. Było przyjemne, świetliste późne popołudnie i czułem, jak znowu ogarnia mnie jakaś ckliwa melancholia. Schronisko dla młodych kobiet w Crathie Court położone było w pewnej odległości od Thornwood na szczycie niewielkiego pagórka, skąd miałem widok wzdłuż ulicy przypominającej korytarz obstawiony czynszówkami z piaskowca aż do lasu dźwigów portowych na brzegu Clyde. Na ulicach stało tu więcej samochodów, których obecność zaczynała stopniowo zmieniać wygląd dzielnicy. Od sześciu lat słyhać było o planach budowy tunelu pod Clyde, aby ułatwić komunikację między dzielnicami po obu stronach rzeki. Trudno było powiedzieć, na ile mieszkańcy Partick zachwyceni byli perspektywą takiego ułatwienia dostępu do ich dzielnicy tubylcom położonego po drugiej stronie rzeki Govan.

Po dojsćiu do schroniska zapukałem do drzwi biura. Choć trudno w to może uwierzyć, stosowałem się jednak do pewnych żelaznych reguł postępowania, opartych na niewzruszonym kodeksie moralnym. Jedna z nich polegała na tym, że nigdy nie

uderzyłbym kobiety. Matrona, która otworzyła mi drzwi, stanowiła najdobitniejsze jak dotąd potwierdzenie słuszności mojej postawy moralnej. Przymiotnika „zwalista” nie kojarzy się na ogół z kobietą, ale do zarządzającej schroniskiem określenie to pasowało jak ulał – dlatego nigdy nie uderzyłbym kobiety takiej jak ona, z obawy, że może mi oddać. Miała na sobie ciemnoszary kostium z tweedu tak szorstkiego, że nie mogłem oprzeć się wrażeniu, iż któryś z zakonów z pewnością używa go do praktyk pokutnych.

– W czym mogę pomóc? – spytała. Nie odpowiedziałem od razu, zafascynowany jej głębokim barytonem i sposobem, w jaki jej brwi zrastały się u nasady nosa. Wyjaśniłem, że poszukuję Claire Skinner i że moja wizyta ma charakter zawodowy.

– W takim razie będzie pan musiał się z nią spotkać gdzie indziej. Wizyty mężczyzn nie są tu dozwolone.

Tego rodzaju nieugięta, acz oparta na mylnych przesłankach kuratela nad dziewictwem podopiecznych przywodziła na myśl zamknięte na trzy spusty, lecz puste stajnie. Wytoczyłem przeciwko Kudłatej cały arsenał środków, włącznie ze swoim niebagatelny kanadyjskim szarmem. Nic jednak nie wskórałem poza sprowokowaniem pogardliwego, znudzonego uniesienia jednej połowy jej cyklopowej brwi. Ponieważ miałem w zanadru plan B, postanowiłem na razie odpuścić. Wzruszyłem ramionami, jakby osobiście mi to wisiało, a oznaczało tylko spory kłopot dla kogoś innego, i skierowałem się do wyjścia. Nie oponowała. Już widziała tę sztuczkę i tysiące innych.

X

Wróciłem do miasta i zaparkowałem atlantica na ulicy Buchanan w miejscu, z którego miałem dobry widok na główne wejście do hotelu Alpha. Było około szóstej. Nie minęło pół godziny, jak Devereaux wrócił do hotelu. Odwiózł go oznakowany policyjny wolseley. Jeśli faktycznie był prywatnym detektywem i glaskowska policja traktowała go z aż taką kurtuazją, to powinienem chyba zmienić rodzaj używanej wody kolońskiej. Najwidoczniej bowiem robiłem coś nie tak.

Devereaux wysiadł z samochodu i dziarsko wbiegł po schodkach do hotelu. Dałem mu kilka minut na dojście do pokoju, po czym zamknąłem atlantica, przeciąłem ulicę i wszedłem do holu.

Recepcjonista, drobny, ciemnowłosy mężczyzna około czterdziestki, uśmiechnął się do mnie ciepło na powitanie, mimo iż był drobnym recepcjonistą około czterdziestki.

– Czy mogę panu w czymś pomóc? – spytał, nie przestając się uśmiechać.

– Jak najbardziej, kolego. – Uśmiechnąłem się do niego szeroko. Nieco podrasowałem swój akcent. Brytyjczycy na ogół brali mnie za Amerykanina, pod warunkiem, że unikałem dwugłosek. Amerykanie wymawiają dwugłoski płasko, natomiast my, Kanadyjczycy, wymawiamy je, niemal jodłując. Lingwiści nazywają to „kanadyjskim podniesieniem”. Amerykanie po prostu mówią o „kanuckim”¹⁹. – Szukam kolegi – powiedziałem, unikając dwugłosek. – Dexa Devereaux z Vermontu. Jak rozumiem, tu właśnie się zatrzymał.

– Faktycznie, proszę pana. Czy chciałby pan, abym wysłał boya do jego pokoju, żeby go powiadomić o pana przybyciu?

– Chciałbym się najpierw upewnić, że zlokalizowałem

¹⁹ Od „Canuck” – amerykańskiego slangowego określenia Kanadyjczyków.

właściwego Dexa Devereaux. Jeśli to on, rezerwacja powinna była zostać dokonana z Waszyngtonu. Zgadza się?

– Przykro mi, proszę pana, nie wolno mi ujawniać takich informacji. – Uśmiech nie schodził recepcjonście z twarzy.

– Nie ma sprawy – odparłem. – W pełni to rozumiem. – Wyjąłem z portfela trzy jednofuntówki i położyłem na mahoniowym kontuarze recepcji.

– Wydaje mi się, że ma pan rację – powiedział recepcjonista, nie rezygnując z uśmiechu, i banknoty znikły. – Czy mam teraz przekazać wiadomość?

– To nie będzie konieczne – rozległ się głos zza moich pleców. Odwróciłem się i zobaczyłem stojącego za sobą Devereaux. Musiał czekać w holu. – Hej, kanucki Jasiu... Coś ci kiepsko idzie ta inwigilacja – powiedział i stanowczym gestem wziął mnie pod rękę. – Chodźmy na spacer.

Opuściliśmy hotel i Devereaux zasugerował, abyśmy skorzystali z mojego samochodu, niedbale machnąwszy ręką w jego kierunku. Domyśliłem się, że dostrzegł auto albo mnie z tylnego siedzenia wozu policyjnego, który podrzucił go pod hotel.

– Dokąd chcesz jechać? – spytałem.

– W jakieś spokojne miejsce – odparł, nie przestając się uśmiechać. – Gdzie można by pogadać.

Po dziesięciu minutach zaparkowaliśmy pod osłoną drzew przy przecinającej na pół park Kelvingrove ulicy Kelvin Way.

– Ładny dzień na spacer – rzucił Devereaux, wysiadając z samochodu. Też wysiadłem i pozamykałem drzwi kluczem. Devereaux poszedł przodem przez park, w kierunku muzeum i galerii sztuki, aż znaleźliśmy jakąś ocienioną ławkę. Miał na sobie garnitur dokładnie tego samego kroju, co owego wieczoru, kiedy odwiedzili mnie w domu z Jockiem Fergusonem, tylko że tym razem w kolorze niebieskim. Niebieskim o kilka odcieni jaśniejszym od tego, w jakim odważyłby się pokazać jakikolwiek glasgowczyk. Wyobrażałem sobie, że taki kolor byłby do przyjęcia w spiekocie

nowojorskiego lata, ale pośród stonowanych odcieni odzianego w tweedy i serze Glasgow stanowił krawiecki odpowiednik skrzeczącej przez głośniki trąbki jazzowej.

– Więc przyszło ci do głowy sprawdzać, kto zarezerwował mi hotel, tak? – powiedział i położył obok siebie na ławce słomiany kapelusz, odsłaniając nieskazitelną precyzję swojego jeża. Wyjął z kieszeni chusteczkę i otarł nią czoło, po czym z powrotem nałożył kapelusz na głowę.

– To bardzo w stylu Grahama Greene’a – rzuciłem. – Dyskusje w parkach i tego typu sprawy.

– Uznałeś, że w taki właśnie sposób uda ci się dojść, kto mnie tu przysłał? – Devereaux zignorował moją próbę odciążenia jego uwagi. – I kim jest mój zleceniodawca?

– Twój zleceniodawca? – Omal nie parsknąłem śmiechem. – Jeśli masz zleceniodawców, to ich motto brzmi „Fidelity, Bravery, Integrity”²⁰.

Devereaux roześmiał się i przez chwilę taksował mnie wzrokiem. W jego oczach dostrzegłem jakby błysk respektu. A także błysk zainteresowania, z jakim lew przygląda się antylopie.

– Taa, Jock Ferguson miał rację. Kumaty jesteś. Okej, tu mnie masz.

– Więc jak mam się do ciebie zwracać? – spytałem. – Agencje specjalny Devereaux?

– Dex w zupełności wystarczy. Poza tym wszystko, o czym mówiłem podczas naszego poprzedniego spotkania, to prawda.

– Więc co to, do diaska, za gruba ryba z tego Johna Largo, że aż FBI pakuje na łajbę jednego ze swoich najlepszych ludzi i popycha go do Glasgow?

– Tak dla porządku, to nie płynąłem, tylko leciałem. Do Londynu. Stamtąd przyjechałem pociągiem tutaj. A z Johnem Largo to rzeczywiście nie przelewki. Biorąc pod uwagę to, że tak strasznie się mną interesujesz, a do tego masz takie intrygujące powiązania z miejscowymi organami ścigania, uznałem, że byłoby korzystne dla nas obu, abyśmy porozmawiali w cztery

20 „Wierność, męstwo, prawość” – motto FBI.

oczy, bez obecności Jocka Fergusona. – Devereaux wstał z ławki i rozpoczęliśmy spacer po parku.

– Nie ufasz Jockowi? – spytałem.

– Staram się po prostu zachować ostrożność, to wszystko.

– A jednak gotów jesteś zaufać mnie?

Devereaux roześmiał się. – Oto pytanie: czy można ufać człowiekowi, który tak naprawdę nie ufa sam sobie? Powiem ci, Lennox, że frapujący z ciebie typ. Pewnie domyślasz się, że przewertowałem dokładnie całą twoją kartotekę. Teczkę z okresu wojny, teczkę powojenną... Wiem, że zadajesz się z kryminalistami, że sam od czasu do czasu mijasz się z prawem. I orientuję się lepiej, niż mógłbyś się spodziewać, w temacie tych wszystkich zeszłorocznych wydarzeń.

Milczałem. Przypuszczalnie faktycznie wiedział więcej, niżbym chciał. I więcej niż wiedział – a przynajmniej był przekonany, że wie – Jock Ferguson.

– Jak mówię, widziałem twoją kartotekę wojenną. Wiem, jak to było na tej wojnie. Sam służyłem w Pierwszym Batalionie Rangersów. Między innymi właśnie dlatego zgłosiłem się do tego zadania... Znam Szkocję. Szkoliłem się tu z brytyjskimi komandosami przed desantem na plaży Omaha.

Milczałem dalej. Każdy jakoś tę wojnę przeżył.

– Wiem także o... – Devereaux zamilkł na chwilę, lustrując wzrokiem parkowe drzewa, jakby tam spodziewał się znaleźć odpowiednie słowo – ... trudnej sytuacji, w jaką się wpakowałeś pod koniec służby. Że oskarżono cię o handel na czarnym rynku. O twoim niemieckim wspólniku, który skończył na dnie hamburskiego portu, również wiem. – Devereaux zatrzymał się na ścieżce i spojrzał na mnie. – I wiesz, co widzę, Lennox? Widzę człowieka, któremu można zaufać z najlepszego z możliwych powodów – finansowych. Nie wiem, w jakie układy wchodzi Ferguson. Może żadne. Wydaje mi się jednak, że co drugi gliniarz w tym mieście bierze w łapę. Założę się, że Largo ma kilku w kieszeni. Proponuję więc taki układ: zapłacę ci za każdą informację, która pomoże mi dopaść tego sukinsyna. Ty wskazujesz mi trop, który do niego prowadzi, a ja płacę ci tysiąc

dolców. Czyli znacznie więcej niż wszystko, co dorabiasz na boku, prowadząc tutaj inne sprawy. To powinno też rozwiązać wszelkie wątpliwości dotyczące konfliktu interesów, gdyby takowe się pojawiły.

– To interesująca propozycja, Dex... – Nagle okazało się, że znacznie łatwiej idzie mi zwracanie się do niego po imieniu – widoki na duże pieniądze sprawiały, że stawałem się bardziej otwarty na poszerzanie kręgu bliskich znajomych. – Ale szczerze mówiąc, już wielu ludzi płaciło mi za odnalezienie innych ludzi, a na razie nie za bardzo mam się czym pochwalić.

– Nie musisz go znajdować, Lennox. Wystarczą wskazówki, dzięki którym go dorwę. – Ruszył dalej, a ja za nim. Minęła nas kobieta w rozkloszowanej szmizjerce i ciemnych okularach, pchająca przed sobą wózek dziecięcy o rozmiarach taksówki. Devereaux uchylił kapelusza, a ja za nim. Jak na chłopaków zza oceanu byliśmy dość szarmanccy.

– Jeszcze nie zdradziłaś mi, dlaczego on jest taki ważny – powiedziałem. – Co takiego zrobił: ukradł drewnianą sztuczną szczękę George’a Washingtona z Instytutu Smithsona?

– Tego wieczoru, kiedy spotkaliśmy się u ciebie w mieszkaniu, mówiłem ci, że Largo stworzył łańcuch dostaw obejmujący trzy kontynenty. To operacja o naprawdę imponującym rozmachu. Jeszcze bardziej powalająca jest stojąca za tym wszystkim wizja. Przypuszczam, że obaj widzieliśmy w czasie wojny najrozmaitsze oblicza piekła, ale John Largo ma wizję przyszłości, której realizacja byłaby źródłem nowych koszmarów. Czy słyszałeś o narkotyku zwanym heroiną?

– Owszem, słyszałem – odparłem. – Stosowano go podczas wojny zamiast morfiny. Podobno niektórzy ludzie się od niej uzależniali, ale chyba nie uzależniali tak bardzo jak morfina. Dlatego właśnie ją stosowano.

– I tu się mylisz. Tak jak mylili się wszyscy ci, którzy promowali heroinę. Została ona stworzona jako mniej uzależniająca alternatywa wobec morfiny, ale tak naprawdę osoby ją stosujące uzależniają się od niej znacznie mocniej.

Tutaj, w Anglii, nie było to do tej pory problemem, bo heroina jest tu nadal legalna i wypisuje się na nią recepty. Jeśli twój dzieciak cierpi na uporczywy kaszel, lekarz wypisze ci receptę na krople heroinowe. Tutejsze władze dopiero w tym roku zaczęły w ogóle prowadzić kartoteki uzależnionych od heroiny. W Wielkiej Brytanii jest prawie czterysta udokumentowanych przypadków uzależnień. Prawie wszyscy uzależnieni to lekarze lub osoby związane jakoś z tą profesją. Czyli tu nie macie z tym problemu. Ale w Stanach to już jest duży kłopot, i coraz poważniejszy. Od czasu ustawy Harrisona²¹ wykorzystywanie heroiny poddane zostało kontroli, a ponad dwadzieścia lat temu została ona zupełnie zdelegalizowana.

Przerwał na chwilę, kiedy mijało nas dwóch młodzieńców w znoszonych garniturach.

– Moja baza to nowojorska siedziba Biura. W zeszłym roku zaobserwowaliśmy w Harleemie nagły wzrost nielegalnych dostaw heroiny. W tym roku borykamy się już z epidemią... epidemią Murzynów, którzy sobie to świństwo wstrzykują.

– Więc to tym zajmuje się Largo. To on dostarcza heroinę czarnym?

Devereaux pokręcił przecząco głową. – John Largo zaopatruje ludzi, którzy zaopatrują Murzynów – Syndykat. Tylko że Largo nie jest jedynym zaopatrującym Syndykat. Glasgow nie jest głównym portem przeładunkowym, a Largo jedynym eksporterem.

– Kto stanowi konkurencję?

– Korsykanie. Tak między nami – krąży pogłoska, że Wuj Sam zawarł porozumienie z korsykańską mafią, żeby nie wpuścić komunistów do Marsylii. To znaczy Wuj Sam pod postacią CIA. Ciemną stroną tego układu jest to, że ci sami Korsykanie przemycają heroinę z Indochin Francuskich do Turcji, a potem do Marsylii, zaopatrując ją nowojorski Syndykat. Podobno Largo korzysta z innej trasy przerzutowej i towar trafia tutaj, do Glasgow. Następnie jest wysyłany do Stanów.

²¹ Harrison Act – amerykańska ustawa z 1914 roku, regulująca medyczne zastosowanie i dystrybucję narkotyków.

Zastanowiłem się przez chwilę nad tym, co powiedział Devereaux. Rozwaliłem się na ławce i odsunąłem znad czoła rondo kapelusza, żeby słońce opaliło mi twarz.

– Więc dlaczego jesteś tutaj, a nie w Marsylii? Wygląda mi na to, że Largo to płotka w porównaniu z tymi Korsykanami.

– Bynajmniej. Largo to poważna konkurencja, a Korsykanie niezbyt chętnie tolerują jakichkolwiek rywali. Wierz mi, Largo może się spodziewać znacznie większych kłopotów ze strony tych śniadych wyspiarzy niż ze strony stróżów prawa. Fakty są takie, że Syndykat składa się głównie z rodzin neapolitańskich i sycylijskich, a między Włochami i Korsykanami panuje pewnego rodzaju niechęć. Korsykanie to niby jacyś tacy trefni makaroniarze czy coś w tym stylu. Poza tym Largo ma niższe ceny za towar, więc stopniowo zapewnia sobie coraz większy udział w amerykańskim rynku.

– Jak się o nim dowiedzieliście?

Minęła nas para młodych kobiet i znowu unieśliśmy kapelusze. Dziewczyny zachichotały głupio i poszły dalej. Bez klasy – pomyślałem. Ta, która przechodziła bliżej mnie, miała na sobie białą płócienną spódnicę, tak przewiewną, że przeświecało przez nią słońce, uwidaczniając zarys ud i bioder. Bez klasy, ale niezła dupa.

– Dostałem cynk sześć miesięcy temu – powiedział Devereaux. – Włosi nie gadają ze względu na tę swoją omertę, ale muszą współdziałać z innymi. Zarówno w Syndykacie, jak i poza nim. Od jakiegoś czasu organizują w Harleemie sieć czarnych pośredników. Jednym z nich był niejaki Jazzy Johnson, który akurat był też jednym z moich kabli. Nie był w stanie przekazać żadnej znaczącej informacji, bo nigdy nie mówili mu niczego poza najbardziej niezbędnymi faktami. Jazzy był jednak o tyle dobrą wtyczką, że miał uszy wkoło głowy i relacjonował mi wszystko, cokolwiek zasłyszał. Kiedyś przypadkiem dowiedział się o jakiejś zaległej dostawie z Glasgow i przy okazji padło hasło – John Largo. – Devereaux wzruszył ramionami. – To wszystko... jednym słowem, niewiele, ale zdobyłem przynajmniej nazwisko człowieka,

o którym wiedzieliśmy, że działa w Europie. Nadal mamy na jego temat niewiele danych, poza tym, że jest byłym wojskowym...

– Jak my wszyscy, co nie? – wtrąciłem.

– Jasne, ale Largo to podobno były zawodowiec. Wiesz, zawodowy wojskowy.

– W jakiej armii?

– Nie wiadomo. Amerykańskiej, kanadyjskiej... może nawet brytyjskiej. Początek łańcucha dostaw musi być zlokalizowany gdzieś na Dalekim Wschodzie i możliwe, że John Largo zaczynał w którejś z brytyjskich kolonii, takiej jak Hongkong. Czyli walczył raczej z żóltkami niż ze Szwabami. Bez względu na to, gdzie i dla kogo wojował, krążą pogłoski, że to cholernie niebezpieczny gość. Już podczas samego organizowania całej tej operacji przelano w Azji i w Europie sporo krwi. – Devereaux znowu się zatrzymał i rozejrzał po parku. – Słuchaj, sądzisz, że moglibyśmy kontynuować gdzieś przy kieliszku?

Spojrzałem na zegarek. – Puby są otwarte. Znam tu w pobliżu pewien lokal...

Budynki wykorzystywane do podobnych celów łączy na ogół zbliżony styl architektoniczny lub wystrój wnętrz. Glasgowskie puby można by zaliczyć do kategorii zatytułowanej „wieczny, ponury półmrok”. Tam, gdzie niegdyś były normalne okna, powstawiano matowe lub mleczne szyby – po to, aby ukryć przed światem poważny proceder szkockiego pijaństwa oraz osłabić światło słoneczne i przemienić je w mdłą, mlecznobiałą poświatę.

W drodze przez park i po wyjściu na główną ulicę nie rozmawialiśmy już o Largo ani o FBI. Zamiast tego gadaliśmy o Vermoncie i Nowym Brunzwicku. Dzieli je granica, a jednak łączy bardzo podobny styl życia i sposób patrzenia na świat. Kiedy wkroczyliśmy w półmrok pubu, kilka głów zwróciło się w naszym kierunku, ale z chwilą, gdy zamówiliśmy po szklaneczce whisky i usiedliśmy w zaprzyjałym kącie przy

stoliku, z dala od garstki pozostałych klientów, przestaliśmy być obiektem zainteresowania.

– A ten twój informator nie może dowiedzieć się czegoś więcej o Largo?

– On już niczego o niczym się nie dowie.

Uniosłem brew, ale Devereaux pokręcił przecząco głową. – Bójka w barze. Historia stara jak świat... o kobietę, o rozlany drink, o jakąś głupią uwagę. Ktoś mu wsadził nóż po zębra.

– A, rozumiem – odparłem i przemknęła mi przez głowę myśl, że może Glasgow i Harlem są jakoś ze sobą spokrewnione. – I nie macie żadnych innych tropów?

– Tyle samo co ty. – Po raz pierwszy zobaczyłem Devereaux niemal ponurego. Ale może była to po prostu kwestia tego półmroku w barze.

– Słuchaj – powiedziałem. – Nie zrozum mnie źle, nie chcę się targować... ale tysiąc dolarów to marna oferta ze strony FBI za informację o kimś tak ważnym i tak nieuchwytnym jak John Largo.

– Mamy inne priorytety. Namierzamy czerwonych. Rozumiesz: Hoover²², McCarthy... Przez ostatnich pięć, sześć lat uganiamy się za czerwonymi zjawami, a Syndykatowi pozwalamy działać i mordować bezkarnie. Poza tym moi szefowie nie przywiązują do działalności Largo aż takiej wagi jak ja. Za największe zagrożenie uważają tak zwany francuski łącznik²³. Zresztą, bądźmy szczerzy, zdaniem wielu moich przełożonych ten problem nie jest problemem, dopóki dotyczy tylko Harlemu. Gdyby chodziło o Manhattan albo hrabstwo Nassau, to mielibyśmy jednostkę do zadań specjalnych z milionowym budżetem. Ale Harlem... to przecież tylko czarnuchy.

Zrobiłem wdech, po czym wolno wypuściłem powietrze. Wszystko pasowało. – Możesz zachować tę gotówkę na nagrodę – powiedziałem. – Jeśli dowiem się czegokolwiek o Largo,

²² John Edgar Hoover – dyrektor FBI w latach 1924–1972, po wojnie skupił się na zwalczaniu komunizmu w USA.

²³ Kanał przerzutowy heroiny z Marsylii do USA.

udostępnię ci to za darmo. Jak już mówiłem, wiele osób płaci mi za czas poświęcony szukaniu ludzi, których nie mogę znaleźć.

Devereaux przypatrywał mi się, jakby nie był pewien, czy żartuję czy mówię serio. – Dlaczego, Lennox?

– Lubieś tego kolorowego? Jazzy’ego?

– To był pospolity żul.

– Ale lubieś go?

– Chyba tak.

– Ta nagroda opiewa na marny tysiąc, bo to twoje własne pieniądze, prawda?

– Nikt inny nie widzi szerszego kontekstu – westchnął Devereaux. – Ci ludzie są w dupie, a heroina to dla nich urlop. Wywołuje podobno jakiś niesamowity stan ducha, w którym wszystkie kłopoty oddalają się o całe lata świetlne... ale jednocześnie robi papkę z mózgu i stajesz się jej niewolnikiem do końca życia. I dlatego, przyjacielu, jest to wielka gratka dla wszelkiej maści kryminalistów. Nie ma siły, żeby to świństwo nie rozpełzło się poza Harlem, Watts i Englewood²⁴. A nawet jeśli, to nie po to zatrudniałem się w FBI, żeby beczynn timer patrzeć, jak ludzie gniją za życia, a przestępcze podziemie na tym zarabia. Wszystko, co mówiłem u ciebie w domu, jest prawdą. Faktycznie prowadzę tu prywatne dochodzenie. A raczej półprywatne. Biuro zgodziło się pokryć koszty przejazdów i zakwaterowania oraz udzielić mi pewnego rodzaju oficjalnego wsparcia w moich kontaktach z glasgowską policją. Ale jeśli wrócę bez konkretów... i to konkretów w sensie dosłownym, to czeka mnie długa i szczęśliwa kariera archiwisty.

– Co znaczy „konkretów w sensie dosłownym”?

– Przez ostatnie dwa lata nowojorski wydział policji musiał się borykać z wszystkimi konsekwencjami tego, co działo się w Harlemie. Konsekwencjami na ulicach. A to znaczy, że naszym najlepszym źródłem informacji stali się patrolujący te

²⁴ Ubogie dzielnice Nowego Jorku, Los Angeles i Chicago, zamieszkiwane głównie przez Afroamerykanów.

ulice nowojorscy gliniarze. Od nich właśnie wiemy, że nastąpił jakiś przestój w dostawach. Ostatnia miała nastąpić trzy tygodnie temu. Nie doszła do skutku. Na ulicach czeka na herę sporo niespokojnych odbiorców, a ostatnie wieści donoszą, że nadal się nie pojawiła. Dlatego właśnie tu jestem. Coś poszło nie tak i przypuszczam, że John Largo jest w Glasgow, aby zrobić z tym porządek. Miejmy tylko nadzieję, że zagwozdka jest na tyle poważna, abym miał czas, żeby go dopaść.

– A co z transportem samego towaru? Rozmawiałeś już z władzami portowymi? Jest szansa, że udałoby ci się zlokalizować podejrzane przesyłki. Mam kontakt do...

Devereaux przerwał mi, podnosząc dłoń. – Nie rozumiesz. Tu nie chodzi o nielegalne wysyłki broni... – Rzucił mi znaczące spojrzenie: faktycznie wiedział więcej od Jocka Fergusona o tym, co miało tu w zeszłym roku miejsce. – Musisz pamiętać, że do przewożenia tego rodzaju towaru nie potrzeba całego frachtowca. Zajmuje mało miejsca i można go ukryć wszędzie, w dowolnym schowku czy przedmiocie. Walizka tego proszku w czystej postaci byłaby warta sto tysięcy dolarów.

Zastanowiłem się przez chwilę nad tym, co powiedział. – Czy glasgowska policja wie o tym?

– Nie o wszystkim. Sama heroina niespecjalnie ich interesuje. Zależy im bardzo tylko na tym, aby widać było, że pomagają Wujowi Samowi. – Devereaux uśmiechnął się krzywo. – Wiesz, dopiero co zbawiliśmy świat.

– A jakże – odparłem, odstawiając gorzkie szkockie piwo i upijając łyk dopalacza z whisky. – A jakże... – Spojrzałem na zegarek i nagle zaświtał mi w głowie pomysł. – Masz ze sobą swoją odznakę FBI?

– Jasne... – Devereaux zmarszczył brwi. – Zawsze mam ją przy sobie. Dlaczego?

– Bo mógłbyś mi pomóc kogoś uszczęśliwić.

Po drodze do Blanford streściłem Devereaux, w czym rzecz. Opowiedziałem o tym, co działo się wokół Kirkcaldy'ego

i o zbliżającej się walce z niemieckim obrońcą tytułu. Wszystko to było tylko wstępem do wyjawienia prawdziwego powodu naszej przejażdżki.

– Naprawdę doceniam to, że wyświadczasz mi tę przysługę, Dex – powiedziałem, gdy stanęliśmy za ciemnozielonym roverem. Sneddon zgodził się na to, aby auto służyło za niemal stały punkt obserwacyjny. Davey Wallace dyżurował wczesnymi wieczorami, Pedikiurek do pierwszej w nocy, a później Sneddon udostępniał jakiegoś innego goryla do obserwowania domu aż do świtu. Davey nadal podchodził do swoich obowiązków z całkowitym oddaniem, notując absolutnie wszystko, co zauważył. Podczas pierwszego spotkania z Pedikiurkiem sprawiał wrażenie mocno przestraszonego. Pedikiurek odnosił się jednak do niego niezwykle dobrodusznie. Co w jego wykonaniu budziło zresztą jeszcze większą grozę.

Zapukałem w szybę rovera. Davey otworzył drzwi i wysiadł. Miało się wrażenie, że za chwilę wypręży się wręcz na baczność.

– Jak idzie, Davey? – spytałem.

– Wyśmienicie, panie Lennox, naprawdę wyśmienicie – odparł. Obrzucił spojrzeniem stojącego przy mnie Devereaux. – Przykro mi, ale tak naprawdę nie mam nic do odraportowania. Ale nie spuściłem domu z oka nawet na chwilę – co do tego, może mi pan w pełni zaufać, panie Lennox.

– Wiem, Davey. Chciałbym ci kogoś przedstawić. Opowiadałem Dexowi o tym, że dorywczo dla mnie pracujesz i że świetnie wywiązujesz się z powierzonych zadań.

– Dex Devereaux... – z powagą, niemal pewną surowością przedstawił się Amerykanin i zanim uścisnął Davey’emu dłoń, sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki i wyciągnął portfel. Otworzył go i w zachodzącym słońcu błysnęło złoto. – Specjalny agent Dex Devereaux, FBI.

Wymagało to ode mnie niemal nadludzkiego wysiłku, ale jakoś udało mi się stłumić uśmiech rozbawienia, gdy zobaczyłem reakcję Davey’ego. Stał z rozdziawionymi ustami i szeroko otwartymi oczyma, jak zahipnotyzowany wpatrując

się w odznakę FBI. Wydawało się, że upłynęła wieczność, zanim oderwał od niej wzrok i przeniósł go na twarz Devereaux. Devereaux schował blachę i uściśnął dłoń Davey'ego.

– Pan Lennox mówił mi, że wykonujesz tu dla niego diabelnie dobrą robotę. Diabelnie dobrą. Zawsze miło spotkać kolegę po fachu. Tak trzymać, Davey.

– Dex przyjechał tutaj w sprawie prowadzonego przez FBI dochodzenia. Ale to sprawa ściśle poufna, Davey – powiedziałem z największą powagą, na jaką było mnie w tych okolicznościach stać.

– Ma się rozumieć... nie puszczę pary z ust, panie Devereaux... – przemówił Davey tonem solennie coś obiecującego dziecka. I właśnie ta jego dziecinność mnie niepokoiła. Był w końcu jeszcze chłopcem. Byłem w miarę pewny, że nie narażam go na żadne niebezpieczeństwo, ale nie mogłem za to ręczyć. – Może pan być spokojny, nic nie powiem – dodał z tym samym chłopięcym przejęciem.

– Wiem o tym – odparł Devereaux. – W końcu jesteśmy kolegami po fachu.

– Przypuszczam, że masz do Dexa wiele pytań – powiedziałem, częstując ich obu papierosem i zapalając własnego. – Czy Bobby Kirkcaldy jest u siebie?

– Tak, proszę pana – powiedział Davey. – Wrócił z wujem z treningu jakieś półtorej godziny temu.

– Może sobie pogawędzicie, a ja tymczasem pójde sprawdzic, czy przypadkiem nie wydarzyło się coś, o czym powinniśmy wiedziec.

Gdy ich zostawiałem, zauważyłem, że Devereaux ponownie wyjął swoją odznakę i wręczył ją Davey'emu. Devereaux budził we mnie jednocześnie sympatię i niechęć. Przypominał mi niektórych mężczyzn, spotkanych na wojnie. Mężczyzn, którzy napatrzyli się na niejedno, a jednak zdołali uchronić swoje człowieczeństwo i poczucie honoru. Nie było ich wielu. I ja do nich nie należałem.

Drzwi znowu otworzył mi wujek Bert Soutar. Jak zwykle emanował urokiem osobistym i kiedy powiedziałem mu, że

chciałbym zamienić kilka słów z Kirkcaldym, odwrócił się do mnie plecami i poprowadził mnie za sobą.

Tym razem nie poszliśmy do salonu, lecz dalej, do drzwi na końcu korytarza. Za nimi ukazało się kilka schodków, prowadzących w dół do pomieszczenia, które pierwotnie zostało przypuszczalnie pomyślane jako podwójny garaż i warsztat, a zostało przerobione na siłownię. Dostrzegłem trzy ławeczki, stojak z obciążeniami i kilka wolnych sztang w rogu, dwa ciężkie worki treningowe, zwisające jak olbrzymie parówki na solidnych, przytwierdzonych do sufitu łańcuchach i gruszkę bokerską na wsporniku przyściennym. Bobby Kirkcaldy stał pośrodku siłowni, ubrany w coś, co wyglądało jak kalesony i w nałożone na nie spodenki bokerskie. Powietrze wypełniał rytmiczny świst przecinającej je skakanki. Stopy Kirkcaldy'ego poruszały się niemal niedostrzegalnie i wyglądało to tak, jakby unosił się tuż nad podłogą. Nie spojrzał na mnie, gdy schodziłem po schodkach, tylko dokończył zestaw i wytarł twarz zarzuconym na szyję ręcznikiem.

– No? – powiedział obcesowo, dysząc ciężko. Ta jego zadyszka mnie zaskoczyła, bo widziałem, jak na ringu kończył walki tylko lekko spocony. Byłoby dziwne, gdyby nie zadbał o odpowiednią formę tuż przed zbliżającą się walką.

– Chciałem się tylko upewnić, czy wszystko w porządku. Jak pan wie, ktoś obserwuje dom przez większość...

– Ten dzieciak? – przerwał mi Soutar. – Co on, kurwa, zrobi, jeśli zacznie się jakaś zadyma? Na oko ma z dwanaście lat.

– O nie – zaprotestowałem urażonym tonem. – Nie zatrudniam nikogo poniżej trzynastu lat, chyba że do czyszczenia kominów.

Wujek Bert zrobił krok w moim kierunku.

– Bert... – rzucił Kirkcaldy cicho, i Soutar zreflektował się, pozwalając mi znowu zadumać się nad dyshonorem, jakim byłoby pobicie przez dziadka. Kirkcaldy zwrócił się do mnie. – Może pan go odwołać. Od tygodni już nic się nie dzieje, a mnie zaczyna wkurzać ta ciągła nasiadówka pod domem. Gdybym potrzebował opieki, poszedłbym na policję.

– Niech pan posłucha, panie Kirkcaldy, ja tylko wykonuję swoją pracę. Pan Sneddon w pana zainwestował, a moim zadaniem jest pilnować, aby nie ucierpiały jego interesy. Jeśli twierdzi pan, że nie było już ostatnio kłopotów, to w porządku... Przekażę to panu Sneddonowi i zastosuję się do jego poleceń. Żyjemy w wolnym kraju, więc na razie, jeśli pan Sneddon chce parkować na ulicy w okolicach pana domu i zlecić komuś, żeby baczył na jego samochód, to trudno mu tego zabronić, prawda?

– Skończył pan? – W głosie Kirkcaldy’ego nie wyczuwało się agresji. Był opanowany. Zawsze. Właśnie dlatego na ringu był tak szalenie niebezpieczny.

– Nie całkiem. Pan wybaczy, ale to wszystko wygląda bardzo dziwnie. Dostawał pan ostrzeżenia i pogroźki i nikomu pan o tym nie mówił, dopóki pana menedżer przypadkowo sam nie wdepnął w środek tego gówna. A od czasu, gdy zacząłem się tym zajmować, usilnie stara się pan to wszystko zbagatelizować, tak jakby nic zupełnie się nie działo.

– Bo się nie dzieje. A nie wspominałem o tym, bo nie ma to absolutnie żadnego znaczenia. Było oczywiste, że ktoś próbuje mnie zastraszyć. Ale bez rezultatu. To nie miało szans powodzenia, więc odpuścili.

– Co ty na to, staruszkę? – zwróciłem się do Soutara. Jego osadzone głęboko pośród zmarszczek i napuchniętych fałdów skóry ciemne oczy błysnęły twardo. – Sądziś, że ktoś próbuje zastraszyć pana Kirkcaldy’ego? Jestem bardzo ciekaw twojej opinii jako eksperta od tych spraw.

– Do czego, kurwa, pijesz? – spytał przez nos.

– Chodzi mi o ustawianie walk. Coś niecoś o tym wiesz. Rozmawiałem z twoim dawnym kompanem... Jimmym MacSherrym. Snuł wspominki o dawnych czasach.

– O co panu chodzi? – spytał Kirkcaldy.

– Tylko o to, że wujek Bert miał dość barwną przeszłość. Czy mam rację, że miałeś kiedyś konszachty z pewnym bukmacherem? I że, jak wieść niesie, ustawiałeś walki?

– Powinieneś pilnować własnego nosa... – Groźba w głosie

Soutara była zakamuflowana równie subtelnie, jak gówno w filizance herbaty.

– Ale tak było, prawda? – powiedziałem, kusząc los. – Skumałeś się z chłopakiem, który próbował się dorobić. Zdaje się, że potem został bukmacherem. Bilon MacFarlane?

– A jakie to, kurwa, ma znaczenie? – Kirkcaldy podszedł bliżej. Nie była to groźba: po prostu gotów był powstrzymać starego Soutara, gdyby ten spróbował się na mnie rzucić.

– Nie wiem. – Wzruszyłem ramionami. Faktycznie nie wiedziałem. – Może żadne. MacFarlane nie żyje i złapali zabójcę. Ale może jednak ma. A jeśli tak, to dojdę, jakie.

Zostawiłem ich w siłowni i sam wróciłem do wyjścia. Myśl o tym, że Soutar miałby pójść za mną, aby mnie odprowadzić, sprawiła, że ciarki przeszły mi po plecach.

Wróciłem tam, gdzie stały zaparkowane samochody. Devereaux nadal brylował przed Daveym, który chłonał każde wypowiedziane przez niego słowo.

– Jakiś problem? – spytał Devereaux, gdy do nich podszedłem. Najwyraźniej miał talent do czytania z twarzy. Albo w cudzych myślach. Pewnie w Quantico²⁵ FBI prowadziło z tego szkolenia.

– Niezadowolony klient. Wygląda na to, że nazbyt sumiennie wywiązują się ze swoich obowiązków.

Zostawiliśmy rozemocjonowanego Davey’ego i odwiozłem Devereaux do hotelu.

– Dzięki, że się na to zgodziłeś, Dex – powiedziałem, gdy Devereaux wysiadał z samochodu. – Davey nie ma nic. Mieszka w jakimś gównianym slumsie i ma gównianą pracę z gównianymi perspektywami. Spotkanie z tobą to dla niego wydarzenie roku.

– Nie ma sprawy, Lennox. To dobry chłopak. Ale teraz jesteś mi winien przysługę.

– Cokolwiek usłyszę, dam ci o tym cynk.

– Okej, Lennox. Uważaj na siebie.

Patrzyłem, jak Devereaux, wielkie chłopisko w krzykliwym

²⁵ W Quantico w stanie Wirginia znajduje się akademia treningowa FBI.

garniturze i słomkowym kapeluszu, przechodzi przez ulicę w kierunku hotelu. Czegokolwiek FBI uczyło swoich agentów w Quantico, nieafiszowanie się swoją amerykańskością nie należało do programu zajęć.

Po odwiezieniu Devereaux do jego hotelu przy ulicy Buchanan zostawiłem samochód i mijając kilka przecznic, przespacerowałem się do przybytku o nazwie Imperial. Nie chodziło mi jednak o kolejnego drinka.

May Donaldson i ja mieliśmy pewien układ.

May była rozwódką. Glasgow to nie wysokie sfery Nowego Jorku czy Londynu i tutejsze poglądy na rozwód były mało wyrafinowane. Nie miało znaczenia, że May była bez winy: każdy rozwód, z jakiegokolwiek powodu i w każdej klasie społecznej, usuwał kobietę całkowicie poza nawias prezbiteriańskich norm przyzwoitości. May i ja zaliczyliśmy kilka numerków, to prawda. Lubiłem jednak myśleć, że nigdy tak naprawdę jej nie wykorzystałem. Z myślą, że Święty Mikołaj naprawdę istnieje, czułem się równie dobrze. Odnalazłem May tam, gdzie wiedziałem, że będzie, a mianowicie przy obsłudze baru w hotelu Imperial. May miała wystrzałową figurę, ale przeciętną twarz, często noszącą wyraz smutku albo zmęczenia. Ubrana była w skromną białą bluzkę i czarną spódnicę, przepisowy ubiór obsługi hotelu. Chodziło o to, aby w głowach gości wyświetlało się raczej słowo „kelnerka”, a nie „barmanka”. May nalała mi szklaneczkę burbona, zanim jeszcze doszedłem do kontuaru.

– Co jest, Lennox? Masz dla mnie robotę? – spytała z uśmiechem, który nie obejmował oczu.

– Tak... ale nie taką jak zwykle – odparłem. May od czasu do czasu dla mnie pracowała. Polegało to na tym, że zjawiała się o umówionej porze i, nie zdejmując ubrania, kładła się pod kołdrą w łóżku w jakimś pokoju hotelowym. Obok niej kładł się, również ubrany, mężczyzna w średnim wieku. Następnie wchodziłem ja w towarzystwie kogoś z obsługi hotelu, a dwa miesiące później, podczas sprawy rozwodowej w sądzie mówiliśmy wszyscy o tym zdarzeniu tak, jakby nie była to tylko

zainscenizowana, lipna szopka. Brytyjczycy dopuszczali rozwód, ale na brytyjskich warunkach, co oznaczało zbiurokratyzowaną, nużącą i dość pokrętną procedurę. Co zresztą najzupełniej mi odpowiadało. Sporo zarobiłem na tych sfabrykowanych dowodach niewierności, mających posunąć do przodu rzeczony sprawy.

– Ach, tak? – May spojrzała na mnie tak nieufnie, jakby spodziewała się, że zaproponuję jej kupno jej własnej matki w ramach handlu żywym towarem.

– Nie martw się, to nic szemranego. Próbuję skontaktować się z pewną młodą kobietą, mieszkającą w jednym z prowadzonych przez miasto schronisk. Tamtejsza matrona nie chce mnie wpuścić, a nie mogę tam tkwić i czekać, aż kobieta się zjawi.

May uniosła wyżej już uniesioną brew.

– To nie to, co ci się wydaje – powiedziałem. – Zajmuję się sprawą czyjegoś zaginięcia, a ta dziewczyna jest być może ostatnią osobą, która widziała tego gościa, zanim ślad się urwał. Pójdź do niej i poproś, żeby się ze mną spotkała, bo muszę jej zadać kilka pytań. Jeśli będzie ci w stanie powiedzieć, gdzie można odnaleźć zgubę, to też mi wystarczy.

– Kiedy?

– O której tu dzisiaj kończysz?

– Kończę zmianę o dziewiątej.

Spojrzałem na zegarek.

Kwadrans po ósmej. Mogłem oczywiście zostać i dopić burbona, gawędząc z May aż do końca jej zmiany, ale byłaby to dla nas obojga dość niezręczna sytuacja. – Okej, w takim razie wtedy po ciebie przyjadę.

Dla zachowania pozorów wypłem połowę burbona, zapłaciłem i wróciłem do samochodu. Biorąc pod uwagę nasze dość regularne intymne relacje, ta sucha, rzeczowa wymiana zdań z May wydała mi się dość przygnębiająca. Z drugiej strony, gdyby się nad tym głębiej zastanowić, nasze kontakty też często miały taki właśnie charakter.

Ponownie zadzwoniłem do Lorny z budki na rogu ulicy Bath. Zerowy efekt. Spojrzałem na zegarek. Miałem do załatwienia tę

sprawę z May i Claire, rzekomą dziewczyną Sammy'ego, więc do Lorny nie wyruszę przed dziesiątą.

Wytraciłem jakoś czas do dziewiątej i wróciłem po May. Wyszła z hotelu ubrana w lekki płaszcz i szykowny czarny kapelusz, które wyglądały jak nowe, choć widziałem je już niezliczoną ilość razy. Podczas gdy reszta społeczeństwa pomału dochodziła do siebie po okresie zaciskania pasa, pracująca w barze glasgowska rozwódka musiała nauczyć się, jak przyoszczędzić na garderobie.

Gdy jechaliśmy w stronę Partick, włączyłem radio. Mel Tormé śpiewał *Harlemski nokturn*, a mnie przypomniało się to wszystko, co Devereaux opowiadał o swoich szefach, którzy byli najzupełniej przekonani, że zyskujący powodzenie w Harlemie towar nie znajdzie odbiorców gdzie indziej. Byli w błędzie – to Devereaux miał rację.

Piosenka sączyła się z radia, oszczędzając nam trudu podtrzymywania konwersacji. Nie wiem, co takiego działo się między mną a May, ale najwyraźniej oboje wyczuwaliśmy, że coś jest na rzeczy. Tak jakbyśmy byli o krok od tego, by stać się innymi ludźmi. By uwolnić się od własnej przeszłości. I jakbyśmy stanowili dla siebie nawzajem wstydlive przypomnienie tych osób, którymi byliśmy kiedyś.

W połowie drogi do Partick May potwierdziła moje przypuszczenia. – Poznałam kogoś, Lennox – zagaiła. – Wdowca. Jest starszy ode mnie, ale to uczciwy, dobry człowiek. Ma dwójkę dzieci.

– Pochodzi z Glasgow? – spytałem. Gdyby zaprzeczyła, wiedziałbym, że gość jest jej kołem ratunkowym, że upatruje w nim szansy na wyrwanie się z miasta. May zawsze bardzo zdecydowanie twierdziła, że nie znosi Glasgow. Że nigdy go nie znosiła.

– Nie. Ma farmę w Ayrshire. Wiesz, że mój były mąż był rolnikiem?

– Tak, wspominałaś – odparłem. Szereg razy po pijaku,

dodałem w myślach. – Jesteś z nim szczęśliwa?

– Nie jestem nieszczęśliwa. A to mi wystarcza. Jesteśmy sobie nawzajem potrzebni. Dobrze dogaduję się z jego dziećmi, a one są w wieku, w którym jeszcze potrzebują matki.

– Okej... – Uśmiechnąłem się do niej. – Cieszę się, May. Naprawdę. Rozumiem, że mówisz mi to z jakiegoś konkretnego powodu?

– Nie mogę już więcej dla ciebie pracować. Dzisiaj wieczorem to będzie ostatni raz. George nie wie, że pomagałam ci przy tych sprawach rozwodowych i nie może się dowiedzieć. Chcemy zacząć wszystko od nowa, zerwać całkowicie z przeszłością.

– W Ayrshire? – Nie mogłem ukryć zdziwienia. – Przecież to żywa przeszłość. A ściślej rzecz biorąc, osiemnasty wiek.

– Nie – powiedziała chłodno. – Nie w Ayrshire. Będziesz się śmiał...

– Okej, wypróbuj mnie.

– W Kanadzie. Emigrujemy do Kanady. Potrzebują tam rolników.

Nie roześmiałem się. Prawdę mówiąc, zaskoczyła mnie moja reakcja, poczułem bowiem w trzewiach jakiś ostry, nieprzyjemny skurcz i zdałem sobie sprawę, że to zazdrość.

– A dokąd w Kanadzie?

– Do Saskatchewan. W okolicach Reginy.

Zajechaliśmy przed Crathie Court. Wylączyłem Tormégo w połowie utworu. – Naprawdę życzę ci wszystkiego najlepszego.

– Jeszcze jedno, Lennox... najlepiej by było, gdybyś już nie zachodził do mnie do mieszkania.

Położyłem swoją rękę na jej ręce. Stłumiła odruch cofnięcia dłoni, ale nie na tyle szybko, bym go nie wyczuł.

– W porządku, May. Rozumiem. Naprawdę mam nadzieję, że ci się powiedzie. To będzie nasza ostatnia robota, dobrze? Nie będę już więcej wpaść.

Uśmiechnęła się. Byłoby miło, gdyby w jej uśmiechu można było wyczuć nutę smutku, ale myśl o tym, że przestaniemy się

widywać, wydawała się usposabiać ją niezwykle radośnie. Na niektóre kobiety tak właśnie działałam. Jeszcze raz powtórzyliśmy, co powinna powiedzieć Claire Skinner i przypomniałem jej nazwisko Sammy'ego Pollocka. Wsiadła z samochodu i weszła do schroniska. Gdy nie wróciła od razu, uznałem to za dobry znak.

Pojawiła się po pół godzinie. Na twarzy miała rumieniec i ponurą minę.

– Jedź za róg ulicy – powiedziała, nie patrząc na mnie. – Ona prawdopodobnie obserwuje samochód.

Zrobiłem to, o co prosiła. – Co się dzieje? – spytałem, gdy znowu zaparkowaliśmy.

– Nie wiem, Lennox, ale cokolwiek się dzieje, ta dziewczyna jest przerażona. Powiedziała, że nie wyjdzie z tobą porozmawiać. Mówi, że nie ma pojęcia, gdzie jest Sammy Pollock, ale nawet gdyby wiedziała, nie powiedziałaby ci. Nie chodzi o to, że się stawia czy coś takiego, po prostu jest do tego stopnia spanikowana. – May zmarszczyła czoło. – Nie wiem, w co się wdałeś, Lennox, ale lepiej uważaj. Ktoś tę biedną dziewczynę śmiertelnie wystraszył.

– Okej... Chyba poczekam, aż będzie miała kolejny występ w klubie Pacific i wtedy spróbuję.

– Będziesz miał szczęście, jeśli ci się uda. Mam wrażenie, że ona stara się raczej nie rzucić w oczy.

– Wszystko w porządku?

May spojrzała na mnie przez chwilę, westchnęła i uśmiechnęła się. – Tak. Po prostu ona była strasznie... wzburzona. Przez chwilę myślałam, że się na mnie rzuci.

– Przepraszam. Nie przyszło mi do głowy...

– Nie ma sprawy... dałabym sobie radę. – Nagle May ruchem głowy wskazała na coś za przednią szybą.

– Patrz... – powiedziała.

– To ona?

Podążyłem wzrokiem w kierunku, w którym patrzyła May i na odległym o jakieś dwieście metrów skrzyżowaniu zobaczyłem młodą kobietę nieco powyżej dwudziestki.

Śpiesznym krokiem przechodziła akurat przez ulicę od strony Crathie Court. Z tej odległości wyglądała na dość zadbaną. Z moich własnych doświadczeń z glasgowskimi kobietami wynikało, że atrakcyjnie wyglądały na ogół tylko na odległość albo gdy miało się na nosie ciemne okulary. Sądząc po dość obfitej talii i przygrubawych kostkach, kobieta przed nami nie była szczególnie smukła. Miała na sobie niebieską bluzkę, a przez jedno ramię przerzucony jasnoszary żakiet, i wszystko w jej postaci sugerowało wielki pośpiech.

– Nigdy wcześniej jej nie widziałeś? – May wydawała się zaskoczona. – Tak, to ona.

Patrzyliśmy, jak zbliża się do rogu ulicy.

– Prowadzisz samochód, May? – spytałem. To dziwne, ale była to jedna z tysięcy rzeczy, jakich o niej nie wiedziałem.

Potrząsnęła przecząco głową. Wyjąłem z portfela całą jego zawartość z wyjątkiem kilku banknotów jednofuntowych. Było tego nieco ponad trzydzieści funtów, które wsunąłem May do rąk.

– To za dzisiejszą pomoc. Nie chcę teraz zgubić tej dziewczyny, więc to jest też na taksówkę do domu. Dzięki, May.

– To dużo za dużo, Lennox.

– Potraktuj to jako prezent ślubny – odparłem. Wsiadłem z samochodu i May również. – Przykro mi, że musisz wracać taksówką.

– Nie szkodzi – powiedziała.

Spojrzałem niecierpliwie w kierunku rogu ulicy, za którym przed chwilą zniknęła Claire Skinner, po czym zerknąłem jeszcze raz na May.

Miałem wrażenie, że stara się sformułować jakąś myśl, wyrazić coś słowami.

– Nie trzeba, May – powiedziałem. – Trzymaj się.

Kiwnęła jakoś dziwnie głową, unikając mojego wzroku, powiedziała „dzięki” i „cześć”, odwróciła się szybko na pięcie i poszła energicznym krokiem ulicą Thornwood w kierunku Dumbarton, opuszczając moje życie.

Wskoczyłem z powrotem do atlantica. Liczyłem na to, że

Claire jednak nie zauważyła mojego wozu przed schroniskiem. A moja twarz była jej zupełnie nieznana. Czułe pożegnanie z May trwało zbyt długo, abym mógł teraz pójść za Claire pieszo: miała nade mną zbyt wielką przewagę. A gdy już ją dogonię, wtedy sprawy się skomplikują, bo nigdy nie jest łatwo niepostrzeżenie śledzić z samochodu kogoś niezmotoryzowanego. Przypuszczałem jednak, że Claire wskoczy do jakiegoś autobusu lub tramwaju albo weźmie taksówkę. Nie miałem pojęcia, dokąd zmierza, byłem natomiast prawie pewien, z kim śpieszy się spotkać. Skrzyłem na rogu i zobaczyłem ją znowu. Zwolniła nieco, ale nadal szła szybkim krokiem, co tego dusznego glasgowskiego wieczoru było i tak nie lada wyczynem. Spojrzała na zegarek, byłem jednak przekonany, że nie zdążyła na żadne umówione spotkanie – to był spontan. Bódcem do działania musiała być dla niej nieoczekiwana wizyta May.

Dogoniłem ją i musiałem przejechać obok z normalną prędkością. Postanowiłem zaparkować nieco dalej na ulicy, zostawić samochód i pójść na piechotę. Gdybym jechał z prędkością piechura, samochód znacznie bardziej rzucałby się w oczy. Zjechałem na bok i szybko rozejrzałem się, gdzie jestem. Fairlie Park Drive. Miałem właśnie wysiąść z auta, gdy Claire przeszła obok szybkim krokiem, nie oglądając się w moją stronę. Weszła do budki telefonicznej stojącej przy zbiegu z ulicą Crow. Wykonała krótki telefon, po czym wyszła z budki i stanęła obok, jakby na coś czekając. Zauważyłem, że jej stopy, sprawiające wrażenie drobnych pod przygrubymi kostkami, wykonują na chodniku nerwowy taniec. Postanowiłem cierpliwie czekać. Może góra zbliżała się właśnie do Mahometa. Minęło około dziesięciu minut i nagle Claire zaczęła żywiołowo wymachiwać ręką. Po chwili wsiadła do czarnej taksówki, która zatrzymała się obok niej. Poczekalem, aż taksówka ruszy i przejedzie jeszcze jeden samochód, po czym włączyłem się do ruchu.

Taksówka obrała kurs na południe, poza miasto. Minęliśmy Pollokshields, co przypomniało mi, że będę musiał tam dzisiaj jeszcze wrócić, a następnie Pollokshaws, Giffnock i Newton Mearns. Charakterystyczną cechą Glasgow, do której nie mogłem się jakoś przyzwyczać, było to, że cały ten skondensowany zlepek kamienia, cegły i stali, fabryk i wielkich pieców, czynszówek i kłujących niebo żurawi portowych nagle ustępował otwartemu, niemal wyludnionemu krajobrazowi wiejskiemu. Jechaliśmy na południe główną drogą, tworzącą ciemnoszarą bliznę na pofałdowanym zielonym dywanie rozciągającym się jak okiem sięgnąć po obu stronach. To była główna trasa na Carlisle, co znaczyło, że jechałem pośród innych samochodów, nie wzbudzając podejrzeń. Ale taksówka skręciła w drogę drugorzędną. Kolejny skręt i taryfa znalazła się na jeszcze węższej wiejskiej drodze, która zdawała się prowadzić donikąd, i żeby na nią wjechać, trzeba było mieć po temu konkretny powód. Zwolniłem, by zwiększyć odległość między atlantikiem i taksówką. Droga biegła skrajem zatopionych kamieniołomów, przypominających wpatrzone w słońce błotnisto-brązowe oko.

Taksówka znikła mi z oczu za jakimś kolejnym zakrętem. Niezbyt się tym przejąłem, bo nie miała mi dokąd uciec. Lekkie przyspieszenie rychło mnie do niej zbliży. Kiedy jednak skręciłem, nagle wyłonił się przede mną jej tył, bo zatrzymała się przed jakąś wiejską bramą. Nie oglądając się, pojechałem dalej i dopiero minąwszy taksówkę, zobaczyłem, że Claire Skinner wysiada i wręcza kierowcy kilka banknotów. Nie czekając na resztę, odwróciła się w kierunku bramy, otworzyła ją i poszła przed siebie wiejskim traktem.

Po nitce do kłębka...

We wstecznym lusterku widziałem, jak taksówka próbuje zawrócić na trzy, żeby cofnąć się do głównej drogi. Wykonałem ostry zakręt w lewo i podjechałem do rosnącego kawałek dalej przy drodze zagajnika, po czym ustawiłem atlantica tak, by wykorzystać naturalne właściwości maskujące terenu. Uznałem, że w tym miejscu samochód będzie raczej

niewidoczny z wiejskiego traktu i przypuszczalnie też z budynków, które mogły być położone u jego kresu.

Przemierzyłem zagajnik i zasadziłem się na jego brzegu, skąd rozpościerał się dobry widok na pola. Słońce rozlewało swoje ciepłe kolory nad wieczornym horyzontem, łagodząc wszystkie kontury. Przez chwilę ukazała się głowa Claire, po czym znowu znikła mi z oczu w punkcie, gdzie ścieżka przypuszczalnie obniżała swój poziom między okalającymi ją skarpami – to znaczyło, że z mojego miejsca też najpewniej nie jestem widoczny. Nie wiedziałem, jak długo pozostanę niedostrzeżony, bo dróżka mogła wkrótce znowu się podnieść i zrównać z otaczającymi ją polami.

Wyskoczyłem spod osłony drzew i puściłem się biegiem przez porośniętą trawą łąkę, mierząc w kierunku, gdzie ostatnio widoczna była Claire Skinner. Bujna zielona trawa sięgała mi do kostek, ale rozmokły zazwyczaj grunt, z którego wyrastała, był stosunkowo twardy – osuszony przez ostatnie nietypowe upały. Syberia ma swoją wieczną zmarzlinę, a Szkocja swoją wieczną zmoklinę. Mojemu sprintowi przez pastwisko beznamiętnie przyglądała się garstka czarnolicych owiec. Nie śpieszyłem się, żeby dogonić Claire, bo przypuszczałem, że cel jej wyprawy i tak znajduje się gdzieś na końcu tej drogi. Chodziło mi raczej o to, aby dotrzeć do wylotu jaru, zanim Claire się z niego wynurzy i znowu będzie widziała całą okolicę jak na dłoni.

Przeskoczywszy przez zbudowany bez użycia zaprawy kamienny murek, opadłem na ścieżkę – wąską szarą wstęgę pylistej ziemi między trawiastymi skarpami. Z jakiegoś powodu ten widok i wieczorne światło sprawiły, że czułem się bardziej na miejscu, mając na sobie pozbawioną kołnierza koszulę z podwiniętymi rękawami i niosąc kosę na ramieniu. Nie byłbym jednak wtedy sobą, bo zawsze bliższe mi były postaci z powieści Leslie Charterisa niż Thomasa Hardy'ego²⁶.

²⁶ Leslie Charteris (1907–1993) – angielski pisarz, twórca postaci Świętego. Thomas Hardy (1840–1928) – angielski pisarz i poeta, często nawiązujący do realiów wiejskich.

Rumiane wiejskie dziewczęta i piwo z pianką nie bardzo mnie kręciły. No dobra, rumianymi dziewczętami bym nie pogardził.

Na razie otrząsałem się z tych sielankowych marzeń i podążyłem nieśpiesznie traktem. Nie widziałem Claire Skinner, aż dotarłem do zakrętu. Wtedy zobaczyłem ją jakieś sto metrów przed sobą. Uskoczyłem pod osłonę trawiastej skarpy, obserwując, jak Claire zmierza w kierunku chatki przycupniętej w gęstwinie jeżyn i krzewów. Ze względu na szerokość geograficzną Szkocji tutejsze letnie wieczory były długie, ale słońce zbliżało się już do horyzontu i w oknach chaty powinno było świecić jakieś światło. W środku panował jednak mrok. Claire zapukała do drzwi i po mniej więcej minucie ktoś, kogo nie byłem w stanie zobaczyć, wpuścił ją do środka.

Obserwowałem chatę przez pełnych pięć minut, chcąc zyskać pewność, że nie są to tylko przelotne odwiedziny. Przypuszczałem, że skoro Claire odprawiła przed bramą taksówkę, nie bacząc, że jest na pustkowiu, to nie planuje już tego wieczoru wracać do Glasgow.

Rozważyłem możliwości dalszego działania. Straciłbym sporo czasu, zwlekając z podejściem do domku, aż zrobi się całkiem ciemno. W przeciwnym razie byłbym jednak widoczny na ścieżce już z odległości stu metrów. Gospodarze mieliby więc wystarczająco dużo czasu, żeby się skrzyknąć i powiedzieć mi „a kuku!”, gdy wejść frontowymi drzwiami. Nie wiedziałem, z kim będę tam miał do czynienia i lepiej byłoby to najpierw sprawdzić, samemu nie będąc widzianym.

Cofnąłem się kawałek, przeskoczyłem przez kolejny kamienny murek i zrobiłem szerokie obejście wokół chaty, podchodząc do niej od tyłu, gdzie miałem pewność, że zyskam osłonę, chowając się w gęstwinie krzaków i pnączy. Było to jedyne wyjście, choć na tej otwartej przestrzeni i na tle jasnego wieczornego nieba czułem się bardzo wyeksponowany. Po pięciu minutach zająłem pozycję na tyłach. Z bliska chata okazała się opuszczoną ruderą. Wiele szyb w oknach było popękanych lub wybitych, a pozostałe zszarzały od kurzu. Za domem ogródek warzywny porósł sięgającymi pasa chwastami

i musiałem jak najdelikatniej usuwać je z drogi, kierując się do tylnych drzwi. Zbliżywszy się do nich, usłyszałem dobiegające z wnętrza chaty głosy – nie było to miejsce, w którym czułoby się konieczność mówienia szeptem. Rozmówcy byli wyraźnie wzburzeni. Rozpoznałem jeden głos męski i jeden kobiecy.

Przesuwając się wzdłuż chropowatej kamiennej ściany, doszedłem do jednego z małych, brudnych okienek i zajrzałem do środka. Natychmiast cofnąłem głowę, bo okazało się, że Claire Skinner siedzi dokładnie po drugiej stronie okna, odwrócona do niego plecami. Nie dostrzegłem, gdzie jest mężczyzna, ale słyszałem jego głos. I wtedy usłyszałem, jak Claire wypowiada to, na co czekałem od samego początku, gdy zacząłem ją śledzić.

Imię „Sammy”.

XI

Gdy wkroczyłem, oboje gwałtownie zwrócili się w moją stronę. Claire wstała tak impulsywnie, że wysłużone krzesło, na którym siedziała, upadło z trzaskiem na zapuszczoną podłogę. Młody człowiek też się podniósł.

Mylłem się co do tego, że wewnątrz nie pali się światło: na stoliku, zaimprovizowanym z jakiejś skrzynki, stała lampa naftowa, ale knot został tak przykręcony, że płomień tlił się bardzo słabo. Było jednak wystarczająco jasno, aby ocenić, że jest to miejsce, które można by nazwać rudera, gdyby wcześniej odpowiednio podwyższyć jego standard. W jednym rogu, na niskim łóżku polowym kłębiła się pościel i poniewierał duży plecak z demobilu. Na innej skrzynce, obok kilku nieotwartych konserw, kuchenka turystyczna dożywała swoich dni. Gdzieś w kącie walał się stos opróżnionych puszek i butelek. Trzeba było być naprawdę przestraszonym, żeby tak długo się w takim miejscu ukrywać.

Ledwo rozpoznałem w Sammym Pollocku tego pewnego siebie, wymuskanego młodzieńca z elegancką fryzurą ze zdjęcia, które pokazała mi Sheila Gainsborough. Ciemne włosy zwisały mu teraz w tłustych strąkach, a twarz od szeregu już dni nie widziała brzytwy. Wyglądał na nieumytego i zmęczonego. No ale cóż, tutejsze warunki pozostawiały sporo do życzenia. Jego przytępione spojrzenie i zaniedbana sylwetka wynikały jednak nie tylko ze zmęczenia: świadczyły o pełnej napięcia, wyczerpującej mobilizacji uciekiniera.

– Miłe tu macie gniazdko – oznajmiłem. – Okazja na rynku?

Sammy wsunął rękę do kieszeni marynarki.

– Largo cię przysłał? – spytał.

– Largo? – spytałem z uśmiechem. – Piszę artykuł do czasopisma „Jak upiększyć rudera z ogródkiem” i chciałbym się dobrze temu miejscu przyjrzeć. Chyba nie macie nic

przeciwko? – spytałem. Jednocześnie zdałem sobie sprawę, że jest nas w pomieszczeniu czwórka: ja, Claire, Sammy i mierzący ze trzy czwarte metra, bardzo zielony i bardzo orientalny demon. Albo smok. Albo diabeł. Czymkolwiek był, postrzegalem to coś jako wyjątkowo szpetne dziwadło. Uśmiechał się do mnie szeroko, wysuwając spomiędzy jadeitowych kłów długi język. Sammy zauważył, że przyglądam się figurze.

– Weź go – powiedział. – Powiedz Largo, żeby zostawił mnie w spokoju. Nie pójdę na policję. Nic nie zrobię. Po prostu weź go i idź.

– Dzięki za ofertę – odparłem – ale nie konweniowałby mi kolorystycznie w mieszkaniu. Nie przyszedłem tu po ozdóbki, tylko po ciebie. – Sammy zacisnął dłoń na tym, co trzymał w kieszeni. Zacmokałem i pokręciłem głową. – Nie waż się, Sammy. Jesteś dużym chłopcem, ale moim skromnym zdaniem, nie na tyle dużym, by ryzykować jakiś nierozważny ruch.

– Kim jesteś? – spytała Claire, wpatrując się we mnie szeroko rozwartymi z przerażenia oczyma.

– Spokojnie, Claire. Jestem tym gościem, który chciał z tobą rozmawiać o Sammym. Zostałem wynajęty przez jego siostrę Sheilę Gainsborough, żeby go odnaleźć. Martwi się o niego.

Twarze im się wygładziły i w małej, zagrożonej chacie zapanowało uczucie ogromnej ulgi. Takiej ulgi, jakby tuż po zderzeniu „Titanica” z górą lodową ktoś znalazł całą flotyllę szalup ratunkowych, o których istnieniu nikt nie miał pojęcia. – Pewien jestem, że Paul Costello wszystko wam o mnie opowiedział – powiedziałem. – Paul i ja ucieliśmy sobie małą pogawędkę, zanim przepadł tak jak ty. A tak przy okazji – gdzie jest Costello?

Odpowiedź nadeszła natychmiast. Ktoś był na tyle uprzejmy, że wyłączył wszystkie światła, abym mógł bardziej nacieszyć się pokazem sztucznych ogni w mojej głowie. Po pokazie zanurzyłem się w jakiś głęboki, mroczny bezczas.

Ocknąłem się w piekle. A przynajmniej taka była pierwsza myśl, która pojawiła się w mojej głowie, gdy zacząłem odzyskiwać wzrok. Demon, na którego patrzyłem z poziomu podłogi, nie został wyrzeźbiony z jadeitu – był ulepiony ze znacznie mocniejszego, odporniejszego materiału.

– Co się stało? – spytałem, choć wiedziałem, że Śpiewak nie potrafi mi nic odpowiedzieć. Pomógł mi wstać. Nadal znajdowałem się w chacie. Sammy’ego, Claire i małego zielonego bożka już nie było. Zamiast nich zobaczyłem Pedikiurka McBride’a, przygarbionego pod zbyt niskim dla niego sufitem. Wyglądał tak, jakby podtrzymywał na barkach cały dach. Ale nawet gdyby zaszła taka konieczność, pewnie sprostaby temu wyzwaniu. Był tam też Willie Sneddon – mierzył mnie złośliwie wzrokiem, paląc papierosa.

– Gdzieś tu powinna być popielniczka – powiedziałem, gdy Śpiewak pomagał mi przyjąć pozycję siedzącą na pełniącej rolę stołu skrzynce. – Niech pan nie naprószy na dywan... Dopiero co skończyłem wiosenne porządki.

– Nigdy nie masz dość tego dowcipkowania, Lennox? – spytał Sneddon.

– W trudnych chwilach podnosi mnie to na duchu.

Ująłem głowę w dłonie, próbując ją uspokoić i powstrzymać walący w niej młot. Ostrożnie obmacałem kark. Skóra była nienaruszona, ale tuż za uchem ktoś wcisnął mi połówkę śliwki i bolało jak diabli. Ktoś przywalił mi od tyłu pałką w głowę. To był rodzaj uderzenia, które może człowieka uśmiercić. Wyobraziłem sobie pałkę zakreślającą łuk za moimi plecami i kiedy podążyłem za trzymającą ją wyimaginowaną dłonią, a potem ramieniem i barkiem, dotarłem oczami wyobraźni do twarzy młodego Costello. Prędzej czy później dopadnę tego chłystka. Wtedy zacznie się zabawa.

Podniosłem wzrok na Sneddona i zmarszczyłem czoło, bo nagle uderzyła mnie pewna myśl, co zresztą zaczynało mi już wchodzić w nawyk. – Jak mnie znaleźliście?

– Śpiewak od jakiegoś czasu ci towarzyszył. Tak po cichu, niepostrzeżenie – wyjaśnił Sneddon. – W tym jest niezły, bo

małomówny – dodał ze złośliwym uśmiechem.

– A czemu pan mu polecił mnie śledzić?

– Powiedzmy, że to takie zabezpieczenie. Nie daje mi spokoju myśl, że mógłby cię dopaść kryzys lojalności.

– Ale jak on...

– Miał kogoś ze sobą. Tama. Zawsze tak robimy. Polecił Tamowi, żeby pojechał do najbliższej miejscowości i do mnie zadzwonił. Resztę pisze mi na papierze. Dowiedziałem się od niego, że jakichś dwóch gości i jedna cizia wypadli stąd jak nietoperze z piekła. Kiedy Śpiewak i Tam zobaczyli, że nie wyszedłeś z nimi, weszli, żeby sprawdzić, co się dzieje. Myśleli, że już po tobie.

– Jak długo byłem nieprzytomny?

– Przez godzinę. My właśnie przyjechaliśmy. Zresztą i tak cię szukaliśmy.

– Ach, tak? – powiedziałem. Zwróciłem uwagę na minę Pedikiurka. Była niepokojąca. Inna rzecz, że niepokojące na jego twarzy było wszystko poza uśmiechem.

– Przykro mi, panie Lennox – odezwał się Pedikiurek. – Chodzi o Davey'ego...

– Davey'ego Wallace'a? Co z nim?

– Ktoś dał mu wycisk – powiedział Sneddon tonem wyrażającym, jak całkowicie mu to zwisa. – Naprawdę solidny wycisk.

– Jest w szpitalu Southern General, panie Lennox – powiedział Pedikiurek zbolatym barytonem. – Nie tak miało być. Zupełnie nie tak. To im-per-ty-nen-cja. Tak właśnie... im-per-ty-nen-cja, kurwa.

– Wylize się?

Sneddon wzruszył ramionami.

– Jak to się stało? – Próbowałem wytrząsnąć z głowy zalegającą tam jeszcze watę. Kiedy mi się to do pewnego stopnia udało, pojawił się tam obraz pełnej zapału, młodzieńczej twarzy Davey'ego. Cholera, cokolwiek mu się przytrafiło, to ja ponosiłem za to odpowiedzialność.

– Muszę iść. – Stałem na nogi, ale siła ciężkości nie

korespondowała z siłą mojej woli.

– Zawiozę pana – powiedział Pedikiurek, łapiąc mnie w locie, jakbym był dzieciakiem, który po raz pierwszy włożył na nogi łyżwy.

– Mój samochód... – wykrztusiłem słabym głosem. – Stoi za zakrętem, przy zagajniku.

Śpiewak wskazał w milczeniu na siebie i wyciągnął w moim kierunku rękę. Wręczyłem mu kluczyki i kiwnąłem głową. Mogła to być tylko gra mojej wyobraźni, ale zdawało mi się, że ostatnio nie był już przyczajony aż tak złowieszczo jak kiedyś.

Gdy dotarliśmy wreszcie do szpitala, niebo nabrało barwy aksamitnej purpury. O tej porze roku nigdy tak naprawdę nie zapadał zmrok. Glasgowski szpital Southern General, zanim został przystosowany do pełnienia swojej obecnej funkcji, gościł w swych murach koszary kawalerii, potem govański przytułek dla ubogich, a wreszcie zakład dla obłąkanych. W jakiś sposób udało mu się zachować wdzięk swoich poprzednich wcieleń i jego poszarpana wiktoriańska architektura była równie pociągająca jak zamek Frankenstein.

Wyłożone linoleum korytarze, którymi szliśmy, były jednak ciche i nie słyszałem żadnych odległych okrzyków „On żyje! On żyje!”, odbijających się echem od wykafelkowanych ścian. Skrupulatnie przestrzegane tutaj godziny odwiedzin już minęły i stanęliśmy naprzeciwko siostry przełożonej o powierzchowności tylko nieznacznie mniej odpychającej niż u matrony w Crathie Court. Miała tak samo zrosnięte brwi, a dodatkowo jakiś taki zarost nad górną wargą, który zaczynał niebezpiecznie przypominać wąsik Ronalda Colmana²⁷. Zastanawiałem się, skąd biorą się te wszystkie indywidua i doszedłem do wniosku, że może jednak baron Frankenstein faktycznie załapał tu jakąś fuchę. Spodziewałem się, że spotkamy się z chłodną odmową, ale Sneddon zapewnił nam wejście, wręczając siostrze

²⁷ Ronald Charles Colman (1891–1958) – brytyjski aktor, noszący charakterystyczne cienkie wąsy.

przełożonej specjalną przepustkę: nową, szeleszczącą, składaną przepustkę z wizerunkiem Jej Królewskiej Wysokości. Przełożona Karloff wetknęła dwudziestkę do fartucha i popędziła korytarzem przy akompaniamencie pisku stąpających po linoleum brzydkich pantofli na płaskim obcasie.

Davey miał samodzielny pokój. Uznałem, że to dzięki interwencji Snedдона i byłem mu za to wdzięczny, choć przypuszczałem, że wynikało to nie tyle z uczucia troski czy odpowiedzialności za Davey'ego, ile z chęci zadbania o mój komfort psychiczny, abym nie omieszkiał zdawać relacji ze wszystkiego, czego uda mi się dowiedzieć.

Ktoś faktycznie załatwił Davey'ego na cacy. Głowę i szczękę miał w bandażach, z których wylaniało się coś bardziej przypominającego maskę niż twarz. I to maskę karykaturalną, zdeformowaną opuchlizną, która zredukowała oczy do wąskich szczelin między rozdętymi płatami pokierszowanego ciała. Wyglądało na to, że miał złamany nos, choć na szczęście ten, kto zajął się chłopcem w szpitalu, zadał sobie trud, żeby mu go nastawić. Wargi miał popękane – dolna napuchła jak balon, przywodząc na myśl Maurice'a Chevaliera, a w górnej widniało kilka szwów.

– Davey, to ja, Lennox. Jak się czujesz, synku?

Davey zwrócił w moim kierunku głowę. Jego napuchnięte wargi wykrzywiły się, gdy chłopak próbował się uśmiechnąć. Poczulem, że ten prosty akt, ten uśmiech mimo bólu, wyzwała we mnie ogromną falę wściekłości.

– Kto to zrobił, Davey?

– Przepraszam, panie Lennox. Zawiodłem pana – wycedził Davey przez zaciśnięte zęby, bo zadrutowano mu złamaną szczękę.

– Nikogo nie zawiodłeś. Kto to zrobił?

– Nie widziałem ich. Zaszli mnie od tyłu i skatowali. Kiedy leżałem na ziemi, jeszcze mnie skopali. Potem straciłem przytomność. Pamiętam tylko tyle, panie Lennox.

– Okej, Davey... okej. Nie przejmuj się. Coś jeszcze masz złamane?

– Tylko szczękę... i kilka żeber. Doktor mówił, że mam chyba czaszkę ze stali. I że jego zdaniem nie doznałem żadnych trwałych uszkodzeń.

– To dobrze, Davey. Ani się obejrzysz, a wyciągniemy cię stąd i postawimy na nogi. Jestem ci winien premię.

– To niepotrzebne, panie Lennox. Niech pan mi tylko obieca, że będę jeszcze mógł dla pana pracować.

– Jasne, Davey. Jasne, że tak.

– Przyszedł mnie odwiedzić pan Kirkcaldy.

– Bobby Kirkcaldy?

– Tak... to on mnie znalazł. Zadzwoił po karetkę i tak dalej.

– Rozumiem. A czy widział, kto cię napadł?

– Nie. Zjawił się, kiedy już było po wszystkim.

– Rozumiem.

– Zgubiłem notes – wymamrotał Davey przez zadrutowane zęby.

– Jaki notes?

– Ten, który mi pan dał, panie Lennox. Ten, w którym wszystko zapisywałem.

– Nie martw się tym, Davey. Pewnie znajdę go w samochodzie albo gdzieś tam na ziemi. To w tej chwili nieważne.

– Przepraszam... – Głos Davey’ego dobiegał jakby z oddali. Z jego ust wydobył się cichy jęk.

– Odpoczywaj, Davey. Jutro znowu cię odwiedzę.

– Obiecujecie pan? – spytał jak dziecko. Przypomniałem sobie wtedy, że nie ma na świecie nikogo bliskiego. Ani rodziców, ani żadnego znanego mu rodzeństwa. Był dzieciakiem z sierocińca, który musiał sobie radzić całkiem sam. Ta myśl na nowo rozpałała moją wściekłość. Wściekłość zarówno na ludzi, którzy zmaltretowali Davey’ego, jak i na siebie za to, że przeze mnie znalazł się w takiej sytuacji.

– Obiecuję, Davey. Do zobaczenia jutro.

Wyszliśmy, aby Davey mógł zasnąć, i na korytarzu odbyliśmy ze Sneddonem naradę – na tyle spójną, na ile było to w tych

okolicznościach możliwe. Powiedziałem mu, aby zlecił swoim ludziom całodobową obserwację domu Kirkcaldy'ego. Poprosiłem też, aby poszukali notesu Davey'ego, głównie po to, żeby chłopaka uspokoić. Biorąc pod uwagę, że Śpiewak siedział mi na ogonie przez całą drogę aż do najdalszych zakątków Renfrewshire, a ja niczego nie zauważyłem, zasugerowałem, aby to jego wyznaczyć do „opieki” nad Kirkcaldym. Mnie zależało na tym, aby dopaść tych, którzy spuścili łomot Davey'emu, natomiast Sneddon coraz bardziej przebierał nogami, żeby dowiedzieć się, co dzieje się wokół Kirkcaldy'ego. Nie przejmował się tym, że ludziom dzieje się krzywda – zainwestował w Kirkcaldy'ego i po prostu nie chciał narazić się na straty. Cała reszta średnio go zajmowała.

Ruszyliśmy z powrotem do wyjścia ponurymi, wykafelkowanymi korytarzami. Głowa bolała mnie jak cholera, a mdłości zaczęły przekształcać się w natarczywe skurcze żołądka. Zatrzymałem się przy toalecie i ledwo zdążyłem wejść do kabiny, a chwyciły mnie torsje. Gdy było już po wszystkim, podszedłem do umywalki, aby ochłapać twarz zimną wodą. Spojrzałem w lustro i zobaczyłem zjawę z podkrążonymi oczyma, osadzonymi w trupio bladej masce. Nic dziwnego, że miałem takie cholerne powodzenie u pań. Intensywne szpitalne oświetlenie podkreślało moje ostre rysy: mocno zaznaczone, wysokie kości policzkowe i łuki brwiowe. Niewyraźne blizny na policzku, pozostałość po spotkaniu z niemieckim granatem ręcznym, też zdawały się bardziej rzucać w oczy. Przygładziłem dłońmi swoje ciemne włosy. Chirurg plastyczny musiał nieco posprzątać po tej mojej przygodzie z niemiecką amunicją i w rezultacie miałem mocniej napiętą skórę i bardziej wyostrzony kontur twarzy. Często spotykałem się potem z opinią, szczególnie ze strony kobiet, że przypominam trochę aktora Jacka Palance'a. Kobietom generalnie podobała się moja facjata. Mówiły, że twarz mam przystojną, ale że jest w niej jakiś cień okrucieństwa. Dlatego właśnie im się ona podobała, a ja jej nie znosiłem.

– Idziesz, kurwa? – Sneddon stał przy drzwiach toalety.

– Jasne – odparłem, pociągając nosem i wycierając twarz papierowym ręcznikiem. – Idę. Mam przecież robotę.

Spojrzałem po raz ostatni w lustro. Miałem wrażenie, że ten rys okrucieństwa nieco bardziej rzuca się w oczy.

Śpiewak odwiózł mnie atlantikiem do mieszkania. W połowie drogi musiałem go poprosić, żeby zjechał na pobocze, bo znowu dostałem torsji. Miałem zawroty głowy i mdłości oraz to dziwne uczucie odrealnienia, które towarzyszy wstrząśnieniu mózgu. Nie pierwszy raz dostałem w głowę i pewnie nie ostatni, choć jeden z lekarzy ostrzegł mnie, że moja czaszka w zasadzie wyczerpała już limit cięgow, jakie jeszcze może zebrać.

Gdy Śpiewak zatrzymał samochód przed domem, było tuż przed wpół do dwunastej. Pomógł mi dojść do drzwi. Podziękowałem mu, a on kiwnął głową: byliśmy już teraz serdecznymi kumplami. Wyszedł na ulicę i wsiadł do zielonego rovera, którym przyjechał za nami Pedikiurek. Nie poszedłem od razu na górę do swojego pokoju. Z mieszkania White'ów nie dobiegały żadne odgłosy, więc wykręcając numer Lorny, starałem się robić to jak najciszej. Czekałem ze słuchawką przy uchu dość długo, ale znów nikt nie odebrał.

Wszedłem na górę i nalałem sobie whisky, co było dużym błędem, bo odruch wymiotny pojawił się już po pierwszym łyku. Robiłem się już za stary na tego rodzaju wyglupy. Uznałem, że prawdopodobnie rano będę musiał gdzieś sprawdzić, czy nie mam czegoś z głową: niby nic nowego, ale tym razem nie chodziło tylko o metaforę.

Przed wojną, jako chłopak w Nowym Brunswiku, nieźle radziłem sobie z ołówkiem i pędzlem i nawet poważnie zastanawiałem się nad studiami artystycznymi w college'u w Halifaksie. Potem wybuchła wojna. Mój talent rysowniczy jednak nie zanikł, więc wyjąłem z szuflady kredensu czystą kartkę i ołówek, usiadłem za stołem i naszkicowałem to, co zapamiętałem z elementów jadeitowej figury widzianej dzisiaj w chacie. Kiedy skończyłem, głowa bolała mnie jeszcze

bardziej, ale byłem zadowolony z mojego rysunku. Nie była to może dokładna podobizna, jednak wynikało to raczej z luk w pamięci niż z braku umiejętności rysowniczych.

Napiłem się trochę wody z kranu, ponownie obmyłem twarz i przyłożyłem zwilżony ręcznik do śliwy za uchem. Musiałem wziąć się w garść. Ogoliłem się i przebrałem: garnitur nosił ślady mojej wiejskiej eskapady, więc czułem potrzebę, żeby się nieco odświeżyć. Łyknałem aspirynę, dawkę większą niż zalecana, ale co tam: na chwilę obecną wrzody żołądka były najmniejszym z moich zmartwień.

Wyszedłem z domu tuż przed północą, wgramoliłem się ociężale do atlantica i pojechałem do Pollokshields.

Kiedy podjechałem pod dom Lorny, Benny Goodman „tupał w Savoyu”²⁸. I to tupał tak energicznie, że słyszałem go już na podjeździe przed domem. Drzwi frontowe nie były zamknięte na klucz, więc wszedłem do środka. Nie było śladu Maggie, Jacka Collinsa ani żadnych innych dokooptowanych członków dynastii MacFarlane’ów.

Znalazłem Lornę w salonie: tańczyła samotnie przy puszczonej na pełny regulator płycie Benny’ego Goodmana. W jej wykonaniu wyglądało to raczej na „zataczanie się w Savoyu”, więc objąłem ją ręką w pasie i poprowadziłem do sofy. Odkryłem, że tuli do piersi ukrytego partnera do tańca. Wyjąłem jej z dłoni szklanę pełną słodowej whisky i posadziłem ją na kanapie.

– Cześć, przystojniaku. – Oparami, którymi wionęła mi w twarz, można by zatankować odrzutowiec. Spojrzała na mnie rozmytym wzrokiem z chłodnym uśmiechem. Przyzwyczailem się już do tego rodzaju spojrzenia w Glasgow: szkocka zadziorność to majstersztyk, filtrowany przez torf i owcze odchody i destylowany aż do osiągnięcia najwyższej próby. – Kopę lat.

²⁸ Nawiązanie do popularnego standardu jazzowego *Stompin' at the Savoy*, wykonywanego m.in. przez Benny’ego Goodmana.

Podszedłem do gramofonu i zerwałem igłę z płyty. Benny przestał tupać, a ja miałem nadzieję, że sąsiedzi nie zadzwonili jeszcze na policję.

– Wiesz, Lorno, to nie pomaga – powiedziałem, odstawiając szkocką na mały stolik poza jej zasięgiem.

– To tak jak ty. Ty też za bardzo nie pomagasz, co, Lennox? – Napała na moją klatkę piersiową, jakby chciała pozbyć się jakiegoś wielkiego utrapienia. – Czemu więc zawdzięczam tę przyjemność? Nagle sobie o mnie przypomniałeś?

– Czytałem gazety. Chciałem zobaczyć, jak się miewasz.

– No to zobaczyłeś. Możesz odejść... – Odprawiła mnie wyniosłym, acz mało skoordynowanym ruchem dłoni.

– Nie wyjdę, dopóki nie wytrzeźwiejesz, Lorno. Zrobię ci kawy.

– Pieprzę kawę. Pieprzę ciebie, Lennox. – Po raz pierwszy usłyszałem w ustach Lorny przekleństwo. – Aha... czy o to właśnie ci chodzi? Chcesz, żebym się z tobą pieprzyła, Lennox? Łączy nas przecież taka głęboka relacja, nieprawdaż, kochanie?

– Lorno, przestań. Cały dzień próbowałem się z tobą skontaktować. Nie sądziłem, że tak ciężko pracujesz nad jutrzejszym kacem. Zanim kawa się zaparzy, przyniosę ci trochę wody. – Poszedłem do kuchni, napełniłem czajnik i postawiłem go na gazie. Wylałem whisky do zlewu, wypłukałem szklanekę, napełniłem wodą i przyniosłem Lornie. Spojrzała na nią pogardliwie, ale usiadłem obok niej i dopilnowałem, żeby wypła do dna.

– Przepraszam, Lorno. Powinienem był przyjeżdżać tu częściej – powiedziałem, i to całkiem szczerze. – Tylko że zaprzętało mnie kilka innych spraw, włącznie z dochodzeniem dotyczącym niektórych prowadzonych przez twojego ojca interesów. Miałem nadzieję, że dowiem się czegoś o okolicznościach jego śmierci. Ale teraz to wszystko wydaje się zbędne. Czy policja już z tobą rozmawiała o tym aresztowaniu?

Kolejne lekceważące machnięcie dłonią. Tym razem już mniej wyniosłe. – Pokazali mi jakieś zdjęcie. Pytali, czy już kiedyś tego gościa widziałam.

– I co, widziałaś?

Potrząsnęła głową przecząco z ponurą miną. – Jakiś cholerny Cygan. Kiedy tata wracał z Shawfield do domu, gość musiał go kilka razy śledzić, żeby rozpracować jego marszrutę. Potem zasadził się na niego...

– Czy tak ci powiedziała policja?

– Nic mi nie powiedzieli. Rozmawiali najpierw trochę z Maggie, a potem z Jackiem.

– Jackiem Collinsem?

– Tak... To członek rodziny – powiedziała i roześmiała się gorzko. Ostatnio w ogóle była zgorzkniała.

– Cygan musiał się tu włamać i czekać, aż... – Zaczęła płakać. – Tatus...

Objąłem ją, ale odsunęła się ode mnie.

– Jadłaś coś?

Wzruszyła ramionami. Poszedłem do kuchni, zaparzyłem kawę i zrobiłem kilka tostów. Znowu musiałem nakłaniać Lornę, żeby wypła kawę i zjadła tosty. Ja też się napiłem, i to jakoś bez odruchu wymiotnego. Aspiryna zaczynała działać i ból głowy jakby nieco zelżał, choć przypominało to raczej próby motyla, aby muśnięciami skrzydła zetrzeć kulę armatnią.

Siedzieliśmy tak przez godzinę, nic nie mówiąc, a ja poilem Lornę kawą. W końcu nastąpiło to, co nieuniknione – musiała pobiec do toalety. Wróciła z poszarzałą twarzą i zaciekami rozmytego makijażu. Dobrana z nas była para. Nakłoniłem ją do wypicia kolejnej porcji kawy. Jej głos był już mniej bełkotliwy, a stosunek do mnie mniej nienawistny.

– A dlaczego chcieli rozmawiać z Jackiem Collinsem? – spytałem w końcu.

– To dotyczyło interesów taty. Czy przypadkiem jego śmierć nie miała z nimi czegoś wspólnego. Zadawał się z różnymi typami. Tak jak ty.

Puściłem ten przytyk mimo uszu.

– Podejrzewają, że Collins jest jakoś w to zamieszany?

Wzruszyła od niechcienia ramionami, niezbyt jeszcze trzeźwa.

– A czy ja wiem. Jack nie wdawałby się w nic takiego. To dobry

chłopiec...

Czułem, że nic szczególnie sensownego z niej nie wyciągnę, więc zaprowadziłem ją na górę do sypialni i ułożyłem na łóżku. Złapała mnie za klapy marynarki, zbliżając moją twarz do swojej. Chciała wpić się we mnie ustami, ale łagodnie ją odsunąłem i zapakowałem z powrotem do łóżka.

– Zostań ze mną, Lennox. Spędź tu noc...

– Okej – powiedziałem. Była to odruchowa reakcja, jak wtedy, gdy lekarz uderzy nam w kolano tym swoim małym gumowym młoteczkim.

Obudziła mnie Maggie MacFarlane. Spojrzałem na nią, mrugając oczyma. Dawka zalewających pokój promieni słonecznych była dla mojej pokiereszowanej łepetyny po prostu zbyt obfita.

– Wyglądasz okropnie – powiedziała bez cienia uśmiechu. Spojrzenie miała twarde i chłodne.

Podniosłem się na sofie do pozycji siedzącej. Byliśmy w salonie. Ten mój irytujący szarmancki rys znowu dał o sobie znać i przekoczyłem noc na sofie. Żeby nadać mojej rycerskości właściwe proporcje, trzeba stwierdzić, że chyba ani Lorna, ani ja nie czuliśmy się minionej nocy na siłach, aby próbować numerów w stylu horyzontalne tango. Siedziałem więc na sofie obolały i w parszywym nastroju. Spojrzałem na swoje spodnie, które były pomięte bardziej niż twarz osiemdziesięcioletniego Nepalczyka, i pogratulowałem sobie świetnego pomysłu, aby przebrać się przed przyjazdem do Lorny.

– Gdzie byłaś? – spytałem, przeciągając się.

– A co ci, do diaska, do tego?

– Przyjechałem zeszłej nocy, a Lorna była nawalona jak messerschmitt. Przydałoby jej się nieco macoszego wsparcia. Słyszałaś o tym, że zaarrestowali jakiegoś włóczęgę podejrzanego o zamordowanie Bilona?

– Oczywiście. – Od Maggie nadał wiało chłodem, co było

zupełnie do niej niepodobne. – Policja mnie poinformowała. Więc to jednak był rabunek.

– Czy ktokolwiek sugerował coś innego? – spytałem.

– Chyba powinnam zajrzeć na górę do Lorny – odparła Maggie, unikając odpowiedzi na moje pytanie.

– Ja pójdę – powiedziałem, kładąc rękę na jej ramieniu. Natychmiast ją jednak usunąłem, gdy Maggie spojrzała na mnie, jakbym był trędowaty. I jeszcze cierpiał na malarię. I kibicował Celticowi. – Obiecałem, że się nią zajmę. – Podchodząc do drzwi, rzuciłem jeszcze przez ramię: – A jak się ma twój pasierb? Czy może przyrodni pasierb? Bo już się w tym gubię.

– O czym ty mówisz? – Teraz wyczułem to w jej głosie całkiem wyraźnie: jakieś napięcie i cień niepewności. Odwróciłem się do niej.

– O młodym Jacku Collinsie, tym eleganckim niebieskim ptaku. Domyślam się, że właśnie z nim spędziłaś ostatnią noc? Wiem, że jest nieślubnym synem Biloną.

– Wydaje mi się, że powinieneś zająć się swoimi sprawami i nie wtykać nosa w cudze – powiedziała Maggie. Słowa były zdecydowane, ale ton już jakby łagodniejszy. Jak doświadczony żeglarz zmieniający kurs względem wiatru wywnioskowała, że powinna nieco zmienić podejście. – Słuchaj, Jack to dobry chłopak i traktował Biloną...

– Jak ojca? – dodałem usłużnie.

– No właśnie. Twoje insynuacje są bezpodstawne.

– Skoro tak twierdzisz – odparłem. Nie miałem czasu na takie przepychanki. – Lepiej pójdę zobaczyć, co z Lorną.

Nie był to miły widok. Podczas snu zwymiotowała na pościel, więc musiałem postawić ją na nogi i zaprowadzić do łazienki, a sam zająć się łóżkiem. Minęła godzina, zanim udało mi się doprowadzić Lornę do porządku i odjechać do domu. Dużo płakała ze wstydu, co pewnie wynikało z małego doświadczenia w pijaństwie. W Glasgow rzecz rzadko spotykana.

Dotarłem do siebie około dziesiątej rano. Dzień zapowiadał

się rewelacyjnie: akurat gdy podchodziłem ścieżką do drzwi wejściowych, pojawiła się w nich Fiona White. Omiotła wzrokiem mój pomięty garnitur i wymizerowaną twarz. Nie było sensu tłumaczyć, że to nie kac, a wstrząśnienie mózgu, więc gdy mnie minęła bez słowa, uchylilem tylko kapelusza.

Gdy już się odświeżyłem, pojechałem do Blanford i zapukałem do drzwi Kirkcaldy'ego. Nikogo nie zastałem, więc wróciłem do miasta i odnalazłem adres w Maryhill, pod którym mieściła się jego siłownia. Było to przeniknięte odorem potu pomieszczenie w starym budynku przy ulicy Bantaskin – znacznie większe i mniej starannie wyposażone niż zaadaptowana piwnica w domu Kirkcaldy'ego. Był tam też wujek Bert, którego oddanie bratankowi zawstydziłoby niejednego psa przewodnika. Kirkcaldy odbywał akurat sparring na ringu z ubranym w kask i ochraniacze partnerem. Bert podszedł do mnie i jak na swoje możliwości był wyjątkowo życzliwie nastawiony, choć i tak oznaczało to, że wiało od niego chłodem graniczącym z wrogością.

– Widzieliśmy, co się stało z chłopakiem – powiedział przez nos. – Kiepska sprawa. Bobby jest zmartwiony, że go pobito akurat wtedy, gdy obserwował dom.

– Doceniam to – powiedziałem. – Jak również fakt, że Bobby pofatygował się do szpitala, żeby go odwiedzić. Byłeś tam, kiedy Bobby go znalazł?

– Tak, obaj wracaliśmy właśnie stąd do domu. Chłopak leżał obok samochodu, kurewsko poobijany. Ktoś musiał zająć go od tyłu, rąbnąć w łepetynę, a potem niezłe skopać.

– Tak sądzisz?

– Na to wyglądało. Biedny dzieciak. Chcesz pogadać z Bobbym? Nic więcej ci raczej nie będzie w stanie powiedzieć, ale jak najbardziej możesz poczekać, aż skończy.

Potrząsałem przecząco głową. – Nie, dzięki, nie trzeba. Przekaż, że wpadłem tu, żeby mu podziękować.

– Jasne.

Ranek zapowiadał się na niezbyt produktywny. Zajrzałem do Jimmy'ego Costello. Kiedy wszedłem, jego dwaj goryle, Skelly i Young, siedzieli przy barze. Przyglądali mi się pogardliwie, ale zdążyłem już do tego przywyknąć. Po Skellym widać było jeszcze skutki naszej niedawnej zabawy. Spytałem Jimmy'ego Costello, czy miał jakieś wieści od Paula. Powiedział, że nie i widać było, że mówi prawdę.

– Czemu pytasz? – powiedział. – Trafiłeś na jakiś ślad?

– Nie, mam śliwę na potylicy i jestem prawie pewien, że to prezent od twojego syna. Wytropiłem Sammy'ego Pollocka, ale nie zadbałem o tyły, że tak powiem.

– Ale po co Paul miałby coś takiego robić?

– Może nie jest całkiem przekonany, że naprawdę chodzi mi tylko o odnalezienie Sammy'ego. Czy coś ci wiadomo o skradzionym jadeitowym posążku, przedstawiającym jakiegoś orientalnego smoka czy demona?

– Nie... – Domyśliłem się, że była to automatyczna odpowiedź Costello na wszelkie pytania o kradzione towary, więc trochę go nacisnąłem. – Słuchaj, Jimmy, to ważne. Wydaje mi się, że Paul i Sammy Pollock porwali się z motyką na słońce. Spytam jeszcze raz: na pewno nic nie wiesz o żadnej skradzionej jadeitowej figurze?

– Przysięgam, Lennox. A jeśli Paul coś na ten temat wie, to nic mi, kurwa, o tym nie mówił. Nie żeby mnie to dziwiło. Nie gadamy ze sobą zbyt wiele.

Indagowałem Costello jeszcze przez pół godziny, ale kręciliśmy się tylko w kółko. Kiedy wychodziłem, Skelly rzucił mi kolejne paskudne spojrzenie. Śliwa za uchem przypomniwała o sobie kolejnym, mocniejszym paroksyzmem bólu, a jednocześnie przez głowę przemknęła mi myśl, że może to wcale nie Costello przywalił mi z ukrycia. Podszedłem do Skelly'ego i zwlokłem go ze stołka, na którym siedział przy kontuarze. Jego lojalny kumpel wycofał się.

– Masz jakiś problem, dupku? – Postawiłem na dyplomację.

– To nie ja mam problem – odparł Skelly, wyrywając mi z garści garderobę. – I nie chcę żadnych kłopotów.

– A więc to ja mam problem, tak? Czy to chcesz powiedzieć?
– Nic nie chcę powiedzieć. Jak mówiłem, nie chcę żadnych kłopotów.

– No to zachowuj się, synku, kiedy jesteś w towarzystwie.

Skelly z ponurą miną odwrócił się do mnie plecami. Nie było w nim woli walki, co nie znaczyło, że w półmroku i od tyłu nie potrafiłby użyć pałki.

Pozwoliłem mu się dąsać w spokoju i zignorowałem zniecierpliwione spojrzenie, jakie rzucił w moją stronę najwyraźniej wkurzony Jimmy Costello. Zdawałem sobie sprawę, że przeciągam strunę, ale pękała mi głowa i byłem w podłym nastroju, a poza tym miałem dziś wrażenie, że wszyscy kłamią albo coś przede mną ukrywają.

Obietnic trzeba dotrzymywać. W obiadowej porze odwiedzin pojechałem do Davey’ego do szpitala. Ucieszył się na mój widok, choć widziałem, że jest obolały jak diabli. Ja zresztą czułem się niewiele lepiej. Rozmawialiśmy i dowcipkowaliśmy, ale cały czas nie opuszczała mnie tłąca się gdzieś w mrocznej głębi mojej duszy wściekłość.

Po wyjściu ze szpitala zadzwoniłem do Sheili Gainsborough z pytaniem, czy moglibyśmy się spotkać u niej w mieszkaniu albo w moim biurze. Zaznaczyłem, że to ważne i nie nadaje się do omawiania przez telefon. Udało mi się ją przekonać i zgodziła się na spotkanie u siebie w mieszkaniu, lecz potrzebowała godziny na pozalátwanie pewnych spraw. Podała mi nazwę jakiejś kawiarni nieopodal budynku, w którym mieszkała i powiedziała, że możemy spotkać się tam. Wszystkie te formy towarzyskie były zbędne i nużące, ale byłem zbyt wykończony, żeby wdawać się w jakieś dyskusje.

Pojechałem na West End, znalazłem właściwą kawiarnię przy ulicy Byres i zająłem stolik przy oknie. Był to jeden z tych włoskich lokali, gdzie robili całe widowisko z przyrządzania filizanki kawy w buchającym parą ekspresie, który bulgotał tak, że miało się wrażenie, iż za chwilę pociągnie za sobą z dworca

głównego pociąg do Londynu. Ale przynajmniej kawa była dobra.

Sheila Gainsborough spóźniła się pięć minut. Zdyszana, przeprosiła za poślizg. Zdjęła z szyi apaszkę i wszyscy w kawiarni demonstracyjnie próbowali nie wytrzeszczać na nią oczu. Gdyby to robili, raziloby to znacznie mniej niż niezdarne, ukradkiem rzucane spojrzenia. Podszedł kelner, który wyglądał tak, jakby dopiero co zszedł ze statku z Neapolu, ale odezwał się tak, jakby dopiero opuścił prom z Renfrew, i przyjął jej zamówienie na kawę.

– Ma pan jakieś wiadomości? – spytała rzeczowo. Na twarzy miała rumieńce i mimo podłego nastroju oraz obolałej głowy przemknęła mi przez głowę myśl, jak miło byłoby być powodem takich rumieńców.

– Jak wspominałem przez telefon, panno Gainsborough – powiedziałem cicho – powinniśmy to załatwić u pani w mieszkaniu albo w moim biurze. Czy się to pani podoba, czy nie, jest pani celebrytką, i wszyscy w takim miejscu nastawiają uszu. Nigdy nie wiadomo, kiedy trafi się na dziennikarza albo na gliniarza.

Dotarło do niej, o co mi chodzi. Dopiliśmy swoje kawy w pośpiechu i milczeniu, a potem przeszliśmy kilka przecznic do jej mieszkania. Zabudowa w tej części miasta składała się głównie z czynszówek, rezydencji miejskich i czasem osobnych willi. Budynek, w którym mieszkała Sheila Gainsborough, stanowił wyłom w pokrytych sadzą wiktoriańskich i georgiańskich fasadach: była to plomba w stylu art déco, licząca na oko ze trzydzieści lat. Jedną z interesujących cech Glasgow było bogactwo i różnorodność tutejszej architektury: styl wiktoriański, slums, art déco, slums, styl georgiański, slums...

To miejsce miało klasę. Sheila wprowadziła mnie do ogromnego, jasnego holu, w którym człowiek miał wrażenie, że cofnął się do lat dwudziestych. Zasalutował nam portier w liberii o wyglądzie byłego wojskowego, ale z rocznika, który walczył raczej z Kajzerem niż z Führerem, i wjechaliśmy windą

na najwyższe piętro.

– Chce pan drinka? – spytała, kładąc torebkę i apaszkę na krzesło w przedpokoju. – Sądząc po wyglądzie, przydałby się panu.

– Przydałby się, ale pewnie bym po nim padł. – Przeszedłem z przedpokoju do salonu. W całym mieszkaniu panowała czystość i porządek. Meble były w tym samym stylu art déco, co architektura budynku – proste i gustowne. Ta elegancka prostota niosła ze sobą jednocześnie subtelną sugestią dotyczącą ich ceny. Jedną ze ścian wypełniało ogromne panoramiczne okno, którego połąć dzieliły tylko dwa cienkie, białe słupki okienne. Rozpościerał się z niego widok na miasto w kierunku uniwersytetu i Kelvingrove.

– Proszę... – powiedziała, niecierpliwym gestem wskazując mi krzesło. Usiadłem. Gdyby Sheila Gainsborough kazała mi wyskoczyć przez to okno, chyba też bym to zrobił. Sama nie usiadła, tylko stanęła z kurczowo zaciśniętymi dłońmi. – To dotyczy Sammy’ego, prawda? – spytała z niepokojem.

Podniosłem do góry dłonie. – Sammy’emu nic nie jest. Wczoraj wieczorem go widziałem.

– Dzięki Bogu, jest bezpieczny... – wyrwało jej się przez zaciśnięte gardło. Oczy zasnuły jej łzy ulgi.

– Przykro mi, panno Gainsborough, ale nie sądzę, aby był bezpieczny. Widziałem go wczoraj wieczorem, był cały i zdrowy, owszem, ale ma poważne kłopoty. I jest bardzo przestraszony.

– To dlaczego, na miłość boską, nie zabrał go pan ze sobą?

– Dlatego, panno Gainsborough, że ktoś walnął mnie od tyłu w głowę i straciłem przytomność. I kiedy ja zażywałem odpoczynku, Sammy ze swoją dziewczyną i uslužnym współnikiem dali drapaką.

Mina jej zrzedła. Było mi jej żal, ale niewiele mogłem zrobić, żeby nadać sprawie jakiś bardziej pozytywny wydźwięk.

– Obawiam się, że Sammy wplątał się w jakąś niebezpieczną kabałę – powiedziałem. – I przerosło go to bez dwóch zdań. Pamięta pani Paula Costello? Tego gościa, który był

w mieszkaniu Sammy'ego i, jak się zdaje, miał do niego swobodny dostęp?

Sheila przytaknęła.

– Mam silne podejrzenie, że to właśnie młody pan Costello mnie obezwładnił. Obaj są w tę sprawę zamieszani, czegokolwiek ona dotyczy.

– Wiedziałam, że Sammy zadaje się z jakimiś podejrzanymi typami... – Znowu zmarszczyła swoje ładniutkie czołko. – Gdzie go pan znalazł?

– Koczował gdzieś w jakiejś walącej się ruderze na odludnym wiejskim zadupiu. Odnalazłem go tylko dlatego, że udało mi się spłoszyć jego aktualną dziewczynę, Claire Skinner, która mnie do niego doprowadziła.

– Koczował...? – Jej oczy znowu zaszyły łzami. – To co teraz zrobimy?

– Będę nadal szukał. Sądzę, że jest szansa na to, żeby on się z panią skontaktował. Wyglądał na głodnego i wyczerpanego. Przypuszczam, że będą mu potrzebne pieniądze. Jeśli faktycznie będzie próbował się z panią skomunikować, muszę o tym wiedzieć. Niezależnie od tego, co będzie opowiadał, musi mnie pani zawiadomić. Zrozumiała pani?

– Zrozumiałam.

– W tej chacie, w której byłem, stało coś dziwnego. Posążek smoka. Wyglądał, jakby był wykonany z jadeitu, i to gdzieś w Chinach. Coś to pani mówi?

Potrząsnęła przecząco głową. – Sądzi pan, że go ukradli?

– Jestem o tym niemal przekonany. Nie wiem, czy właśnie dlatego wydaje im się, że sam diabeł ich ściga. Naprawdę nie wiem, ale mam poważne przypuszczenia, że podwędzili to komuś, kto gotów zabić, byle to odzyskać.

– Skąd, na Boga, mogliby coś takiego ukraść?

– Nie wiem. Ale może jest ktoś, kogo mógłbym o to spytać.

XII

Choć może się to wydać dziwne, jestem typem mola książkowego. Dużo czytam. Ba, gotów jestem przeczytać niemal cokolwiek – dowolnego autora, na dowolny temat. Jak wspominałem Dexowi Devereaux, jedynym wyjątkiem jest dla mnie twórczość Hemingwaya.

Glasgow było miastem, które lubiło chełpić się swoją wiedzą. Uniwersytet był zespołem imponujących swoimi rozmiarami wiktoriańskich budowli, ale najdobitniejszym wyrazem erudycji miasta była położona majestatycznie w samym jego centrum, brylująca miedzianą kopułą i niezliczonymi korynckimi kolumnami Biblioteka Mitchella. Pierwotny projekt architektoniczny nie przewidywał wzniesienia kopuły w stylu londyńskiej katedry św. Pawła, ale radni miejscy przeforsowali ten pomysł. Teraz Biblioteka Mitchella wołała na całą Szkocję i resztę świata: „Widzicie... mamy jednak książki!”.

Czekałem w sali głównej biblioteki, gdy podszedł do mnie niewysoki mężczyzna z przedwcześnie siwiejącymi włosami.

– Cześć, Lennox – powiedział, energicznie potrząsając moją dłoń. Ian McClelland był osobnikiem nadzwyczaj wylewnym. Jego zaraźliwy entuzjazm podnosił mnie na duchu za każdym razem, gdy się spotykaliśmy. Mimo swojego nienagannego celtyckiego nazwiska, McClelland był Anglikiem z Wiltshire, który obrał typową dla przedstawicieli wyższej klasy średniej drogę, prowadzącą przez czołowe szkoły prywatne i Cambridge. Był chyba jedyną znaną mi osobą, która wiedziała, jak poprawnie posługiwać się przy stole nożem do ryb. Nie miałem błędnego pojęcia, co ktoś taki jak on robi w Glasgow.

McClelland był wykładowcą nauk politycznych i specjalistą od spraw Dalekiego Wschodu, a poznaliśmy się na gruncie akademickim. Ja wówczas zajmowałem się koniugacją

czasowników z młodą lektorką francuskiego. Romans nie przetrwał, przetrwała natomiast przyjaźń z McClellandem. Ubierał się jak nauczyciel akademicki, ale z jakiegoś powodu na niego nie wyglądał. Nieraz miałem podejrzenia, że McClelland, który w końcu spędził sporo czasu na Dalekim Wschodzie, był w jakiejś mierze zaangażowany w działania wywiadowcze.

– Jak leci, Ian? – spytałem tonem przystojącym w bibliotecznych podwojach. – Czy zdeprawowałeś ostatnio jakieś młode studentki?

– Tylko na gruncie intelektualnym, staruszkule, nie inaczej. Mówiłeś przez telefon, że chodzi o jakąś jadeitową figurę, czy tak?

Zwróciliśmy sobie zniecierpliwioną uwagę jakiejś pochylonej nad papierami za jednym z biurków pary wyglądającej na pracowników naukowych. McClelland poprowadził mnie do innego biurka, gdzie wcześniej rozłożył kilka encyklopedii.

– Tak – odpowiedziałem, gdy już usiedliśmy. – I to szpetną jak noc. Z kłami i wielkimi, wylupiastymi oczami. To chyba był smok. Zdaje mi się, że miał racice jak koza. A może to był demon. O... – Podsunąłem mu zrobiony przez siebie szkic.

– Smok to jedna z głównych postaci w folklorze Chin. – McClelland zmarszczył czoło, oglądając rysunek. – Ale to, co tu narysowałeś, to nie smok, tylko *qilin*. Świadczą o tym racice. Racice żyrafie. Mówisz, że to jest zrobione z jadeitu?

– No chyba że Chińczycy wyrabiają swoich bogów z zielonego bakelitu.

– To zrozumiałe, że mogłeś wziąć go za smoka. W obiegu jest sporo jadeitowych smoków. Mówiłeś, że ile miał wysokości?

– Gdzieś ponad pół metra.

– To może być wart ładną sumkę.

– Ile?

– Nie sposób powiedzieć bez dokładnego obejrzenia. To zależy od jakości jadeitu, a tu są ogromne różnice. I rzecz jasna często zdarzają się podróbki. Jeśli to autentyczna, lita jadeitowa figura, to tysiąc. Może nawet dwa. Czy zieleń miała taki głęboki,

szmaragdowy odcień?

– Światło było kiepskie, więc bardziej rzucił mi się w oczy jego kształt. Ale był zielony. – Zacząłem znowu głowić się nad tym, co dokładnie zobaczyłem, ale głowa jeszcze nie była na to całkiem gotowa. – Nie... może to nie była szmaragdowa zieleń. Była bledsza, taka bardziej mleczna. Czemu pytasz?

– Jadeit cesarski cechuje się cudowną przejrzystością i głęboką szmaragdowozieloną barwą. Jest rzadki i niezwykle cenny. Ale ten egzemplarz, który opisałeś, może być zrobiony z czegokolwiek. Może nawet nie z jadeitu. – Zauważył, że zmarszczyłem brwi. – Nie to, czego się spodziewałeś?

– Tysiąc pięćset funtów to mało, biorąc pod uwagę, ile ta rzecz spowodowała kłopotów.

Wzruszył ramionami. – To zostało skradzione?

– Powiedzmy tylko, że próbuję doprowadzić do tego, żeby to wróciło do prawowitego właściciela, z nadzieją, że w ten sposób wybawię kogoś z opresji. I to naprawdę bardzo poważnej opresji.

McClelland spytał, czy mógłby na kilka dni zachować mój szkic, na co przystałem bez sprzeciwu. Kiedy wyszedłem z chłodnego, kamiennego wnętrza biblioteki, zderzyłem się z panującą na zewnątrz duchotą. Znalazłem budkę telefoniczną i zadzwoniłem do szpitala, ale jakaś nadgorliwa pielęgniarka powiedziała, że nie udzieli mi żadnych informacji, bo nie jestem krewnym Davey'ego.

Popołudnie spędziłem na niańczeniu swojej bolącej głowy i dumaniu, czy rzeczywiście nie powinienem gdzieś sprawdzić, jakiej doznałem kontuzji. Dwie godziny odpoczynku jakoś jednak pomogły, więc zarzuciłem te ambitne plany. Zadzwoniłem na komendę główną policji i poprosiłem o połączenie z Dexem Devereaux.

– Hej, kanucki Jasiu, jak się masz? – Amerykański akcent Devereaux przez telefon wydawał się jeszcze bardziej wyrazisty.

– Nieźle. Chciałem cię o coś spytać. Ile liczą sobie transporty wysyłane przez Largo do Stanów? Chodzi mi o rozmiary albo wagę.

– To są wysyłki rzędu dwudziestu kilo.

– To niewiele.

– Kwotowo całkiem sporo. Za heroinę płaci się około dolara za gram. To daje tysiąc dolarów za kilogram, więc każda dokonywana przez Largo dwudziestokilogramowa wysyłka warta jest dwadzieścia tysięcy dolarów. Nie wiem, ile to jest w tutejszej walucie. Powiedziano mi, że bieżący kurs wymiany to dwa dolary i osiemdziesiąt centów za funta szterlinga, więc oblicz to sobie sam. Na ulicy ten towar jest dosłownie dwa lub trzy razy droższy od złota.

– Byłoby więc dość łatwo go w czymś ukryć, i to bez żadnego śladu w listach przewozowych – powiedziałem, wyobrażając sobie rząderek brzydkich jadeitowych demonów.

– Już ci to mówiłem. To jest jak bomba atomowa. Mały ładunek, ale o ogromnym polu rażenia, gdy trafi na ulice. Masz coś, Lennox?

– Nic konkretnego... Na razie tylko pewne przypuszczenia... Wydaje mi się jednak, że część ostatniego ładunku Largo została skradziona przez kilku miejscowych chłopaków. Amatorów, którzy robią teraz w portki ze strachu. A to by znaczyło, że może mógłbym cię doprowadzić nie tylko do Largo, ale i do części towaru.

– Lennox, jeśli jesteś tego pewien...

– Nie jestem, Dex. Niczego nie jestem pewien. Jak mówię, to tylko intuicja i mógłbyś jedynie stracić czas, podążając tym tropem. Ale jeśli moje podejrzenia okażą się słuszne, przekażę całą resztę tobie i będziesz mógł poprowadzić lokalną policję za rączkę, żeby mogli dokonać aresztowań. Najpierw muszę jednak uporać się z pewną drobną robotą. Dzięki za informacje, Dex. Będę w kontakcie.

Odwiesiłem słuchawkę, nie dając Devereaux sposobności do wywierania dalszej presji. Układałem sobie to wszystko w głowie i potrzebowałem czasu do namysłu. I do tego, żeby popchnąć do przodu kilka innych tematów.

Jednego wciąż nie potrafiłem rozgryźć, a mianowicie sprawy morderstwa Bilon MacFarlane'a. Dręczyło mnie to i sam nie potrafiłem zrozumieć, dlaczego. Posunąłem się niemal do oskarżenia Maggie MacFarlane o łózkowy związek z Jackiem Collinsem, nie miałem jednak żadnego powodu przypuszczać, że w ich relacji może kryć się coś jeszcze. Jakoś nie umiałem wyobrazić sobie Jacka Collinsa jako zakochanego Waltera Neffa, a Maggie, choć niezła z niej była sztuka, nie była jednak Barbarą Stanwyck²⁹. Wypytałem już Lornę, najdelikatniej jak potrafiłem, o polisy ubezpieczeniowe i testament. Faktycznie, zarówno Maggie, jak i – choć w znacznie mniejszym stopniu – Jack Collins odnieśli ze śmierci Bilon MacFarlane'a jakieś korzyści, ale lwia część przypadła Lornie. Zgodnie ze szkockim prawem Maggie jako wdowa miałaby uzasadnione powody, aby zakwestionować testament MacFarlane'a, lecz według Lorny, która i tak miała podejrzliwy stosunek do swojej macochy, Maggie nie nosiła się z takim zamiarem.

Ale i tak nie dawało mi to spokoju.

Płacą mi za wściubianie nosa. I najczęściej płacą mi za wściubianie nosa tam, gdzie inni stanowczo sobie tego nie życzą. A moim najbardziej irytującym nawykiem jest wściubianie nosa tam, gdzie inni stanowczo sobie tego nie życzą i wtedy, gdy nikt mi za to nie płaci. Kiedy pojawiłem się w obozowisku na Vinegarhill, poczułem, że mój nos jest tu wyjątkowo niepożądany. Miałem poważne obawy, że ktoś mi go tam utrże.

Zaparkowałem samochód przy ulicy Molendinar. Był to z mojej strony akt wiary i starałem się nie myśleć o tym, ile postawiłby Tony Polak na to, że kiedy wrócę, nie zastanę go już w jednym kawałku, a może nawet nie zastanę w ogóle. Obóz tinkersów rozbity był nieopodal cukrowni, na zaśmieconym,

²⁹ W filmie *Podwójne ubezpieczenie* główny bohater, Walter Neff wraz z Phyllis Dietrichson (w jej roli Stanwyck) mordują jej ubezpieczonego na życie męża.

odgrodzonym murem nieużytku, na który wchodziło się przez nigdy niezamykaną, dwuskrzydłową żelazną bramę. Stało tam kilka nowoczesnych przyczep kempingowych, ale ogromną większość stanowiły tradycyjne wozy cygańskie: malownicze konne wozy z zaokrąglonymi dachami, przystające do powszechnego romantycznego wizerunku Cyganów. Między niektórymi wozami widać było nierówne kopuły pokrytych plandekami szałasów.

Mojemu przybyciu nie towarzyszył nęcący aromat gotującego się na wolnym ogniu gulaszu ani dźwięki pełnej pasji skrzypcowej muzyki. Ci wędrowcy nie pochodzili z węgierskich równin ani z karpackiego pogórza, chyba że z węgierskich równin i karpackiego pogórza rozciągał się widok na zatokę Galway. A najbardziej romantyczną sceną, jaką tam ujrzałem, była kopulacja dwóch spuszczonech z łańcucha kundli. Po obozowisku szalała grupka bosonogich dzieciaków i kątem oka zauważyłem, że gdy tylko wszedłem na dziedziniec, za moimi plecami pojawiło się dwóch młodych mężczyzn.

Taki obrót spraw jest dla mnie zazwyczaj sygnałem, aby sięgnąć do kieszeni po pałkę, ale w takim miejscu i w zetknięciu z tego rodzaju ludźmi byłoby to nierozważne posunięcie. Boleśnie nierozważne posunięcie. Uznałem, że będę musiał zdać się na dyplomację jak kapitan kawalerii z białą flagą, wysłany na pertraktację do obozowiska Indian. Przeciąłem plac, kierując się w stronę starszego mężczyzny, który stał oparty o jeden z wozów i palił fajkę. Po drodze minąłem wóz z zamkniętymi okiennicami i ciemnoczerwonymi wstążkami owiniętymi wokół dyszla.

– Szukam ojca Tommy’ego Furie – powiedziałem, kiedy doszedłem do mężczyzny. – Gdzie go mogę znaleźć?

– Baro? Czego od niego chcesz? Kim ty, kurwa, jesteś? – Staruszek wyprostował się i wyjął z ust fajkę. Splunął zielonkawą, lepka flegmą, która rozprysnęła się obok mojego buta. Jimmy’ego Stewarta i Randolpha Scotta³⁰ nigdy w taki

³⁰ Popularni aktorzy amerykańscy pochodzenia szkockiego, grający często w westernach.

sposób nie traktowano.

– Jak mówię, chciałbym z nim porozmawiać. I jestem pewien, że i on bardzo chętnie ze mną pogawędzi. To co – podpowie mi pan, gdzie go szukać, czy nie? – Byłem świadom tego, że dwaj młodzieńcy zajęli pozycje na flankach tuż za moimi plecami. Staruszek gestem głowy wskazał jedną z nowoczesnych przyczep kempingowych, największą ze stojących na placu. Kiwnąłem głową i ruszyłem w jej kierunku, zostawiając gwardię honorową za sobą.

Sean Furie, rosły mężczyzna powyżej pięćdziesiątki, za młodu był prawdopodobnie mocno umięśniony, ale zdążył obrosnąć tłuszczem. Okalające wielką twarz gęste, kruczoczarne włosy bez jednego pasemka siwizny miał naoliwione i zaczesane do tyłu. Najwyraźniej zarówno on, jak i wuj Bert Soutar korekty nosa dokonywali u tego samego chirurga plastycznego. Jedyna różnica polegała na tym, że nochal Seana był dodatkowo czerwony, spuchnięty i usiany purpurowymi naczynkami krwionośnymi. Trądzik cygański – tak postanowiłem nazwać tę przypadłość, stanowiącą skutki zbyt bliskich kontaktów z gołymi pięściami i alkoholem.

Wyjaśniłem mu, kim jestem i o czym chciałem z nim porozmawiać. Byłem przygotowany na jego ostrą reakcję, ale mnie zaskoczył. Przemówił w sposób zadziwiająco łagodny i uprzejmie zaprosił mnie do przyczepy. W środku unosiła się charakterystyczna woń. Nie brała się z brudu ani nie była nieprzyjemna, tylko charakterystyczna. W porównaniu z wozami, które widziałem na zewnątrz, przyczepa wydawała się ogromna. Wyłożona była drewnianą boazerią i składała się z małej kuchni, saloniku i jeszcze jednego pomieszczenia, oddzielonego od reszty drzwiami. Domyśliłem się, że to sypialnia.

Na drugim końcu saloniku siedziała na wbudowanej sofie zażywna, ciemnowłosa, smętnie wyglądająca kobieta powyżej czterdziestki. Usiedliśmy, a ona wstała i bez jednego słowa i spojrzenia wyszła, przeciskając się obok mnie, aby dojść do drzwi. Wyglądało to na utarty zwyczaj: gdy Furie miał do

załatwienia jakieś interesy, kobiety znikają. Zaproponował mi whisky i przyjąłem poczęstunek.

– Kiedy wchodziłem, zauważyłem jakieś wstążki przyczepione do jednego z wozów. Takie czerwone. – Postanowiłem najpierw trochę rozluźnić atmosferę. Często opłacało się wykazać trochę cierpliwości, zamiast od razu walić prosto z mostu. – Czy to jest związane z jakimś świętem?

– Można by tak to ująć... – Furie zaśmiał się gorzko. – Wkrótce i my podobnie przystroimy przyczepę. Kiedy mi powieszają chłopaka.

– Aaa... rozumiem.

– To symbol śmierci – wyjaśnił Furie. – I żaloby. Czerwień i biel to romskie barwy związane z żalobą.

– A kto zmarł?

– Nie wiem. To rodzina Nachin, której nie znam.

– Nachin?

– Szkockich Cyganów. My jesteśmy Minceir, z Irlandii. Travellersi z Anglii nazywają się Romanichal, a z Walii Kalé. Ale tutaj wszyscy są albo Minceir, albo Nachin.

– Rozumiem – odparłem. Zapaliłem papierosa i poczęstowałem go. Skorzystał, ale schował go za ucho.

– Powieszają mi chłopaka za coś, czego nie zrobił, panie Lennox – powiedział Furie ze swoim miękkim irlandzkim akcentem. – Wrobili go, ot co. Kiedy będzie po wszystkim, zobaczy pan czerwone wstążki na tej przyczepie.

– Tommy jeszcze nie miał procesu, panie Furie, a co dopiero mówić o orzeczeniu winy i wyroku. Jeśli tego nie zrobił, to trudno będzie udowodnić coś przeciwnego – skłamałem.

– No, on tego nie zrobił. Ale pan i tak spodziewa się, że będę tak mówił, prawda? – powiedział. – Myśli pan, że nawet gdyby to zrobił, to bym temu zaprzeczał. W końcu wszyscy jesteśmy kłamcami i złodziejami, czyż nie?

– Tego nie powiedziałem.

– Ale pomyślał pan, prawda?

– Prawdę mówiąc, to nie. Niczego w tej sprawie nie jestem pewien. Ale coś mnie w tym popełnionym na MacFarlanie

morderstwie niepokoi. Może faktycznie pański syn jest w to wrabiany, ale jeśli tak, to przez kogo i w jaki sposób?

– Jest travellersem. Innego powodu im nie trzeba.

– Z całym szacunkiem, ale to nie tak. Nie można tego sprowadzić do prostego faktu, że pański syn był niewłaściwą osobą w niewłaściwym miejscu o niewłaściwej porze. A jak przedstawia to policja?

Furie zrekapitulował całą historię. Tommy Furie był jednym z pięściarzy, w których szkolenie zaangażował się Bilon MacFarlane. Czytając między wierszami, domyśliłem się, że Bilon organizował walki na gołe pięści i przyjmował na nie zakłady. Tak więc mógł istnieć jeszcze inny powód, dla którego Sneddon chciał, abym odnalazł prowadzony przez zamordowanego bukmachera notes z poufnymi informacjami. Zastanawiałem się, kto w ogóle zaczął organizować regularne walki w kupionym niedawno przez Sneddona w Dunbartonshire gospodarstwie. Sean Furie wyjaśnił, że jego syn zaczął pracować jako partner sparingowy w kilku salach treningowych i że Bilon załatwił mu szereg legalnych walk na ringu. Bilon był znany z tego, że miał węża w kieszeni i w pewnym momencie doszło między nimi do zatargu o pieniądze za którąś z walk. Tommy Furie kilka razy przy świadkach skarżył się na to.

– Był na siłowni tego wieczoru, kiedy zamordowano MacFarlane’a – powiedział Sean Furie. – To był jeden z jego wieczorów sparingowych. Dostał wtedy wiadomość telefoniczną, że ma pojechać do domu MacFarlane’a, aby odebrać tę zaległą należność za walkę.

– To MacFarlane do niego dzwonił? – spytałem.

– Nie. Ktoś zatrudniony przez MacFarlane’a. Tak przynajmniej powiedział. Nie przedstawił się Tommy’emu. A w każdym razie Tommy sobie tego nie przypomina. To dobry chłopak, tylko nie najbystrzejszy.

– Rozumiem – powiedziałem, próbując nie dać po sobie poznać, jak zaskoczyła mnie ta nowina.

– No więc Tommy pojechał. Nigdy wcześniej tam nie był, ale

miał adres. Wybrał się w obie strony tramwajem. Później opowiadał mi, że kiedy pukał, nikt nie zareagował, ale okazało się, że drzwi były otwarte. Wszedł do pokoju i znalazł MacFarlane'a na podłodze. Martwego. Tommy nie jest aż tak twardy, jak można by przypuszczać, więc wpadł w panikę. Wybiegając, przewrócił lampę i cofnął się, żeby ją podnieść.

– A potem policja znalazła na niej jego odciski palców?

– Tak, właśnie.

– Co gliniarze jeszcze na niego mają?

– Kiedy wracał tramwajem, zapamiętała go konduktorka, bo był taki roztrzęsiony. No i mają jego odciski palców z domu MacFarlane'a, z pokoju, gdzie został zamordowany.

– I to wszystko?

– Wystarczy – odparł Furie – żeby skazać pajka.

– Nie, nie wystarczy. A co mówi adwokat?

– Żeby przyznał się do winy, to go nie powieszają.

– Genialne... – Pokręciłem głową. – Sugeruję, żebyście zmienili adwokata.

Przy tego rodzaju przedsięwzięciu, jakie planowałem – mogącym mianowicie sprawić, że człowiek wyląduje po niewłaściwej stronie solidnych krat – przygotowania mają kluczowe znaczenie.

Miałem niedużą czarną torbę podręczną, którą przyniosłem do salonu i położyłem na stole. Obok niej rozłożyłem podwójną stronę wyjętą z gazety „Glasgow Herald”. Do torby włożyłem mocarne szczypce do cięcia drutu, parę czarnych skórzanych rękawiczek i czarny sweter z golfem. Miałem dwa korki zachowane z opróżnionych butelek po winie. Oba nadpaliłem nad płomieniem zapalki, po czym pozostawiłem je, aby wystygły. Następnie włożyłem do torby resztę ekwipunku: parę czarnych tenisówek, lampkę rowerową, krótką, przypominającą łom łyżkę do opon i obie swoje pałki.

Gdy nadwęglone korki już wystarczająco wystygły, zawinąłem je starannie w kawałek gazety i włożyłem do torby. Zamyśliłem

się przez chwilę nad swoim wysoce profesjonalnym doбором gadżetów. Gdyby zatrzymał mnie jakiś policjant, zaintrygowany tym, co też mogę trzymać w takim neseserze, to pewnie dostałbym trzymiesięczny wyrok za zamiar przestępczy.

Celowo ubrałem się w ciemniejszy garnitur, który pewnie był zbyt ciężki jak na tę porę roku, ale odpowiedni do tego, co zamierzałem.

Miałem jeszcze sporo czasu, ale załadowałem wszystko do samochodu już teraz, żeby przypadkiem Fiona White nie usłyszała, jak wychodzę z domu w środku nocy.

Wrzuciłem torbę do bagażnika atlantica i pojechałem do domu MacFarlane'ów w Pollokshields, gdzie około siódmej czekała na mnie Lorna. Zabrałem ją do kina Odeon przy ulicy Sauchiehall na *Milionera bez grosza* z Gregorym Peckiem. Wypad do kina mógł wydawać się nie na miejscu, ale zależało mi na tym, aby choć na dwie godziny zapomniała o swoich zmartwieniach.

Lorna niewiele powiedziała przed filmem, w jego trakcie i po nim, tylko podziękowała mi grzecznie, nie zapraszając do siebie, gdy ją odwoziłem. Odjeżdżając, zauważyłem zaparkowanego na podjeździe lanchestera Jacka Collinsa.

Willie Sneddon miał swoje nawyki. Nawyki starannie pielęgnowane. I czasem osobliwe.

Umówiłem się z nim na spotkanie w łaźni Victoria, gdzie regularnie zażywał kąpieli parowych i pływał. Łaźnia Victoria była świątynią z piaskowca, marmuru i porcelany, położoną na zachodnich krańcach miasta. Mieściła w sobie basen pod kopułą w stylu włoskim, łaźnię turecką, łaźnię parową, stoły do masażu i salę do odpoczynku. Był to prywatny klub, ale członkowie mogli przyprowadzać gości, wśród których było wielu radnych i urzędników miejskich, starszych rangą funkcjonariuszy policji, a czasem i posłów. Większość z nich opuszczała ten przybytek z wypchanymi kieszeniami. Podobno udzielano tu więcej pozwoleń na budowę i licencji na

prowadzenie pubów i klubów niż na ratuszu.

Czekałem na Snedдона we foyer. Sam nigdy nie zażywałem kąpieli w łaźni, a tym bardziej w innych kąpieliskach miejskich, a to od czasu, kiedy przekonałem się, że „basen” i „pisuar” to w języku glasgowczyków synonimy. Miałem przynajmniej towarzystwo, bo zastałem tam już Pedikiurka McBride’a, budzącego postrach wśród personelu i przechodzących gości. Robił to zupełnie nieświadomie i biernie, bo działał tak na otoczenie nawet w pozycji siedzącej.

– Jak leci, panie Lennox? – zagadnął z ożywieniem, gdy zobaczył, że się zjawiłem. Po czym w jednej chwili zmienił ton na poważny. – Jakież wieści o młodym Daveym?

– Nic mi nie chcą powiedzieć, bo nie jestem rodziną, ale dziś go poszedłem odwiedzić. Jakoś daje sobie radę.

– Pan się dowie, kto to zrobił młodemu Davey’emu, panie Lennox, a ja już się zajmę tymi skurwielami. Włącznie z ich dużymi palcami u stóp. I niech pan się nie martwi, zrobię to z gracją.

– Słucham?

– Z gracją... – Pedikiurek zmarszczył czoło. – No, za darmo...

– Aaa... chciałeś powiedzieć „gratis”.

– Właśnie. Doиграли się... to, co zrobili Davey’emu, było bół-wier-szu-ją-ce.

Miałem już na końcu języka słowo „bulwersujące”, ale pozwoliłem mu tam pozostać: lepiej nie poprawiać Pedikiurka. Jak już wspominałem Sneddonowi, lubię swoje stopy takie, jakie są, czyli razem z palcami.

– Doceniam to, Pedi – powiedziałem tylko z uśmiechem.

– Cała przyjemność po mojej stronie. A jak inne sprawy? – Pedikiurek oparł łokcie na kolanach i nachylił się w moją stronę z uśmiechem. Był to ogromny, szeroki uśmiech na ogromnej, szerokiej twarzy, osadzonej między ogromnymi, szerokimi barami. Pedikiurek był przyjaźnie nastawionym cielskiem, które w okamgnieniu mogło przeistoczyć się w cielsko śmiertelnie niebezpieczne. – Słyszałem, że paradował pan ostatnio z jakąś niezłą kobitką – dodał.

Przemknęło mi przez głowę, że ma na myśli Sheilę Gainsborough, ale po chwili załapałem, o kogo mu chodzi. – A, tak... Lorna MacFarlane. Córka Bilony. Faktycznie, ma nieco klasy. Tutaj to rzadko spotykane. Nieco klasy i nieco ogłady towarzyskiej. Właśnie to mi się w kobietach podoba.

– Naprawdę? A mnie duże cyce i ciasna cipka.

Nie zdążyłem ustosunkować się do jego upodobań, bo otworzyły się wiktoriańskie witrażowe drzwi oddzielające foyer od głównych pomieszczeń łaźni i pojawił się w nich w towarzystwie jednego ze swoich goryli zaróżowiony na twarzy Sneddon, bez krawata pod rozpiętym kołnierzykiem koszuli i w drogiej sportowej marynarce z wielbłądziej wełny.

– Przepraszam, nie przeszkadzam? – rzucił krotocwilnie, widząc, że nieco mnie zamurowało.

– Nie... Tu obecny pan Charles Boyer³¹ udzielał mi tylko kilku rad dotyczących spraw męsko-damskich.

Sneddon podszedł do recepcji i napisał coś w rozłożonej tam księdze gości.

– Wpisałem cię – powiedział. – Chodźmy na drinka. Pedi... poczekajcie tu z Tamem. To nie potrwa długo.

Sneddon poprowadził mnie do dużej sali klubowej. Wystrój miała taki, że taniej by wyszło wytapetowanie jej po prostu pięcioletkami. Pod względem ekstrawagancji przewyższała chyba nawet Kupiecką Pieczęć. Obite skórą meble z wypolerowanego szlachetnego drewna aż lśniły, a atlasowe draperie miały barwę głębokiego szkarłatu. Tapety w burgundowe lilie na kremowym tle były tak mięsiste, że można by je wręcz czyścić odkurzaczem jak dywan. Na jednej ze ścian dominował ogromny onyksowy kominek. Przyszło mi do głowy, że tak właśnie wygląda piekło, jeśli ma się bilet na pierwszą klasę.

Sneddon skierował kroki w przeciwległy róg sali i usiadł na czerwono-brunatnej skórzanej otomanie, która kiedyś musiała być ze trzema krowami. Ja zająłem miejsce po drugiej stronie stolika do kawy, na reszcie stada. Obaj mieliśmy za plecami

31 Charles Boyer (1899–1978) – francuski aktor filmowy.

ciemnoczerwone draperie i czułem się jak w jakiejś szkarłatnej jaskini.

– Niech pan posłucha, panie Sneddon... wynajął mnie pan do pewnej roboty. Ale nie może pan mi zlecać czegoś, nie wprowadzając w szczegóły. Nie ujawnił pan pewnych kluczowych informacji. Rozumiem, że musi pan pilnować swoich interesów i pewnie są sprawy, o których lepiej, żebym nie wiedział, ale w tym wypadku efekt był taki, że zaliczyłem więcej ślepych zaułków niż labirynda z placu Blythswood. – Przerwałem na chwilę, bo podszedł ubrany w burgundową marynarkę kelner z dwiema szklaneczkami słodowej whisky na srebrnej tacy. Poczekalem, aż się oddali i ciągnąłem dalej. – Policja aresztowała Tommy’ego „Pistoleta” Furie pod zarzutem zamordowania Bilon. A ja mam wrażenie, że go ktoś wrobił. Co więcej, wygląda mi to na bardzo dokładnie przygotowaną akcję. Koordynacja czasowa była tu sprawą kluczową. Ktoś zadzwonił do sali treningowej, w której ćwiczył Tommy Furie, i wezwał go do domu MacFarlane’a. Ten ktoś doskonale wiedział, że Tommy trenuje o tej porze na siłowni i będzie można mu przekazać wiadomość. Przypuszczam, że Bilon wtedy jeszcze żył, a został zabity dopiero wówczas, gdy było pewne, że Furie do niego jedzie. Co znaczy, że sprawcy byli dość zuchwali i wiedzieli, że w razie konieczności będą mogli przełożyć akcję na inny termin. A to sugeruje, że bardzo dobrze znali zwyczaje Bilon.

– Więc jak niby z tego wszystkiego wynika, że coś przez tobą ukrywałem? Chcesz powiedzieć, że miałem coś wspólnego z tym, że Bilon dostał w czapę?

– Nie. Twierdzą natomiast, że ten terminarz, o odszukanie którego mnie pan prosił, nie ma nic wspólnego z walkami na gołe pięści. Walkami na gołe pięści o dużą kasę. Jeśli mam rację, to znaczy, że ma pan znacznie więcej powodów do niepokoju niż to, że policja zaprosi pana na wizję lokalną do domu MacFarlane’a. Tommy „Pistolet” Furie był jednym z pięściarzy, których dla pana szykował MacFarlane. A teraz jego własny adwokat mówi mu, że będzie miał szczęście, jeśli

nie skończy na stryczku w więzieniu Barlinnie. Furie powie gliniarzom wszystko, co tylko będzie mógł, żeby ocalić skórę. I w pewnym momencie wypłynie też pana nazwisko. Jedyne wyjście, jakie widzę, to dowiedzieć się, kto naprawdę zabił MacFarlane'a i dlaczego.

Sneddon przyglądał mi się w skupieniu – na podobieństwo krokodyla przyglądającego się antylopie.

– Okej – odezwał się w końcu. – Faktycznie były pewne sprawy, które chciałem zachować dla siebie. Ale one nie wykluczają udziału tego pajka. Jeśli już, to wręcz wskazują na to, że właśnie on to zrobił. Bilon MacFarlane i ja mieliśmy wspólne interesy. Organizowaliśmy walki. Ale nie takie, jakie widziałeś na farmie, nie tę pieprzoną młóckę na gołe pięści w wykonaniu jakichś pajków. Choć masz rację, że Bilon pomagał mi też w organizowaniu czegoś takiego. My mieliśmy na oku coś lepszego.

– Co?

Sneddon nie odpowiedział od razu, tylko rozejrzał się wkoło, jakby taksując wzrokiem otoczenie. – Widzę, jak ludzie czasem tutaj na mnie patrzą. I jak patrzą na mnie nawet tam, gdzie, kurwa, mieszkam, kiedy na przykład wychodzę z psem na spacer. Odwracają wzrok. Nie chcą mi, kurwa, spojrzeć prosto w oczy. Mają takich jak ja, Cohen i Murphy za ostatnie szumowiny. Boją się nas. Ale coś ci powiem: to oni budzą mój lęk. – Przerwał, bo kelner wrócił do naszej szkarłatnej jaskini, żeby wymienić nam opróżnione szklaneczki na pełne.

– Powinieneś zobaczyć, jak zachowują się tak zwani przeciętni obywatele, kiedy ludzie tacy jak ja zaspokajają ich zachcianki – powiedział Sneddon, gdy kelner się oddalił. – To oni, kurwa, są potworami. Mam udział w pewnym burdelu w Pollokshields, niedaleko domu MacFarlane'a. To lokal dbający o dyskrecję. Jedna z dziewcząt została tam tak pobita, że myśleliśmy, kurwa, że nie przeżyje. Zapewnienie jej leczenia bez zbędnego rozgłosu kosztowało mnie fortunę. Żebyś widział tego skurwiela, który jej to zrobił. Mały, gruby, łysy kutas, który na pierwszy rzut oka nie skrzywdziłby nawet muchy. Ale gdy został sam na sam z tą

dziewczyną, to przeistoczył się w jakąś, kurwa, bestię.

– Wydalicie go policji? – Wymknęło mi się głupio.

– Taa, jasne. Dokładnie tak. A jak sądzisz, co zrobiliśmy? Pedikiurek zapewnił mu nowy środek lokomocji, wózek inwalidzki, kurwa.

– Co to ma wspólnego z MacFarlane’em i waszymi układami?

– Jak mówiłem, nie masz, kurwa, pojęcia, czego pragną zwykli ludzie. Im paskudniejsze zachcianki, tym bardziej oczekują, że im to zapewnisz. Pewnie mi nie uwierzysz, Lennox, ale ja sporo czytam. Historia i tego typu duperELE.

Wzruszyłem ramionami. Nie zaskoczyło mnie to, bo już przy pierwszym naszym spotkaniu wyczułem w Sneddonie jakąś ukrytą, mroczną inteligencję. Król Bystrzak.

– Dużo czytałem na temat starożytnego Rzymu. Nie ma żadnej różnicy między rzymskimi cezarami a glasgowskimi Królami. Tam był nawet triumwirat. Trzech Królów. Z historii można się dużo nauczyć.

– Czy ja wiem – odparłem. – Osobiście uważam, że historia nie ma przyszłości.

Sneddon nie roześmiał się na mój żart, zresztą nie pamiętam, żebym kiedykolwiek był świadkiem jego śmiechu. – Dużo czytałem o Koloseum. Zawsze było wypełnione po brzegi. Zwykli ludzie zjawiali się, żeby zobaczyć, jak leje się krew, i napawać się śmiercią. Im więcej było w tym, kurwa, okrucieństwa, tym lepiej. Wiesz, że zmuszano, kurwa, do walki na miecze dzieci, i to na śmierć? Albo taki element komediowy – umieszczano na arenie niewidomych. Siekali się tam na drobne kawałki, ale trwało to, kurwa, wieki, zanim jeden z nich albo obaj ginęli, bo walcząc, nie widzieli się nawzajem. A publiczność to, kurwa, wprost uwielbiała. – Przerwał na chwilę, żeby upić odrobinę whisky. W połyskliwej marynarce, wymanikiurowany – na tle otaczających nas szkarłatnych draperii wyglądał jak towarzyski szatan. – I nic się nie zmieniło – ciągnął dalej. – Zaczęliśmy zbijać dużą kasę na walkach na gołe pięści. Im brutalniejsza była walka, tym większy tłum ścigał tydzień później. Więc zaczęliśmy organizować specjalne

walki. Po specjalnych cenach. Bilety były dostępne tylko dla stałych bywalców.

– Specjalne? Już mam gęsią skórę. A co konkretnie było w nich specjalnego? – spytałem, choć wyobraźnia zdążyła mi podsunąć kilka okropnych ewentualności.

– Wszystkie chwytły były dozwolone. Żadnej broni, ale poza tym dozwolone było wszystko – kopanie, duszenie, wylupywanie oczu, gryzienie. Zaczęło się skromnie, a potem popyt systematycznie rósł. Im więcej krwi, tym większe tłumy. I tym wyższe ceny biletów, rzecz jasna.

– Okej – powiedziałem. – Wal pan... co się wydarzyło?

– Ktoś zginął... – Sneddon wzruszył ramionami, jakby ludzka śmierć była drobnostką. – Jakiś pajk. Coś mu się stało z głową i zaczęła mu się, kurwa, zewsząd lać krew – z nosa, z uszu... nawet, kurwa, z oczu...

– Niech zgadnę... potem chciał zdążyć na pociąg. – Pokręciłem z niedowierzaniem głową. Wszystko było od samego początku jasne jak na dłoni.

Sneddon jak zwykle wygiął usta w grymasie mającym przypominać uśmiech. – Niezły z ciebie, kurwa, bystrzacha, co, Lennox? Wszystko kojarzysz. Taa... to właśnie ten pajk rozjechany przez pociąg. Więc nikt się nawet nie domyśla...

– I tu się pan właśnie myli. – Odstawiłem szklankę i nachyliłem się w jego kierunku. – Zajmuje się tym nowy, tryskający entuzjazmem lekarz sądowy. Bardzo zapalony do nowatorskich metod w medycynie sądowej. No i on właśnie wydedukował, że ten pana pajk pięściarz to nie był jakiś pijak, który zabląkał się na tory kolejowe. Wykazał nawet, że przed śmiercią gość był zaangażowany w jakąś bójkę.

– I co, kurwa, z tego?

– To, że ma pan problem. A raczej kolejny problem. Glasgowska policja uważa teraz, że to było morderstwo. Niech mi pan wierzy, najchętniej odfajkowaliby to jako wypadek, ale nie mogą. Właśnie z powodu tego bystrego nowego lekarza sądowego.

– Kurwa. – Sneddon zacisnął szczęki. Co było poniekąd

zaskakujące, bo wydawało się, że na jego zaciętej twarzy nie ma już miejsca na taki manewr. – Wiedziałem, że trzeba było gościa przemielić. Tylko nie chciałem, żeby Murphy się o tym zwiędził.

Pokiwałem głową. Młot Murphy, jeden z pozostałych Trzech Królów, był właścicielem zakładu mięsnego w Rutherglen. Było tajemnicą poliszynela, że za pomocą zakładowej maszynki do mięsa pozbyto się kilku ciał. Trzech Królów miało umowę, że w razie potrzeby Murphy będzie odpłatnie zapewniał taką samą usługę Sneddonowi i Cohenowi. Nie po raz pierwszy rozważyłem przejście na wegetarianizm.

– Powinien był mi pan powiedzieć to wszystko na samym początku – powiedziałem. – Byłoby wtedy łatwiej.

– Morderstwo. Kurwa. I to akurat tym razem, kiedy nic nie było... – Sneddon pokręcił samokrytycznie głową. Wyglądał jak golfista, któremu nie udało się wykonać łatwego na pierwszy rzut oka uderzenia. Przemknęło mi przez głowę, że może w środowisku morderców też istnieje coś w rodzaju systemu rankingowego.

– Mówi pan, że to był travellers?

– Tak, pajk... Bo co?

– Cóż, to może znaczyć, że nie ma żadnych oficjalnych śladów jego istnienia. Żadnego aktu urodzenia, książeczki wojskowej czy numeru ubezpieczenia. Brak dokumentów znaczy, że z biurowego punktu widzenia nigdy nie istniał, a to utrudnia powiązanie go z jakimiś innymi osobami. Sugeruję, żeby pan to przeczekał.

– A co z jego rodziną? – spytał zaszępiiony Sneddon.

– Nie sądzę, żeby poszli na policję. Mam wrażenie, że już przeboleli stratę.

– Jesteś, kurwa, pewien? – spytał Sneddon. – Przecież nawet nie wiesz, kim oni są.

– Kiedy odwiedziłem obozowisko w Vinegarhill, widziałem tam wóz cygański przybrany w czerwone wstążki. Ciemnoczerwone. To u nich właśnie barwy żałoby, nie czerni. Nie znaczy to oczywiście, że chodzi właśnie o tego zawodnika.

Jak się nazywał?

– A skąd ja mam to, kurwa, wiedzieć? Przecież to był tylko pajk.

– Wróćmy do samych walk. Jaki miał w nich udział Bilon MacFarlane?

– Organizował je i przyjmował w moim imieniu zakłady. Dostawał pewien procent od zarobku, a ja zapewniałem lokal oraz ludzi do egzekwowania nieopłaconych zakładów.

– To on wyszukiwał pięściarzy?

– Taa... w pewnym sensie. Załatwiał to z kimś, kto ich podsuwał. Umowa była taka, że płaci za to ze swojej doli. – Sneddon westchnął ciężko. – To Bert Soutar wynajdywał ich dla Bilona.

– Soutar? – Na chwilę ogłuszył mnie okrzyk „Eureka!” w mojej głowie. – Ach, rozumiem... więc Bobby Kirkcaldy też coś z tego miał?

– Tak, pośrednio. Kirkcaldy to dobry bokser i w sobotę spuści łomot temu Szkopowi. Ale kiedy razem z Cohenem postanowiliśmy w niego zainwestować, zażądaliśmy, żeby zbadał go niezależny lekarz. Okazało się, że ma spieprzone serce. To się nazywa arytmia. Jeszcze ze dwie, trzy duże walki i będzie musiał kończyć karierę. Związek Bokserski raczej gównie o tym wie. Bystrzy to oni za bardzo nie są. A Kirkcaldy lubi mieć pieniądze, więc łapie każdą okazję, jaka się nadarza.

– To dlatego miał taką zadyszkę... – powiedziałem pod nosem, bardziej do siebie niż do Snedдона, przypomniawszy sobie, ile kosztowała Kirkcaldy’ego ta rozgrzewka ze skakanką w domowej siłowni. To tłumaczyło też, dlaczego tak dużo ćwiczył właśnie tam, a nie w miejskiej sali treningowej, gdzie inni mogliby być świadkami jego słabej kondycji.

– Czyli Kirkcaldy albo Bert Soutar powinni znać nazwisko tego zmarłego travellersa? – spytałem.

– Może tak, a może nie.

Rozsiadłem się wygodniej w mięsistym, czerwonym fotelu i wypilem nieco whisky. Wszystko zaczynało nabierać sensu.

– Więc nie przyszło panu do głowy, że te wszystkie symboliczne pogrożki to sprawka travellersów?

– Pajków? Bo jeden z nich zginął? Nie, nawet mi to przez myśl nie przeszło.

– Aż trudno w to uwierzyć.

Sneddon nachylił się w moją stronę, jakby chciał się ze mną podzielić jakąś wielką tajemnicą. – Byłbym bardzo ostrożny z nazywaniem mnie kłamcą, Lennox. Bardzo, kurwa, ostrożny.

Zamilkłem na chwilę, dokonując w myślach szybkiego bilansu odwagi i rozwagi.

– A więc Soutar dostarczał pięściarzy do tych walk, a Bilon je organizował i przyjmował w pana imieniu zakłady. A co z Jackiem Collinsem? W gruncie rzeczy to on, a nie Bilon, organizował te walki.

– Nee. Z nim też prowadziliśmy interesy, ale dotyczyło to legalnych walk bokserskich. To, co ci mówiłem tego wieczoru, kiedy zleciłem ci tę robotę, było prawdą. Organizowaliśmy legalne walki, w których obsadzaliśmy kilku w miarę porządnymi pięściarzy. Tym zajmował się Collins. A ten młody pajk, który podobno załatwił Bilona... walczył zasadniczo na gołe pięści, ale zaczął wyrastać na rasowego boksera. Teraz zresztą i tak to wszystko diabli wzięli.

– Śpiewak nadal pilnuje Kirkcaldy’ego? – Dopitem whisky i wstałem z fotela.

– Tak...

– To dobrze. Nie wolno Kirkcaldy’ego spuszczać z oka.

– Dokąd idziesz?

– Mam trochę papierkowej roboty.

Zaparkowałem samochód w miejscu niewidocznym z głównej drogi, pod tchnącym wilgocią wiaduktem, i przez pół godziny siedziałem tam, paląc i wsłuchując się w unoszące się nad Clyde metaliczne odgłosy. Nocą było ciszej i chłodniej, ale stocznia i doki remontowe nigdy tak naprawdę nie zasypiały. Miejsce, w którym się zatrzymałem, było ziemią niczyją, położoną między czynszówkami a dokami. Bez konkretnego powodu nikt się tutaj nie zapuszczał. Biorąc pod uwagę moje plany, miało to

swoje dobre i złe strony. Była bardzo mała szansa, aby ktokolwiek zauważył mój stojący w tym ustronnym miejscu samochód, ale ci nieliczni, którzy by się tutaj zapuścili, przypuszczalnie mieliby tak jak ja niezbyt chwalebne zamiary albo należeliby do instytucji zajmującej się ściganiem takich delikwentów. Ostatnia rzecz, jaka była mi potrzebna, to żeby jakiś patrol policyjny natknął się na mojego atlantica.

Nade mną przetoczył się pociąg i jego stukot odbił się wilgotnym echem pod wiaduktem. Zgasilem papierosa i wyjąłem z bagażnika sprzęt. Zdjąłem marynarkę i naciągnąłem na koszulę golf. Buty zamieniłem na tenisówki. Zwęglonymi korkami usmoliłem twarz. Gdyby teraz przyuważył mnie jakiś patrolujący gliniarz, musiałbym albo go przekonać, że zmierzam na jakiś wodewilowy występ z akcją umiejscowioną na Czarnym Łądzie, albo ryzykować te trzy miesiące w więzieniu Barlinnie. Zamknąłem samochód, nałożyłem skórzane rękawiczki i wychynałem spod wiaduktu. Musiałem od razu uskoczyć w krzaki, bo na wybrukowanej drodze oddzielającej mnie od rejonu nadbrzeżnych składów celnych pojawił się jakiś podstarzały stoczniowiec na rowerze. Poruszał się tak wolno, że zastanowiło mnie, jak w ogóle potrafił utrzymać pion przy tak małym pędzie. Wydawało się, że minęły wieki, zanim wreszcie zniknął za odległym zakrętem.

Wybierając trasę między plamami nikłego światła rzucanego na bruk przez latarnie uliczne, przebiegłem pochylony przez drogę, łądując w rowie po drugiej stronie. Gdy byłem w odległości około trzystu metrów od bramy i budki dozorczy, wyjąłem z torby szczypcę do cięcia drutu i zacząłem przecinać płot ze stalowej siatki. Odchyliwszy na boki przecięte fragmenty, przeczółgałem się na drugą stronę pod osłoną wysokiej, nieskoszonej trawy.

Ruszyłem wzdłuż siatki, trzymając się nisko, gdyż z drogi mogłem nadal być widoczny, aż doszedłem do rejonu, gdzie, jak pamiętałem, znajdowały się baraki z blachy falistej. Była tam tylko jedna latarnia i baraki majaczyły w ciemności, jeden nie do odróżnienia od drugiego. Nie chciałem na otwartym

terenie używać lampki rowerowej, więc zajęło mi z pięć minut odnalezienie napisu „Barnier i Clement”. Drzwi wejściowe były dość solidne, ale nie był to magazyn, tylko biuro, więc kłódka zabezpieczająca odpadła pod naciskiem łomu prawie natychmiast. Złapałem ją w locie i wślizgnąłem się do baraku.

W innych okolicznościach włączyłbym w środku światło, bo w pełni oświetlone pomieszczenie zwraca mniejszą uwagę niż błyski latarki. Tutaj jednak, w mroku otaczającym magazyny, byłoby to jak włączenie latarni morskiej w pogodną noc.

Biuro wyglądało tak jak wtedy, gdy po raz pierwszy tu zawitałem w poszukiwaniu Barniera. Podszedłem do szaf na dokumenty i wkrótce wyśpiewywałem peany pochwalne na cześć panny Minto. Dokumenty miała posegregowane niezwykle pieczołowicie i przejrzyste. Zaledwie dwadzieścia minut zajęło mi odnalezienie tego, na czym mi zależało: manifestu okrętowego i kopii druku roszczenia ubezpieczeniowego z pieczętkami Lloyd'a.

Uśmiechnąłem się. Zgłoszenie roszczenia ubezpieczeniowego było ostatnią rzeczą, jakiej by chciał Barnier, ale trzeba było stwarzać pozory, że jest to firma działająca w stu procentach zgodnie z prawem.

Położyłem manifest na biurku i oświetliłem go lampką rowerową, przesuwając palec po kolejnych pozycjach. I znalazłem, czarno na białym:

POZ. 33a. 12 WIETNAMSKICH NEFRYTOWYCH POSĄŻKÓW KYLAN. PAKOWANE W SKRZYNIE. ODBIORCA: ANTYKI SANTORNO, GREENWICH, NOWY JORK, STAN NOWY JORK

Tylko że było ich teraz jedenaście. KYLAN. Kiedy zjawiłem się tu po raz pierwszy, bez zapowiedzi, panna Minto sądziła, że przyszedłem w sprawie „ki lana”. No i nie były pochodzenia chińskiego. Chodziło o „kylan”, a nie chińskie „qilin”. Dotarły tu z Wietnamu, z Indochin Francuskich. Alain Barnier był doświadczonym importerem towarów z Dalekiego Wschodu,

czyli właśnie tym ogniwem, którego potrzebował Largo w budowanym przez siebie łańcuchu dostaw. Tyle że teraz Barnier stał się słabym ogniwem. Wyjąłem z torby notatnik i ołówek, spisałem szczegóły dotyczące przesyłki, włożyłem dokumenty z powrotem do segregatorów, a segregatory do szafy.

Na zewnątrz rozległ się jakiś dźwięk.

Zgasilem lampkę i przykucnąłem. Wyjąłem z torby pałkę i przesunąłem się pod ladą w kierunku drzwi. Przy drzwiach było małe okienko i przyciśnięty do ściany, wyrząłem przez nie na zewnątrz. Zobaczyłem plecy dozorca przechodzącego akurat przez krąg światła latarni i znikającego w mroku. Oczekałem kilka minut, nadwerężając szyję, żeby dostrzec, co dzieje się za oknem, po czym uznałem, że mogę już schować pałkę do torby, wrócić do segregatorów i zapalić znowu lampkę.

Barnier był moim tropem wiodącym do Largo. Mając na oku Francuza, mogłem mieć nadzieję na to, że doprowadzi mnie w końcu do celu. Albo przynajmniej do niego zbliży. Potrzebny mi był adres. Znowu pobłogosławiłem w duchu korpulentną, nieżyczliwą pannę Minto, która całą swoją seksualną i społeczną frustrację starej panny przekształciła w fanatyczną efektywność. Jej książka adresowa nie była typową książką adresową, lecz notesem w twardej oprawie, do którego wpisała wszystkie najważniejsze kontakty firmy. Robiła wrażenie obsesyjna dokładność, z jaką nazwiska zostały zapisane w idealnej alfabetycznej kolejności. Barnier mieszkał nieco poza miastem, przy drodze na Greenock, w Langbank. Miał też telefon, więc spisałem zarówno adres, jak i numer telefonu. Przyszedł mi do głowy tajemniczy M. Clement i po sprawdzeniu adresu francuskiego biura firmy „Barnier et Clement”, które mieściło się przy Cours Lieutaud w Marsylii, znalazłem w notesie również nazwisko Clement. Claude Clement mieszkał w miejscowości o nazwie Allauch. Spisałem oba adresy i włożyłem notes do torby. Noc okazała się owocna.

I właśnie gdy już pochowałem wszystkie rzeczy z powrotem do torby, usłyszałem za drzwiami odgłosy kroków.

XIII

Lampkę rowerową zgasilem i wrzuciłem do torby. Schowałem się pod biurkiem panny Minto, kuląc się w przestrzeni między bocznymi szafkami. Próba wyjścia drzwiami nie miała szansy powodzenia, bo odgłosy świadczyły o tym, że ktoś na pewno tam jest. W głowie wyświetliły mi się różne warianty rozwoju sytuacji. Może to znowu dozorca, robiący drugi obchód w tej części składów celnych. Ale co, jeśli zauważył zerwaną kłódkę i wezwał policję?

Powoli rozpiąłem nesesor. Tylko na tyle, by wsunąć do niego rękę i po omacku znaleźć pałkę. Teoretycznie była to konfrontacja, która nie mogła zakończyć się moją wygraną. Jeśli za drzwiami był starszawy dozorca, będę musiał posłużyć się pałką z dużym wyczuciem. Zbyt mocny cios, i mógłbym zostać oskarżony o zabójstwo. Zresztą, choć miałem nieprzyjemną skłonność do stosowania przemocy, unikałem jej wobec ludzi całkowicie niewinnych. Jeśli okazałoby się, że za drzwiami jest gliniarz, musiałbym mu przyłożyć mocno i wziąć nogi za pas. Pobicie glasgowskiego policjanta zazwyczaj okazywało się doświadczeniem boleśniejszym dla samego napastnika, bo chłopcy na komisariacie lubili potem urządzić delikwentowi komitet powitalny. Podobno zazwyczaj polegało to na tym, że rozbierali go do naga i owijali w kompletnie mokry koc. Z jakichś nieznanych mi fizjologicznych powodów pod takim mokrym kocem wycisk z rąk, a raczej butów i pałek, dwudziestu kilku krzepkich górali nie zostawiał na ciele śladów. Kolejny bolesny moment następował po ogłoszeniu wyroku, który w wypadku napaści na policjanta zazwyczaj opiewał na odsiadkę, a dodatkowo karę chłosty. Różgi. Przywiązywano człowieka do stołu i okładano jakimiś suchymi witkami. Proceder osobliwie staroświecki, lecz niezwykle bolesny.

Usłyszałem odgłos otwieranych drzwi i skuliłem się pod biurkiem jeszcze bardziej. Przez chwilę wewnątrz baraku penetrował promień latarki, po czym znikł i na suficie nade mną zaskwierczała i rozjarzyła się świetlówka.

– Miałeś rację, Billy. – Głos miał w sobie góralską nutę. Gliniarz. A więc wariant numer dwa. Domyśliłem się, że „Billy” to starszawy dozorca. – Ktoś zerwał kłódkę.

Cisza. Trwałem pod biurkiem w absolutnym bezruchu, starając się panować nad oddechem i ignorując rozbrzmiewający mi w uszach grzmot tętna. Od początku pobytu w Glasgow udawało mi się uniknąć oskarżenia o popełnienie przestępstwa. Teraz miałem przed sobą perspektywę odsiadki. Chyba że poradzę sobie z tym gliniarzem i z nocnym stróżem.

– No dobra... – zawołał niewidoczny góral do wnętrza baraku. – Policja. Wiem, że tam jesteś! – Akurat, pomyślałem. Czułem w jego głosie niepewność. – Wyłaź i nie rób problemów.

Cisza. Nadal siedziałem jak mysz pod miotłą. Pałkę ściszałem tak kurczowo, że czułem, jak puls w moich palcach synchronizuje się z pulsem w uszach.

– No, dalej... bez żadnych głupot... – I znowu głos zabrzmiał tak, jakby właściciel sądził, że przemawia do pustego pomieszczenia. Usłyszałem stuk drewna o drewno: to odchylany blat uderzył o kontuar. Pewnie wchodził właśnie za kontuar z pałką w dłoni. Szkockie pałki policyjne wykonane były z drewna karaibskiego gwajakowca – jednego z najtwardszych i najbardziej odpornych gatunków drewna na świecie. Tak twardego, że potrafiło łamać kości i obezwładniać mięśnie. Cokolwiek się dalej stanie, muszę stanowczo unikać narażania się na cios pałką w głowę. Usłyszałem odgłosy jego ciężkich butów. Stał przy biurku na wprost mojego. Ruszył do przodu. Jeden krok. Drugi. Oddech miał spokojny, nieśpieszny. Nie czuło się w nim strachu. Przesunął jakieś krzesło albo coś podobnego. Trzeci. Czwarty. Stał obok mojego biurka, ale mnie nie widział. Jeszcze.

– Wygląda na to, że nic tu nie było ruszane, Billy –

powiedział. – Może ich odstraszyłeś. Chyba nikogo już tu nie ma. – Jego buty zachrzęściły o podłogę. Rozglądał się wkoło. Nie zaglądał pod biurko, posłałem mu myśl. Rób co chcesz, ty wielki góralski ciołku, tylko nie zaglądał pod biurko.

– Billy, idź i dzwoń do właściciela – powiedział śpiewnie. – Ja tu poczekam, aż przyjedzie.

– Dobrze, Iain... Tak zrobię. – Starszy głos. Przejęty. Nawykły do posłuszeństwa. To pocieszające, pomyślałem, przynajmniej nim nie trzeba będzie się przejmować. Będę jednak musiał jakoś przedrzeć się przez gliniarza.

Usłyszałem zamykające się za dozorcą drzwi. Gliniarz dalej stał w odległości zaledwie kilkunastu centymetrów ode mnie. Szybko rozważyłem możliwy przebieg wypadków. Barnier przyjedzie nie prędzej niż za pół godziny, nie było jednak gwarancji, że przez ten czas nie zjawi się tu kolejny gлина.

Nagle biurko nade mną zaskrzypiało. Prawie wystrzeliłem do góry ze swojej kryjówki, ale jakoś udało mi się zachować zimną krew. Gliniarz przysiadł po prostu na skraju biurka. Rozległ się trzask zapalanej zapałki, po czym poczułem dym z papierosa. Usłyszałem stłumiony brzdęk podnoszonej z widełek słuchawki. Potem wybieranie numeru. Niewidoczny policjant poprosił do telefonu oficera dyżurnego, poinformował go, że bada próbę włamania i podał adres. Próbę włamania. Idiota nie przeszukał dokładnie baraku, a już uznał, że nikogo w nim nie ma. W milczeniu szczerze podziękowałem glasgowskiej policji za to, że prowadzą nabór właśnie wśród górali.

Serce zaczęło mi bić szybciej. Wiedziałem, że gdy tocząca się nad moją głową rozmowa dobiegnie końca, będę musiał natychmiast przystąpić do działania. Skoro był przekonany, że nikogo tu nie ma, mogłem liczyć na element zaskoczenia. Byłem jednak w najgorszej z możliwych pozycji do przeprowadzenia jakiegokolwiek ataku. Z napięciem wsłuchiwałem się w każde wypowiedziane do słuchawki słowo.

– Dobrze, panie sierzancie – powiedział, po czym usłyszałem odgłos odkładania bakelitowej słuchawki na widełki.

Miałem właśnie wykonać jakiś ruch, gdy doleciał mnie stukot

spadających na podłogę ołówków. Domyśliłem się, że niechcący strącił je ze stołu. Skrzypnięcie upewniło mnie, że droga wolna. Zamiast gwałtownego ruchu, po cichu, powoli wychynałem spod biurka. Odwróciłem się i wyprostowałem. Zobaczyłem go, jak pochylony zbiera ołówki z podłogi, klnąc poetycko, jak to tylko górale potrafią. Wyprostował się i...

Wszystko rozegrało się tak szybko, że na jego twarzy nie pojawił się nawet wyraz zaskoczenia. Wymierzyłem mu cios pałką w lewą skroń, a on padł na podłogę jak kłoda. Siłę uderzenia obliczyłem co najmniej tak precyzyjnie, jak Einstein swoją teorię względności. Gdybym zabił gliniarza, czekałby mnie stryczek. A gdyby nie doszli do tego, że to ja byłem sprawcą, zawisłby za to pewnie jakiś inny frajer. W końcu sprawiedliwości musi stać się zadość. Z drugiej strony, musiałem gościa obezwładnić na tyle, żeby móc uciec.

Krótką chwilę przyglądałem się nieszczęśnikowi – okazało się, że jest zamroczony, ale nie stracił całkiem przytomności. Doskonale. Chwyciłem torbę, przeskoczyłem nad nim i wypadłem z baraku, wyłączając po drodze górne światło. Był jeszcze bardziej zamącić w głowie mojemu ogłuszonemu pastuszkowi.

W odległości około stu pięćdziesięciu metrów, w świetle jedynej latarni dostrzegłem Billy'ego, nocnego stróża w cyklistówce. Zastygł, kiedy mnie dostrzegł. Pobiegłem w przeciwnym kierunku, wołając do wyimaginowanego współnika, który rzekomo już zniknął w mroku przede mną.

– Wiej, Jimmy! To stróż! – krzyknąłem, starając się jak najwierniej podrobić glosowski akcent. Puściłem się pędem w kierunku miejsca, gdzie wyciąłem otwór w płocie. Górą przerzuciłem torbę, a sam po komandosku przeczółgałem się pod naciętą siatką.

Sprawdziłem, co dzieje się z tyłu: nie było śladu gliniarza, a podstarzały stróż nie ryzykowałby pościgu za dwoma złodziejaskami z Drumchapel.

Biegłem przeciąłem wybrukowaną ulicę i dałem nura w krzaki przy załomie wiaduktu. Jeszcze jedno kontrolne spojrzenie za

siebie – nikogo. Zdjąłem sweter i obtarłem nim twarz, starając się jak najdokładniej zetrzeć z niej ślady po spalonym korku. Wrzuciłem zestaw włamywacza do bagażnika, założyłem marynarkę i wskoczyłem za kierownicę. Przy zgaszonych światłach wycofałem samochód na główną drogę. Ruszyłem powoli do przodu, nadal nie zapalając świateł, aż dojechałem do końca ulicy South. Dopiero wtedy przyśpieszyłem i włączyłem reflektory. Pojechałem za miasto, poza zasięg terytorialny glasgowskiej policji. Jak na ironię, znalazłem się na drodze na Greenock. Jadąc, minąłem tylko jeden, zmierzający w przeciwnym kierunku, samochód. Była tak późna pora, że nic dziwnego, iż drogi były puste, i przemknęło mi przez głowę, czy przypadkiem tym samochodem nie jechał Barnier ze swojego domu w Langbank do stoczni.

Wpadłem na zwariowany pomysł: będę przejeżdżał przez Langbank, a wiedziałem, że akurat o tej porze Barniera na pewno nie będzie na chacie. No i miałem przy sobie cały swój zestaw włamywacza. Odpędziłem jednak od siebie tę myśl. Nie miałem pojęcia, czy Barnier mieszka sam czy nie, poza tym jak na jedną noc miałem już dość atrakcji. Minąłem Langbank i skręciłem na południe w jednopasmową drogę biegnącą pośród lasów i pól. Znalazłem się nad brzegiem jakiegoś zbiornika wodnego, w którego jedwabistej, nieruchomej powierzchni odbijały się atłasowe chmury. W sąsiedztwie zbiornika rozlokowane było czyjeś gospodarstwo, więc pojechałem wzdłuż brzegu, aż znalazłem się na przeciwległym końcu. Zatrzymałem samochód w kępie drzew i umościłem sobie poduszkę ze swetra, który wcześniej miałem na sobie. Mimo niewygody i wciąż krążącej w żyłach adrenaliny usnąłem w ciągu kilku minut.

Obudziłem się w kiepskim nastroju, próbując przywołać odpływający sen o mnie i Fionie White i naszym nowym życiu w Kanadzie. A może to byłem ja i Sheila Gainsborough? Ćmiący ból w karku i uporczywie uwierający mnie w bok ręczny

hamulec zniweczyły jednak te próby.

Z wysiłkiem rozprostowałem kości i podniosłem się na siedzeniu. Spoglądając w lusterko w oślepiającym porannym świetle, zauważyłem, że ślady po zwęglonym korku są nadal widoczne między fałdami skóry na mojej twarzy. Wyglądałem tak, jakbym zaaplikował sobie makijaż sceniczny Donalda Wolfita³². Podwinąłem rękawy koszuli i przeciąwszy szosę, podszedłem do brzegu zbiornika. Nabrałem dłońmi wody i energicznie obmyłem twarz i szyję.

Upewniwszy się, że usunąłem z mojej fizjonomii wszystkie pozostałości nocnej eskapady, obrałem kurs na miasto. Czułem zadowolenie. Przyłożyć w głowę gliniarzowi to nie byle co, byłem jednak przekonany, że dzisiaj Billy, podstarzały nocny stróż, gotów będzie przysiąc na grób swojej matki, że na własne oczy widział dwóch włamywaczy, z których jeden miał na imię Jimmy. Policjantowi, którego puknąłem, mogła tylko przez chwilę mignąć moja poczerniona twarz, ale o niego też byłem spokojny – miał powody, by twierdzić, że „musiało ich być dwóch”, aby go obezwładnić. Dezorientowanie ludzi potrafiło być niezwykle satysfakcjonującym zajęciem.

Uśmiech samozadowolenia zniknął mi jednak z twarzy, gdy minąłem swoje mieszkanie przy Great Western. Przed domem, lśniąc w promieniach porannego słońca, stał nieskazitelnie wypucowany czarny wolseley 6/90. Wrażenie robił szczególnie bijący w oczy połysk, jaki serwisanci potrafili nadać prostokątnej, przymocowanej do chłodnicy tabliczce z naniesionym srebrnymi literami na granatowym tle napisem POLICJA.

Pojechałem dalej i skręciłem za róg, aż dojechałem do kiosku, w którym kupiłem poranną gazetę. Jadąc z powrotem, zaparkowałem samochód tuż za rogiem, zostawiłem marynarkę i krawat w wozie i podwinąłem rękawy koszuli. Następnie najswobodniej jak się dało, luzackim krokiem wróciłem do mieszkania. Gliniarze byli prawdopodobnie świadkami takiego pokazu chodzącej niewinności już tysiące razy, postarałem się

32 Donald Wolfit (1902–1968) – znany angielski aktor szekspirowski.

jednak, by wywołać wrażenie, że całą noc spędziłem w domu, a teraz wracam z przechadzki po gazetę. Całe przedstawienie nie miało oczywiście najmniejszego sensu, jeśli wóz policyjny czekał tam dłużej niż jakieś pół godziny.

Gdy podszedłem bliżej, tylne drzwi z obu stron samochodu uchyliły się i z jednej strony wysiadł nadinspektor Willie McNab, a z drugiej Jock Ferguson. Udałem totalne zaskoczenie, co było pewnie równie przekonujące, jak wtedy, gdy próbowałem tego ostatnim razem, a byłem jeszcze wtedy chłopcem. Matka podarowała mi wówczas na urodziny sweter, który przez trzy tygodnie na moich oczach robiła na drutach.

– Panowie... co mogę dla was zrobić?

– Ranny ptaszek z ciebie, Lennox – wycedził kwaśno McNab.

– Zna pan to powiedzenie, panie nadinspektorze: kto rano wstaje... i tak dalej.

– Nie pieprz, Lennox, tylko wsiadaj. – McNab odsunął się na bok, przytrzymując mi drzwi. Wyobraziłem sobie, że to tylko pierwsze drzwi z wielu, które teraz zaczną się za mną zamykać. W ustach mi zaschło, a serce waliło jak szalone, ale starałem się nie dać tego po sobie poznać.

– Mogę wziąć marynarkę? – Gestem kciuka wskazałem na dom. Robiąc to, zauważyłem twarz Fiony White w oknie jej mieszkania na parterze.

– Idź z nim... – polecił McNab Fergusonowi, który wzruszył ramionami i wszedł ze mną do domu.

– O co chodzi? – Skorzystałem z okazji, że znaleźliśmy się z Fergusonem sam na sam, wchodząc po schodach na górę.

– Zobaczysz... – odparł. I nie wątpiłem, że tak będzie.

Nie pojechaliśmy na komendę główną przy placu St. Andrew's. Zamiast tego samochód, w którym siedziałem na tylnym siedzeniu ściśnięty między McNabem i Fergusonem, skierował się ku nabrzeżu, w rejon składów celnych.

– Dokąd jedziemy? – spytałem, jakbym naprawdę nie wiedział. Skręciliśmy w brukowaną ulicę i minęliśmy wiadukt,

pod którym poprzedniej nocy ukryłem atlantica.

Nie zatrzymaliśmy się tam.

Pojechaliśmy dalej, aż zobaczyliśmy umundurowanego funkcjonariusza drogówki z założonymi na rękawy bluzy mankietami w czarno-białe pasy. Wydawało się, że stoi na jednolitej połaci pokrytego trawą pobocza, ale gdy się zbliżyliśmy, zasygnalizował nam, abyśmy zjechali w bok z głównej drogi. Ukazał się ledwo widoczny, w dużej mierze zarośnięty wylot brukowanej drogi dojazdowej, którą akurat mieszczący się w niej wolseley potoczył się na nabrzeże. Otwarty teren nad samą wodą najwyraźniej był kiedyś nabrzeżem roboczym, dopóki Luftwaffe skutecznie nie wyłączyła go z obiegu do końca stulecia. Z wybujałej trawy jak złamane zęby wystawały potężne betonowe płyty z rdzewiejącymi, skręconymi kablami wystającymi z ich pogruchoanych końców. W jednym z zakątków terenu stała maszyna do robót ziemnych ze spoczywającą ciężko na ziemi szuflą. W miejscu nad samą wodą, które wyglądało na niegdysiejszą rampę załadunkową, stały jeden przy drugim cztery wozy policyjne i ambulans, który musiał pewnie nieźle się nagimnastykować, żeby pokonać dojazd od głównej drogi. Cokolwiek się tu działo, wydawało się to nie mieć nic wspólnego z moim włamaniem do biura Barniera.

McNab i Ferguson poprowadzili mnie w kierunku pozostałych pojazdów.

– Znaleźli go tu dziś rano robotnicy przygotowujący teren pod budowę kolejnych składów celnych – powiedział Ferguson. – Według naszej oceny nie żyje od co najmniej doby.

– Kto? I co to ma wspólnego ze mną? – spytałem, autentycznie zdezorientowany. Zobaczyłem, że tył ambulansu jest otwarty, a w środku na noszach leży ciało, przykryte popielatym kocem.

– Co to ma wspólnego z tobą? – odezwał się McNab z szyderczym grymasem. – Sam bym chciał to wiedzieć. Według naszych informatorów szukasz tego gościa już od co najmniej tygodnia. A on się w końcu odnajduje, tyle że martwy.

Żołądek podjechał mi na chwilę do gardła. Odbyłem małą podróż w przyszłość i wyobraziłem sobie siebie stojącego przed Sheilą Gainsborough, próbującego jakoś powiedzieć jej, że oto wreszcie znalazłem jej brata. A raczej jego zwłoki.

A więc John Largo nie był żadnym widmem, żadnym bezcielesnym cieniem. I w końcu dopadł Sammy'ego Pollocka.

McNab odchylił koc. – Rozumiem, że poznajesz gościa?

– Dobrze pan rozumie – odparłem z cichą rezygnacją, spoglądając na ciało. Ta cicha rezygnacja miała zamaskować moje zaskoczenie. I ulgę. – To Paul Costello.

Costello miał szeroko otwarte oczy. Tkwiły w nich ziarnka piasku i ziemi i od samego patrzenia na nie miało się ochotę zamrugać. Twarz była odbarwiona, a włosy zmierzwiłone. Bładość skóry silnie kontrastowała z wyrazistą barwą ziejącej rany, która jak uśmiech klauna okalała jego gardło. Był bardzo, ale to bardzo martwy.

– Dlaczego go szukałeś? – spytał McNab. Krótkim ruchem nakrył z powrotem twarz denata.

– Prosił mnie o to jego ojciec, Jimmy – odparłem zgodnie z prawdą, choć może niecałą. – Paul Costello zaginął kilka dni temu. Zupełnie nagle i co ważniejsze, bez gotówki.

– Taa – powiedział McNab pełnym podejrzliwości głosem. – Inspektor Ferguson potwierdza, że mówiłeś mi o tym, kiedy odwiedził cię z tym jankesem, Devereaux.

– To prawda.

– A zjawili się u ciebie, bo rozpytywałeś wszędzie o Largo. Powiedz mi w takim razie, czy twoim zdaniem to jego robota?

Spojrzałem na owinięte w koc zwłoki. – Szczerze mówiąc, nie wiem. Ale jeśli Largo faktycznie jest aż tak przebiegłym i niebezpiecznym przestępcą, za jakiego uważa go Dex Devereaux, to przypuszczam, że tak.

– Naprawdę? To wielkie dzięki za tę bezcenną, odkrywczą uwagę, Lennox. Kolejne pytanie: kim, do kurwy nędzy, jest ten twój klient celebryta, ten krewny drugiego zaginionego?

Westchnąłem. – Już tłumaczyłem inspektorowi Fergusonowi, że nie mogę łamać zasady poufności.

– Zasady poufności, niech mnie szlag... – McNab zrobił krok w moim kierunku. Nie musiałem nawet spuszczać wzroku, żeby być pewnym, iż dłonie zacisnęły mu się już w pięści. Cokolwiek wydarzy się tutaj, będzie to zaledwie początek.

– A jeśli powiem, o kogo chodzi, będzie pan ją trzymał z dala od tego wszystkiego? Jeśli oczywiście nie okaże się w to jakos bezpośrednio zamieszana...

Rozległ się szpetny, drwiący śmiech McNaba. – Myślisz, że ja muszę cokolwiek negocjować z takimi jak ty, Lennox? Będę robił, co tylko, kurwa, zechcę, i rozmawiał, z kimkolwiek, kurwa, zechcę. To jest dochodzenie w sprawie morderstwa, błźnie.

– I nie tylko. Spójrzmy prawdzie w oczy, panie nadinspektorze: ktoś gra w tym mieście o naprawdę wysoką stawkę. Większą niż to wszystko, z czym mogliby sobie poradzić nasi miejscowi geniusze. Może pan oczywiście zmieszać mnie z błotem, żeby sobie dodać animuszu, i zrobię dokładnie to, czego pan chce, czyli odpieprzę się od całej sprawy. Mam to gdzieś. Ale jeśli będziemy współpracować, może pan zebrać laury za rozgryzienie takiej afery, jakiej to miasto nie widziało od lat. Niech pan pamięta, że Dex Devereaux nie może tutaj dokonać aresztowania... – Spojrzałem znacząco na Fergusonona. – Tak, Jock, wiem, że Devereaux jest z FBI. Zorientowałem się od razu, kiedy się u mnie zjawiliście. – I zwróciłem się z powrotem do McNaba. – Ta sprawa ma pewne aspekty, których pan, za przeproszeniem, nie pojmuje. Nic zresztą dziwnego – tego rodzaju gówno jeszcze nigdy wcześniej w Glasgow nie wypłynęło. Okej... Proszę bardzo: moją klientką jest śpiewaczka Sheila Gainsborough. A teraz może pan albo pozwolić mi zająć się tym po swojemu, albo wpakować jej się na dywan bucioremami. Ale w tym drugim wypadku proszę już na mnie nie liczyć.

– Jestem policjantem, Lennox. – McNab spojrział na mnie tak, jakby dokonywał oględzin czegoś obrzydliwego, co przed chwilą zeszkrobał sobie z buta. – Czy to dla ciebie w ogóle coś znaczy? Nie muszę się wdawać w jakieś mętne targi z ludźmi

twojego pokroju. Mam do dyspozycji setki funkcjonariuszy – rasowych policjantów. Nie jakichś kanadyjskich palantów.

– Okej – odparłem, wzruszając ramionami. – Pana wybór.

– Chwileczkę... – Jock Ferguson stanął między nami. – To, co mówi Lennox, ma sens, panie nadinspektorze. Poza tym faktycznie nie mamy innego takiego źródła informacji jak on.

– Człowieku, na miłość boską, on przecież pracuje dla pieprzonych gangsterów. Skąd mamy wiedzieć, czy przypadkiem nie przekazuje informacji im zamiast nam?

– Rzeczywiście pracuję dla jednego z Trzech Królów – przyznałem. – Ale nie nad tą sprawą, tylko nad inną. Zresztą to zlecenie dotyczy legalnej, prywatnej pracy dochodzeniowej. Wiem, że ma pan o mnie kiepskie mniemanie, panie nadinspektorze. I nie mam tego panu za złe, bo czasem sam je podzielam. Ale nie jestem kryminalistą. Każdy, kto korzysta z moich usług, wie, że nigdy nie posunąłbym się do łamania prawa. – Urwałem swoją przemowę. Byłem z niej całkiem zadowolony. Szczególnie przypadł mi do gustu ten fragment, w którym tak podkreślałem swoją praworządność. Praworządność z wyłączeniem, rzecz jasna, kradzieży z włamaniem i napaści czynnej na funkcjonariusza policji.

– Sheila Gainsborough? – Zdziwił się McNab. – Jak, do diabła, podłapałeś taką klientkę?

– Obracam się w doborowym towarzystwie, panie McNab. To co, mogę się spokojnie sam zająć sprawą dotyczącą Sammy’ego Pollocka i Sheili Gainsborough?

McNab zmierzył mnie surowym spojrzeniem. – Tymczasowo, Lennox. Tylko pamiętaj, że teraz jest to już dochodzenie dotyczące zabójstwa.

Spojrzałem jeszcze raz na ciało Paula Costello. A więc jednak nie wyrównam z nim rachunków.

– Wątpię, abym o tym zapomniał – powiedziałem.

McNab pozostał na nabrzeżu, a Jock Ferguson i ja wsiedliśmy z powrotem do wypolerowanego policyjnego walseleya.

– Odwiozę cię – powiedział. – Po drodze jeszcze się gdzieś zatrzymam, jeśli pozwolisz.

– Cieszę się, że mam podwózkę – odparłem.

Nie cieszyłem się jednak długo. Ujechaliśmy zaledwie kawałek ulicą South i skręciliśmy w kierunku bramy prowadzącej do znajdujących się w barakach biur różnych importerów.

– To nie potrwa długo – powiedział Ferguson, gdy zajechaliśmy pod jeden z baraków. Widniał na nim szyld z napisem „Agencja Importowa Barnier i Clement”. – Nocne włamanie, kapujesz. Nie miałbym nic do tego, gdyby nie fakt, że dostał tu po głowie jakiś głupi stójkowy.

– Nie ma pośpiechu – powiedziałem z uśmiechem. Co było nie lada wyczynem, jako że przez tylną szybę wozu patrolowego przyglądał mi się właśnie niewysoki, starszy mężczyzna w znoszonej tweedowej marynarce i cyklistówce. Nocny stróż Billy we własnej osobie stał, zawijając w bibułkę szczyptę tytoniu. Mimo iż poprzednim razem widziałem go tylko z daleka, rozpoznałem jego przygarbioną sylwetkę i szeroką, niechlujną cyklistówkę. Miałem nadzieję, że nie przypomni sobie za chwilę, że gdzieś już się widzieliśmy. Siedziałem na tylnym siedzeniu, a za kierownicą umundurowany szofer. Sprawiało to wrażenie, że jestem jakimś zaaresztowanym podejrzanym. Wcześniej byłem raczej pewien, że Billy nie będzie w stanie mnie rozpoznać, bo widział mnie z dużej odległości. Ale w tych okolicznościach, ze mną w roli rzekomego aresztanta, mógłby zacząć coś kojarzyć.

– Chyba wyjdę rozprostować kości – oznajmiłem kierowcy i wysiadłem z wozu. Zapaliłem papierosa i wtedy Billy zwrócił na mnie jakby baczniejszą uwagę. Zbliżył się, spoglądając na mnie niepewnie, trzymając w ustach mizernego, niezapalonego skręta. Przynajmniej nie wzywał na pomoc policji. Spod daszka wyświechtanego nakrycia głowy wyzierały szparki przymrużonych oczu.

– Przepraszam, panie władzo – powiedział. – Czy mogę prosić o ogień?

– Jasne – odparłem ze zrozumiałą, nagłą nutą radości w głosie. Zapaliłem mu zapalną. – Sporo dziś emocji, co?

– A i owszem – powiedział zbolalym tonem. – Za dużo, jak dla mnie.

– Co, chodzi o to włamanie?

– Taa... Ci chuligani naprawdę przyłożyli temu młodemu policjantowi.

– Widziałeś ich?

– Tak... Ale niewyraźnie. Prawdę mówiąc, zapomniałem wtedy okularów. Całkiem nowe i w ogóle, ubezpieczalnia pokryła. Dostałem nawet dwie pary. I akurat tej nocy, kiedy coś się dzieje i powinienem je mieć na nosie, zostawiam pieprzone bryle w domu. – Pokręcił głową, a ja musiałem się opanować, żeby go nie ucałować. – Ale widziałem ich, jasna sprawa. Jak uciekali. Dwóch ich było. – Nachylił się i dodał konspiracyjnym tonem: – Teddy Boysi. Z tymi Teddy Boysami to same kłopoty. Tych dwóch miało szczęście, że ich nie dopadłem.

Uśmiechnąłem się. Tym razem był to szczery uśmiech. Serdeczny, radosny i pełen wdzięczności. Poranek zaczął się niezwykle intensywnie, od ogromnej dawki emocji. Niemal wszystko, co mogło mną jakoś wstrząsnąć, już się wydarzyło. Do kompletu potrzebne mi było jeszcze tylko pojawienie się tego obezwładnionego gliniarza, którego ów cios pałką w głowę obdarzyłby w jakiś niewytłumaczalny sposób fotograficzną pamięcią. Na szczęście był gliniarzem z górskim rodowodem, a fotograficzna pamięć zdaje się na nic, gdy w aparacie nie ma filmu.

Ale nie zanosilo się na to, aby się tu zjawił. Niestety kiedy spojrzałem ponad czapkę mojego najlepszego w tej chwili kumpla, nocnego stróża, okazało się, że uruchomiony został wariant B.

Od strony głównej bramy w kierunku biur zmierzała zdecydowanym krokiem niewysoka, lecz solidnie zbudowana kobieta z fryzurą, do opisanie której nadawało się tylko jedno określenie: agresywna trwała. Panna Minto w pełnej krasie.

Ogarnęła wzrokiem wozy policyjne i zapewne szybko

wydedukowała, że musiało wydarzyć się coś, co zagroziło jej niewielkiemu, lecz zazdrośnie strzeżonemu królestwu porządku absolutnego. Ostatnia rzecz, jaka była mi teraz potrzebna, to żeby mnie zauważyła i spytała w obecności Jocka Fergusona, co tu robię.

– Przepraszam – powiedziałem do Billy’ego, odwracając się plecami do nadciągającej panny Minto i odchodząc możliwie spokojnym krokiem między baraki, tak jakbym szedł sprawdzić, czy z tyłu nie zostały wyrządzone jakieś szkody. Usłyszałem jej zdeterminowane kroki za sobą na żwirze, a potem na drewnianych schodkach prowadzących do biura. Wykonując szybki zwrot, wyrzuciłem niedopałek i skierowałem się w stronę samochodu, który w tej chwili wydał mi się najlepszym miejscem, w którym mógłbym się ukryć. Miałem tylko nadzieję, że panna Minto nie wynurzy się z biura i nie dostrzeże mnie siedzącego w środku.

Pochyliłem się do przodu, opierając łokcie o zagłówki przednich foteli, a głowę na prawej dłoni, próbując zasłonić twarz od strony drzwi wejściowych do biura. Żeby jakoś usprawiedliwić tę inwazję na terytorium kierowcy, wdałem się z nim w pogawędkę. Szło opornie, bo okazał się tylko nieznacznie bardziej rozmowny niż milczący goryl Sneddona, Śpiewak. Miałem wrażenie, że minęły wieki, zanim Jock Ferguson ukazał się w drzwiach biura i wrócił do samochodu.

– Przepraszam za tę zwłokę – powiedział. – Teraz cię odwiozę.

– Nie ma problemu – odparłem pogodnie. – Sądziłem, że nie zajmujesz się już wnikaniem w okoliczności tego rodzaju zwykłych włamań, Jock.

Ferguson wzruszył ramionami. – Skurwiele przyłożyli gliniarzowi. To wszystko zmienia. Kiedy jeden z naszych trafia do szpitala, nigdy nie puszcza myśli z tego płazem.

– Bardzo słusznie... – skomentowałem, wybiegając już myślami w przyszłość. Ale niezbyt daleką.

XIV

Odbyłem kolejną rozmowę z wyniosłym impresariem Sheili Gainsborough i udało mi się wreszcie umówić z nią na spotkanie. Musiałem jej zakomunikować, że osobę, która zaginęła wraz z jej bratem, znaleziono martwą, i musiałem to zrobić w cztery oczy.

Ponownie spotkaliśmy się w jej mieszkaniu. Przyjęła wiadomości dobrze, a przynajmniej na tyle dobrze, na ile to było możliwe, i znacznie lepiej niż się spodziewałem. Podejrzywałem, że myślała życzeniowo, a może nie przyszło jej po prostu do głowy, że jej brat poniewiera się gdzieś równie martwy, jak Paul Costello, tylko jeszcze nie znaleziono jego ciała. Mnie ta myśl nieustannie kołatała się po głowie.

Ze swej strony starałem się raczej pomniejszać znaczenie tego, co się stało, o ile w ogóle można pomniejszać fakt, że poderżnięto komuś gardło. Sheili nie zaświtało też, że w końcu policja będzie chciała porozmawiać z Sammym. Było to tylko kwestią czasu i braku efektów w śledztwie, aby zaczęli rozglądać się za najbardziej dogodnym podejrzanym. Wtedy McNab wyciągnie z kapelusza nazwisko Sammy'ego Pollocka, a ja pójde w odstawkę.

Miałem sporo spraw do załatwienia i miejsc do objechania, widziałem jednak, że Sheila Gainsborough jest w nie najlepszej kondycji psychicznej, poświęciłem więc nieco czasu, aby zapewnić ją solennie, że teraz, gdy sprawa uzyskała inny status, zdwoję wysiłki i na pewno odnajdę Sammy'ego całego i zdrowego. Składanie obietnic kobietom było moją specjalnością – szczególnie takich, co do których istniało wszelkie prawdopodobieństwo, że nie będę w stanie ich spełnić.

Po wyjściu od Sheili zadzwoniłem z budki telefonicznej do Iana McClellanda na uniwersytecie. Jak zwykle trochę się

podroczylimy, po czym przeszedłem do sedna:

– Ian, mógłbyś mi wyjaśnić, czym jest „baro”? To coś związanego z Cyganami albo tinkersami.

– Rany, Lennox, tak naprawdę to nie moja działka, ale mógłbym to sprawdzić. A jaki był kontekst?

– Spotkałem się z kimś, z Cyganem, o którym inny Cygan wyraził się, używając takiego właśnie określenia, „baro”.

– Okej, znam kogoś, kogo mogę o to zapytać... – odparł McClelland.

– Czy mógłbyś też przy okazji ustalić, jakie jest znaczenie drewnianej skrzynki, wypełnionej kawałkami drewna oraz czerwoną i białą wełną? Skrzynka jest nieduża, ma na oko nieco ponad dwadzieścia centymetrów długości. – Opisałem skrzynkę, która zgodnie z relacją Lorny została dostarczona jej ojcu niedługo przed śmiercią. – Wełna była zwinięta w kłębek.

– Pewnie, stary. Ta osoba siedzi zresztą w pokoju na tym samym korytarzu, co ja. Mogę oddzwonić za dziesięć minut?

– Jasne – powiedziałem. – A co z tym opisem i rysunkiem smoka, które ci dałem?

– Tak jak myślałem, to chiński *qilin*.

– Chyba jednak się mylisz... – powiedziałem z satysfakcją. – Z tego, co się zorientowałem, nie jest to *qilin*, tylko wietnamski *kylan*.

– Pewnie tak – odparł McClelland. Jeśli nawet zrobiła na nim wrażenie moja znajomość subtelności mitologii Orientu, nie dał tego po sobie poznać. – To postać z obszaru kultury chińsko-wietnamskiej. Wygląda groźnie, ale to jedna ze sprzyjających ludziom istot. Zapewnia szczęście i dobrobyt oraz roztacza opiekę nad ludźmi dobrymi i prawymi.

– Zauważyłem – odparłem. – Od chwili, gdy ją ujrzałem, wszystko idzie mi jak z płatka.

Zgodnie z obietnicą, Ian McClelland oddzwonił po dziesięciu minutach.

– Baro to przywódca klanu – wyjaśnił. – W romskich kręgach

to prawdziwa szyscha. I mam nadzieję, że to nie ty znalazłeś tę skrzynkę, którą opisywałeś... tę z wełną w środku.

– Nie, to nie ja... dlaczego?

– To jest tak zwany „biczapen”... rodzaj prezentu, ale takiego, którego lepiej się wystrzegać. Dotykając go, każdy członek klanu cygańskiego przenosi na niego całe trapiące go zło, wszystkie swoje bolączki. Pozbywają się w ten sposób nieszczęść, ale wszystkie trafiają do tego, kto potem ten biczapen znajdzie.

– Dzięki, Ian – powiedziałem. – To wszystko brzmi bardzo sensownie.

Spotkałem się z Dexam Devereaux na drinka w barze hotelu Alpha. Opowiedziałem mu o Sammym, Paulu Costello, Claire Skinner, ich małym przyjacielu – jadeitowym demonie – oraz czarującym wiejskim ustroniu, w którym się wszyscy zamelinowali. Na razie przemilczałem swoje podejrzenia co do Alaina Barniera i jego ewentualnych powiązań z Johnem Largo. Miałem uzasadniony powód, aby trzymać język za zębami: rosły Amerykanin, choć równy chłop, był w końcu gliniarzem. Było mi potrzebne jak dziura w moście, żeby do glasgowskiej policji dotarły słuchy o moich powiązaniach z Barnierem. Geniuszami to oni nie byli, ale nie wymagałoby wtedy aż takiej inteligencji, żeby wyobrazić sobie mnie w noc włamania w biurze Barniera i Clementa, z pałką w dłoni i półprzytomnym góralem u stóp.

Może nawet daliby radę retrospektywnie „dostarczyć” nocnemu stróżowi Billy’emu do pracy zapomniane przez niego owej feralnej nocy w domu okulary. Nawiasem mówiąc, glasgowska dochodzeniówka musiała zatrudniać jakiegoś czołowego neurologa, mieli bowiem zadziwiające osiągnięcia, jeśli chodzi o leczenie u świadków wad wzroku i szwankującej pamięci.

Pozegnałem się z Devereaux i pojechałem do Lorny sprawdzić, jak się miewa. Znowu potraktowała mnie równie namiętnie, jak menedżer bankowy, a od Maggie MacFarlane wiało już wręcz chłodem. Rozglądałem się za Jackiem Collinsem, ale nie było go w domu. Lorna zrobiła herbatę

i usiedliśmy w salonie, gdzie robiłem, co mogłem, żeby należycie okazać swoją troskę. Lorna ponuro ignorowała jednak moje starania, a na jej twarzy rysowała się ledwo skrywana niechęć. Wiedziała, że robię już tylko dobrą minę do złej gry i oddałbym wszystko za to, żeby jakoś się z tego wszystkiego wyplątać. Zresztą oboje zdawaliśmy sobie sprawę, że gdyby role były odwrócone, ona postępowałaby dokładnie tak samo. Żadne z nas nie było tak naprawdę zaangażowane emocjonalnie w ten związek.

Przez następne dwa dni starałem się śledzić poczynania Alaina Barniera. Ponieważ jednak miałem tyle innych spraw na głowie, włącznie z codzienną wizytą u Davey'ego, była to taka inwigilacja z doskoku, a więc dość chaotyczna.

Śledzenie Francuza nastroczało wiele trudności, bo właściwie nie miał on żadnych utartych przyzwyczajzeń. Spędzał średnio dwie do trzech godzin dziennie w biurze, i to o różnych porach dnia. Resztę czasu poświęcał na kontakty ze swoimi odbiorcami, głównie hotelami i restauracjami. Handlował nie tylko winami i innymi alkoholami, lecz często bywał też u marszandów, zarówno w Glasgow, jak i w Edynburgu.

Szpiegowanie go było uciążliwe i wydawało się w dużej mierze stratą czasu, zawsze jednak istniała szansa, że doprowadzi mnie to o jeden krok bliżej Largo. Choć im dłużej obserwowałem, jak Barnier krząta się wokół swoich codziennych, przyziemnych spraw, tym większe nachodziły mnie wątpliwości, czy ten elegancki, kulturalny i dobrze wykształcony Francuz może mieć cokolwiek wspólnego z międzynarodowym handlarzem narkotyków.

Może stałem się zbyt pewny siebie, ale zacząłem regularnie parkować atlantica pod tym samym wiaduktem, z którego osłony skorzystałem podczas swojego nocnego włamania. Widziałem stamtąd bramę na teren składów celnych i łatwo było dostrzec Barniera przejeżdżającego przez nią swoją simcą, gdy opuszczał biuro. Wyjeżdżał na ogół o wpół do czwartej po

południu, choć zdarzało się, że zmywał się wcześniej i wtedy po drodze do domu w Langbank udawało mu się jeszcze wpaść do kilku klientów.

Wyglądało to może na jałowe zajęcie, ale postanowiłem nie odpuszczać – wytrwałość to wielka cnota. Szkaradny jadeitowy demon i martwy syn gangstera byli moim drogowskazem – wiedziałem, że to właściwy trop. No i było jeszcze to moje przeczucie co do Barniera: gość wzbudzał sympatię, ale za każdym razem, gdy o nim pomyślałem, miałem wrażenie, jakby ktoś szturchał pod zebra coś zwiniętego w kłębek i drzemiącego gdzieś w jakimś zakamarku mojego mózgu.

Któregoś popołudnia warowałem w okolicy składów celnych gdzieś do szóstej. Kiedy z bramy wytoczyła się simca Barniera, pojechałem za nią. Jechał na zachód, w kierunku Greenock i wydawało mi się, że zmierzamy prosto do jego domu w Langbank. Musiałem trzymać się daleko w tyle, starając się jednocześnie, aby go nie zgubić. Droga biegła z grubsza wzdłuż Clyde i choć jechaliśmy główną trasą łączącą Glasgow z satelickim Greenock, ani w jedną, ani w drugą stronę nie jechały prawie żadne samochody. Minęliśmy miejsce, w którym owej nocy po włamaniu skręciłem na południe i nad zbiornikiem przekimałem w samochodzie do rana. Potem jednak ku mojemu zaskoczeniu simca przejechała Langbank i pojechała dalej na zachód. Zachodziłem w głowę, jakie interesy mógł mieć importer wyborowych win i orientalnych osobliwości w Greenock.

Barnier jechał w kierunku miasta i zniknął mi z oczu w miejscu, gdzie łuk wybrzeża robi nagły zwrot na południe. Nieco przyspieszyłem i o mało co umknął mojej uwadze punkt, w którym skręcił. W Port Glasgow mieściła się wielka cukrownia, a wzgórze nad nią nazwane zostało Lyle Hill. Nie miałem pojęcia, dlaczego Tate nie zasłużył sobie na upamiętnienie³³. Podjeżdżając pod Lyle Hill, minąłem zaparkowaną simcę Barniera. Pojechałem dalej, nie zwalniając, dopóki nie zniknąłem mu z oczu za zakrętem. Zjechałem na

33 Donald Wolfit (1902–1968) – znany angielski aktor szekspirowski.

pobocze i wyciągnąłem ze schowka lornetkę. Musiałem wgramolić się na zbocze, żeby znaleźć jakiś dogodny punkt obserwacyjny z widokiem na pozycję Barniera. Skórzane podeszwy moich butów ślizgały się na wilgotnej trawie i kilka razy upadłem na kolana, klnąc z powodu mokrych, ciemnych plam, które pojawiły się od razu na spodniach. Glasgow było miastem, którego ciężkoprzemysłowy charakter odciskał się na wszystkim i na własnej skórze przekonałem się, że miejskie pralnie podchodziły do chemicznego czyszczenia moich najlepszych garniturów z subtelnością, przy której wytop stali to wręcz koronkowa robota.

Dotarłem na szczyt wzgórza, który okazał się krańcem pola golfowego. Okoliczne krzaki i wątle drzewka dawały schronienie na tyle, że mogłem się tam usadowić i spojrzeć w dół na zakręt biegnącej skrajem wzgórza drogi. Rozciągający się stąd widok zapierał dech w piersiach: po drugiej stronie Clyde widać było góry półwyspu Cowal, a bliżej, u stóp wzgórza, Greenock po jednej i Gourock po drugiej stronie. W pewnej odległości od wybrzeża znajdowało się kotwiczowisko Tail of the Bank. To właśnie stamtąd moi rodzice ze mną, wówczas jeszcze niemowlakiem, wyruszyli do Kanady, aby tam rozpocząć nowe życie.

Moją uwagę przyciągnął Barnier, który zatrzymał się przy postawionym w pobliżu drogi pomniku, z którego widok musiał być jeszcze bardziej imponujący. Pomnik miał postać potężnej białej kotwicy, której trzon wymierzony był sugestywnie w niebo i zamiast zwyczajowego pierścienia kończył się dwiema poprzecznymi belkami, jedną krótszą od drugiej. Krzyż lotaryński. Trudno byłoby sobie wyobrazić bardziej dramatyczny w swej wymowie pomnik w przestrzeni publicznej. Dobrze wiedziałem, co upamiętnia.

Obserwowałem Barniera. Trudno było stwierdzić, czy pomnik ma dla niego jakieś szczególne znaczenie, czy po prostu wybrał to miejsce i na kogoś tam czeka. Wyglądało na to, że stoi i czyta inskrypcje. Potem oparł się o otaczającą obelisk balustradę i, zwrócony do mnie plecami, zdawał się wpatrywać

w położoną poniżej zatokę Firth of Clyde. Stał tak przez dobrych dziesięć minut, po czym odwrócił się i podszedł do samochodu. Zakląłem w duchu. Byłem pewien, że umówił się z kimś na spotkanie, a pomnik wydawał się do tego idealnym miejscem. Naoglądałem się pewnie zbyt wiele filmów Orsona Wellesa.

Potykając się, pogałem po zboczu w dół, do atlantica. Jeśli Barnier ruszył w drogę powrotną tą samą trasą, musiałem się śpieszyć, żeby go nie zgubić. Mój bezładny odwrót próbowały zahamować końcówki gałęzi, czepiając się mojego garnituru. Kilka razy spadł mi z głowy kapelusze i nie wylądował w błocie tylko dzięki moim brawurowym, niemal bramkarskim paradom. Wreszcie wypadłem z zielonej gęstwiny na drogę w odległości kilku metrów od miejsca, gdzie zostawiłem atlantica.

W westernach zdarza się to nagminnie. Osadnicy spoglądają w górę z przełęczy i dostrzegają na zboczu złowieszczo nieruchome i milczące sylwetki obserwujących ich Apaczów albo bandytów na koniach. Na pustkowiach Badlands wydawało się to wręcz nieuniknione.

Odpowiednikiem takich rejonów, jak amerykańskie Badlands czy Pustynia Pstra, był w Szkocji Port Glasgow, więc gdy dotarłem z powrotem do drogi, zastałem przy swoim wozie trzech niezbyt przyjaźnie nastawionych Teddy Boysów. Intuicja podpowiadała mi, że ich obecność nie była w żaden sposób zaplanowana ani nie miała nic wspólnego z tym, że śledziłem Barniera. Wyglądało to po prostu na typową dla robotniczych szkockich miasteczek konfrontację z drobnymi bandziorkami. Wszyscy trzej wyglądali na dziewiętnastoletków. Najwyraźniej utożsamiali się z wizerunkiem Teddy Boya ukształtowanym przez ostatnie lata, choć żaden z nich nie był w stanie w pełni sprostać wymogom obowiązującej teddyboysowskiej mody. Jeden miał na sobie marynarkę do połowy uda, drugi spodnie rurki, a trzeci, bez marynarki, musiał zadowolić się charakterystycznym cienkim krawatem.

Razem wzięci, mieli tyle pomady we włosach, że

wystarczyłoby na smar dla całego okrętu wojennego, i taką feerię wyprysków na skórze, że dermatolog miałby przy nich pełnoetatową pracę.

– Twój wóz, kolego? – rzucił młodzian w marynarce. Najwyraźniej to on był liderem. Może właśnie dlatego przypa-
dła mu w udziale marynarka. Opierał się o błotnik atlantica
w rozluźnionej pozie. Zły znak. Przy wszelkich fizycznych
konfrontacjach pewność siebie to połowa wygranej. Pozostali
dwaj mierzyli mnie tylko obojętnym, tępym wzrokiem, jakby
ten proceder był dla nich chlebem powszednim. I pewnie był.

– Tak, mój – westchnąłem, otrzepując z grubsza z liści i błota
nogawki spodni.

– Pilnowaliśmy ci go – odezwał się jeden z nich. Musiałem się
mocno skupić, bo nie wziąłem ze sobą egzemplarza rozmówek
greenockich. Opanowanie glasgowskiej wymowy zajęło mi całe
lata, ale tutejszy akcent to była wyższa szkoła jazdy.

– Doceniam to – odparłem z uśmiechem. Wyjąłem z kieszeni
kluczyki i podszedłem do drzwi. Nie było pośpiechu. Musiałem
odpuścić Barniera. Były bardziej palące sprawy do załatwienia.
Lider w edwardiańskiej marynarce oderwał się od błotnika
i zagroził mi drzwi.

– No więc tak... Mogłeś tu wrócić i zastać poprzebijane opony
i nie wiadomo co, kurwa, jeszcze. Ale my tu dbaliśmy o to, żeby
nikt ci nie tknął bryki. Więc wydaje nam się, że zasłużyliśmy
chyba na kilka funciaków.

Jego dwóch kompanów ustawiło się po moich bokach,
prostując barki. Choć nie za bardzo było co prostować.

– Czyżby? – powiedziałem. – Jesteście bardzo
przedsiębiorczy. Tylko że sztuka polega na tym, żeby dogadać
się co do pieniędzy przed wykonaniem usługi, Einsteinie.

Zmarszczył brwi. Nie była to oznaka gniewu, lecz raczej
niepewności, czy ma moje słowa uznać za obelgę.
Zorientowałem się, że nie ma pojęcia, kim jest Einstein.
Musiałem nauczyć się, żeby używać tylko elementarnych
odniesień kulturowych. Westchnąłem i sięgnąłem ręką do
kieszeni. Jego upstrzone krostami czoło odzyskało – nomen

omen – wzdętną gładkość. Zbyt pochopnie.

To były jeszcze dzieciaki. Zdawałem sobie z tego sprawę i nie zależało mi na kłopotach. Wiedziałem jednak, że gdyby tylko mieli taką możliwość, skopaliby mnie bez mrugnięcia okiem, żeby opróżnić mi kieszenie, a może nawet ukraść atlantica. Wojsko nauczyło mnie, że każde zagrożenie należy zneutralizować. I miałem w tej materii aż nazbyt bogate doświadczenie. Uznałem więc, że litowanie się nad nimi zostawię na później.

Wysunąłem pałkę z wewnętrznej kieszeni i jak zwykle jednym, płynnym ruchem walnąłem nią na odlew herszta Teddy Boysów w skroń. Młodzik po mojej prawej rzucił się w moim kierunku, ale zatrzymałem go dźgnięciem ręki. Trzymane w niej kluczyki od samochodu przejechały mu z brzękiem po zębach i rozorały policzek. Wrzasnął i zatoczył się do tyłu, łapiąc się za krwawiącą twarz. Trzeci bandzior sięgnął do kieszeni i wyciągnął brzytwę. Nie tracąc czasu na precyzję, wymierzyłem kolejny cios, który na moje szczęście trafił go w bok słabo zarysowanej podbródka i gość osunął się bezwładnie na glebę. Ten pierwszy zaczął gramolić się z ziemi, ale wyperswadowałem mu to kopniakiem w twarz. Bandzior z dziurką od klucza w policzku pognał drogą w dół, nadal trzymając się za twarz i szlochając.

Odciągnąwszy na bok leżącego mi na drodze herszta bandy, wsiadłem do atlantica i ruszyłem z powrotem w dół z Lyle Hill. W połowie drogi minąłem tego płaczącego z porysowaną buźką. Opuściłem szybę i zapytałem go z promiennym uśmiechem, czy potrzebuje podwózki. Chyba wolał jednak iść piechotą, bo rzucił mi tylko błędne spojrzenie, obrócił się na pięcie i puścił się pędem w przeciwnym kierunku, pod górę.

Zjechałem na pobocze w miejscu, gdzie wcześniej zaparkował Barnier. Postument pomnika otaczała prostokątna balustrada z furtką, na której również widniał motyw krzyża lotaryńskiego. Wsiadłem i stanąłem obok, przez chwilę podziwiając rozciągający się wkoło widok, po czym przeczytałem wyryty na postumencie napis:

TEN POMNIK POŚWIĘCONY JEST PAMIĘCI MARYNARZY FLOTY WOLNYCH FRANCUZÓW, KTÓRZY W LATACH 1940–1945 WYPLYWALI Z GREENOCK I ODDAWALI ŻYCIE W BITWIE O ATLANTYK NA RZECZ WYZWOLENIA FRANCJI I ZWYCIĘSTWA SIŁ SPRZYMIERZONYCH

Inne tablice wymieniały konkretne jednostki marynarki wojennej Wolnych Francuzów: okręt podwodny „Surcouf” i korwety „Alysse” i „Mimosa”. Powszechnie było jednak wiadomo, że choć pomnik oficjalnie poświęcony był wszystkim marynarzom Wolnych Francuzów, którzy podczas wojny stacjonowali w Szkocji, to miał on bardzo istotne znaczenie szczególnie dla jednej grupy Francuzów. I był związany z pewnym konkretnym wydarzeniem, które miało miejsce, zanim jeszcze zostały oficjalnie uformowane Siły Wolnych Francuzów. Z czymś, co wydarzyło się właśnie na tym terenie, w miejscu widocznym z okolicy pomnika. Wyglądało na to, że Alain Barnier był z tym wydarzeniem jakoś powiązany.

Jadąc z powrotem, byłem tak pogrążony w zadumie, że praktycznie nie widziałem drogi przed sobą. Jednak nie zaprzętały mojej głowy sprawy, które przywiody mnie do Greenock. Ktoś znowu szturchał tę zwiniętą w kłębek, śpiącą istotę i zapalił światło w pokoiku na tyłach mojego mózgu. W pamięci utkwiła mi pewna nazwa: „Maillé-Brézé”.

Dręczyły mnie nie tylko duchy poległych francuskich marynarzy. Powinienem być być szczęśliwy, że przestałem obijać tych bandziorów w chwili, gdy już nie stanowili dla mnie zagrożenia. Że wykazałem się pewną wstrzemięźliwością. Jeszcze kilka miesięcy temu, zyskawszy przewagę, spuściłbym im poważny łomot. Taki kwalifikujący delikwentów do szpitala. Powinienem czuć się szczęśliwy. Ale nie.

Prawda była bowiem taka, że wyzywanie się na innych nadal sprawiało mi przyjemność.

XV

Miałem dobre miejsce. Nie przy samym ringu. Nie w drugim, trzecim czy nawet czwartym rzędzie. Ale stąd, gdzie siedziałem, opakowany w smoking i pod czarnym krawatem, miałem całkiem dobry widok na toczącą się walkę, choć jeszcze lepszy na potylicę Williego Sneddona, siedzącego przy ringu obok zaproszonego przez siebie gościa, glasgowskiego radnego i szefa wydziału planowania przestrzennego. Widoczność zakłócała mi jedynie wisząca w powietrzu zasłona dymu tytoniowego. Nad pierwszymi dwoma rzędami była gęstsza. Nad rzędami, w których widzów stać było na cygara.

Siedziałem, mając po bokach doborowe towarzystwo. Sneddon załatwił mi dodatkowe dwa bilety, więc i ja mogłem pozwolić sobie na ten skromny, korupcyjogenny gest – zaprosiłem dobrych znajomych. Jock Ferguson był typem gliniarza zazwyczaj mało podatnego na tego rodzaju zachęty, ale tym razem skorzystał z okazji, aby obejrzeć walkę o tytuł mistrzowski. Stwierdziłem zresztą, że wcale nie zaszkodzi nieco przełamać naszą wzajemną rezerwę. Powszechnie wiadomo, głównie z filmów, że FBI jest nieprzekupne, ale po tej stronie Atlantyku Dex Devereaux nie występował w roli stróża prawa, przynajmniej oficjalnie. Przyjmując moje zaproszenie, nie miał więc nic do stracenia.

Wyciągnięcie od Sneddona biletów okazało się zadziwiająco łatwe. Wystarczyło nadmienić, że planuję zmiekczyć dwóch gliniarzy, a wręczył mi bilety bez słowa skargi.

Siedziałem i przyglądałem się zмирzającym w kierunku ringu pięściarzom – obrońcy tytułu Schmidtkemu i pretendentowi Kirkcaldy'emu. Schmidtkę był Niemcem, a w całej Wielkiej Brytanii nadal panowały silne antyniemieckie resentymy. Mimo wszystkich trapiących ich problemów, takich jak bieda,

sekcjarstwo, przemoc i pijaństwo, glasgowczycy byli jednak przyjaźnie nastawieni do świata. Wychowałem się na wschodnim wybrzeżu Kanady, pośród otwartych, zycliwych ludzi. Może dlatego tak mi się tu podobało. Tak czy inaczej, wejściu na ring Schmidtkiego nie towarzyszyły gwizdy ani szyderstwa, tylko uprzejme, powściągliwe oklaski. Gdy na ringu znalazł się Kirkcaldy, wybuchł natomiast entuzjastyczny aplauz. Lokalna duma to w Glasgow najsilniejsza bodaj namiętność, a Kirkcaldy był przecież chłopakiem z sąsiedztwa.

Rozpoczęła się walka. Siedząc na widowni, czułem się dziwnie, będąc obok Sneddona i Berta Soutara jedyną osobą świadomą tego, że Kirkcaldy wstąpił na ring z tykającą mu w klatce piersiowej bombą zegarową. Patrzyłem na jego płynne, pozbawione oznak wysiłku ruchy, które znałem już z dwóch poprzednich oglądanych walk – nic nie wskazywało na jakiegokolwiek braki kondycyjne. Na razie walka nie była zbyt ekscytująca. Miało się wrażenie, że Schmidtkie się oszczędza, a obaj bokserzy utrzymują dystans, szukając potencjalnych słabych punktów w obronie przeciwnika. Nie był to styl walki typowy dla Schmidtkiego, i druga runda przebiegła w atmosferze równie nudnej, jak pierwsza. Obaj fajterzy zdawali się podchodzić do walki zbyt kunktatorsko i niechętnie podejmowali jakiegokolwiek ryzyko.

W trzeciej rundzie taktyka walki nadal nie uległa zmianie, a wówczas zacząłem wyczuwać na widowni pewne zniecierpliwienie. Byłem w stanie zrozumieć ostrożność Kirkcaldy'ego, że nie chciał rozpoczynać jakiegś wyczerpującej ofensywy, ale nie pojmowałem powściągliwości Schmidtkiego. Chyba że Schmidtkie liczył na to, że jeśli walka będzie się toczyć w taki sposób do końca, to niejednogłośny werdykt, jak to często bywa, będzie korzystny dla niego jako obrońcy tytułu.

Całkiem możliwe było jednak i to, że Kirkcaldy doszedł ze stroną przeciwną do porozumienia, co pozwoliłoby mu zakończyć karierę z pasem mistrzowskim.

W ósmej rundzie okazało się, że moje podejrzania są błędne. Niemiec ruszył ze swojego narożnika z taką samą niepewnością

jak podczas poprzednich rund. Z pochyloną głową i szczelną gardą.

Błąd okazał się banalnie prosty. Kirkcaldy wypuścił wyjątkowo niedbałego prawego haka, nie tyle nawet zdradzając swoje zamiary, ile wręcz obwieszczając je w pozłacanym zaproszeniu, zawierającym jasne instrukcje, jak dotrzeć na przyjęcie. Niemiec odwzajemnił się sierpowym i było wręcz bolesne patrzeć, jak cios sięga celu, podrywa Kirkcaldy'ego do góry i posyła go na deski. Połowa widowni, włącznie z Jockiem Fergusonem, zerwała się z miejsc i przez salę przetoczyła się ogłuszająca fala okrzyków. Sędzia opartą o klatkę piersiową Niemca dłonią wycofał go do narożnika i zaczął odliczać. Szkot potrząsnął energicznie głową i wstał szybko, podskakując i kiwając głową do sędziego. Gdy się już zakosztowało desek, to chcąc uniknąć nokautu technicznego, trzeba było natychmiast przekonać sędziego, że jest się gotowym do dalszej walki, i zazwyczaj przybierało to postać przerysowanego pokazu dobrej formy. Sędzia wycofał Kirkcaldy'ego do neutralnego narożnika i sprawdził mu oczy, po czym zajął znowu pozycję pośrodku ringu i ruchem rąk przypominającym zaciąganie zasłon dał zawodnikom znak, żeby wznowili walkę.

Wychodząc z narożnika, Niemiec pochylił, a następnie wyprostował masywne bary. Widać było, że wstąpiła w niego świeża energia. Kirkcaldy próbował neutralizować każdy kolejny atak, ale Niemiec spychał go bez przerwy na liny, zasypując gradem kąśliwych haków.

Sytuacja się wyklarowała: twarz Kirkcaldy'ego była blada, niemal biała, przez co tym bardziej uwydatniały się sine, pełne krwawych obtarć kręgi wokół oczu. Zainicjował atak, aby przełamać ofensywę Schmidtkego, ale Niemiec stał w miejscu jak przyspawany, nie oddając pola, a jego potężne ramiona pracowały jak tłoki, raz po raz sięgając korpusu Kirkcaldy'ego.

I kolejne potknięcie Kirkcaldy'ego. Schmidtkę trafił go o włos powyżej pasa i Kirkcaldy odruchowo opuścił gardę. Dwa szybkie proste na twarz, jeden po drugim, w wykonaniu Niemca, poprawione potężnym ciosem sierpowo-

podbródkowym, ogłuszyły Szkota. I wtedy Schmidtke dokończył dzieła, a zamroczony Kirkcaldy chyba jako jedyny na sali nie zauważył, co się szykuje. Miało się wrażenie, że prawy sierpowy, w który Schmidtke włożył całą swoją energię, zmierza do celu całe wieki. W końcu jednak dotarł, lądując z boku na szczęce Kirkcaldy'ego, który runął bezwładnie na deski. Jeszcze zanim sędzia zakończył odliczanie, Niemiec już zaczął dreptać w miejscu z uniesionymi triumfalnie nad głową rękami i zdeformowanym przez ochraniacz szczęki szerokim uśmiechem na twarzy.

Cała widownia zerwała się na nogi, krzycząc, a gdzieś tam wiatując. Dały się też słyszeć pierwsze, wyrażające dezaprobatę gwizdy, świadczące nie tyle o urażonej patriotycznej dumie, ile o rodzących się wśród widzów podejrzeniach, że zamiast profesjonalnego boksu byli świadkami grubymi nićmi szytego udramatyzowanego przedstawienia.

Ja też wstałem z miejsca, nie poddając się jednak zbiorowym emocjom. Obserwowałem sędziego, wuja Berta Soutara i ubranego w smoking, otęłego mężczyznę w średnim wieku, który przyklęknął przy Kirkcaldym ze skórzaną torbą lekarską w rękę. Nawet Niemiec przerwał swój triumfalny taniec.

Wrzawa wokół nas była nadal ogłuszająca, miałem jednak wrażenie, jakby oddzieliła mnie od reszty widowni jakaś zasłona, jakbym był jedynym człowiekiem zdającym sobie sprawę, co tak naprawdę wydarzyło się na ringu.

– Chryste Panie... nie żyje... – powiedziałem bezwiednie, ledwo słysząc samego siebie w otaczającym nas zgiełku.

– Co mówisz? – krzyknął Dex Devereaux, nachylając się w moją stronę i nie przerywając klaskania.

Nie odrywałem wzroku od ringu. Bert Soutar i lekarz pomagali teraz Kirkcaldy'emu podnieść się na nogi. Kirkcaldy pokiwał słabo głową, a Schmidtke, z ulgą, którą czułem nawet w swoim piątym rzędzie, objął pokonanego przeciwnika. Przy wtórze oklasków i gwizdów widowni Kirkcaldy został sprowadzony z ringu.

Wraz z Dexem Devereaux i Jockiem Fergusonem skierowaliśmy się do wyjścia. Miałem nadzieję, że będę w stanie zamienić kilka słów z Williem Sneddonem, ale straciłem go z oczu. Domyślałem się, że nie ma teraz uszczęśliwionej miny. Niezależnie od tego, w czym jeszcze maczał palce Kirkcaldy i jakie inne miał pomysły na biznes, Sneddon stracił na nim pieniądze. A narażenie Sneddona na koszty nikomu nie wróżyło zbyt dobrze. W tłumie zauważyłem Tony'ego Polaka. Przeprosiłem na chwilę Fergusona i Devereaux.

– Co powiesz, co słyhać, Tony? – zagałem z uśmiechem.

Tony nie odwzajemnił się tym samym. – Do, gurwa, gadadzrowa, Lenogz, gadadzrowa – odparł z ponurą miną, nie podchwytnjąc naszego grepsu. – Do jagiż biebrzony nonzenz. Bowiedz mi, gurwa, zo zie dzieje?

– Czyżby nieudany wieczór, Tony?

– Da dżała rozróba goźdzowała mnie, gurwa, wordune.

– Przypuszczam, że żaden z miejscowych bukmacherów nie jest uszczęśliwiony tym wynikiem.

– Nie? Zdziwiłbyż zie, Lenogz. Nie zawże jezd dag, jag zie wydaje. Brzynajmniej jeden zgurwiel wradza do domu zadowolony.

– Co masz na myśli? – spytałem, niemal krzycząc, żeby mnie usłyszał. Ale Tony'ego Polaka już wziął w obroty jakiś gracz, wymachujący energicznie swoim kuponem.

– Zabydaj o do Dżaga Golinza. Daa... zabydaj Dżaga Golinza... – odkrzyknął Tony i odwrócił się do swojego gracza. Zostawiłem go i wróciłem do swoich gości.

Zabrałem Fergusona i Devereaux do pubu Pod Końskim Łbem. Było już dawno po godzinach i Ferguson demonstracyjnie zainteresował się czymś nieokreślonym na drugim końcu ulicy, podczas gdy ja zastukałem do drzwi, posługując się umówionym kodem. W środku było co najmniej

dwudziestu bywalców. Za kontuarem stał Wielki Bob.

– Nie potrzebujemy kelnerów, Lennox – rzucił z szerokim, głupekowatym uśmiechem na widok naszych smokingów i czarnych krawatów. – To co podać?

– Znasz inspektora Fergusona, prawda, Bob? – spytałem.

Bob zmierzył wzrokiem Fergusona i westchnął. – Na koszt firmy, rzecz jasna.

Wskazałem Fergusonowi i Devereaux stolik w cichym kącie sali i skierowali się tam ze swoimi drinkami.

– Do kurwy nędzy, Lennox – powiedział Bob, gdy znaleźli się poza zasięgiem słuchu. – Kogo, kurwa, przyprowadzisz następnym razem... naczelnika policji?

– Nie ma mowy, Bob. Jego zabieram zawsze do Szabli Saracena. Rozumiesz, knajpa z większą klasą... Zresztą wydawało mi się, że to właśnie twój lokal pełni rolę nocnej kantyny glasgowskiej policji.

– Taa, dla tuzina z okładem niebieskich, którym wydaje się, kurwa, że mundur uprawnia ich do chłania tutaj nieograniczonych ilości pieprzonego piwka. Jeśli zaczną tu jeszcze uczyć się na koszt firmy starsi rangą, to będę już całkiem udupiony.

– Nie martw się, Bob – odparłem. – Ferguson to uczciwy gliniarz.

– Taa? Właśnie na takich trzeba szczególnie uważać.

Święta prawda – pomyślałem, zabierając swojego drinka, żeby dołączyć do Devereaux i Fergusona.

– No więc – zagał Devereaux – co sądzicie o walce?

– Szczerze mówiąc, byłem przekonany, że nasz chłopak pogoni temu pieprzonemu Szkopowi kota – powiedział Ferguson. – A pod koniec to już była trochę taka gra do jednej bramki.

– A ty? – Devereaux zwrócił się do mnie. – Jakie masz wrażenia, Lennox?

Wzruszyłem ramionami. – Przy takich imprezach nikt tak naprawdę nie jest w stanie niczego przewidzieć.

– Czyżby? – powiedział Devereaux. – A mnie się wydaje, że

ktoś jednak był w stanie przewidzieć wynik tej walki.

– Ustawka? – Ferguson podniósł wzrok znad swojego piwa. – Sądysz, że walka została ustawiona?

– Cztery, pięć rund obtańcowywania się wkoło, a potem nagle kilka nienapotykalających większego oporu kończących ciosów? Idę o zakład, że została ustawiona – odparł Devereaux.

– Ale przecież Kirkcaldy był w drodze na szczyt kariery. Wszyscy sądzili, że dziś wieczorem zdobędzie europejski pas mistrzowski. Po co miałby celowo poddawać walkę?

Devereaux wzruszył ramionami. – Może jest coś, czego o nim nie wiemy. Może jest komuś winien pieniądze. A może nie ma przed sobą aż tak świetlanej przyszłości, jaką wszyscy mu wróżą. – Devereaux zatrzymał na mnie wzrok. – Coś jesteś dziś małowówny.

– Ja? A co mam powiedzieć, Dex? Trochę jestem wkurzony, że ta walka okazała się takim rozczarowaniem, to wszystko.

Po chwili podjęliśmy inne tematy, co przyjąłem z ulgą. Ten cenny okrucz zastrzeżonej wiedzy na temat choroby serca, którą zdiagnozowano u Kirkcaldy’ego, cały czas krążył mi po głowie. A stamtąd na koniec języka droga była już bardzo krótka. Szczególnie po kilku głębszych.

Ulgą nie trwała długo. Gdy Ferguson udał się do toalety, Devereaux nachylił się ku mnie, ścisząc głos.

– Jock mówił mi, że dali ci wolną rękę, jeśli chodzi o sprawę zabójstwa Costello – powiedział. – Ile wiesz o tym, że ma ono związek z Johnem Largo?

– Nic nie wiesz. Sam nie jestem wcale pewien, czy tak jest. – Było to wierutne kłamstwo, i to tak ewidentne, że Devereaux aż spojrział na mnie z politowaniem. – No dobra – westchnąłem. – To możliwe, że właśnie Largo zabił Costello albo komuś to zlecił. Mnie zależy jednak przede wszystkim na tym, żeby wyciągnąć z tego bagna brata mojej klientki. Potem podam wam Largo na tacy. Kiedy już odnajdę Sammy’ego, nakłonię go do mówienia. Za jego pośrednictwem mam... mamy... największe szanse dopaść Largo.

– Okej, Lennox. Jak tam sobie chcesz.

- A to co ma niby znaczyć?
- To, że coś przede mną ukrywasz. Głupi jakiś nie jestem.
- Co takiego według ciebie ukrywam?
- Alaina Barniera.

To mnie zaskoczyło. Na szczęście w tym samym momencie Jock Ferguson wrócił z toalety.

- Gotowi? – spytał.
- Devereaux dopił swoją whisky. – Gotowi.

Kiedy siedzieliśmy w pubie, na zewnątrz spadł deszcz. Elewacje i bruk na ulicy lśniły oleistą czernią glasgowskiej nocy. Umówiłem się wcześniej z Fergusonem, że odwiozę go do domu.

– Podrzucę cię najpierw do hotelu – powiedziałem do Devereaux.

– Nie trzeba – odparł, wciskając swoje okazałe gabaryty na tylne siedzenie atlantica. – Podjadę z wami. Przy okazji pooglądam Glasgow nocą. – Zabrzmiało to jak fakt, który nie mógł być chyba bardziej dokonany. Wzruszyłem ramionami i usadowiłem się za kierownicą.

Jock Ferguson, znany mi dotychczas z niewzruszonego ponuractwa, w drodze do domu był radosny jak skowronek. Cały ten wieczór z zakrapianą końcówką ujawnił w jego osobowości jakieś drugie dno. Zastanawiałem się, czy właśnie taki był przed wojną. I żałowałem, że nie potrafię równie łatwo znaleźć dostępu do siebie takiego, jaki wtedy byłem. Cóż, większość mężczyzn posługiwała się w tym celu właśnie butelką.

Kiedy już odstawiliśmy Fergusona pod niczym niewyróżniającego się bliźniaka, w którym mieszkał, Dex Devereaux przesiadł się z tylnego siedzenia na przednie, obok mnie.

– Okej, kanucki Jasiu... Przejedźmy się gdzieś – powiedział ponuro.

Znowu zaczęło padać i na przedniej szybie bez pośpiechu rozpryskiwały się wielkie, tłustawe krople. Ulice były puste

i jedyną przeszkodą po drodze do hotelu okazał się stojący na środku ulicy pijak, próbujący utrzymać chyboczną równowagę wokół jednej zakotwiczonej w asfalcie nogi. Zatrąbiłem na niego, ale tylko machnął zamaszycie ręką, rzucając w naszym kierunku jakieś niezrozumiałe przekleństwo. Wyminąłem go i pojechałem dalej.

– Ciekawa jest ta tutejsza alkoholowa aura – rzucił Devereaux. I dodał z westchnieniem: – Jeśli większość przestępstw, z którymi macie tutaj do czynienia, ma związek z pijaństwem, to pewnie nie angażuje to zbyt szarych komórek. Ci tutejsi kolesie... mam na myśli glasgowską policję – i to z całym szacunkiem dla Jocka Fergusona – nie należą do najbystrzejszych.

– Sam to zauważyłem. Już dawno – odparłem, nie odrywając oczu od drogi. – Czemu nie powiesz, o co ci chodzi, Dex?

– Okej... jak mówię, wielkimi myślicielami to ci goście nie są. Gdyby trochę ruszyli głową, to miałbyś już sporo kłopotów.

– Niby dlaczego?

– Lennox, proszę cię... – zaśmiał się Devereaux. – Niecały kilometr od miejsca, gdzie dokonano włamania, znajdują zwłoki Paula Costello i nawet nie przychodzi im do głowy sprawdzić, czy te fakty są ze sobą jakoś powiązane. Wiesz, jakie byś dostał wciry, gdyby doszli, że klepnałeś tego gliniarza?

– Jeśli jesteś taki pewny, że to ja, to czemu im tego nie powiesz?

– Słuchaj, Lennox, jeśli zaczniesz za bardzo wierzgać, to wcale niewykluczone, że tak zrobię. Ale mnie nie chodzi o to, żeby oni namierzyli ciebie, tylko o to, żebyś ty namierzył dla mnie Largo.

– Nie wiem, gdzie on jest – powiedziałem. Byliśmy na cichej ulicy i zatrzymałem się przy krawężniku.

– Jeszcze – odparł Devereaux.

– Jeszcze – powtórzyłem z westchnieniem, opierając nadgarstki na ramionach kierownicy.

– Ale jesteś na jego tropie. I powinieneś był mi powiedzieć o Barnierze.

– Mam wrażenie, że jesteś całkiem nieźle poinformowany i bez mojej pomocy.

– Ferguson mówił mi o włamaniu. Strasznie przy tym biadolili. Powiedział, że chodzi o jakiegoś francuskiego importera, który ma biuro w Marsylii. Sam widzisz, że trudno im zmieścić w łepetynie dwie myśli jednocześnie...

– Nawet jedna po drugiej to wysiłek wymagający odpoczynku – dodałem.

– No i jedyne, co sobie wbili do głowy, to że umundurowany gliniarz dostał po głowie. Pod tym względem to miasto nie różni się aż tak bardzo od Stanów. Jeśli coś stanie się stróżowi prawa, ktoś na ogół słono za to płaci. Ale, jak mówię, to im przesłania całą resztę. Nikt nie pyta, po co, do diabła, ktoś miałby włamywać się do biura importera, gdzie można co najwyżej ukraść jakieś papiery... i to pośród składów celnych pełnych whisky, towarów luksusowych, samochodów i Bóg wie czego jeszcze.

– Może zabrakło im spinaczy, a wszystkie piapiernicze były już zamknięte.

– Nie pleć bzdur, Lennox, bo jeszcze obudzi się we mnie zawodowa solidarność z moimi glasgowskimi kolegami. Co wiesz o Alainie Barnierze?

– Sądzę, że jego firma to przykrywka, z której korzysta twój ulubieniec. A przynajmniej, że maczał palce w zabójstwie Paula Costello, bezpośrednio albo pośrednio. Costello i Sammy Pollock ukradli co najmniej jedną sztukę z transportu dwunastu jadeitowych posążków. Podejrzewam, że każdy z tych posążków wypełniony jest białym proszkiem dla twoich harlemskich Murzynów.

– Jak się dowiedziałeś o tych posążkach?

Opowiedziałem Devereaux o swoim wypadzie do opuszczonej wiejskiej chaty, o jadeitowym demonie i o kimś, prawdopodobnie niedawno zmarłym Paulu Costello, kto pozbawił mnie przytomności.

– Właśnie dlatego myszkowałem w biurze Barniera. I okazało się, że miałem rację. Znalazłem manifest okrętowy opiewający

na dwanaście wietnamskich jadeitowych demonów.

– Wietnamskich? – Devereaux aż odwrócił się w moją stronę na fotelu.

– Tak. A bo co?

– Źródłem heroiny, którą dilerzy sprzedają na ulicach, są właśnie Indochiny. Możliwe, że ten twój zabojad Barnier w ogóle nie wie, co tak naprawdę wysyła. Całkiem prawdopodobne, że heroina została zapakowana do tych posążków tam na miejscu, a Barnier został tylko zatrudniony do ich spedycji i nawet nie wie, czym są nadziane.

– Chciałbym w to wierzyć – odparłem. – Tylko że jak na importera win i ozdóbek Alain Barnier całkiem niezłe sobie radzi w walce wręcz. – Opowiedziałem Devereaux, co wydarzyło się przed Kupiecką Pieczęcią. – Śledzę go od mniej więcej dwóch dni.

– No i?

– I nic. Jedyne, co mógłby mieć ewentualnie do ukrycia, to wizyta u jakiejś mężatki w Bearsden, w czasie gdy jej mąż był w pracy.

Devereaux siedział przez chwilę w milczeniu. – Mówisz, że importuje głównie z Indochin?

– O ile wiem, tak.

– W takim razie musi mieć bardzo dobre dojścia i kontakty. Tam panuje kompletny chaos. Francuzi dali ciała na maksa. Dien Bien Phu³⁴ to była katastrofa. Punkt zwrotny. Wiesz, że Francuzi będą się stamtąd zmywać?

– Tak przypuszczam.

– A kiedy to się stanie, kontrolę przejmą komuniści. Po wyjściu Francuzów będą tam mieli całkiem wolną rękę.

– Do tego jeszcze daleko, Dex. To kolonialny problem Francuzów.

– Już nie. Teraz to również nasz problem. Tam będzie druga Korea, Lennox, uwierz mi na słowo. A na razie jest chaos, czyli

³⁴ Bitwa pod Dien Bien Phu, w której 7 maja 1954 roku komunistyczne wojska wietnamskie pokonały wojska francuskie, co zakończyło okres zaangażowania kolonialnego Francji w Indochinach.

najlepsze warunki do działania dla kogoś takiego jak John Largo.

– Więc uważasz, że Barnier nie jest w to bezpośrednio zamieszany?

– Tego nie powiedziałem. To możliwe, że nie zdaje sobie sprawy z tego, co przesyła. Możliwe też, że – kto wie? – Alain Barnier to właśnie John Largo.

– Mało prawdopodobne – odparłem. – Barnier ma tu już ustaloną reputację. Poza tym aż za bardzo kojarzy się z szefem międzynarodowej organizacji przestępczej. Eleganckie ubrania, francuski akcent, kozia bródka... Sądzę, że John Largo wolałby się mniej rzucać w oczy.

– Też nie sądzą – powiedział Devereaux i uśmiechnął się szeroko, widząc moją dezorientowaną minę. – Musisz się poduczyć wermonckiego. Mówimy tak, kiedy z kimś się zgadzamy. Wiesz, co jeszcze przychodzi mi do głowy... Może Largo jest kimś takim jak Robin Hood. Taką postacią zbiorową. Może John Largo to nie tyle pojedynczy przestępca, ile cała organizacja, a Barnier jest jej członkiem.

– Ma współnika. Facet nazywa się Claude Clement. Masz... – Wyjąłem z bocznej kieszeni smokingu notes, przepisałem adresy na czystej kartce, wyrwałem ją i podałem Devereaux. – Znalazłem je, kiedy kradłem spinacze. Może Barnier i Clement obaj są w to zamieszani. I co teraz?

– Skontaktuję się z Waszyngtonem i sprawdzę, czy mamy jakieś informacje o Barnierze i tym drugim. Tymczasem sugeruję, żebyś nadal miał na niego oko. Proponuję również, żebyś przekazywał mi na bieżąco wszystko, czego się dowiesz, i to bez żadnej zwłoki. W przeciwnym razie wcale niewykluczone, że najdzie mnie chętka, aby podzielić się z McNabem albo Fergusonem swoim zawodowym przeczuciem, kto przyłożył ich posterunkowemu. I pamiętaj, nadal mam dla ciebie ten tysiąc dolarów, jeśli doprowadzisz mnie do Largo. Nie ukrywaj już nic przede mną, Lennox.

– Jeszcze jedna sprawa – powiedziałem. Dobrze, że w ogóle sobie o niej przypomniałem. Jeszcze raz sięgnąłem po notes,

napisałem coś na kawałku kartki i wręczyłem go Devereaux. – To jest adres w Nowym Jorku, pod który wysyłane są jadeitowe demony: *Antyki Santorno*.

– Dzięki. – Wziął karteczkę i nie patrząc na nią, wsunął ją do kieszeni.

Niewiele już było do powiedzenia. Odwiozłem go pod hotel i zacząłem, chcąc się upewnić, że dostanie się do środka. Była trzecia nad ranem i trwało całe wieki, zanim jakiś podstarzały portier otworzył mu drzwi. Devereaux odwrócił się w moją stronę i na poły mi machając, na poły salutując, wszedł do holu. Siedziałem przez chwilę w zamyśleniu, wpatrując się w zamknięte dębowe drzwi. Przekazałem Devereaux wszystko, co wiedziałem. Albo prawie wszystko. Nie wspomniałem o przejeździe pod pomnik upamiętniający marynarkę Wolnych Francuzów. Prawdopodobnie nie było to nic istotnego, ale musiałem to najpierw sam sprawdzić. Byłem bardzo zmęczony, wręcz padałem z nóg. Po głowie krążyły mi dziesiątki myśli, ale mój mózg zasunął zasłony i wywiesił napis „nieczynne”.

W tym stanie i tak nie doszedłbym do żadnych konstruktywnych wniosków, więc postanowiłem przespać się kilka godzin i chwilowo porzucić moje przemyślenia.

XVI

Z samego rana pojechałem po raz kolejny do Biblioteki Mitchella. Tym razem nie byłem z nikim umówiony. Przybyłem w poszukiwaniu pewnej bardzo konkretnej informacji.

Miałem szczęście, że pomogła mi uczynna bibliotekarka, która dała się złapać na moją pozę bezradnego przystojniaka. Była brunetką około trzydziestki, z rozpuszczonymi włosami, ubraną w nieco artystowski sposób, na tyle w każdym razie, na ile pozwalała praca w miejskiej bibliotece. Dostrzegłem ją z drugiego końca głównej sali. Rękami podtrzymywała imponujący stos ciężkich encyklopedii, które z kolei podpierały jej równie imponujący biust. Wyglądała mi na kogoś o otwartym umyśle, a szerokie horyzonty uważałem u kobiet za zaletę. Od razu zawiązała się między nami nić porozumienia. Mogło oczywiście wchodzić w grę łączące nas zamiłowanie do książek, przypuszczałem jednak, że bardziej chodzi o mój nieskrywany, głęboki podziw dla jej walorów.

Tak czy inaczej, dzięki naszej współpracy moje poszukiwania przebiegły znacznie szybciej i sprawniej, niż gdybym musiał prowadzić je sam, po omacku. Skompletowanie potrzebnych artykułów prasowych, raportów wojennych i list poległych zajęło mi czterdzieści pięć minut. Były oczywiście pewne fakty, do których dotrzeć nie byłem w stanie: w Wielkiej Brytanii wiele dokumentów utajniono i choć upłynęło już prawie dziesięć lat od zakończenia wojny, niektóre szczegóły konfliktu nadal tkwiły zamknięte w podziemiach Whitehall, gdzie pozostaną jeszcze co najmniej przez osiemdziesiąt lat. Zebrałem jednak wystarczający materiał do dalszej pracy. Udało mi się też zdobyć adres domowy mojej ciemnowłosej współpracownicy wraz z bardzo ściśle określonymi porami wizyt: poza nieco awangardowym strojem miała też na palcu

lewej dłoni obrączkę. Domyślałem się, że jej mąż ani nie podziela jej artystowskich inklinacji, ani nie ma szerokich horyzontów.

Zostawiła mnie ze wszystkimi moimi materiałami przy jednym z biurków. Moją uwagę pochłaniało jedno konkretne wydarzenie i spędziłem dwie godziny na wczytywaniu się w relacje prasowe i oficjalne raporty dotyczące katastrofy. Najbardziej interesowały mnie jednak listy poległych oraz listy załóg. W końcu znalazłem to, czego szukałem: Alain Barnier był młodszym oficerem na niszczycielu „Maillé-Brézé”. To by tłumaczyło przywiązanie Francuza do tego rejonu świata. Wyjaśniałoby także jego wycieczki pod pomnik na Lyle Hill.

Wpatrując się w znalezione w jednym z dokumentów nazwisko Barniera, uświadomiłem sobie jednak, że nastęrcza ono więcej pytań, niż daje odpowiedzi.

Przewertowałem archiwalne numery „Greenock Telegraph” z pierwszych lat wojny. W owym czasie stacjonowało w tym rejonie wielu francuskich marynarzy, wylapywałem więc wszelkie wzmianki o francuskich oddziałach. Były to na ogół pisane w patriotycznym ferworze kawałki pod tytułem „mniejsza o Napoleona, teraz wszyscy jesteśmy braćmi”. Szkoci mieli do Francuzów stosunek odmienny niż Anglicy. Pamiętano tu jeszcze o wcześniejszym od brytyjskiego Aktu Połączenia, a obowiązującym niegdyś Starym Przymierzu między Francją, Szkocją i Norwegią, które Szkoci nadal traktowali z wielkim pietyzmem i nostalgią. W czasie wojny relacje między francuskimi marynarzami a miejscową ludnością układały się na ogół dobrze i trudno było spodziewać się jakichkolwiek negatywnych wzmianek na ten temat w prasie z tamtego okresu.

Przeglądając różne sprawozdania sądowe, udało mi się jednak znaleźć coś godnego uwagi. Trzem robotnikom stoczniowym z Greenock, niepodlegającym służbie wojskowej ze względu na wykonywanie kluczowego dla gospodarki narodowej zawodu, postawiono w miejscowym sądzie okręgowym zarzuty o zakłócenie porządku publicznego, napaść i atak na policjanta. Faceci zamieszani byli, jak się okazało, w jakąś bijatykę na

mieście. Lokalna policja wraz z francuską żandarmerią wojskową musiała zneutralizować poważną awanturę, która rozpoczęła się w jakimś pubie w Greenock i przeniosła na ulice miasta. Data była tu znamienna: 5 lipca 1940 roku – dwa dni po tym, jak brytyjska Królewska Marynarka Wojenna zaatakowała flotę francuską pod Mers-el-Kébir, aby nie dopuścić do przejścia okrętów francuskich przez Niemców. Zatopiono dziesięć okrętów i zginęło prawie tysiąc trzystu francuskich marynarzy. Była to dyplomatyczna katastrofa, która dobitnie uświadomiła Francuzom sens porzekadła „z takimi przyjaciółmi, kto potrzebuje wrogów?”.

Nie potrzeba było jakichś oszałamiających zdolności dedukcyjnych, aby wysnuć wniosek, że poziom napięcia między marynarzami francuskimi a miejscową ludnością musiał być po owym wydarzeniu mocno skumulowany i pewnie jakiś pyskacz powiedział o słowo za dużo, wywołując awanturę. Oczywiście mogło być zgoła inaczej. Na zachodzie Szkocji nie trzeba wiele, żeby sprowokować bijatykę, a ponieważ tyle miejscowych dziewcząt z zapalem pracowało na miano „marynarskich materacy”, amatorzy rękoczynów zawsze mieli do dyspozycji stare, wypróbowane katalizatory: zazdrość o kobietę i alkohol.

Miałem już przejść do kolejnej partii materiałów, kiedy moją uwagę przykuło oświadczenie jednego ze świadków. Grupa francuskich marynarzy została otoczona przez jakąś miejscową bandę. Z odsieczą przybyła im policja wspierana przez francuską piechotę morską i żandarmerią wojskową. Świadek opisywał, jak niektórzy z Francuzów wykorzystywali do odparcia tłumu „sztuki walki z jakimiś wyrafinowanymi technikami nożnymi”.

Spytałem moją bibliotekarkę, czy mogłaby mi zrobić fotokopię sprawozdania i po pewnej dozie łagodnej perswazji, wspartej solidną dawką lennoxowskiego wdzięku, zgodziła się. Miałem jednak zapłacić za te materiały i zgłosić się później po ich odbiór.

Była już prawie pora obiadowa i jak zwykle pojechałem odwiedzić Davey'ego w szpitalu. Jego twarz zaczynała powoli nabierać znajomych rysów, ale miałem wrażenie, że jest w gorszej formie niż tuż po pobiciu. To trochę trwa, zanim po czymś takim ból w pełni zadomowi się w mięśniach i w kościach, zanim wniknie we wszystkie zakamarki ciała. I zazwyczaj dobiera sobie jako współtowarzyszy wstrząs i przygnębienie. Było wyraźnie widać, że zmaltretowane ciało młodego Davey'ego Wallace'a zostało już przez nie w pełni zawładnięte.

Przyszło mi nagle do głowy, że byłem na początku tak pochłonięty wypytywaniem Davey'ego o to, co wydarzyło się tuż przed tym, jak go napadnięto, że nie spytałem, czy wcześniej tego dnia nie zauważył niczego niezwykłego.

– Czy znalazł pan mój notes, panie Lennox? – spytał Davey przez zadrutowaną szczękę. To kolejna rzecz, która może człowieka podłamać – konieczność karmienia przez rurkę z powodu zadrutowanej szczęki, choć upłynął już ponad tydzień od pobicia. Z tym, kto zrobił to Davey'emu, miałem do wyrównania spore rachunki.

– Nie, Davey – odparłem. – Tam, gdzie był zaparkowany samochód, nie było po nim śladu.

– Myślałem trochę o tym notesie, panie Lennox. Mam tu sporo czasu na rozmyślanie. Nie mam zwyczaju gubić rzeczy. Pod tym względem jestem bardzo uważny. Nawet po tym wszystkim, co mnie spotkało, po całym tym zamieszaniu pamiętam, że miałem ten notes w kieszeni marynarki. Powinien tam nadal tkwić, a zniknął. Wzięli go ci, którzy mi dali wycisk. Musiałem więc zobaczyć tam coś, na co nie zwróciłem wtedy szczególnej uwagi, natomiast oni uznali pewnie, że to zanotowałem.

– Co takiego?

– Łamałem sobie nad tym głowę. Nie dawało mi to spokoju. – Davey zamilkł na chwilę i skrzywił się. W jakiejś części ciała ból przypominał mu o swojej obecności. – Jak mówię, miałem sporo czasu, żeby się nad tym zastanowić. Tylko że owego dnia

nic szczególnego się nie wydarzyło. Jedyne, co mi się nasunęło, to samochód, który widziałem.

– Chodzi o kogoś, kto odwiedzał Kirkcaldy’ego? – spytałem. Zapaliłem papierosa i przytknąłem mu go do ust.

– Nie. W samochodzie było dwóch ludzi, ale nie przyjrzałem im się dokładnie. Kiedy mnie mijali, kątem oka zauważyłem tylko kierowcę. Myślałem, że zaparkują samochód i wejdą do domu Kirkcaldy’ego, ale samochód pojechał dalej. Wiem, że to durne, ale przyszło mi do głowy, że może zauważyli, iż tam jestem i obserwuję dom, i postanowili się nie zatrzymywać.

– To wcale nie jest durne, Davey. To intuicja. Gdyby był tutaj Dex Devereaux, powiedziałby ci, że potrzebuje jej każdy detektyw, każdy agent FBI. Zauważyłeś, jakiej marki był ten wóz?

– Niewiele wiem o samochodach – powiedział Davey melancholijnie, tak jakby znowu sprawił mi zawód. – O markach i tego typu sprawach. Ale właśnie dlatego dopytywałem się o notes. Zapisałem w nim numer rejestracyjny. W każdym razie to był duży samochód. Taki bardziej luksusowy.

– Jakiego koloru?

– Czerwony – odparł Davey. – Ciemnoczerwony. Taki jakby kolor wina.

– Burgunda?

– Przykro mi, nie wiem... czy to jakiś rodzaj wina?

– Wiesz, jak wygląda lanchester? Albo daimler conquest?

– Przykro mi, panie Lennox, ale tak jak mówiłem, nie znam się zupełnie na samochodach.

– Nie przejmuj się, Davey. Spisałeś się doskonale. Naprawdę doskonale. Mam pewne przeczucie, kto mógł być w tym samochodzie. I to jest coś naprawdę ważnego. Dzięki, bardzo mi pomogłeś.

Zostawiłem Davey’ego w nieco lepszym nastroju po moich pochwałach. Wykręciłem numer do Lorny z automatu w szpitalu. Ton jej głosu był mało zachęcający, ale na ile tylko mogłem, starałem się wciągnąć ją w swobodną rozmowę,

kamuflując prawdziwy powód swojego telefonu: rzucone od niechcenia, dobrze ukryte pośród błahostek pytanie.

– Nie – odparła na nie. – Jacka tu w tej chwili nie ma. Wiesz, to nie jest tak, że on tu bez przerwy przesiaduje.

– A wiesz, gdzie może być?

– Nie wiem. Pewnie w pracy. Ma biuro nad siłownią w Maryhill. Czemu? Skąd to nagłe zainteresowanie Jackiem?

– Nic wielkiego – zablefowałem. Przemknęło mi przez głowę pytanie, ile siłowni może znajdować się w Maryhill. – Chciałem z nim tylko porozmawiać o wczorajszej walce.

Zmieniłem temat, pytając ją, jak się czuje i czy chce, żebym ją wieczorem odwiedził. Powiedziała, że planuje wcześniej się położyć i że lekarz dał jej jakieś środki nasenne. Pomyślałem, że może dlatego wydawała się taka zdystansowana. Ale jej chłód to nie był tylko efekt farmaceutyków. Może zaczynałem wychodzić z wprawy. Zawsze zdumiewało mnie to, w jaki sposób kobiety, początkowo tak podatne na mój czar, później zaczynały mu się opierać. Same natomiast zdawały się radzić sobie doskonale.

To zadziwiające, jak pewne rzeczy zaczynają się czasem układać w jedną całość: czerwone wstążki przymocowane do cygańskiego wozu, rzucona w przelocie uwaga Tony’ego Polaka, kolor samochodu zapamiętany przez Davey’ego Wallace’a, wzmianka o oficerze francuskiej piechoty morskiej w sprawozdaniu sądowym z Greenock, podejrzliwość Lorny.

Za bardzo rozmieniałem się na drobne, pracując jednocześnie nad dwiema sprawami, z których każda rozrosła się do rozmiarów znacznie większych, niż się z początku zapowiadało. Przede wszystkim sądziłem, że odnalezienie Sammy’ego Pollocka okaże się banalnym zadaniem i nie będzie mi przeszkadzało w dojściu do sedna sprawy z Bobbym Kirkcaldym. Powinienem był wiedzieć, że nic w życiu nie jest proste. Prawdę mówiąc, już wcześniej przemknęło mi przez głowę podejrzenie, że te sprawy mają ze sobą jakiś związek.

Chronologia wypadków cechowała się bowiem dziwną zbieżnością. Zniknięcie Sammy'ego Pollocka zbiegło się z dwoma innymi wydarzeniami: kradzieżą jednego lub kilku jadeitowych demonów kylan Alaina Barniera oraz przedwczesnym zgonem Bilon MacFarlane'a.

Willie Sneddon był typem człowieka, o którym mój tata powiedziałby, że jest „takim krętaczem, że nawet grób będą mu kopać korkociągiem”, więc nadal miałem powody wątpić, czy powiedział mi wszystko, co było do powiedzenia o jego układach z Bobbym Kirkcaldym. Nie miałem jednak podstaw, by zakwestionować to, co już mi powiedział, między innymi fakt, że tuż przed ich spotkaniem owego feralnego dnia wydarzyło się coś, co przeraziło Bilon MacFarlane'a.

Otóż dla mnie zbieg okoliczności to coś podobnego do socjalizmu: sympatyczna idea, sprawiająca dobre wrażenie z oddali, ale po bliższej inspekcji mało wiarygodna. Byłem niemal pewien, że zabójstwo MacFarlane'a miało związek z co najmniej jedną z tych spraw. MacFarlane był graczem zakulisowym, finansistą maczającym palce w niemal tylu interesach co Sneddon. Tylko że w przeciwieństwie do Sneddona McFarlane mógł się na tych interesach sparzyć. W mojej głowie zaczął rysować się pewien obraz. Jak u Picassa – malunek był brzydki, pokręcony i nie mogłem się w nim doszukać sensu.

Mój najbardziej naglący obecnie problem polegał na tym, jak mieć na oku jednocześnie dwóch pielgrzymów: Alaina Barniera i Jacka Collinsa. Przyszedł mi do głowy pewien pomysł, najpierw jednak musiałem porozmawiać z Collinsem.

Biuro składało się w zasadzie z dwóch małych pomieszczeń na piętrze budynku, którego parter został przerobiony na salę treningową. Budynek był z tych starszych i zaczynał się już gdzieniegdzie sypać. Minąłem drzwi do sali treningowej i wszedłem po schodach na piętro.

Kiedy wparowałem do biura, powitała mnie sekretarka, która

ewidentnie została zatrudniona bynajmniej nie ze względu na biegłość w stenografii. Była tlenioną blondynką o figurze wywołującej zmayı nocne u nastolatków. Rozchyliła pąsowe usta, błyskając białymi zębami, i wprowadziła mnie do gabinetu.

Jack Collins siedział za biurkiem i za gęstą zasloną sinosiwego dymu papierosowego. Kiedy wszedłem, studiował właśnie rozłożoną przed sobą księgę rachunkową, dokonując obliczeń przy pomocy sumatora na korbkę. Był bez marynarki, a żeby uniknąć poplamienia atramentem mankietów koszuli, rękawy miał podciągnięte do góry i przytrzymane tuż powyżej łokcia elastycznymi opaskami. Zobaczywszy go z bliska, utwierdziłem się w moich przypuszczeniach na jego temat: był wymuskany, wytwornie ubrany i wyjątkowo zadbany jak na miasto, w którym szyk polegał na otrzepaniu cyklistówki z pyłu węglowego przed zapuszczeniem się z dziewczyną w jakiś ciemny zaułek. Był szczupłym mężczyzną o podłużnej twarzy i przystojnym, choć może nieco zbyt piękniświatym wyglądzie. Gęste ciemne włosy miał perfekcyjnie zaczesane do tyłu nad wysokim opalonym czołem. Pod nosem miał cienki wąsik – tak starannie wypielęgowany, jakby punktualnie co godzinę go podcinał.

– Ktoś do ciebie, Jacky – rzuciła blond sekretarka zza moich pleców.

– Senga – powiedział znudzonym tonem Collins, omijając mnie wzrokiem. – Ile razy ci mówiłem, żebyś najpierw pytała gości o nazwisko?

– Jestem Lennox – pośpieszyłem z wyjaśnieniem.

– Wiem – odparł, spoglądając znowu w stronę „Sengi” i odprawiając ją niecierpliwym gestem. – No dobra, wracaj do swojej roboty. I zamknij za sobą drzwi.

– Przepraszam – powiedział. – Ale dopiero ją szkole.

– Domyślam się, że może to być niewdzięczne zadanie – powiedziałem, siadając naprzeciwko niego. Zgasił niedopałek papierosa i natychmiast zapalił następnego. – Pardon – powiedział i podsunął w moją stronę paczkę. – Proszę się

poczęstować.

– Nie, dziękuję – odparłem, wyjąłem papierośnicę i zapaliłem swojego. – Nie palę z filtrem. To francuskie, prawda? – Gestem głowy wskazałem popielniczkę, pełną niedopałków. Każdy z nich miał na sobie dwa złote paski.

– Tak. MontPELLIERY. Zazwyczaj palę inne, ale w ramach sprzedaży związanej dostałem karton od znajomego importera. To pan jest tym facetem, który spotyka się z Lorną, prawda?

– Z pana przyrodnią siostrą... tak.

Zmierzył mnie spokojnym spojrzeniem. Nie wyglądał bynajmniej na wytrąconego z równowagi. – Więc wie pan o tym?

– Że jest pan synem Bilona MacFarlane'a? To nie jest aż taka tajemnica, jak się panu wydaje. Wie o tym połowa Glasgow.

– Rozumiem. Co mogę dla pana zrobić, panie Lennox? – Całkowity luz. Collins był albo niezwykle opanowany, albo spodziewał się mojej wizyty.

– Badam kilka spraw związanych z Bobbym Kirkcaldym. Pomyślałem, że mógłby pan rzucić na nie nieco światła.

– Naprawdę? Dlaczego akurat ja?

– Wiesz co, Jack... Masz coś przeciwko, żebym mówił ci Jack? Wiesz co, Jack, jestem takim dość filozoficznie nastawionym gościem. Lubię rozmyślać nad istotą rzeczy. Jedną ze spraw, nad którymi się zastanawiam, to istota zbiegów okoliczności.

– No i...? – Udał, że niewiele go to wzrusza. A może faktycznie miał to gdzieś.

– Tak samo, jak przyroda nie znosi próżni, ja nie znoszę zbiegów okoliczności – powiedziałem.

– Jakiego rodzaju zbieg okoliczności ma pan na myśli?

– No cóż, weźmy na początek to, że jest tajemnicą poliszynela, iż jesteś całkowicie nieślubnym synem Bilona MacFarlane'a. To miasto liczy ponad dwa miliony mieszkańców, tymczasem dziwnym trafem morderca twojego ojca trenuje w sali treningowej piętro niżej. Co więcej, jego linia obrony oparta jest na twierdzeniu, że jakiś anonimowy rozmówca zadzwonił

do niego w jedyne zaopatrzone w telefon miejsce, w którym można go było złapać. Czyli do sali treningowej na dole. No i mamy jeszcze Bobby'ego Kirkcaldy'ego, który jest znany ze swojego rygorystycznego programu treningu. A gdzie trenuje? W sali na dole. I wreszcie dochodzi do tego fakt, że wszyscy bukmacherzy w tym mieście liżą rany, bo Bobby Kirkcaldy podkłada się w środku walki, którą powinien był łatwo wygrać. To znaczy wszyscy z wyjątkiem ciebie.

– Nie jestem bukmacherem.

– Oficjalnie nie, ale w gruncie rzeczy prowadziliście z Bilonem rodzinny interes. Domyślam się, że przejąłeś jego dokumentację. Dlatego policja nie znalazła u niego niczego godnego uwagi. Mój Boże, ależ musiałeś się z tym uwinąć. No i słowo daję, żałoba po ojcu nic a nic nie nadwerzężyła twojej żyłki do interesów, co?

– Jest pan bardzo napastliwy, panie Lennox. Skąd przypuszczenie, że i ja na tym nie straciłem? Przecież wszyscy spodziewali się, że Bobby Kirkcaldy wygra tę walkę bez żadnych problemów.

– Jeden z moich znajomych był zdania, że ktoś jednak wiedział, co się święci. Ktoś, kto nie tyle nawet asekurował się na dwie strony, ile po prostu doprowadził do tego, aby wynik był po jego myśli.

– Nie powinien pan wierzyć we wszystko, co panu opowiada Tony Polak – powiedział Collins z szyderczym uśmieszkiem. Bystry był z niego chłopak, bez dwóch zdań.

– Ja nawet nie rozumiem wszystkiego, co mi opowiada Tony Polak. I zanim zaczniesz wskazywać palcem winnych, powinieneś wiedzieć, że szereg palców wskazuje właśnie na ciebie. Zasięgałem języka u wielu osób i wszyscy mówią, że to ty obłowileś się na tej walce.

– Czego właściwie ode mnie chcesz, Lennox? – Rozsiadł się na krześle, opierając łokcie na poręczach i zaplatając smukłe palce pod brodą w geście udawanego skupienia.

– Chcę wiedzieć, w co wdaliście się wspólnie z Bilonem i Bobbym Kirkcaldym. Willie Sneddon wynajął mnie, żebym

dowiedział się, kto próbował zastraszyć Kirkcaldy'ego, w którego on sporo zainwestował. Po tej wczorajszej lipnej walce wygląda na to, że ktoś faktycznie dopiął swego, a inwestycję Sneddona diabli wzięli. Albo to, albo ubito z kimś jakiegoś rodzaju interes, mający was wszystkich wybawić z opresji. Chcę wiedzieć, z kim.

Gdy mówiłem, Collins przyglądał mi się, nadal spokojny i opanowany. Musiałem przewyciężyć pokusę, aby obejść biurko i wykopać mu spod tyłka krzesło.

– Jeśli nawet jest tak, jak mówisz, to co ci do tego? Czym się przejmujesz? Twoja fucha dla Sneddona skończona. Walka się odbyła i wynik jest taki, jaki jest, czy się to Sneddonowi podoba, czy nie.

– Chwila – po pierwsze, mam dziwne uczucie, że to wcale nie jakiś rozszalony cygański zabijaka załatwił Biloną. Po drugie, choć wydaje się, że ty znosisz to wyjątkowo dobrze, Lornie zawałił się świat, a ja czuję, że coś jej jestem winien. A po trzecie... – Wstałem i opierając pięści na blacie biurka, zbliżyłem twarz do jego twarzy. – I to wścieka mnie najbardziej... W szpitalu Southern General leży chłopak, któremu podają obiad przez słomkę, a wszystko dlatego, że mógł cię zobaczyć, kiedy przyjechałeś, aby pogadać z Bobbym Kirkcaldym. I tu pojawia się pewna zagadka. Nie było żadną tajemnicą, że Kirkcaldy i Bilon prowadzili wspólne interesy. A ty byłeś współnikiem Bilon w przynajmniej jednym przedsięwzięciu. Zastanawiam się więc, kto siedział z tobą w tym samochodzie i dlaczego nie chciał, żeby ktoś tego wieczoru go tam zobaczył.

– Słuchaj, Lennox... jeśli naprawdę, jak twierdzisz, jesteś zainteresowany wyjaśnieniem okoliczności śmierci Jimmy'ego, to jestem za to wdzięczny... choć mam wrażenie, że policja w zasadzie już znalazła winowajcę. Poza tym, czy naprawdę myślisz, że mógłbym mieć coś wspólnego z jego zabójstwem? Jak sam powiedziałeś, był moim ojcem, czy ludzie o tym wiedzieli, czy nie, i opiekował się mną. Mieliśmy jeszcze mnóstwo wspólnych planów. Pokładał we mnie wielkie

nadzieje. Skąd pomyśl, że mógłbym mieć cokolwiek wspólnego z jego śmiercią?

– Nie sądzę, abyś był w to umoczony. Nie twierdzę, że jesteś odpowiedzialny za jego śmierć ani że chciałeś jego śmierci. Uważam jednak, że się czegoś boisz. Wiem, że zanim Bilon zginął, był śmiertelnie przerażony. I ktokolwiek tak go zastraszył, ciebie też trzyma na sznurku, bo boisz się, że skończysz tak samo.

– To bzdury, Lennox. Bóg jeden wie, skąd ci takie rzeczy przychodzą do głowy. Nie było mnie nawet w pobliżu domu Kirkcaldy’ego tego dnia ani zresztą któregokolwiek innego.

– Którego dnia? Nie mówiłem nic, kiedy to było. I nie nie wspomniałem o tym, czy miało to miejsce za dnia czy w nocy.

Collins zaśmiał się pod nosem. – Słuchaj, odpuść sobie. Nie sprowokujesz mnie, bo nie mam nic do powiedzenia na ten temat. Trafiłeś pod zły adres.

– Czyżby? Jestem innego zdania. Ale, jak mówisz, nie mam żadnych dowodów. Jeszcze. Kiedy je zdobędę, to ciekaw jestem, z kim będziesz miał większy problem: z policją czy z Williem Sneddonem. Na razie przemyśl sobie to wszystko. I jeśli uznasz, że przyda ci się moja pomoc w wywikłaniu się z kłopotów, zadzwoń do mnie. – Ostentacyjnym ruchem rzuciłem mu na biurko swoją wizytówkę. On ostentacyjnie jej nie podniósł.

XVII

Ulica Bantaskin w Maryhill nie była bynajmniej Bulwarem Zachodzącego Słońca w Hollywood i trudno nie rzucać się w oczy, siedząc na czatach w samochodzie, kiedy przy całej ulicy stoją jeszcze tylko dwa inne auta. Znaczyło to, że musiałem zaparkować swojego atlantica za rogiem, w pewnej odległości od siłowni, i stamtąd śledzić, co się będzie działo.

Tak naprawdę nie liczyłem na to, że wyciągnę z Collinsa cokolwiek istotnego. Cała ta konfrontacja miała na celu nie tyle sprawdzenie, co on wie, ile danie mu do zrozumienia, ile wiem ja. Choć tak naprawdę wcale nie wiedziałem aż tak dużo. Intuicja podpowiadała mi, że Collins wykona teraz telefon i umówi się na spotkanie, a nie później niż za dziesięć minut zobaczę go w pośpiechu opuszczającego bocznymi drzwiami siłownię. Pojawił się jednak dopiero po około dwudziestu minutach, zmierzając do swojego zaparkowanego po drugiej stronie ulicy lanchestera-daimlera. Puściłem się biegiem do atlantica i wyjechałem zza zakrętu akurat w porę, aby zobaczyć tył jego samochodu skręcającego na skrzyżowaniu w ulicę Cowan.

Miałem nadzieję, że między mną a lanchesterem Collinsa pojawi się jakiś inny samochód, ale z wyjątkiem tramwajów i autobusów ulica Maryhill była pusta. Musiałem trzymać się w bezpiecznej odległości. Collins pewnie zlustrował ulicę, zanim wsiadł do wozu, aby upewnić się, czy już odjechałem. Nie znaczyło to jednak, że nie będzie spoglądał we wsteczne lusterko nieco częściej niż zwykle. Na szczęście jego burgundowy lanchester był dość charakterystyczny i uznałem, że będę w stanie mieć go na oku nawet z dalszej odległości.

Samochód Collinsa zmierzał ulicą Maryhill w kierunku Milngavie. Uśmiechnąłem się pod nosem z satysfakcją, bo

zmierzaliśmy do domu Bobby'ego Kirkcaldy'ego w Blanefield. Jak się jednak okazało, nie całkiem. Minęliśmy bowiem Strathblane i Blanefield i pojechaliśmy dalej na północ, wjeżdżając do hrabstwa Stirlingshire. Nie mogłem w swoim fachu narzekać na monotonię – co to, to nie. Przez ostatnie dwa tygodnie poznałem więcej wiejskich okolic Szkocji niż niejednego kierowcę dalekobieżnych autokarów.

Nasze dwa samochody były teraz jedynymi widocznymi na trasie i zwiększyłem maksymalnie dzielący nas dystans, zadowolając się okazjonalnym widokiem krwistej kropli lanchestera, gdy pokonywał jakiś pagórek albo brał zakręt. Trasa nie miała żadnych odnóg, więc nie przejmowałem się, że go zgubię, zachodziłem natomiast w głowę, dokąd zmierza.

Jechaliśmy teraz przez rejony Szkocji, których malowniczy krajobraz kontrastował z dramatyzmem wcześniejszego odcinka trasy. Widok gór w oddali uświadomił mi jednak, jak bardzo oddaliliśmy się już od Glasgow. Za następnym zakrętem okazało się, że już zupełnie straciłem Collinsa z oczu, więc nieco przyśpieszyłem, ale nadal go nie dostrzegłem. Przestałem podziwiać krajobraz, zmieniłem ze zgrzytem bieg i docisnąłem pedał gazu. Następny zakręt wziąłem nieco za ostro, przy wtórze pisku tylnych opon. Nadal ani śladu Collinsa. Kolejną prostą pokonałem równie szybko jak poprzednią, hamując ostro przed wirażem. Tym razem wyłoniła się przede mną rozległa przestrzeń z biegnącą w kierunku gór, opadającą w dół, a potem stopniowo wznoszącą się znowu między szpalerem drzew osiłą drogi. Zwolniłem. Ani śladu Collinsa, a było niemożliwe, żeby pokonał ten prosty odcinek przede mną, zanim dojechałem do zakrętu.

Jakiś czas zajęło mi znalezienie miejsca, w którym mogłem zawrócić. Atlantic zaprotestował nieco, gdy znowu dodałem gazu, pędząc z powrotem pod górę i biorąc zakręt. Zwolniejszy na prostej, sprawdzałem po kolei każdą wiejską bramę i odbiegające od drogi trakty, próbując przeniknąć wzrokiem gęste kępy drzew. W pewnej chwili minąłem coś, co wyglądało na bity, a potem zwirowy podjazd do jakiegoś domu, choć sam

budynek był niewidoczny za rosnącymi wzdłuż drogi drzewami i krzakami. Pojechałem jeszcze z pięćset metrów, sprawdzając, czy Collins mógł gdzieś skręcić. Nic. Musiał to zatem być ten podjazd pod dom. Znalazłem coś w rodzaju zatoczki przy drodze i zaparkowałem tam, żeby móc pieszo podkraść się pod budynek i pomyszkować. Zaczynało mi to już wchodzić w nawyk, i zmierzając drogą do wylotu podjazdu, zastanawiałem się, czy nie powinienem zamienić atlantica na traktor.

Łuk podjazdu był długi i otoczony drzewami, tak że dom stawał się widoczny dopiero, gdy było się już prawie przy nim. Okazało się, że jest to duże domiszcze w stylu georgiańskim. Większy i bardziej reprezentacyjny niż nowo nabyte wiejskie ustronie Snedдона, gdzie odbywały się walki na gołe pięści. Kiedy podszedłem bliżej, zobaczyłem jednak, że większość okien miała zamknięte okiennice, a boczne drzwi były zabite deskami. Kolejny pusty dom. Ale nie opuszczony. Wyglądało na to, że został zabezpieczony na czas nieobecności właścicieli albo był do kupienia. Przed domem znajdował się ogromny półkolisty dziedziniec. Nie było widać ani krwistoczerwonego lanchestera, ani żadnych innych samochodów. Mogłem sobie zaoszczędzić czasu, podjeżdżając pod sam dom. Najwyraźniej nikogo tu nie było, a tym bardziej Collinsa. Zgubiłem go, cholera. Uznałem, że warto jednak sprawdzić chałupę, nadal rzecz jasna zachowując jak największą ostrożność.

Postanowiłem zejść z podjazdu, bo przy każdym kroku skrzypiał pod stopami żwir, a wszystko inne tutaj zdawało się związane trapistowskimi ślubami milczenia. Przeciałem obszerne trójkątne trawnik, który aż prosił się o interwencję kosiarki i skręciłem za róg domu. Pierwsze dwa okna, na które trafiłem, o typowych wysokich georgiańskich ramach, miały zamknięte wewnętrzne okiennice. Kiedy zaszedłem na tyły budynku, udało mi się jednak znaleźć okno z uchyloną od wewnątrz okiennicą, ale panował za nim nieprzenikniony mrok. Próbowałem dojrzeć coś przez szybę, przyciskając do niej twarz i osłaniając dłońmi oczy, ale nic to nie dało: w środku

było zbyt ciemno, żeby cokolwiek zobaczyć.

Wyprostowałem się i obok odbicia mojej twarzy na ciemnej szybie zobaczyłem odbicie drugiej. Poobijanej, w nieokreślonym wieku i wyglądającej jak używany od dziesięcioleci worek treningowy. Przez głowę przemknęła mi myśl „wujek Bert” i już miałem się odwrócić, ale coś przypominającego stał wbiło się od tyłu w moje ciało tuż nad miednicą. Miałem wrażenie, jakby moja nerka eksplodowała i fala bólu wypełniła mi trzewia. Cios trafił dokładnie w to miejsce, które jeszcze dochodziło do siebie po konfrontacji z goryłami Costello przed Kupiecką Pieczeńią.

Odwracając się na pięcie, wymierzyłem na ślepo cios w kierunku napastnika, ale zablokował go przedramieniem, a jego żelazna pięść tym razem wbiła mi się w splot słoneczny. Z płuc uciekły mi ostatnie resztki powietrza. Przestałem się bronić. Przestałem myśleć. Po raz kolejny całym sobą byłem pochłonięty próbą odzyskania tchu. Poczulem, jak mój przeciwnik odpycha mnie do tyłu i na bok, gdzie wpadłem na ścianę budynku.

Wujek Bert, nie śpiesząc się, przytrzymał mnie lewą ręką i cofnął drugą pięść do prawego prostego, o którym obaj wiedzieliśmy, że przeniesie mnie do krainy snów. Mocniej stanął na nogach, aby włożyć w cios całą swoją siłę, a ja posłałem w jego stronę najmocniejszego i najszybszego kopniaka, na jakiego mogłem się w tych okolicznościach zdobyć. Stopa przeszła między jego nogami, ale goleń napotkała solidny opór krocza, i wujek Bert zgiął się w pół. Chwyciłem go za uszy, poderwałem do góry i rąbnąłem z byka w twarz. Stary, dobry glasgowski pocałunek!

Odepchnąłem go od siebie. Z nosa ciekła mu krew i myślałem, że ma już dość, ale wujek Bert był zawodowcem i wrócił jak bumerang. Wymacałem w kieszeni pałkę i z wymachem przyłożyłem mu w skroń. Poleciał w bok, ale o dziwo utrzymał się na nogach. Walnąłem go na odlew jeszcze raz. Przyklęknął na jedno kolano, a ja kopnąłem go w twarz. Padł do tyłu na plecy. Wciągając łapczywie powietrze do płuc,

podszedłem do niego chwiejnym krokiem, pochylony od promieniującego z nerki bólu. Czułem przepętniającą mnie znowu nienawiść i wściekłość. Stałem przy nim i podniosłem stopę z zamiarem potraktowania obcasem jego szpetnej, poobijanej twarzy.

Rozległ się strzał. Zatoczyłem się do tyłu.

XVIII

Spojrzałem w dół na swoje ciało, a potem na leżącego u moich stóp Berta Soutara. Żaden z nas nie został postrzelony. Podniosłem wzrok: przed nami stał Bobby Kirkcaldy, którego twarz nosiła ślady wczorajszej porażki na ringu. W rękę trzymał browninga. Musiał przed chwilą strzelić ostrzegawczo w powietrze, ale teraz patrzyłem już w wymierzoną we mnie lufę pistoletu.

– Pod ścianę, Lennox – rzucił zaskakująco spokojnym, łagodnym wręcz głosem. – Wujku Bercie, jak z tobą?

Soutar powoli stanął na nogi, mierząc mnie złowróżbnym wzrokiem. Czulem, co się święci i Kirkcaldy najwyraźniej też.

– Spokojnie, Bert – powiedział. – Zrobimy to w garażu, jak ustaliliśmy.

Soutar chwycił mnie za kołnierz marynarki i odciągnął od ściany, po czym przy wtórce brutalnych kuksańców poprowadził przed sobą na tyły domu. Okazało się, że po drugiej stronie chałupy podjazd skręca ku pobielonemu budynkowi gospodarczemu, który wyglądał na niegdysiejszą stajnię przerobioną na garaż. U góry widać było okno mansardowe sugerujące, że na strychu znajdowało się pomieszczenie dla szofera. Dwie pary wielkich podwójnych drzwi garażowych nasunęły mi przypuszczenie, że w środku bez trudu można by zaparkować cztery samochody. Uważnie przyjrzałem się budynkowi, i to z dwóch powodów: z ciekawości skazańca co do miejsca egzekucji i z zamiarem wyszukania wszelkich możliwych dróg ucieczki.

Soutar nie przestawał mnie poszturchiwać i zaczęłam znowu rozważać, czy się z nim nie zabawić. Był z niego bez wątpienia stary twardziel, ale dołożyłbym starań, żeby skrócić mu kark, zanim jego bratanek zdąży pociągnąć za spust. Zawsze istniała

nadzieja, że Kirkcaldy gorzej strzela, niż boksuje.

– I to wszystko dlatego, że ustawiłeś walkę? – rzuciłem przez ramię. – Muszę przyznać, Kirkcaldy, że bardzo poważnie podchodzisz do tych swoich drobnych machlojek.

– Przymknij się i idź... – Wujek Bert wymierzył mi kolejne szturchnięcie. Zaczęło to już zakrawać na grubiaństwo.

– Czeka tu na ciebie znajomy – powiedział Kirkcaldy i zaśmiał się złowieszczo. Poszedł przodem i otworzył jedną parę drzwi do garażu.

Tak jak się spodziewałem, w garażu stały dwa samochody: opływowy karminowy lanchester Collinsa i kabriolet sunbeam-talbot sports Bobby’ego Kirkcaldy’ego. Ale ze mnie matoł – przyszła mi do głowy pełna gorczy myśl. Wydawało mi się, że jestem takim spryciarzem, prowokując Collinsa, żeby zaprowadził mnie do szefa. Miałem to wszystko niby dokładnie obmyślane, ale nie przewidziałem, że Collins specjalnie zwlekał piętnaście minut z opuszczeniem biura, by dać Kirkcaldy’emu czas na dojechanie ze Strathblane do tego miejsca i przygotowanie się na mój przyjazd. Wiadomo było, że przyciągnę się tu za Collinsem jak po sznurku. Dobrze mi tak: zacząłem za bardzo wierzyć własnej reklamie.

Garaż okazał się jeszcze większy, niż przypuszczałem. Dwie stojące w nim bryki zajmowały mniej niż połowę całej przestrzeni. Pośrodku stał Jack Collins.

– Mówiłem wam, że za mną pojedzie – powiedział z pogardą, która nieco zraniła moją dumę.

– Okej, więc jesteście wkurzeni, że wykonuję swoją robotę. Ale jak mówiłem na zewnątrz, coś mi tu nie pasuje. Na mojego nosa, zadajecie sobie zbyt dużo trudu, żeby mogło chodzić tylko o zatarcie śladów po jednej ustawionej walce. Po licho cała ta artyleria? – spytałem, wskazując gestem głowy trzymanego przez Kirkcaldy’ego browninga.

– Może masz rację, Lennox – powiedział Kirkcaldy. – Może faktycznie dzieje się więcej, niż jesteś w stanie pojąć.

– Sprawdź to, śmiało... – odparłem. – Jestem dość pojętnym gościem. A przede wszystkim nasycić moją ciekawość jako kibica... dlaczego poddałeś wczoraj walkę?

– A czemu sądzisz, że ją poddałem?

– Daj spokój. Przecież byłem na widowni. I oglądałem kilka twoich wcześniejszych występów. Jeśli potrafiłeś poradzić sobie z McQuillanem, to uporanie się z Janem Schmidtke powinno być dla ciebie pestką. Poddałeś walkę, bez dwóch zdań. Naprawdę masz aż takie kłopoty z sercem?

– Faktycznie, mam – powiedział bez ogródek Kirkcaldy. – To wada wrodzona. Miałem ją od urodzenia, tylko o tym nie wiedziałem. Problemy zaczęły się dopiero sześć miesięcy temu. Konował mówi, że powinienem się oszczędzać i unikać stresujących sytuacji. Może powinienem zacząć od ciebie, co, Lennox?

– Domyślam się, że nieźle się obłowiłeś na tej walce, no nie? – spytałem.

– Jack wszystkim się zajął. W zasadzie to Bilon wpadł na ten pomysł. Nic, co nadmiernie rzucałoby się w oczy – dużo niezbyt wysokich zakładów, u wielu różnych bukmacherów. I wszystkie zawarte przez osoby trzecie, bez żadnych powiązań z Collinsem, a tym bardziej ze mną.

– Cudownie – powiedziałem. – Tylko że nie byliście jedynymi, którzy wiedzieli, co się święci. Dwaj młodzi kombinatorzy próbowali postawić u Tony'ego Polaka sporą kwotę na twoją przegraną.

– O tym akurat nic nie wiem – powiedział Kirkcaldy, starając się, żeby zabrzmiało to jak najbardziej przekonująco. Gdyby równie nieudolnie próbował uników na ringu, jego przedwcześnie zakończona kariera zakończyłaby się jeszcze wcześniej.

– Kim oni byli? – Kusilem dalej los. Biorąc pod uwagę, że trzymano mnie na muszce w jakimś budynku gospodarczym na odludziu, gdzie nikt pewnie nie usłyszałby nawet strzału, uznałem, że nie mam nic do stracenia.

– Już ci mówiłem, że nic nie wiem o tych gościach ani

zadnych innych obstawiających.

Postanowiłem nie mitrzyć czasu, bo Kirkcaldy mógł w każdej chwili stracić cierpliwość. – Jestem pewien, że sporo zgarnęliście w wyniku tego waszego małego przekrętu. Ale nie tyle, żeby robić sobie aż takie kłopoty. No i chyba nie byłoby to warte śmierci Bilona.

– Nie mamy ze śmiercią Bilona nic wspólnego. Absolutnie nic. A jego zejście nie ma nic wspólnego z tym przekrętem z walką.

– Jasne... Nie posądzam was o zabicie Bilona. Ale ta cała ustawka ma jednak pewien związek z jego śmiercią. Może faktycznie pierwotny pomysł, żebyś poddał walkę, wyszedł od Bilona – chodziło przecież tylko o to, żebyś mógł zakończyć karierę, dysponując małym funduszem emerytalnym. Pewnie mówiłeś mu o swojej wadzie serca. Ale najbardziej przymusił was fakt, że musieliście szybko kogoś spłacić. Kogoś, kto w przeciwnym razie potraktowałby was w taki sam sposób jak Bilona.

Kirkcaldy milczał, ale wymienił spojrzenie z wujkiem Bertem.

– Widzisz, Bobby, jestem takim dość dociekliwym typem. Sporo czasu spędzam w Bibliotece Mitchella, poszerzając swoje horyzonty. Jedną z dziedzin, którymi się ostatnio zajmowałem, to tradycje i zwyczaje naszych wędrujących kuzynów. Na przykład tych, którzy stacjonują w Vinegarhill. Z początku sądziłem, że to tylko irlandzcy travellersi, ale okazuje się, że to Minceir, prawdziwi Romowie z Irlandii... autentyczny, że tak powiem.

Kirkcaldy nadal milczał.

– Dzieje Cyganów są długie i niełatwe – ciągnąłem dalej. – W Wielkiej Brytanii są już od wieków. Wiecie, że nawet sprzedawaliśmy ich jako niewolników, którzy pracowali w Luizjanie na prowadzonych przez wyzwolonych Murzynów małych plantacjach? Albo że wieszaliśmy ich z tego tylko powodu, że byli Cyganami? To wszystko sprawiło, że stali się dość zawziętą grupą. Zemsta i krwawe porachunki rodzinne są u nich na porządku dziennym.

– Co to wszystko ma do rzeczy? – powiedział Kirkcaldy, ale jego słowa znów nie zabrzmiały zbyt przekonująco.

– Nie wiem, co zrobiliście. Tego elementu całej łamigłówki właśnie mi brakuje. Ale widzisz, przeczytałem trochę o cygańskich zwyczajach. I spotkałem się z Seanem Furie, którego syn jest podejrzany o zamordowanie Biloni. Z początku myślałem, że Furie ma więcej wspólnego z Blackrock w Irlandii niż z Bułgarią, ale zdaje się, że on i jego ludzie są jednak autentycznymi Cyganami, bo przestrzegają cygańskich zwyczajów i rządzą się cygańskim prawem. Sam Furie jest baro, przywódcą klanu, czyli najważniejszą wśród nich figurą. Z racji bycia baro Furie zasiada też jako sędzia w kris, takim nieformalnym sądzie cygańskim. Jednym z zadań kris jest sądenie członków romskiej wspólnoty, a nawet gadziów, jak nazywani są nie-Cyganie.

– Bardzo, kurwa, interesujące – powiedział Bert Soutar. – Możesz przyjąć, że horyzonty mi się poszerzyły. A teraz stawaj pod tą ścianą.

Postanowiłem na razie nie ruszać się z miejsca. – To faktycznie wciągające. Otóż kris zbiera się między innymi wtedy, gdy ktoś ze swoich zostaje zabity przez obcego. Na przykład w wyniku morderstwa albo jakiegoś wypadku. Kris może wtedy wydać wyrok na winowajcę i jedynym sposobem, aby się z tego wywikłać, jest zapłacenie glaba, czyli rekompensaty dla rodziny zmarłego. – Przerwałem na chwilę. Nie tyle po to, żeby wzmocnić efekt dramatyczny, ile w celu ponownego zlustrowania otoczenia. W tylnej ścianie widniały dwa małe, zakurzone okna. Obok leżało kilka starych, rdzewiejących narzędzi ogrodniczych, w tym upstrzony brunatnymi cętkami sierp. Za przepuszczającymi niewiele światła okienkami przesunął się jakiś cień. Ktoś tu jeszcze był. Na zewnątrz.

– W każdym razie – kontynuowałem – widzę to tak: na tobie, wujaszku Bercie, i na Collinsie ciąży wyrok śmierci. Co więcej, chodzi o śmierć z rąk Cyganów, a to już może człowiekowi naprawdę napędzić stracha. Nie wiem, czy wyrok na Bilonie

wykonywał właśnie syn Furiego, czy nie, w każdym razie macie już dość dobre wyobrażenie o tym, co was czeka... chyba, oczywiście, że zapłacicie sporą sumę w ramach głaby.

– No to co powinniśmy byli zrobić? – spytał Kirkcaldy.

– No cóż, to wszystko wydaje się dość oczywiste. Wujek Bert zwerbował tego młodego pajka do walki na gołe pięści. Pajk zginął. Odpowiedzialnością za to zostali obarczeni Soutar, Bilon i Collins. Bilon skończył marnie, bo ktoś zmasakrował mu czaszkę figurą jego ulubionego charta, a tobie zaczęto podrzucać pod drzwi różne rzeczy, kojarzące się w tradycji cygańskiej ze śmiercią. Miałem to wszystko rozpracować. No i udało mi się. Jednego tylko nie łapię... W końcu ten cygański chłopak przystąpił do walki z własnej nieprzymuszonej woli. Wiedział, czym ryzykuje i poszedł na to. Więc dlaczego klan obarczył was za to odpowiedzialnością?

– Nie jesteś aż tak sprytny, jak ci się wydaje – powiedział Jack Collins, rzucając mi pogardliwe spojrzenie. Twarz miał bladą i ściągniętą. Jego spokój wyparował. Bał się. Albo z powodu tego, co powiedziałem, albo dlatego, że za chwilę miał być świadkiem nieprzyjemnej sceny ze mną w roli głównej. Wierzyłem mocno, że chodziło o moje krasomówstwo.

– Zamknij się, Collins – powiedział Kirkcaldy. – Pod ścianę, Lennox. I trzymaj ręce tak, żebym je widział.

– Co z wami? – spytałem. Zauważyłem, że mój oddech wcale nie przyspieszył, a serce nie zaczęło bić mocniej. Tak to jest, tłumaczyłem sam sobie, kiedy człowiek tyle razy stawał już w obliczu śmierci. I kiedy widział już tylu innych opuszczających ten świat. – Chcecie mnie zabić z powodu cygańskiej klątwy i partacko ustawionej walki? Nie... to nie ma sensu. Coś w tym wszystkim nie gra. Kto siedział z Collinsem w samochodzie przed twoim domem? I jaki jest prawdziwy powód, że Cyganie chcą was dopaść?

Stałem teraz plecami do ściany, ale cofając się, przesunąłem się nieco w bok, żeby znaleźć się w pobliżu sierpa. Zardzewiałe narzędzie ogrodnicze przeciwko rewolwerowi i dwóm doświadczonym bokserom. Nie mają szans – pomyślałem.

– Pokaż mu... – Kirkcaldy rzucił rozkaz w kierunku Collinsa, krótkim ruchem głowy wskazując swój samochód. Collins podszedł do kabrioletu, otworzył bagażnik i wyjął z niego coś owiniętego w koc. Trzymając przedmiot w objęciach jak niemowlę, podszedł bliżej i położył go na ziemi. Odwinął koc, abym mógł zobaczyć zawartość. Była to pęknięta na pół figurka demona kylan. Podrobiony jadeit miał około dwóch centymetrów grubości. Z pękniętej figurki wysypała się zawartość: małe, zwarte zawiniątka z pergaminu.

Westchnąłem, czując, jak coś w żołądku zawiązuje mi się w supeł. Kirkcaldy i figurka... Wiedziałem, co to oznacza. – Sammy Pollock?

Kirkcaldy uśmiechnął się i przypomniał mi się uśmiech Snedдона. – Tak jak wszystko inne w Glasgow, Lennox, Clyde jest nieobliczalna. Wrzucasz do niej w tym samym miejscu i o tej samej porze dwa ciała, z których jedno wyrzuca rzeka, a drugie przepada bez śladu.

– Nie zasłużył na to, Kirkcaldy. To był jeszcze dzieciak. – Wyobraziłem sobie, jak Sheila Gainsborough przyjmie tę wiadomość. W tej sprawie nie zarobiłem nawet na zwrot kosztów własnych, to pewne. No ale z drugiej strony, to już nie ode mnie otrzyma tę wiadomość. Zaśmiałem się gorzko.

– Co cię tak, kurwa, śmieszy? – spytał Kirkcaldy.

– Tylko to, że prowadziłem dwa dochodzenia i nie przyszło mi ani razu do głowy, że mogą być ze sobą powiązane. Nie jestem aż tak bystry, za jakiego się miałem.

– Jesteś bystry, Lennox. Aż za bardzo. Powinieneś się już jednak orientować, że cokolwiek dzieje się w tym mieście, ma związek ze wszystkim innym. I zanim zaczniesz się dąsać z powodu Pollocka, weź pod uwagę, że sam napytał sobie biedy. Próbował grać w pierwszej lidze, no i dograł się.

– Wydaje mi się, że idziesz w jego ślady. Skoro towar jest w twoich rękach, musisz się liczyć nie tylko z tym, że masz na karku bandę rozsierzdzonych Cyganów. Słyszałeś o Johnie Largo?

– Słyszałem. I wiem, że to jego heroina. Ale on nadal szuka

Pollocka i Costello. Trafiliśmy na to przypadkiem, więc jesteście poza wszelkimi podejrzeniami.

– Nie aż tak, jak wam się wydaje. W końcu ja trafiłem na wasz trop.

– Wcale nie. To wszystko, co mówiłeś tu Collinsowi, to mydlenie oczu. Próbowaleś jedynie wsadzić kij w mrowisko. Tylko że teraz sam dostaniesz tym kijem po głowie. Tak czy inaczej, nie będziesz już miał okazji, żeby o tym wszystkim komukolwiek opowiedzieć.

No to po zawodach – pomyślałem. Jednego na pewno nie można było Kirkcaldy’emu zarzucić, a mianowicie że nie stawia spraw jasno.

– W jaki sposób Costello i Pollock dorwali tego jodeitowego demona? Niemożliwe, żeby wcześniej wiedzieli, co w nim jest.

– I tu się mylisz. Panicz Pollock był młodzieńcem o kosmopolitycznych gustach. Lgnął do bohemy. Palił czasem haszysz, a kiedyś nawet eksperymentował z opium. Żaden inny gnojek w tym mieście nie potrafiłby ocenić wartości oczyszczonej heroiny, a Pollock w mig zwietrzył w tym interes. Ale na tym kończyło się jego znanstwo. Nie miał żadnego doświadczenia w przestępczym fachu, więc kiedy skumpłował się z Costello, wydawało mu się, że ma do czynienia z Alem Capone. Tymczasem Costello to był taki sam palant jak Pollock.

– Więc jak wpadła im w ręce ta figura? – spytałem. Wszyscy trzej – Soutar, Collins i Kirkcaldy – stali teraz twarzami do mnie, zaś plecami do drzwi. Wcześniej Kirkcaldy zostawił jedne z nich nieco uchylone i mógłbym przysiąc, że widziałem, jak się poruszyły. Może mój cień za oknem nie należał jednak do tutejszej paczki. Wolałem myśleć, że to jakiś anioł stróż.

– Paul Costello nieustannie szukał jakichś okazji do zrobienia skoku – ciągnął dalej Kirkcaldy, a ja musiałem uczynić gigantyczny wysiłek, żeby nie spojrzeć nad jego ramieniem na znajdujące się za nim drzwi garażowe. – Chciał chyba wszystkim udowodnić, że nie jest gorszy w te klocki od swojego starego. Zero, kurwa, szans. Oleju w głowie miał jak na lekarstwo. To Sammy Pollock był podobno mózgiem większości

operacji. Ślepy ślepego prowadził, jak to mówią. W każdym razie trafiły im się ze dwie nocne roboty. Mieli jeszcze dwóch innych współników. Pierwszy skok zrobili na magazyn z papierosami. Jakieś francuskie gówno. Nie mieli pojęcia, jak puścić towar w obieg, więc sami próbowali go upłynnić w klubach i pubach. Kompletna amatorszczyzna. Nie robi się skoku bez wcześniejszego nagrania pasera, który puści towar w obieg. Ci frajerzy nawet nie znali nikogo takiego.

– Więc poszli do Bilony? – Wszystko zaczęło się układać w jedną całość.

– Taa... wziął od nich towar za grosze. Fagin³⁵ to z niego nie był, ale od czasu do czasu obracał jakimś trefnym towarem. Szczególnie jeśli można było na tym nieźle zarobić. Musiał to być jednak jakiś wyjątkowy towar i wysoka marża za pośrednictwo.

– To nadal nie tłumaczy, jak Pollock wpadł na trop tego jadeitowego stwora.

– Pollock i Costello mieli pomocników do tych skoków. Dwóch gości, pracujących dla starego Costello, i pajka, który robił za obstawę – powiedział Kirkcaldy. Kolejny element układanki znalazł się na swoim miejscu.

– W piątkę zrobili ten skok na magazyn z papierosami – kontynuował Kirkcaldy. – Cały towar był własnością tego zabojada Barniera. Zanim trafili na ślad tych fajek, musieli trochę pomyszkować i otworzyć kilka innych skrzyń. Wiadomo, głupi ma szczęście, więc pajk przez przypadek rozbił jadeitowy posążek i zorientował się, że w środku są jakieś zawiniątka. Zameldował o tym Pollockowi, który wpadł na pomysł, że to haszysz. Zabrali więc ze sobą posążek, udało im się wymknąć niepostrzeżenie z magazynu. Jednak po powrocie do domu i otwarciu jednej z paczuszek Pollock uświadomił sobie, że wdepnęli w nieźle gówno, bo w środku jest nie haszysz, tylko heroina, i to dość wysokiej jakości. Wziął próbkę, resztę włożył z powrotem i skleił posążek. Z próbką polazł prosto do Bilony.

³⁵ Postać pasera i przywódcy młodocianych złodziei z powieści Karola Dickensa *Oliver Twist*.

Bilon nie wiedział absolutnie nic o narkotykach, więc rzecz jasna przyszedł z tym do mnie.

– Ci dwaj goście, o których mówileś, że pracują dla Costello...
– powiedziałem. – Domyślałem się, że weszli w jakiś układ z tobą i Bilonem, po czym wystawili wam Sammy’ego Pollocka i Paula Costello... Więc co poszło nie tak? – Patrzyłem Kirkcaldy’emu prosto w oczy, nie odwracając wzroku w kierunku postaci, która wślizgnęła się przez drzwi i przyczajona, przesunęła się pod ścianą, chowając się za samochodami.

– Pajk zorientował się, że to nie był zwykły skok i zaczął domagać się pieniędzy, grożąc, że w przeciwnym razie zacznie sypać. Nie wiedział jednak, że ja też zostałem wciągnięty do tej sprawy. Tak się akurat złożyło, że gostek walczył czasami na gołe pięści, no to wujek Bert załatwił mu kilka walk w lokalu Sneddona.

– I tak się porobiło, że umarł podczas jednej z nich?

– Taa... dziwne, co? – Kirkcaldy uśmiechnął się chłodno. – Niezły zbieg okoliczności. Szczególnie że wujek Bert zaaplikował mu takie specjalne lekarstwo przed tą walką. Wcisnął mu kit, że dzięki temu będzie skuteczniejszy i nie będzie czuł ciosów przeciwnika. To drugie było akurat prawdą. Ten głupi pajkowski sukinkot je zażył. Dostał od tego drugiego gościa cholerne manto, a potem zaczął strasznie krwawić. Nie wiem, czy od łomotu, czy od tej chemii.

– I po problemie. – Starąłem się sprawiać wrażenie rozluźnionego, ale cały czas oceniałem w głowie odległość od zardzewiałego sierpa i czekałem, aż postać schowana za samochodami wykona pierwszy ruch.

– Nieee... nasze problemy dopiero się wtedy zaczęły. Okazało się, że ten pajk jest synem Seana Furie... i bratem tego, którego oskarżono o zabójstwo Bilonu.

– Więc to taką głabę musicie zapłacić – powiedziałem. – Cóż, syn baro to nie byle kto.

– Banda nedorobionych irlandzkich brudasów mnie nie przestraszy. To po prostu drobny kłopot, który mi teraz potrzebny jak dziura w moście. Nie mogę jeszcze sprzedać

heroiny, a musiałem jakoś zorganizować kasę, żeby się ode mnie odpieprzyli. – Gestem brody wskazał pęknięty posążek. – To najbardziej obiecujący biznes, jaki kiedykolwiek mi się trafił. Ten towar robi tu furorę... Widziałeś, jak wygląda Glasgow w sobotni wieczór? Pół miasta zalewa się, kurwa, w trupa. Tysiącom facetów gorzała wylewa się wręcz uszami. Nikt nie pije dla smaku i Bóg jeden wie, że również nie ze względów, kurwa, towarzyskich. Wiesz, o co im chodzi? O wakacje. Piją, bo w ten sposób przynajmniej na kilka godzin mogą uciec od swojego życia. Tylko że tania whisky albo jakiś bełt zapewniają im coś w rodzaju jednodniowego wypadu na wczasy do Largs, natomiast ten towar to, kurwa, dwa tygodnie w Monte Carlo. To... – Podrzucił do góry trzymane w ręce zawiniątko, jakby szacował jego wartość. – To jest przyszłość, Lennox. To jest przyszłość tego miasta. Nie nastarczymy z dostawami, kiedy pojawi się popyt. Mówię ci, kurwa, ten towar jest wymarzony dla Glasgow. Bo on sprawia, że Glasgow znika. Zresztą skoro mowa o znikaniu, to dość już tych pogawędek...

Kirkcaldy zarepetował browninga. Wszyscy trzej zwrócili się w moim kierunku. Collins pobladł jeszcze bardziej. Od chwili, kiedy wyszedł z biura, żeby mnie tu zwabić, wiedział, że tak to się skończy. Bert Soutar z satysfakcją wykrzywił wąskie usta pod rozkwaszonym nosem.

Z jakiegoś niewiadomego powodu stanęła mi przed oczami twarz Fiony White. Może dlatego, że wkrótce będzie miała wolne mieszkanie do wynajęcia.

Wszystko rozegrało się z porażającą gracją. Domyśliłem się już wcześniej, że to Śpiewak kryje się za samochodami. W końcu to ja sam zasugerowałem, żeby wyznaczyć go do śledzenia Kirkcaldy'ego. Teraz bezszelestnie wychynął zza najbliższego auta. To wydany przez Collinsa okrzyk zaskoczenia spowodował, że Kirkcaldy i Soutar odwrócili się w jego kierunku. Zobaczyłem, jak ręka Śpiewaka wędruje błyskawicznie do góry i wykonuje w powietrzu krótki łuk. Collins zacharczał, a z rany na jego szyi, którą zadał mu brzytwą Śpiewak, zaczęła rytmicznie tryskać krew.

Rzuciłem się w kierunku sierpa i poderwałem go z ziemi. Kirkcaldy usłyszał zgrzyt metalu i obrócił się na pięcie, mierząc we mnie z rewolweru. Sierp przejechał mu po nadgarstku i broń wypadła mu z ręki. Z doskoku zamachnąłem się jeszcze raz i tym razem koniec sierpa utkwiał w plecach Kirkcaldy'ego, który wydał z siebie nieludzki wręcz wrzask. Tymczasem Śpiewak i Soutar zmagali się ze sobą w desperackim klinczu. Soutar trzymał nadgarstek Śpiewaka w żelaznym uchwycie, blokując dostęp brzytwy do swojego gardła. Odrzuciłem sierp i chwyciłem upuszczonego przez Kirkcaldy'ego browninga. Bez namysłu wpakowałem Soutarowi dwie kule w łeb. Padł bez życia na ziemię, pociągając na siebie tkwiącego w jego kurczowym uścisku Śpiewaka.

Wszystko to trwało może ze cztery czy pięć sekund, ale Soutar leżał teraz martwy, Collins konał w przedśmiertnych drgawkach, a Kirkcaldy padł na kolana, ściskając swój rozplątany nadgarstek.

– Dzięki, Śpiewak... – powiedziałem. – Gdybyś się nie zjawił, byłbym już trupem.

Śpiewak podniósł się z ziemi i kiwnął głową. Był bez tchu, ale miałem wrażenie, że na jego ustach widzę cień uśmiechu.

Zostawiliśmy ciała w garażu. Owiąłem Kirkcaldy'emu rękę chustką i posadziliśmy go obok fotela kierowcy w jego sunbeam-talbocie. Zatknąłem browninga za pas, pozbierałem kawałki jadeitowego demona, zawinałem je z powrotem w koc i włożyłem do bagażnika swojego samochodu. Wiedziałem, że z Kirkcaldym nie będzie już żadnych problemów, więc powiedziałem Śpiewakowi, żeby pojechał za mną moim austinem atlantikiem. Zatrzymaliśmy się obok jakiejś stojącej przy drodze budki telefonicznej i podczas gdy Śpiewak pilnował Kirkcaldy'ego, ja zadzwoniłem do Williego Snedдона. Pokrótkie zrelacjonowałem mu, co się wydarzyło i podpowiedziałem, gdzie należy odebrać dwie partie mięsa do zmielenia w zakładzie mięsnym Młota Murphy'ego.

Pojechaliśmy z powrotem do Glasgow, a Kirkcaldy przez całą drogę próbował wynegocjować ze mną jakiś układ, obiecując mi wszelkie możliwe bogactwa, jeśli tylko pomogę mu wywikłać się z tej kabały. Skręcaliśmy właśnie znad Clyde w ulicę Gallowgate, gdy obiecałem mu, że się tym zajmę – że znam ludzi, którzy rozwiążą wszystkie jego problemy.

Śpiewak zatrzymał się na zewnątrz i zaczekał na mnie, gdy wjechałem na plac w Vinegarhill. Staruszek, którego widziałem poprzednim razem, pobiegł do przyczepy Seana Furie i załomotał do drzwi. Furie kiwnął głową w moim kierunku, a ja odwzajemniłem się tym samym. Żaden z nas nie zwracał uwagi na błagania Kirkcaldy'ego. Rzuciłem kluczyki od jego samochodu na plac. Kirkcaldy wytoczył się z samochodu i zaczął rozpaczliwie gramolić się w ich kierunku, ale były zbyt daleko, a krąg wyrosłych jak z podziemi Cyganów zaczął się już wokół niego zacieśniać.

Kiedy podwoziłem Śpiewaka pod dom Snedдона, jeszcze raz mu podziękowałem. Ponownie kiwnął głową i wysiadł z wozu.

Byłem zmęczony i obolały, ale miałem jeszcze do wykonania trzy telefony. Zaczynał zapadać zmrok, gęstszy niż kiedykolwiek w ciągu ostatnich tygodni, i coś w wieczornym powietrzu zapowiadało zbliżające się powoli, lecz nieubłagane chłody. Zaparkowałem nad Clyde, wyjąłem z bagażnika rozbitego jadeitowego demona i zaniósłem go nad wodę. Wyjąłem dwa pergaminowe zawiniątka i wziąłem po jednym do każdej ręki. Zawsze szukałem okazji do zarobienia kasy. Teraz byłem w posiadaniu całego funduszu emerytalnego. Przypuszczam, że nawet gdybym zwrócił narkotyki nieuchwytnemu Largo, mógłbym liczyć na zgrabną sumkę tytułem znaleźnego. Wiedziałem też, że to tylko kwestia czasu, kiedy sprawdzi się przepowiednia Kirkcaldy'ego i ten towar zaleje glasgowskie ulice. Nawet ja czułem jednak, że pewne pieniądze są po prostu zbyt brudne, by się ich tykać. Wyjąłem z kieszeni nóż sprężynowy i zacząłem po kolei rozcinać

pakunki, wytrząsając z nich wielkie obłoki białego proszku. Obserwowałem, jak wieczorny powiew unosi w dal chmurę białego pyłu, a opakowania odpływają na ciemnej, pobrużdżonej powierzchni wody.

Rozmowy telefoniczne przeprowadziłem z budki na rogu ulicy Buchanan. Najpierw zadzwoniłem do kogoś, kto wszystkim wydawał się zjawą: powiedziałem Johnowi Largo, że za godzinę poinformuję Dexa Devereaux, gdzie może go znaleźć. Nie wdając się w szczegóły, dodałem też, że wszystkie rachunki zostały wyrównane, więc nie ma już w Glasgow nic do roboty. Zasugerowałem mu natychmiastową zmianę klimatu. Najlepiej na jakiś ciepły.

Następnie wykręciłem numer domowy do Jocka Fergusona. Podpowiedziałem mu, żeby za pół godziny spotkał się z Dexem Devereaux w jego hotelu, to będą mieli niepowtarzalną okazję dopaść Johna Largo.

Trzecia rozmowa była krótka i treściwa. Próbowałem dodzwonić się do Jimmy'ego Costello w pubie Imperium. Nie było go tam, ale złapałem go w Rivierze. Spytał opryskliwie, czego chcę. Rozumiałem jego irytację: prosił mnie o odnalezienie syna, tymczasem ten znalazł się, ale martwy.

– Czy są tam Skelly i Young? – spytałem.

– Tak, a bo co, kurwa?

– Są tam w tej chwili?

– Taa... – Zniecierpliwił się jeszcze bardziej. – Widzę ich na własne oczy.

– W takim razie patrzysz na judaszy, którzy zamordowali Paula. A przynajmniej wystawili go na odstrzał komuś innemu. I spokojna głowa, wszystkie inne rachunki zostały już wyrównane.

– Jeśli, kurwa, kłamiesz...

– Nie kłamię. Skelly i Young połaski się na kasę i wyrolowali Paula i Sammy'ego Pollocka. Takie są fakty. Co z nimi zrobisz, to już twoja sprawa.

Po drugiej stronie linii zapadło milczenie. W tle słyszałem grający zespół jazzowy i gwar rozmawiających i pijących ludzi.

– Zajmę się tym – powiedział Costello i wiedziałem, że faktycznie to zrobi. – Lennox?

– Tak?

– Dzięki.

Dotrzymałem danego Largo słowa i odczekałem pół godziny przed hotelem Alpha, zanim wszedłem do środka i poprosiłem o skontaktowanie z Dexem Devereaux. Nocny portier wpuścił mnie do hotelu z dużymi oporami i był tym bardziej niechętny, żeby zakłócać spokój panu Devereaux.

– To bardzo ważna sprawa – powiedziałem, wsuwając mu dwa funty do kieszonki kamizelki. – Proszę mu powiedzieć, że mam dla niego adres, którego szukał. Adres pana Largo.

Usiadłem, żeby poczekać. Nie minęło dziesięć minut, jak w holu zjawił się rozmemłany Dex Devereaux. Pomimo ogólnego rozchętania, jego płaski język jak zwykle wyglądał nieskazitelnie. Podałem mu karteczkę z adresem.

– Jesteś pewien, że to on? – Podniósł karteczkę do oczu.

– To on. To jego adres.

Zostawiłem Devereaux w holu, a wychodząc, minąłem zdyszanego Jocka Fergusona, którego właśnie wpuszczał nocny portier.

– Dex wyjaśni – rzuciłem w przelocie. Nie byłem w nastroju do pogawędek. Miałem przed sobą jeszcze jedną wizytę. Tę, której najbardziej się obawiałem. Wsiadłem do atlantica i pojechałem na West End do Sheili Gainsborough.

Johna Largo spotkałem dwa tygodnie później. Dex Devereaux dotrzymał słowa i zapłacił mi ten tysiąc dolarów za przekazanie informacji, gdzie znaleźć Largo. Inna sprawa, że kiedy przyjechali z Jockiem Fergusonem na miejsce, nic nie zdziałali, bo ptaszek wyfrunął już z gniazdka. Ktoś musiał go ostrzec, powiedział mi Ferguson, z jego tonu nie wynikało jednak, aby o cokolwiek mnie podejrzewał.

Largo czekał na mnie, czając się gdzieś w cieniu, gdy wychodziłem z pubu Pod Końskim Łbem. Jedną dłoń miał

wsuniętą w zewnętrzną kieszeń marynarki i podejrzywałem, że miał w niej coś więcej niż drobniaki. W porządku – rozumiałem jego ostrożność.

– Chciałem ci podziękować – powiedział.

– Za co... ze cię zadenuncjowałem?

– Za to, że dałeś mi szansę. Jak wpadłeś na mój trop?

Wyjąłem papierośnicę i poczęstowałem go. Wziął papierosa lewą ręką, nie wyjmując prawej z kieszeni.

– Jesteś zbyt sentymentalny – odparłem. – Pojechałem za tobą pod pomnik na Lyle Hill. Domyśliłem się, że coś łączy cię z „Maillé-Brézé”. Więc trochę poszperałem.

Jak wyjaśniłem wcześniej Devereaux w holu hotelu, „Maillé-Brézé” był niszczycielem francuskiej marynarki wojennej. Swego czasu cumował na kotwicowisku Tail of the Bank u ujścia Clyde, na wysokości miejsca, gdzie wzniesiono pomnik upamiętniający Wolnych Francuzów. Tail of the Bank było punktem zbornym konwojów atlantyckich: ruchliwym skupiskiem statków handlowych i ciężko uzbrojonych eskortowców. I właśnie tam zakotwiczony był „Maillé-Brézé” w kwietniu 1940 roku. Francuski niszczyciel akurat wychodził w morze, gdy jego własne dwie torpedy zostały przez przypadek wystrzelone w kierunku śródokręcia. Siła eksplozji była tak duża, że pozbawiła szyb niektóre domy w Port Glasgow, a na uszkodzonym okręcie wybuchł pożar, który uwięził w przedniej kantine sporą część załogi. Mimo wysiłków straży pożarnej z Port Glasgow, kiedy „Maillé-Brézé” w końcu poszedł na dno zatoki, zabrał ze sobą sześćdziesięciu ośmiu spośród dwustu marynarzy. Nigdy wcześniej nie spotkałem nikogo, kto przeżył tę katastrofę. Aż do dzisiaj.

– No i faktycznie znalazłem to, czego szukałem... – powiedziałem. – To znaczy znalazłem nazwisko Alaina Barniera. Tylko że znajdowało się na liście zaginionych, a nie miałem do dyspozycji listy ocalałych.

– Alain był moim przyjacielem – powiedział Largo z uśmiechem. Bez koziej bródki jego twarz wyglądała zupełnie inaczej. A jego włosy były teraz równie ciemne, jak moje. –

W pewnym sensie tak właśnie uczciłem jego pamięć... nie pozwalając, by jego nazwisko przepadło. Ale jak odszukałeś moje prawdziwe dane?

– Pamiętasz tę bójkę w Port Glasgow? Dwa dni po zatopieniu francuskiej floty pod Mers-el-Kébir?

– Aaa... – Kiwnął głową. – Oczywiście...

– Kiedy po raz pierwszy zjawiłem się w twoim biurze, panna Minto skorygowała moją angielską wymowę nazwiska Clement. Jest wiele nazwisk, które pisze się po francusku tak samo, jak po angielsku, ale wymawia inaczej.

– I oczywiście – dokończył moją myśl – wiele słów, które pisze się inaczej, ale brzmią tak samo...

– Dex Devereaux miał informatora, który usłyszał, jak ktoś wymienia twoje nazwisko. Zrelacjonował je tak, jak je usłyszał: John Largo. Kiedy przeglądałem akta sądowe, natrafiłem jednak na zeznanie złożone przez kapitana Jeana Largeau z francuskiej piechoty morskiej. Wtedy domyśliłem się, że twoja kariera musiała stać się tak malownicza, iż przybrałeś nazwisko Barnier.

– Wtedy było to rozsądne posunięcie. Teraz nazywam się inaczej. I gdzie indziej jest moja przystań. Udało ci się sprawić, że jako baza Glasgow jest dla mnie... – zamilkł na chwilę, poszukując odpowiedniego słowa – ... spalone.

– Nie będę udawał, że mnie to martwi. Nie pochwalam interesów, jakie prowadzisz, Jean.

Largeau wzruszył ramionami i zrobił minę, tak samo jak wtedy, gdy był jeszcze Barnierem. – Ameryka jest zepsuta, przyjacielu. To nie ja się do tego przyczyniłem. Ja tylko na tym korzystam. Poza tym nie zmuszam tych czarnych, żeby zaopatrywali się w mój towar. Ja tylko zaspokajam popyt.

– Wiesz, powieszą tego cygańskiego chłopaka – powiedziałem, zmieniając temat. – Tego boksera, Tommy’ego „Pistoleta” Furie.

Largeau zrobił minę, jakby nie kojarzył, o co chodzi.

– Za morderstwo na Bilonie MacFarlanie. Za namową adwokata przyznał się do winy, ale i tak go powieszą. A szkoda,

bo moim zdaniem to nie on zabił Biloną.

– Hm... – Largeau powoli pokręcił głową. – Obawiam się, że nie znam tej sprawy. Ale jeśli chodzi o tych włóczęgów, to i tak zazwyczaj mają coś na sumieniu.

Rozmawialiśmy jeszcze przez kilka minut. Dwóch mężczyzn stojących i gawędzących przed glasgowskim pubem. Na koniec życzyliśmy sobie nawzajem powodzenia i Largeau wyjął rękę z kieszeni, aby się ze mną pożegnać. Zostawiłem go przed pubem i odjechałem. Kiedy spojrzałem we wsteczne lustro, już go nie było.

Sam nie wiem, dlaczego nie wydałem Largeau policji, a w każdym razie dlaczego dałem mu szansę ucieczki, zanim go zakablowałem. Może dlatego, że zobaczyłem w nim część siebie. Wojna odcisnęła na nas obu swoje piętno i mało brakowało, a poszedłbym tą samą drogą co Largeau.

Ale nie poszedłem.

EPILOG

Maggie MacFarlane, wesoła wdówka z Pollokshields, przyjęła zniknięcie Jacka Collinsa z takim samym stoicyzmem, z jakim przyjęła śmierć męża. Nigdy chyba nie dowiem się, ile dokładnie wiedziała o jego interesach i na ile była w nie zamieszana. Gdy wpadłem odwiedzić Lornę, nazwisko Collinsa nie padło ani razu, a między dwiema kobietami w domu MacFarlane'a zdawało się panować pewnego rodzaju zawieszenie broni. Choć przypuszczam, że szansa na jego utrzymanie była taka jak w przypadku aktualnego rozejmu w Indochinach.

Złożyłem Lornie zapewnienie, że gdyby kiedykolwiek była w potrzebie, zawsze może na mnie liczyć. To było pożegnanie i oboje zdawaliśmy sobie z tego sprawę. Była już dużą dziewczynką i potrafiła o siebie zadbać – przyciągnęło nas do siebie między innymi to, że byliśmy ulepieni z tej samej gliny, natomiast ja zacząłem kwestionować swoje dotychczasowe podejście do kobiet.

Willie Sneddon, choć niechętnie, wybulił całą należną mi kwotę. Pojechałem do niego ze Śpiewakiem i opowiedzieliśmy mu całą historię. A raczej to ja opowiadałem, a Śpiewak potwierdzał moje słowa kiwnięciem głowy za każdym razem, gdy Sneddon zwracał się w jego kierunku. Sneddon zniósł swoje straty po męsku, choć nie omieszkął wyrazić niezadowolenia, gdy dowiedział się, co zrobiliśmy z Kirkcaldym, zamiast przekazać boksera w jego ręce. Wyszedł jednak lepiej na takim właśnie rozwiązaniu, bo kilka dni później gazety rozpisywały się o odnalezieniu zwłok Bobby'ego Kirkcaldy'ego, który, jak podawano, padł ofiarą brutalnego, wyjątkowo okrutnego pobicia. Byłem przygotowany na wizytę Jocka Fergusona albo, co gorsza, nadinspektora Williego

McNaba.

W Glasgow wybuchła nagle epidemia amnezji, i świadkowie, którzy mogliby potwierdzić obecność Tommy'ego „Pistoleta” Furie w pobliżu domu Bilona MacFarlane'a w noc morderstwa, odwołali zeznania. Zarzuty wobec Furiego wycofano. Zastanawiałem się, ilu świadków zaczęło znajdować na swoim progu dziwne pakunki.

Pod koniec tygodnia, wbrew jej zakazowi, odwiedziłem May Donaldson. Zaczekałem pod domem, aż wróci z pracy i będę miał pewność, że jest sama. Jej twarz spochmurniała, gdy otworzyła mi drzwi.

– Lennox, mówiłam ci...

– Nie martw się, May – powiedziałem. – Nie zabawię długo. Wpadłem tylko, żeby dać ci to... – Wręczyłem jej białą welinową kopertę. Była to ładna koperta. Elegancka. Kiedy ją otworzyła, zrobiła wielkie oczy.

– Co to jest?

– Pięćset funtów. Powiedzmy, że to prezent ślubny. Kolejny prezent ślubny. Na udany początek – zasługujesz na to.

– Nie mogę tego przyjąć, Lennox. Sam wiesz, że nie mogę. – Wyciągnęła w moją stronę rękę z kopertą, ale odsunąłem ją od siebie.

– Ależ możesz. Zarobiłem te pieniądze, choć nie jestem zbyt szczęśliwy z powodu tego, co musiałem w tym celu zrobić. Nie martw się... – powiedziałem, zauważwszy jej minę. – To nie są brudne pieniądze. Przeciwnie, zostały mi wypłacone z funduszy międzynarodowych organów ścigania.

– Ja i tak nie mogę ich przyjąć... – zaprotestowała, ale już znacznie mniej energicznie. – Jak mam to wyjaśnić George'owi?

– Powiedz mu, że odziedziczyłaś coś po krewnym, o istnieniu którego nie miałaś wcześniej pojęcia. Jeśli chcesz, przyślę ci list napisany na moim papierze firmowym.

Wpatrywała się w kopertę rozepchniętą grubym plikiem banknotów i wyglądającą jak jakiś pęknięty owoc, który przed chwilą spadł z drzewa, zadając kłam znanemu powiedzeniu. –

Lennox...

– Okej – powiedziałem. – Jest coś, co chciałbym, żebyś dla mnie zrobiła. Może powinienem wejść i wyjaśnić...

Gdy wypisano ze szpitala Davey’ego Wallace’a, czekałem na niego przed budynkiem. Opuchlizna już zeszała, ale jego twarz nadal pokryta była ciemną tęczą sińców. Szedł powoli i ostrożnie, jakby stąpał po rozżarzonych węglach. Domyślałem się, że przy każdym nieco mocniejszym stąpieniu jego pęknięte żebra przeszywał paroksyzm bólu. Jakoś udało mu się przywitać mnie swoim tradycyjnym szerokim uśmiechem. Zabolalo mnie to bardziej, niż gdyby wymierzył mi cios w twarz.

Otworzyłem mu drzwi samochodu. Wsiadł i pojechaliśmy przez miasto. Davey powiedział mi, że nie chce, abym się o niego martwił i że za dwa tygodnie będzie gotów znowu dla mnie pracować. Tym razem pełną parą, ponieważ stracił robotę w stoczni.

Nic nie odpowiedziałem, tylko pojechałem nad rzekę i zatrzymałem się na zaniedbanym, oczyszczonym po bombardowaniach skrawku nabrzeża. Pomogłem Davey’emu dojść nad wodę i usiedliśmy na murku pod sterzącymi czarnymi kikutami stoczniowych żurawi. Buchając czarnym dymem, powoli przepłynął przed nami mały parowiec towarowy.

Siedzieliśmy tam ponad godzinę, którą wypełnił mój nieprzerwany monolog. Mówiłem o swoim domu w Kanadzie i o wojnie. O tym, jak pełen obiecujących możliwości wydawał mi się świat, gdy byłem w wieku Davey’ego. Opowiadałem o sprawach, o których jeszcze z nikim nie rozmawiałem. Wspominałem Sycylię i Aachen, przyjaciół, których śmierci byłem świadkiem, oraz nieprzyjaciół, których zabiłem. Rozprawiałem o złych rzeczach, które zrobiłem, bo podczas wojny trzeba je było robić, i o złych rzeczach, które robiłem nawet wtedy, gdy wcale ich robić nie musiałem.

Opowiedziałem mu o swoim życiu całkiem otwarcie. I przy okazji samemu sobie.

Kiedy skończyłem, wręczyłem mu kopertę. Taką samą wykwintną, welinową kopertę, jaką dałem May. Opowiedziałem Davey'emu o Saskatchewan, o otwartych preriach i gorących latach oraz o zimach ze śniegiem po szyję. Powiedziałem mu też, że powinien zrezygnować z filmów gangsterskich i oglądać więcej westernów.

– Dwóch moich przyjaciół przeprowadza się w tamte strony. May i George. Mają tam wielką farmę i będą potrzebowali kogoś do pomocy. W kopercie jest bilet, żebyś mógł tam z nimi popłynąć oraz pięćset funtów szterlingów. Przeliczając na dolary kanadyjskie, jest tego sporo, Davey.

– Dlaczego pan to robi, panie Lennox?

– Bo dobry z ciebie dzieciak, Davey, i ja też kiedyś taki byłem. A w każdym razie lubię tak o sobie myśleć. Zasługujesz na coś lepszego niż to... – Gestem ręki wskazałem na czarną, tłustą Clyde, otaczające nas dźwigi i ciemne miasto za naszymi plecami. – Włożyłem tam też list. Są w nim podstawowe dane i adres moich rodziców w Nowym Brunszwiku. Porozumiałem się telegraficznie z moim tatą, który powiedział, że może cię sponsorować, gdyby wymagał tego urząd imigracyjny. – Objąłem go ramieniem. – Ale nie będzie to potrzebne. Kanada potrzebuje takich młodych ludzi jak ty.

– Nie wiem, co powiedzieć, panie Lennox. Jeśli kiedykolwiek będą mógł coś dla pana zrobić...

– Możesz. Chciałbym, żeby ci się ułożyło w życiu. Żebyś ożenił się z jedną z tych silnych, ładnych ukraińskich emigrantek o błękitnych oczach i jasnoblond włosach, których jest sporo w Saskatchewan, i żebyście mieli z tuzin jasnowłosych dzieciaków.

W drodze powrotnej Davey siedział w milczeniu obok mnie z białą kopertą na kolanach. Odezwał się dopiero, gdy zatrzymałem się pod czynszówką, w której mieszkał.

– Nigdy tego nie zapomnę, panie Lennox. Nigdy. – Twarz miał zdeterminowaną, wręcz surową.

– Świetnie – powiedziałem z szerokim uśmiechem. – Wcale się tego nie spodziewam. Może któregoś dnia wpadnę cię odwiedzić.

Gdy Davey wysiadł, pojechałem z powrotem na ulicę Great Western. Czuję, że coś przewraca mi się we wnętrzościach, i wiedziałem, że to dlatego, iż tam nad rzeką, zwracając się do Davey’emu, skonfrontowałem się ze sprawami, z którymi nie próbowałem się zmierzyć od czasu wojny. To mnie jednocześnie wyzwoliło i przytłoczyło. Ale przynajmniej, choć ten jeden raz, miałem całkowitą pewność, jakie będzie moje następne posunięcie.

Zostawiłem atlantica przed domem, podszedłem do drzwi, przekręciłem klucz w zamku i wszedłem. Z korytarza nie udałem się jednak jak zwykle na górę, do siebie.

Zamiast tego bez wahania zastukałem mocno do drzwi Fiony White.

PODZIĘKOWANIA

Chciałbym serdecznie podziękować następującym osobom za ich pomoc i wsparcie: Wendy, Jonathanowi i Sophie; mojej agentce Carole Blake, mojej redaktorce Jane Wood, a także Jenny Ellis i wszystkim innym pracownikom wydawnictwa Quercus; Louise Thurtell z Allen and Unwin; Marco Schneidersowi i Helmutowi Pesch z Lübbe Verlag, a także wszystkim moim pozostałym wydawcom na całym świecie; jak również Colinowi Blackowi i Chrisowi Martinowi.

Craig

Russell



MRO CZNA SERIA

VIRTU^ALO
Księgarnia Internetowa

empik

CYKL SZK^oCKI

W
a
b
yde
two